Nowy bestseller

Julie Anne Long

Miłość niezwyciężona

AMBER

Romans historyczny

Julie Anne Long

Miłość niezwyciężona

Przekład
Aleksandra Januszewska

AMBER

Korekta
Alicja Jedynak
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© olenakucher/Fotolia

Tytuł oryginału
The Legend of Lyon Redmond

Copyright © 2015 by Julie Anne Long
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6537-7

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

May Chen, wspaniałej wydawczyni.
Dzielenie z tobą historii wzlotów i upadków rodzin Redmondów i Eversea to dla mnie ogromna przyjemność i przywilej.

1

Pierwszy tydzień lutego...

Wychodzi za mąż w drugą sobotę maja.

Siedem słów nabazgranych na pergaminie. Wpatrywał się w nie tak długo, że zlały mu się przed oczami w jedną szarą plamę.

Podniósł głowę, w uszach mu dzwoniło, w głowie szumiało, jakby naprawdę cofnął się przed chwilą w czasie.

Dla Lyona Redmonda od zawsze istniała tylko jedna ona.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć, co robi na pokładzie statku zacumowanego w Plymouth, zamiast być na nizinie Sussex, obok podwójnego wiązu, tego z wyrytą w korze literą „O”.

Spoglądało na niego z tuzin par oczu; ich właściciele czekali cierpliwie na rozkaz, który miał, bez wątpienia, paść.

Jego załoga składała się ze starannie dobranych, w stosownych okolicznościach śmiertelnie niebezpiecznych mężczyzn i jednej kobiety, wszechstronnie utalentowanej panny Delphinii Digby-Thorne – władającej wieloma języka i zaskakująco uzdolnionej aktorsko – to ona oblała kiedyś piwem jego siostrę, Violet.

Nie łączyło ich nic z wyjątkiem tajemniczych rodowodów, swobodnego podejścia do zasad moralnych i niezachwianej lojalności. Wobec niego.

W przeciwieństwie, niestety, do Olivii Eversea.

Jednakże do nich wszystkich, do ostatniego, szczęście uśmiechnęło się dopiero wtedy, kiedy spletli swoje losy z jego losem. Był na tyle cyniczny,

żeby zdawać sobie sprawę, że jedno wiązało się z drugim – wierność z powodzeniem, ale nie dbał o to.

Posłaniec, który przybył z tą wieścią, mężczyzna w stroju lokaja, uznał milczenie Lyona za pozwolenie, by odejść i aż nazbyt ochoczo odwrócił się, żeby się oddalić.

– Stać – rzucił ostro Lyon.

Szpady jego ludzi uniosły się szybko, zagradzając mężczyźnie drogę.

– Nie mam broni – zapewnił lokaj pospiesznie, podnosząc ręce. – I jestem sam. Masz moje słowo.

Na widok uśmiechu, jaki posłał mu Lyon, wielu mężczyzn zmoczyłoby spodnie. Przypominał zakrzywione ostrze kordelasa.

– Nie wątpię, że twoje słowo jest na wagę złota; tak czy inaczej, nie masz się czego bać. Właśnie wyczyściłem szpadę, więc w ciągu najbliższych paru godzin nikogo nią nie przeszyję.

Załoga zachichotała.

Lokaj uśmiechnął się niepewnie.

Lyon poczuł zniecierpliwienie, a właściwie, nazywając rzecz po imieniu, wstyd. Nie miał zwyczaju zastraszać dla zabawy bezbronnych ludzi, mając w dodatku przewagę liczebną.

Z drugiej strony wobec tego, jak historia traktowała często zwiastunów złych wieści, ten człowiek miał zapewne szczęście, że jeszcze oddychał.

– Jak się zwiesz?

– Ramsey, panie.

– Nic ci nie grozi, póki wierzę, że odpowiadasz na moje pytania zgodnie z prawdą, Ramsey.

– Oczywiście, panie.

Sądząc jednak po jego nagle pobladłej twarzy, zrozumiał ukrytą groźbę.

– Kto cię przysłał, Ramsey?

– Proszę wybaczyć, ale lord Lavay mówił, że będzie pan wiedział, jak przeczyta wiadomość. Służę mu, jestem lokajem, panie. – Wyprostował się

i dotknął srebrnego szamerunku na kubraku, jakby na szczęście. – Wygrałem w rzucie monetą.

– A zatem jestem nagrodą, czy tak, Ramsey? – powiedział Lyon przeciągle, wywołując znów śmiech załogi. – Opisz mi, proszę, lorda Lavay.

Ramsey zmarszczył brwi.

– Cóż… To duży dżentelmen. Może taki wysoki, jak pan. Francuz. Często macha rękami, jak mówi. O, tak. – Zaczął demonstrować, ale przerwał, kiedy wycelowane w niego szpady drgnęły ostrzegawczo. – Niedawno odniósł poważną ranę w walce, ale już wydobrzał.

Lyon przyglądał się lokajowi nieruchomymi oczami, szukając dowodów kłamstwa w drgnieniu powieki czy napięciu mięśni.

Wiedział wszystko o tej walce i ranie. Lyon wraz z załogą znaleźli Lavaya wykrwawiającego się na śmierć w Londynie, na schodach Horseleydown.

To w istocie dzięki Lyonowi lord Lavay wciąż chodził po tej pięknej ziemi.

Ale znowu, pośrednio, lord Lavay i jego przyjaciel, lord Ardmay, przyczynili się do tego, że Lyon także jeszcze po niej chodził i obaj poświęcili fortunę, żeby umożliwić mu zniknięcie. Chociaż Lyon przede wszystkim zawdzięczał to swojej siostrze, Violet. Dla kobiet mężczyźni gotowi są na to, czego normalnie, przy zdrowych zmysłach, nie robią.

Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy lepiej niż Lyon.

– Cieszę się – odezwał się w końcu. Krótko. Ale szczerze. Lavay był dobrym człowiekiem, a Lyon przekonał się, że takich jest niewielu i wszyscy tracą, kiedy jednego z nich ubywa.

Lavay był także jedynym człowiekiem na świecie, który wiedział, gdzie można teraz znaleźć Lyona Redmonda. I jednym z niewielu ludzi, którzy znali jego trzy tożsamości. Prawdziwą. Przybraną. I tę, która mogła zaprowadzić go na szubienicę.

Nawet jeśli chciano go zwabić tą wiadomością do Sussex i oddać w ręce Korony, to nie miało większego znaczenia. Lyon stał się człowiekiem, który potrafił uniknąć czy wywinąć się z każdej pułapki, korzystając ze wszelkich sposobów.

Sądził jednak, że Lavay chce w ten sposób spłacić dług honoru.

– Lord Lavay to wspaniały człowiek, najwspanialszy, jakiego znam, sir – oznajmił z mocą lokaj. – Ożenił się ze swoją gospodynią, panią Fountain.

To go zaskoczyło.

– Czy tak? Jakaś epidemia ślubów w Sussex, nieprawdaż?

Lyon powiedział to tak gorzkim tonem, że wszyscy zamrugali, jakby coś żrącego wpadło im w oczy.

Wciągnął głęboko powietrze.

– A gdzie jest w tej chwili lord Lavay, Ramsey?

– Spodziewam się, że nadal przebywa w Pennyroyal Green, wsi w Sussex, gdzie go zostawiłem. Widzi pan, jako że niedawno się ożenił i… wieś się bardzo zmieniła. Zrobiło się całkiem ładne miasteczko – ciągnął, promieniejąc z zadowolenia.

– Naprawdę? – W głosie Lyona brzmiała taka brutalna ironia, że wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, z szeroko otwartymi oczami.

Załoga poczuła się zaniepokojona.

On sam się zaniepokoił.

Ponieważ po raz pierwszy od lat Lyon sam nie wiedział, co chce zrobić.

Wszystko z winy Olivii Eversea.

Przewróciła jego świat do góry nogami od pierwszej chwili – tej chwili na sali balowej, kiedy odwróciła się do niego, uśmiechnęła i…

Nawet teraz. Nawet teraz wspomnienie tego uśmiechu zapierało mu dech w piersi.

Po raz ostatni widział Pennyroyal Green w środku nocy, przed pięcioma laty. Od tamtego czasu wydarzenia porwały go z taką siłą, jakby był kulą armatnią. I to nie tylko z powodu tego, co usłyszał od Olivii w ogrodzie, po

północy, w ulewnym deszczu. Chociaż po tym, jak powiedziała to, co powiedziała, przez jakiś czas przestał dbać o to, co się z nim dzieje.

Nie, ten lont palił się dłużej niż ktokolwiek mógłby podejrzewać.

Nikt z Sussex od tamtej pory go nie widział.

Chociaż ktoś niewątpliwie próbował. Uśmiechnął się lekko na wspomnienie Violet.

I to właśnie było to, co zatrzymało jego szalony pęd.

Miał swoje sposoby, żeby, choć z daleka, śledzić życie tych, których zostawił. Coś sobie udowodnił w ciągu ostatnich pięciu lat. Początkowo myślał, że to wszystko z powodu Olivii. Ale teraz nie był już pewien. Próbował wyrzucić ją ze swego życia, pozbywając się nawet jej miniatury.

Najwyraźniej bez powodzenia.

Ale nikt, nawet jego załoga, nie wiedział, że ta podróż jest jego ostatnią. Zaryzykował wyprawę do Londynu, żeby wyjaśnić pewną tajemnicę, która mogłaby zniszczyć życie Olivii i jej rodziny.

Poznał odpowiedź.

Cóż, wcale go nie zdziwiła.

Nie był jednak przygotowany na to, że będzie musiał tak szybko podjąć decyzję, jak dalej postępować.

Och, Liv, pomyślał.

Nagle samo oddychanie zaczęło sprawiać ból. Urywki wspomnień tłoczyły się przed oczyma jego wyobraźni, każde wyraźne jak witraż w kościele.

Olivia idzie drogą w stronę domu Duffych, rzuca się biegiem, z rozjaśnioną twarzą, kiedy zauważa, że on czeka na nią pod wiązem. Tak jakby żal jej było każdej sekundy spędzonej z dala od niego.

To wspomnienie wracało zawsze, kiedy było mu szczególnie ciężko.

A teraz oddawała się innemu mężczyźnie.

Zacisnął palce. Zapanował jednak nad sobą i nie zgniótł wiadomości tak, jak na to zasługiwała.

Ona. Skoro Lavay napisał te słowa, to może ją widział, może nawet z nią rozmawiał albo…

Nie mógł tego zrobić.

Niech to diabli, nie mógł tego zrobić.

I to przeważyło szalę.

Wsunął kartkę za połę kubraka.

– Możesz odejść, Ramsey – powiedział. – Dziękuję.

Lokaj odwrócił się i niemal rzucił się biegiem; srebrny szamerunek zalśnił w słońcu.

Lyon popatrzył na pełne oczekiwania twarze załogi.

– A my – oświadczył – zostajemy w Anglii.

Nastała pora rozliczeń.

Trzy tygodnie później...

Olivia Eversea westchnęła w zacisznym wnętrzu rodzinnej berlinki, wdzięczna za to, że chociaż w drodze z placu St. James do Strandu może pobyć sama.

Być może to, że rodzina pozwoliła jej udać się w pojedynkę do pani Marceau, świadczyło o tym, jak bardzo ostatnio zrobiła się nieznośna.

Dyskusja, czy jej suknia powinna mieć srebrne wykończenie, jak u biednej księżniczki Charlotte, czy też może należałoby ją obszyć koralikami, co kosztowałoby znacznie więcej, ale czyż nie promieniałaby w tym stroju jak anioł (słowa matki), stała się bezsensownie namiętna; być może padły przy tej okazji subtelne obelgi, a jej opanowana siostra, Genevieve, może nawet trzasnęła drzwiami. Albo raczej zamknęła je demonstracyjnie, co u Genevieve równało się atakowi wściekłości.

Po paru minutach nadąsanego milczenia padły sobie w ramiona, pełne skruchy.

Olivia wiedziała, że bywa trudna i drażliwa i potrafi zręcznie wydobyć z każdego to, co w nim najgorsze, ze sobą w szczególności. To był z jej

strony akt miłosierdzia, że zostawiła rodzinę w domu, udając się samotnie do modystki.

I nadal nie miała pojęcia, jakie wykończenie sukni będzie najkorzystniejsze.

Czy nikt nie dostrzegał ironii w wyborze tego samego wykończenia, co u nieszczęsnej księżniczki Charlotte, która poślubiła człowieka, którego sama chciała poślubić, a nie tego, którego wolał jej ojciec? A potem zmarła szybko przy porodzie, w męczarniach, zostawiając Anglię w żałobie.

Ciekawe, myślała Olivia, ilu rodziców w Anglii powołuje się na historię Charlotte w charakterze ostrzeżenia. Widzisz, co cię czeka, jak mnie nie posłuchasz?

Olivia cieszyła się, że ona przynajmniej, po latach, w ciągu których przewinęło się koło niej tylu zalotników, dokonała sensownego wyboru. Cała rodzina mu przyklasnęła.

Wyjrzała przez okno; berlinka toczyła się wśród hałaśliwego, kolorowego tłumu na Strandzie. Wielebni mężowie z książkami do nabożeństwa, kukiełkarze, straganiarze i kieszonkowcy przeplatali się z damami i dżentelmenami w nienagannych strojach, zdradzających bogactwo i świetne pochodzenie. Cudowny chaos i zamęt Strandu doskonale pasowały do jej nastroju i spodziewała się, że ukoją jej nerwy. Poza tym lubiła sklep pani Marceau, naprawdę go lubiła. To był cichy, kobiecy raj. To tylko te niezliczone przymiarki sprawiały, że zaczęła się czuć jak cielę, które ma być podzielone na kotlety.

Szykowano dla niej jedwabne halki, piękne nocne koszule, suknie podróżne, suknie spacerowe, stroje do konnej jazdy, rękawiczki z koźlej skórki i bawełniane, pończochy z jedwabiu i wełny, suknie balowe z jedwabiu i satyny, w przytłumionych barwach drogich kamieni, a także eleganckie przybrania głowy, pióra i ozdoby. Prawdziwą lawinę wspaniałości, a może szaniec z pięknych fatałaszków i świecidełek,

pomyślała z goryczą, bo porzucenie tego wszystkiego wzbudziłoby w niej poczucie winy, tłumiąc wszelką myśl o ucieczce.

Ponadto prawie wszyscy krewni z obu stron jej rodziny mieli się zjechać do Pennyroyal Green, Sussex, w maju i to nie tylko na ślub, ale także na bal. „Posiłki”, oto jak o nich myślała Olivia, nie wyrażając tego jednak na głos.

Była ostatnim dzieckiem Eversea, które miało stanąć przed ołtarzem, w dodatku u boku wicehrabiego. Wszyscy jej bracia poślubili niezwykłe kobiety, z których żadna nie szczyciła się tytułem. Genevieve wyszła za księcia, Falconbridge’a – ku cichej, radosnej satysfakcji ojca, ponieważ w ten sposób udało jej się przebić Redmondów, którzy zdobyli zaledwie tytuł hrabiowski przez małżeństwo – ale było to możliwe dzięki specjalnemu zezwoleniu. Olivia była ostatnią nadzieją rodziny na ślub z należną pompą.

Wiedziała, że wszyscy, którzy ją kochają, odetchną z ulgą dopiero wtedy, kiedy pomacha im wesoło z karety, udając się w podróż poślubną z Landsdowne’em.

Nikt oczywiście nie powiedział tego głośno.

To było ukryte źródło napięcia.

Nie mieli powodów do obaw. Olivia zdecydowanie zamierzała go poślubić.

W księgach zakładów u White’a wypisywano, rzecz jasna, co innego.

Boże, miała serdecznie dość, że dostarcza rozrywki kochającym zakłady nicponiom u White’a. Nie chciała być wydarzeniem w kronice towarzyskiej.

Ale jeśli się czegoś nauczyła przez te wszystkie lata, to tego, że chcieć czegoś i to dostać, niekoniecznie idzie w parze. Nawet w rodzinie Eversea.

Położyła głowę na miękkim oparciu, pachnącym lekko i kojąco tytoniem ojca; nagle drgnęła i zaczęła grzebać w torebce.

– A niech to! – Znalazła tylko dwa szylingi, a także komplet do szycia, szylkretowe pudełeczko oraz, rzecz jasna, płócienną chusteczkę złożoną na

szesnaście części – zawsze udawała, że jej nie widzi i zabierała wszędzie.

Weszło jej w zwyczaj rzucanie paru monet żebrakom przy zakładzie pani Marceau, swego rodzaju daniny, wraz z paroma uprzejmymi słowami; żebracy pojawili się przed paroma tygodniami i wracali, choć pani Marceau starała się ich przepędzić. Byli nieustępliwi jak mrówki. Wiedzieli, gdzie dostaną wsparcie – od bogatych kobiet, klientek modystki.

Ale Olivia, jak zwykle, żałowała, że nie ma więcej, żeby dać.

Wreszcie pokazał się krzykliwy, kołyszący się na łańcuchach, pozłacany szyld „Madame Marceau, modystka”; Olivia wyprostowała się. Wydawało się, że na Strandzie panuje dzisiaj większe ożywienie niż zwykle, słyszała nawet, ku swojemu zaskoczeniu, chóralny śpiew.

Nie znała tej melodii, ale niewątpliwie wpadała w ucho, była rytmiczna i żywa. Zaczęła przytupywać, zanim lokaj otworzył drzwi i uśmiechała się, kiedy pomagał jej wysiąść.

Pół tuzina mężczyzn stało przed zakładem, trzymając się pod ręce, kołysząc w takt melodii i wyśpiewując na całe gardło z głowami odchylonymi w tył. Inny mężczyzna wydawał się dyrygować; przechadzał się tam i z powrotem, z plikiem kartek w ręku.

Machał jedną z nich w powietrzu.

– Kupujcie balladę! Tylko dwa pensy! Pierwsi nauczcie przyjaciół piosenki, którą cały Londyn będzie nucić przez stulecia!

Ciekawe stwierdzenie, wziąwszy pod uwagę, że jedna z najulubieńszych piosenek londyńczyków opowiadała o bracie Olivii, Colinie; piosenka, podobnie jak Colin, który wywinął się od szubienicy, nie chciała umrzeć.

Latami rozdawała i brała pamflety dotyczące spraw bliskich jej sercu – zniesienia niewolnictwa i ochrony biednych – więc teraz odruchowo wyciągnęła rękę.

Mężczyzna zawahał się, ale zauważył, że ręka znajduje się w drogiej rękawiczce z błękitnej, koźlej skórki i zdecydował się włożyć w nią kartkę.

– Dwa pensy, pani, jeśli chcesz ją zabrać ze sobą. – Uśmiechnął się zachęcająco.

Nie słyszała go.

Zamarła z przerażenia na widok pierwszego wersu:

Legenda Lyona Redmonda

Powietrze uszło z niej w jednej chwili, poczuła ból, jakby przyłożono jej miotłą w żebra.

Ale najgorsze miało jeszcze nadejść.

Och, jeśli sądzicie,
że nie ujrzycie
Panny młodej Eversea
Jesteście w błędzie,
Bo ślub właśnie będzie!

Och, myśleliście,
że uroda panny pryśnie
i uschnie na wiór.
A jak Redmond wróci
I ten ślub zakłóci?

Nogi się pod nią ugięły.

Och, gdzie, och, gdzie jesteś?
Dlaczego, och, dlaczego uciekłeś?
Pływasz po Nilu na krokodylu?
Czyś na morzu bywał?
Albo zjadł cię kanibal?
A może żyjesz w raju
jak sułtan w seraju?

Była w szoku, czuła się tak, jakby wbito ją w ziemię młotem.

A chór za jej plecami nie przestawał śpiewać.

Ktoś tam z tyłu, pomyślała bezwiednie, ma piękny baryton.

2

W końcu zamknęła na krótko oczy, ponieważ powietrze wokół zadrżało złowieszczo.

A więc to się czuje, zanim się straci przytomność, pomyślała obojętnie.

Nigdy w życiu nie zemdlała.

Może powinna oddychać. Po to są, ostatecznie, płuca, a ona, jak się wydawało, przestała ich w tej chwili używać.

To były słowa. Tylko słowa. Jedynie słowa.

Wciągnęła głęboko powietrze.

Wypuściła je.

Poczuła się lepiej.

A chór z tyłu wciąż śpiewał.

– Pani. – Natrętny głos przebił się przez mgłę; musiał się do niej odzywać po raz kolejny. – Dwa pensy za ten świetny utwór, który trzymasz w ręce.

Otworzyła oczy.

Błyszczące sprytem, brązowe oczy znajdowały się niemal równo na poziomie jej oczu. Guziki kamizelki na majestatycznym brzuchu mężczyzny ledwie się trzymały, spod jego wysokiego kapelusza wymykały się dwa kosmyki włosów. Podejrzewała, że to jedyne włosy, jakie mu zostały na głowie.

– Dwa pensy, powiadasz? Rozumiem, dlaczego aż tyle. Robi wrażenie. Całkiem zręczne rymy.

Mężczyzna rozpromienił się.

– To moje dzieło. Podobno mam do tego smykałkę. Dalej mowa o tym, co Redmond może teraz robić na obczyźnie. – Pochylił się, żeby nadać słowom większy nacisk. – Osiem zwrotek i te rymy! Dowiedziałem się o szejkach, krokodylach i tym podobnych na wykładzie jego brata, pana Milesa Redmonda, sławnego podróżnika.

– Co za ironia – szepnęła.

– Redmondowie to bardzo zdolna rodzina – dodał z dumą, jakby pozostawał na ich służbie i pełnił rolę trubadura, wyśpiewującego kronikę ich życia.

– Tak jest w istocie – zgodziła się gładko. – Powiedz mi, czy szejkowie rzeczywiście żyją w seraju jak w raju? Widzisz, nie mogłam akurat wysłuchać tego wykładu pana Redmonda.

– Cóż, nie wiem tego na pewno. Przyznaję, że sięgnąłem do mojej wyobraźni, a rym wyszedł raczej zgrabny, nieprawdaż?

– Słowa malują prawdziwe obrazy. Obawiam się jednak, że nie przypadł mi całkiem do gustu początek twojej ballady.

Najeżył się.

– Och, z jakiej to racji? Jesteś poetką?

– Jestem Olivia Eversea.

Zamarł.

Z prędkością kolibra przesunął wzrokiem po jej twarzy.

Machnął gorączkowo ręką w stronę chóru.

Zamilkli natychmiast.

Cisza wydawała się ogłuszająca.

A potem ściągnął kapelusz tak gwałtownie, że zatrzepotały wstążki przy jej czepku. Przycisnął go do serca i skłonił się jak ścięty siekierą.

– Czy tak? – odezwał się, kiedy się znowu wyprostował. – Cieszę się, że mogę cię poznać, panno Eversea. Jesteś piękniejsza niż wiosenny dzień.

– Najwyraźniej masz szczególny talent do hiperboli, panie…

– Pickles.

– Panie Pickles.

Zmierzyła go spojrzeniem, w którym odbijały się setki lat doskonałego pochodzenia, bogactwa, poczucia wyższości, inteligencji i wdzięku.

Jego policzki powoli zabarwiły się szkarłatem, co świadczyło na jego korzyść.

– Przykro mi z powodu tego „wysychania na wiór” – bąknął nieśmiało. – Napisałem to, zanim się poznaliśmy.

– Oczywiście.

– I sądziłem, że to dodaje patosu.

– Istotnie nadaje pieśni pewną dramaturgię – przyznała.

W uszach jej nadal dzwoniło na skutek szoku, ręce miała lodowate. Zapewne powinna usiąść. I może włożyć głowę między kolana.

– Dramaturgia! – sapnął. – Tak! Przenikliwa z ciebie kobieta, panno Eversea. – Twarz rozjaśniła mu się nadzieją, błagał o zrozumienie.

Olivia drgnęła, kiedy ktoś z tyłu wysunął jej kartkę z balladą z odzianej w rękawiczkę dłoni.

Odwróciła się szybko. To był lord Landsdowne, wicehrabia w każdym calu – od nienagannie skrojonego kubraka od Johna Westona, z lśniącymi srebrnymi guzikami po błyszczące heskie buty, roztaczający wokół siebie, wynikającą z urodzenia, aurę pewności siebie, niczym dobrotliwe słońce światło.

Uśmiechnęła się do niego zaskoczona i uszczęśliwiona.

Nie zauważył tego, pochłonęła go drobna okropność, którą trzymał w dłoni.

Na jej oczach jego twarz tężała z gniewu.

Przyszło jej do głowy, że znała go parę miesięcy, zanim się oficjalnie zaręczyli, a nigdy nie widziała go w gniewie.

Ani też słowa „Lyon” czy „Redmond” nigdy między nimi nie padły.

Ona sama, w istocie, przez lata nie wymówiła tych słów.

Och, użyła pewnie zaimka „on” raz czy dwa razy, kiedy nie dało się tego uniknąć. Jakby Lyon był wszechmocnym. Albo Belzebubem.

Te wszystkie uniki przyniosły żałosny skutek. Może gdyby miała zwyczaj wspominania jego imienia od czasu do czasu w zwykłej rozmowie, straciłoby swoją moc i znaczenie, stałoby się mdłe i nijakie, jak każde słowo, którego używa się za często.

Z drugiej strony pierwszej nocy, kiedy z nim tańczyła, nie mogła spać, kipiąc jakąś dziwną, nieznaną radością, a potem wstała, chwyciła kartkę pergaminu i gorączkowo wypełniła ją z obu stron tymi dwoma słowami. Wylały się z niej jak hosanna albo może rodzaj egzorcyzmu.

Wówczas nie straciły nic ze swojej mocy.

– Czy zechcesz złożyć swój podpis przy moim dziele, panno Eversea? – Pan Pickles był obecnie uosobieniem pokory. A raczej w dwóch trzecich uosobieniem pokory, w jednej trzeciej zmysłu handlowego. – Kto wie, może to ze mnie uczyni bogatego człowieka. Mógłbym to sprzedać do Muzeum Montmorency, żeby spoczęło obok ubrania twojego brata, Colina Eversea. Tego, w którym o mało go nie powieszono.

Niech to. Zapomniała o legacie Colina. Westchnęła.

Ktoś będzie kiedyś musiał założyć Muzeum Hańby Eversea.

– Ona niczego nie podpisze – oświadczył Landsdowne spokojnie. Ale oczy miał twarde jak krzemienie. – Dam ci szylinga, żebyś stąd odszedł i nigdy nie wracał.

Olivia zerknęła na niego zdumiona. Jeszcze nawet na nią nie spojrzał ani się z nią nie przywitał, co było zarówno denerwujące, jak i intrygujące.

Najwyraźniej pragnął bronić jej honoru.

Nie wspominając o swoim własnym.

Ale ona nigdy nie była w stanie znieść, żeby ktoś mówił w jej imieniu. Landsdowne zrobił to po raz pierwszy.

W końcu ich spojrzenia się spotkały; widziała, jak jego oczy łagodnieją, jak zawsze, kiedy kierowały się na nią.

– Och, co mi szkodzi to podpisać? – powiedziała. – Może pan Pickles, jeśli stanie się bogaty, nie będzie musiał sprzedawać więcej tych piosenek. No i jakże moglibyśmy zniechęcać przedsiębiorcę.

– Panno Eversea, czy mogę coś wtrącić? Uczciwie mówiąc, jestem na łasce muzy. Moje dzieła wydobywają się z mojego umysłu niczym strumienie z ziemi i żadne bogactwa ich nie zatamują. – Pan Pickles tworzył w tej chwili obraz skruchy i pokory.

– Powiedz mi zatem, ile będzie kosztowała tama – odparł ponuro Landsdowne.

– Pani Marceau dostarczy pióro – starała się udobruchać go Olivia. – Podpiszę to i zostawię jej z poleceniem, żeby przekazała pismo panu Pickles, kiedy ja odejdę.

Wiedziała, że słabością Landsdowne'a jest jej uśmiech, więc uśmiechnęła się. Pojednawczo, czarująco i serdecznie.

I wyzywająco.

Zawahał się. Jakby się zastanawiał, czy jej nie odmówić.

Napięła się, jakby przygotowując na poryw wiatru.

Uświadomiła sobie, że tak będzie wyglądało małżeństwo. Niezliczone drobne negocjacje, subtelne i jawne. Oboje, rzecz jasna, będą je prowadzić w sposób niezwykle cywilizowany, ponieważ nigdy dwoje rozsądniejszych dorosłych nie stąpało po tej ziemi i nie urodził się bardziej zrównoważony mężczyzna. Z pewnością będzie to balsam na jej duszę – po braciach wiszących na treliażu pod balkonami zamężnych hrabin, znikających w chmurze dymu spod szubienicy, żeniących się z towarzysko nieakceptowanymi amerykańskimi dziedziczkami i zbierającymi kule podczas wojny.

Ale Landsdowne nie rzuci nigdy kamykami w jej okno o północy.

Ujrzała w myślach twarz Lyona. Białą i zdumioną, jak u człowieka, który krwawi wewnątrz. Mokra koszula lepi się do jego ciała, ponieważ swój kubrak zarzucił jej na ramiona.

Ten obraz to był jej czyściec.

Odsunęła go, ukryła w mroku, w głębi umysłu, w jedynym bezpiecznym miejscu.

Nie, Landsdowne uwodził ją spokojnie, zdecydowanie i nieustępliwie. W taki sposób, jak morze podmywa stromy brzeg.

W końcu jego usta drgnęły w kąciku.

– Doskonale, moja droga. Skoro musisz.

Moja droga. Zaczął wplatać te słowa w rozmowę zaraz po tym, jak się zaręczyli i używał ich coraz częściej. Brzmiały po „mężowsku” i słodko, i budziły w niej niezrozumiałe podniecenie, tak jakby sięgnął ręką i zapiął jej na szyi brylantowy naszyjnik.

Lyon mówił do niej: Liv.

Zwracał się do niej również inaczej, zaczynając od „moja”. Moje serce. Moja miłości. Wypowiadał te słowa z niewinną śmiałością kogoś, kto nigdy wcześniej nie został zraniony.

Oboje oczywiście dowiedzieli się z czasem, ile krzywdy mogą wyrządzić słowa.

Nagle zapragnęła znowu zostać choć chwilę sama. Czuła się słaba, jakby wróciła dawna gorączka.

– Czy nie lepiej pokazać wszystkim, jak mało nas obchodzi ten nonsens? – szepnęła do Landsdowne’a.

Uśmiechnął się naprawdę. Wcisnął panu Picklesowi dwa pensy, które ten przyjął z zadowoleniem.

Olivia zatrzymała piosenkę.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie Pickles – oznajmił Landsdowne z ironią. – I dodaję szylinga, żebyś przestawił chórek o parę domów dalej.

Pan Pickles wziął szylinga i poprowadził swoją trzódkę w dół ulicy.

Landsdowne ujął ją zdecydowanie za łokieć i pokierował wśród przechodniów w stronę sklepu pani Marceau, osłaniając ją swoim ciałem.

Olivia zatrzymała się nagle, wyzwalając z jego uścisku; ukucnęła przy żebrakach pod ścianą. Byli tak obdarci, brudni i odpychający, że niemal nie różnili się jeden od drugiego, tak jak trudno było odróżnić ich cienie. Dwaj nosili bandaże – jeden na ręce, drugi na twarzy – zapewne po to, żeby ukryć jakieś zniekształcenie, skutek wojny lub wypadku. Nie sprawiało jej to różnicy.

Szylingi zabrzęczały głucho w kubku.

– Przykro mi – szepnęła. – To wszystko, co mam dzisiaj przy sobie… ale może wystarczy, żeby wykupić przejazd dyliżansem pocztowym do Sussex. Wielebny Sylvaine w Pennyroyal Green może wam pomóc znaleźć pracę i strawę, może nawet dach nad głową…

Ale to było wszystko, co zdołała powiedzieć, ponieważ smród niemytych ciał był nie do zniesienia; podniosła się, zawstydzona.

Cofnęła się gwałtownie w stronę swojego silnego, czystego narzeczonego, który ponownie ujął ją za łokieć.

Poczekała jednak, aż żebrak uniósł rękę, po czym opuścił ją we wdzięcznym geście błogosławieństwa.

Nie należała raczej do przesądnych, ale jego błogosławieństwo nabrało dla niej znaczenia, kiedy szła do pani Marceau na przymiarkę.

Landsdowne wręczył jej pachnącą krochmalem oraz, leciutko, olejkiem pimentowym, chusteczkę, na której wyhaftowano starannie jego inicjały. Przytknęła ją do nosa z ulgą, która ją zawstydziła.

Pewnego dnia to będzie jej obowiązek, och nie, przywilej, żeby wyszywać te inicjały w rogach jego chusteczek.

Jak na tej chustce, którą chowała w torebce.

Na niej też były inicjały.

I krew.

Powinna ją spalić, tak samo, jak spaliła pergamin pokryty jego imieniem.

– Ta banda pewnie tylko przepije szylingi – mruknął suchym tonem Landsdowne.

– Mogą z nimi zrobić, co im się podoba. – Powiedziała to trochę zbyt ostro, odsuwając chusteczkę od nosa i podając mu ją z powrotem.

– Biedni zawsze są nam bliscy, Olivio.

– Och, naprawdę? Wyjaśnij mi to.

Zesztywniał.

Wtedy uświadomiła sobie, że na niego warknęła.

Wciągnęła powietrze, wypuściła je i wyprostowała się. Uśmiechnęła się przepraszająco.

– Och, zacznijmy od początku. Wybaczysz mi słabe nerwy? To już był trudny dzień, a ledwie się zaczął. Strasznie mi przykro, że okazałam się taką wiedźmą.

– Nie ma czego wybaczać – odparł natychmiast. – Albo raczej, to mnie wybacz. To była tylko niewinna uwaga, nie chciałem, żeby moje słowa brzmiały jak wykład. A ty jesteś aniołem, nie wiedźmą. Z pewnością wiesz więcej ode mnie o tym, jak powszechna jest bieda.

– Och, jestem nowicjuszką w porównaniu z panią Sneath.

– Każdy jest nowicjuszem we wszystkim w porównaniu z panią Sneath.

Parsknęła śmiechem.

– Te wszystkie przygotowania ślubne nadszarpnęłyby nerwy nawet admirała Nelsona, Olivio. Moje są zwykle jak z żelaza, a przysięgam, że słyszę, jak skrzypią od naciągania – wyznał. – Jesteś pewna, że nie pozwolisz mi się porwać do Gretna Green? – To był żart tylko w połowie.

– Brzmi kusząco, ale matka i pani Marceau pewnie uczyniłyby ze mnie wdowę tego samego dnia, kiedy by się o tym dowiedziały. Mieliśmy ostatnio sporo ślubów w rodzinie, ale bez żadnego przepychu. A chyba wszyscy uważają, że trochę pompy im się należy.

– Och, ależ my też zasługujemy na pompę – zakpił delikatnie. – A prawdę mówiąc, moja matka i siostry także spodziewają się i domagają hucznego ślubu. A zatem przynajmniej pozwól mi się zabrać do Ackermanna na herbatę albo może do herbaciarni Twinning, kiedy już

skończą cię nakłuwać szpilkami, czy też cokolwiek, co tam robią z kobietami. – Wskazał zakład krawiecki. – Oba miejsca są na Strandzie i jesteśmy niedaleko. Wiedziałem, że cię tu zastanę – zatrzymałem się przy waszej rezydencji i rozmawiałem chwilę z twoją matką i bratem. To było… Miałem po prostu nadzieję, że uda mi się ukraść trochę twojego czasu.

– Och, wspaniale! – zawołała całkiem szczerze. Uwielbiała spacerować po sklepie Ackermanna, przeglądając nowe sztychy i przebierając wśród ślicznych pamiątek, jakie mieli w sprzedaży. Tam znalazła swoje szylkretowe pudełeczko na wizytówki. – I nie mów o ukradzionym czasie. Dam ci go chętnie i z radością.

– Może znajdziemy u Ackermanna jakieś ryciny do naszej miejskiej rezydencji. Chciałbym urządzić nasz dom wedle twego gustu, jako że ja nie mam żadnego.

Nasz. Teraz wszystko miało być nasze.

Będzie miała nowy dom. Nowe meble.

Nowe… łóżko.

Nowe życie.

– Nonsens. Masz znakomity gust, choć trochę jesteś nieśmiały w jego wyrażaniu. Bądź ostrożny w tym, czego pragniesz – możesz skończyć w haftowanych poduszkach po uszy.

– To się wydaje wygodne. Nie będę się bał potknąć, chodząc po domu, jeśli mogę się spodziewać miękkiego lądowania.

Roześmiała się.

– Przyjdziesz po mnie za dwie godziny? Do tego czasu krawcowe chyba zdążą poddać mnie wszystkim torturom.

– Do zobaczenia, moja droga – powiedział, unosząc lekko brew; skłonił się.

Odwrócił się, żeby odejść i potknął o stopę żebraka, która nagle wysunęła się do przodu.

Landsdowne zaklął cicho, szybko odzyskał równowagę i ruszył w swoją drogę.

Olivia stłumiła uśmiech i w końcu weszła do sklepu.

Pani Marceau, o francuskim, wymyślonym nazwisku i o poczciwej twarzy kobiety z ludu Plantagenetów, klasnęła w dłonie z zachwytu na widok Olivii, dygnęła, po czym zaraz załamała ręce w rozpaczy.

– Och, panno Eversea, jestem taka podniecona, że będziemy dzisiaj dopasowywać twoją suknię ślubną. Może się mierzyć nawet z suknią księżniczki Charlotty! Ale widzi pani, mamy pewien kłopot. Moja asystentka, panna Marie-Anne, porzuciła mnie znienacka, dostała jakieś pieniądze i przeniosła się na wieś, ot tak! – Madame Marceau pstryknęła palcami. A mnie pilnie wezwano do drugiego zakładu na Bond Street. Na szczęście Opatrzność dopilnowała, żebym w największej potrzebie znalazła nową, bardzo kompetentną pomocnicę. Tak mi przykro, że nie mogę dzisiaj zająć się panią osobiście!

– Proszę się tym nie przejmować, madame. Ufam całkowicie pani osądowi i jestem pewna, że nowa asystentka, mademoiselle…

– Lilette.

Lilette? Olivia o mało nie przewróciła oczami.

– …mademoiselle Lilette sprawi się świetnie, wiem, że zatrudnia pani najlepsze.

Madame Marceau rozpromieniła się z wdzięczności, a rzeczona mademoiselle wyłoniła się zza jej pleców. Mała, blada, o przyjemnie zaokrąglonych kształtach i ciemnych, zadumanych oczach, ciemne włosy miała odsunięte z twarzy i zawiązane w skromny supeł. Jej surowa, zapięta wysoko pod szyją i świetnie skrojona suknia wskazywała jasno, że tylko klientkom wolno lśnić.

– Mademoiselle Lilette, zechcesz asystować pannie Eversea? Wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe.

– *Mais bien sûr*, madame Marceau. Proszę pójść ze mną, panno Eversea.

Olivia ruszyła za nią i za parawanem szybko zdjęła pelisę i suknię, a potem wsunęła się w coś, co miało być jej suknią ślubną, kiedy ostatecznie zdecyduje się na jakieś wykończenie i przejdzie milion przymiarek. Mademoiselle Lilette uklękła u stóp Olivii, trzymając narzędzia tortur swojego fachu – szpilki i taśmę do pomiarów.

Szyling najwidoczniej nie wystarczył, żeby zwiększyć dystans. Na zewnątrz znowu rozległa się przeklęta piosenka.

Osiem zwrotek nawet w przybliżeniu nie wystarczyło, żeby opisać to wszystko, co w jej wyobraźni mogło spotkać Lyona Redmonda przez ostatnie lata. Ciekawe, czy jakaś zwrotka opowiadała, jak Lyon Redmond umiera w rowie. Na pewno znalazłoby się sporo rymów do „rów, w rowie".

Doszli do „…Czyś na morzu bywał?", najmniej dla Olivii bolesnego fragmentu, kiedy odezwała się mademoiselle Lilette.

– Panno Eversea, zechciej stać spokojnie, jak teraz, albo kraj sukni będzie nierówny i pofałdowany. Interesujące, *non*, pofałdowany, ale to nie o taki styl nam chodzi?

– Proszę wybaczyć, mademoiselle Lilette. – Olivia zamarła posłusznie.

– Masz wyśmienity gust, panno Eversea.

Mademoiselle Lilette mówiła z nienagannym francuskim akcentem, a jej pochlebstwo było, jak można się było spodziewać, banalne.

– Dziękuję – odparła Olivia tonem oznaczającym: Proszę zamilknąć.

– Masz szczęście, poślubiając takiego wielkiego człowieka, *n'est-ce pas*? Przystojnego wicehrabiego, *oui?*

– *Oui* – potwierdziła sztywno Olivia.

Piosenka zmierzała właśnie ku drugiej zwrotce.

Och, gdyby jej nazwisko brzmiało… może, powiedzmy, Silver. Nic się nie rymuje z Silver.

Żeby tak w jej życiu nigdy nie zdarzyło się nic, co zasługiwałoby na piosenkę.

Gdyby tak Lyon był tutaj, bo nie przychodził jej do głowy nikt inny, kto mógłby się wraz z nią śmiać z tej piosenki, aż łzy pociekłyby im po policzkach i zabrakło tchu.

Zamknęła oczy pod wpływem przypływu wściekłości i tęsknoty tak bolesnych, że poczuła mdłości i niemal się zachwiała.

Stała bardzo, bardzo sztywno i ból powoli odpłynął.

Nauczyła się w ciągu ostatnich lat, żeby w ten sposób sobie radzić. Bezruchem.

– Musi pani być bardzo, jak to mówić, zakoszana ze swoim narzeczonym?

Zakoszana? Olivia zmarszczyła brwi. Co do licha…

Och, zakochana.

Przeklęci Francuzi. Ciągle paplali o miłości, miłości, miłości. Pytanie przyprawiło ją nagle o ból głowy, jakby dostała jakieś trudne zadanie z algebry.

Miłość. To słowo kiedyś wydawało się nie do ogarnięcia, czarodziejskie. Jak „niebo” czy „wszechświat”.

A teraz wydawało się raniące i głupie. Miała ochotę się otrząsnąć, jakby coś z wieloma nóżkami wylądowało na jej ciele.

– Chciałabym, żeby dało się na dobre rozpędzić ten chórek na ulicy – mruknęła z irytacją.

Mademoiselle Lilette znieruchomiała i przez chwilę zachowała miłosierne milczenie.

– Z pewnością możemy, jak to powiedzieć, wykorzystać ich zamiast tego, panno Eversea – powiedziała łagodnie.

– Wykorzystać! – Wbrew sobie Olivia była zaintrygowana. – Proszę mówić dalej.

– Może dać im wszystkim, jak to powiedzieć, *une* broszurka o prawach i potrzebach biedaków? Wyedukują się albo sobie pójdą, albo jedno i drugie.

Olivia parsknęła śmiechem, szczerze zaskoczona i zachwycona.

– Ach, podoba mi się twój sposób myślenia, mademoiselle Lilette. Wydajesz się pomysłową kobietą.

Mademoiselle Lilette mruknęła skromnie.

– Człowiek nie bierze się ze slumsów, żeby pracować dla *magnifique* madame Marceau, jeśli nie jest się pomysłowym. Musisz jednak stać nieruchomo, kiedy wbijam szpilki, bo nie chcę utoczyć krwi.

Władczość, jak się wydawało, wszędzie należała do prerogatyw krawcowych, a szlachetnie urodzone kobiety słuchały przez próżność.

– Przepraszam. A zatem slumsy, czy tak?

– *Mais oui*. – Godne podziwu, że mademoiselle Lilette powiedziała to, trzymając w ustach garść szpilek. – Najmroczniejsze odmęty biedoty.

– Wspaniałe osiągnięcie.

– Dziękuję. – Wzruszyła ramionami. – Ale trzeba być tylko, jak to mówicie, *tetu comme un anu*, żeby przeżyć i dać sobie radę.

– Uparty jak muł?

– *Oui*. A ja jestem.

– Być może w tym jesteśmy podobne, mademoiselle Lilette.

– A oni zwykle mówią o nas słaba płeć. Biedacy.

– Gdyby tylko wiedzieli.

Zachichotały.

Chociaż Olivia często chciała naprawdę być taka silna, jak wszyscy wydawali się o niej myśleć. Tak silna, jak chciała, żeby o niej myślano.

– *Oui, c'est vrai*. Ja też cię podziwiam, panno Eversea. Słyszałam o twojej pracy dla biednych i przeciwko „handlowi trójkąta".

Olivia znieruchomiała, zdumiona. Schyliła mocno głowę, patrząc na krawcową.

– Skąd, na Boga, mogłaś o tym słyszeć?

Mademoiselle Lilette pisnęła.

– Nie ruszaj się, panno Eversea! Podziwiam, powiedzmy, takie wysiłki, a twoje nazwisko często jest wymieniane z szacunkiem, jako osoby, która

popiera abolicję niewolników. Dajesz ludziom pamflety, *oui?* Chodzisz na wykłady i zadajesz mądre pytania? Nasze drogi mogły się skrzyżować. I tyle się zmieniło na lepsze, dzięki takim ludziom jak pani More i pan Wilberforce.

– Och, nie czuję się warta, żeby mnie wymieniać w towarzystwie pani More i pana Wilberforce'a! Jestem szczęśliwa, jeśli moje skromne starania przyniosły choć drobny skutek. Przypuszczam jednak, że ci z nas, którzy potępiają niewolnictwo, więcej mają do zawdzięczenia La Chat, który zdziesiątkował „handel trójkąta" niż moim pamfletom – stwierdziła sucho. – Wszyscy boją się żeglować.

La Chat to było raczej melodramatyczne przezwisko nadane piratowi, który od jakiegoś czasu stanowił postrach mórz i temat do rozmowy w salach balowych i salonach. Nie znano jego prawdziwej tożsamości – może miał na imię, na przykład, Edgar – ale ostatnio jakby się przyczaił, jak na chadzającego własnymi drogami, tajemniczego „kota" przystało. Jakiś czas wcześniej hrabia Ardmay, znany także jako kapitan Asher Flint, oraz jego pierwszy oficer, lord Lavay, otrzymali od króla misję sprowadzenia go przed oblicze sprawiedliwości. Nie zdołali się wywiązać z tego zadania i przepadła im wysoka nagroda.

Za to hrabia poślubił Violet Redmond, a lord Lavay ożenił się właśnie ze swoją gospodynią, panią Elise Fountain.

Olivia nie była pewna, czy te wydarzenia należy uznać za nagrodę, czy karę.

– Och, ale Le Chat to zwykły, bezbożny pirat! – wykrzyknęła mademoiselle Lilette. – *Oui?* Z pewnością nie bohater?

– Jednak chętnie uścisnęłabym mu dłoń. Ponieważ wydaje się, że odkrył jedyną rzecz, którą można pokonać podłość i chciwość: strach.

– Ale mógłby cię zgwałcić, gdybyś uścisnęła mu rękę. To robią piraci, *non?*

– Cóż, nie mogę tego z całą pewnością stwierdzić, bo nie obracam się w tych samych kręgach co piraci.

Zgwałcić. Jakie to francuskie.

Kolejne słowo należące do jej przeszłości.

Choć gwałcenie było raczej wzajemne i nie czysto fizyczne.

Dopiero kiedy usłyszała błagalny głos mademoiselle Lilette:

– Proszę, stój nieruchomo, panno Eversea – uświadomiła sobie, że poruszyła się niespokojnie.

– Przepraszam, przepraszam. Nie słyszałam o jakichś nowych atakach Le Chat. Chociaż nie chłonęłam tak bardzo nowych wiadomości podczas przygotowań do ślubu, które chyba trwały całe moje życie. Nie żałuję, oczywiście – dodała pospiesznie, żeby nie zranić być może delikatnych uczuć krawcowej. Nigdy nie zapominała, jaka jest uprzywilejowana.

Mademoiselle Lilette cmoknęła uspokajająco.

– Będziesz taka szczęśliwa, kiedy będą mówić, jak pięknie wyglądasz w nowej sukni. Może ten pirat, Le Chat, już nie żyje.

– To możliwe. Sądzę, że większość tych ludzi uprawia piracki proceder z pełną świadomością, że nie umrą we własnym łóżku ze starości.

– Jednak, jeśli Le Chat nie żyje, twoja praca jest potrzebna. Każda kobieta powinna mieć pasję. Jestem pewna, że twój narzeczony, wicehrabia, podziwia tę cechę i rozumie, doprawdy, jakie go szczęście spotkało.

Znowu coś typowo francuskiego i wyjątkowo irytującego: pasja.

Kolejne słowo, którego Olivia od paru lat z powodzeniem unikała.

Pasja kojarzyła jej się teraz jedynie z bólem, a miała go dość.

– Nie sądzę, żeby mój narzeczony uważał to za… pasję – zauważyła ostrożnie.

– Nie? Ale to z pewnością dla ciebie ważne? Pracujesz *avec* biedni i podobni?

Mademoiselle Lilette wydawała się szczerze zmieszana.

– Cóż, oczywiście. Ale podejrzewam, że wrzuca to do jednego worka z haftowaniem i grą na fortepianie. Te rzeczy obchodzą go równie wiele – to znaczy, poświęca im mało uwagi. Dla niego to jest po prostu coś… czym się zajmuję.

– Ach. Raczej niż coś, kim jesteś?

Krawcowa wypowiedziała tę zdumiewającą, trafną uwagę tak samo od niechcenia, jak upinała kolejny cal dołu sukni.

– *Oui* – wykrztusiła w końcu Olivia.

3

Olivia… to chyba twoi bracia.

Colin i Ian Eversea stali rzeczywiście przed Repozytorium Sztuki Ackermanna. Obaj rzucali się w oczy, nie tylko dlatego, że byli tacy wysocy, przystojni i podobni do siebie, ale także – ponieważ toczyli ożywioną dyskusję, może nawet kłótnię, gestykulując gwałtownie.

Przechodnie krążyli wokół, odwracając głowy w ich stronę, kiedy ich mijali. Jej bracia, jak przypuszczała Olivia, nie przestaną przyciągać spojrzeń, nawet kiedy przekroczą dziewięćdziesiątkę. Serce jej się ścisnęło. Była z nich taka dumna. Obaj trochę zdziczeli na wojnie, ale później szczęśliwie się pożenili, Colin ze śliczną Madeline, którą otaczał czułą opieką, Ian z niezwykłą i bardzo piękną amerykańską dziedziczką, która wywołała niezłe zamieszanie w Pennyroyal Green i wprawiła w zdumienie nawet Olivię, rzecz niebywała, jako że Olivia od lat hołdowała rewolucyjnym poglądom w dziedzinie społecznej.

– Tak, cóż, dwóch z nich, w każdym razie. – Olivia podejrzewała, że ich obecność to trochę zbyt dziwny przypadek. – Nie wspominałeś im czasem, że możemy odwiedzić Ackermanna? Kiedy wstąpiłeś na St. James Square?

Wiedziała, że się o nią martwą. Widzieli dom codziennie pełen kwiatów od zalotników, którzy nie mieli szans zwrócić na siebie jej uwagi. Widzieli zapełniające się zakładami księgi u White’a, które z jej zranionego rzekomo serca czyniły przedmiot gry.

Rzekomo, ponieważ nikt nigdy nie powiedział jej tego w twarz, a ona nigdy nic o tym nie wspominała.

Tylko Olivia i Lyon znali prawdę.

Jej bracia chcieli nade wszystko, żeby była szczęśliwa.

Bardzo lubili Landsdowne’a, ale wolałaby, żeby nie traktowali go tak ostrożnie, jakby bali się, że zniknie pod wpływem jakiegoś gwałtownego ruchu. Na Boga, uczciwie zamierzała poślubić tego człowieka.

Oni poślubili kobiety, które darzyli miłością.

– Nie było ich w domu, kiedy do was zajrzałem – zastanawiał się Landsdowne. – To musi być szczęśliwy przypadek.

Ciekawa była, na ile „szczęśliwy”.

– No, no! Witajcie, Olivio, Landsdowne! – wykrzyknął z zachwytem Ian, kiedy ruszyli ku nim na powitanie. – Co za cudowny zbieg okoliczności.

– Czy tak? – zapytała podejrzliwie Olivia.

Kapelusze sfrunęły z głów, wymieniono ukłony.

– Piękną mamy pogodę. – Te słowa padły z ust Iana.

Colin stał, jak na niego, niezwykle nieruchomo i wydawał się wyjątkowo milczący. W istocie, jak strażnik.

– Tak sądzę – potwierdziła, wciąż podejrzliwie.

– Czy uskarżasz się na to, droga siostro?

– Ian, czy pozwolisz, że zwrócę ci na coś uwagę?

– Od kiedy prosisz, żebym ci pozwolił zwrócić sobie na coś uwagę, Olivio? Czyżbyś chciała zrobić wrażenie na swoim przyszłym mężu?

– Jej przyszły mąż już jest pod wrażeniem – oznajmił Landsdowne z czarującą lojalnością.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy w ciągu całego naszego życia wymieniali kiedyś banały o pogodzie – zauważyła spokojnie Olivia. – Nigdy też nie nazwałeś mnie „drogą siostrą”.

Przez chwilę patrzyła Ianowi wyzywająco w oczy.

– Och, to zaniedbanie, bo jesteś moją drogą siostrą i powinienem mówić ci to raz po raz – odparł gładko. – Właśnie byliśmy w środku i jest tam mnóstwo zupełnie nieciekawych sztychów, nieprawdaż, Colin?

– Zupełnie nieciekawych – powtórzył jak papuga Colin. – Może wstąpilibyśmy do Twinning na coś gorącego?

Bracia mieli ochotę na herbatę w jej towarzystwie?

– Mamy ochotę napić się herbaty w herbaciarni Ackermanna – powiedziała zdecydowanie, ujmując Landsdowne'a pod ramię i ciągnąc go w prawo.

Bracia zgodnie, jak jeden mąż, przesunęli się w prawo, zagradzając jej drogę.

– Jak poszła przymiarka u madame Marceau? – próbował Ian. – Jestem pewien, że twoja suknia jest piękna.

Parsknęła pogardliwie. Dzień, w którym Ian zacznie się interesować jej przymiarkami, będzie tym, w którym sam włoży sukienkę.

Usiłowała szybko skręcić w lewo, pociągając zaskoczonego Landsdowne'a, który ledwie za nią nadążył.

Bracia, równie szybko i zgrabnie, przesunęli się w tę samą stronę.

– Czy zechcielibyście wyjawić, na czym polega kłopot? – zapytał Landsdowne fałszywie dobrodusznym tonem.

Olivia uświadomiła sobie, że w ten sposób ukrywa gniew.

Bracia wymienili spojrzenia. Odbyli krótką rozmowę bez słów.

– Olivia. – A potem Colin powiedział bardzo, bardzo wolno, jakby zależało mu, żeby coś zrozumiała. – Szczerze mówiąc, myślę, że nie chciałabyś dzisiaj tam wchodzić.

Błąd taktyczny. To była, ostatecznie, Olivia. Powiedzieć jej, żeby czegoś nie robiła, to tak, jak zaprosić ją do zrobienia tegoż.

Colin uświadomił to sobie po niewczasie. Bracia, wymieniwszy kolejne spojrzenia i poddawszy się losowi, rozstąpili na boki z rezygnacją.

Niemal wpadła do środka.

Zatrzymała się i powiodła wzrokiem po otoczeniu.

Nie zauważyła niczego niezwykłego. Wewnątrz było wspaniale, jak zwykle. Odetchnęła głęboko. Ach, kochała Ackermanna tak samo jak księgarnię Tingle'a – za delikatny szelest znakomitej jakości papieru, przenikliwy zapach atramentu. Pomieszczenie robiło przyjemne wrażenie, światło z wysokich, szerokich okien padało na przedmioty sztuki i jej miłośników.

Bracia nabrali wody w usta.

Rzuciła im triumfalne spojrzenie.

Podeszła do ściany, gdzie na honorowym miejscu wisiał nowy, olśniewająco barwny sztych.

– Och, to chyba ma być Le Chat – zwróciła się Olivia do Landsdowne'a, który jej nie odstępował i ustawił się obok. – Zabawne, ale właśnie rozmawiałam o nim z moją modystką.

Stanęli, przyglądając się obrazowi.

Cieszący się złą sławą pirat stał na pokładzie okrętu, postawiwszy triumfalnie stopę na piersi leżącego mężczyzny, który wydawał się płakać ze strachu. Jego włosy powiewały na wietrze niczym czarna flaga, a przenikliwe spojrzenie błękitnych oczu wbijało się w widza mimo czarnej maski. Lewą ręką trzymał szpadę, przytykając ją do gardła ofiary. To były jedyne trzy rzeczy, co do których zgadzała się cała Europa w odniesieniu do Le Chat: miał niebieskie oczy („barwa czystego zła!", jak stwierdziła jedna z niedoszłych ofiar; Olivię zawsze to bawiło, bo sama miała niebieskie oczy), tak żywe, że widziano je nawet w ciemności – jedynej porze, kiedy Le Chat atakował; wypowiadał się jak dżentelmen, kiedy w ogóle mówił oraz był leworęczny. A przynajmniej używał lewej ręki, walcząc szpadą. Pewien kupiec utrzymywał, że go postrzelił, ale skoro Le Chat znowu uderzył, najwyraźniej uszedł z tego z życiem.

– Piękna rycina – przyznał Landsdowne. – Ale ten człowiek to plaga.

– Tak, ale plaga, która, z tego co słyszałam, zmiotła nielegalny „handel trójkąta”.

– Sądzę, że nawet robactwo na coś się przydaje – powiedział Landsdowne, a ona rzuciła mu kpiące spojrzenie. – Od pewnego czasu się nie pokazywał. Może w końcu jakaś kula trafiła w jego małe czarne serce.

– Taki wydaje się los pirata – zgodziła się, powtarzając to, co powiedziała mademoiselle Lilette. Zmarszczyła lekko brwi, patrząc na zamaskowaną postać.

Była zabawnie okropna, ale nie budziła w niej niepokoju, więc nie o ten obraz musiało chodzić jej braciom.

– Możemy już iść stąd, Olivio? – zapytał stojący za jej plecami Colin z ożywieniem.

Odwróciła się, żeby zmierzyć go gniewnym spojrzeniem i obróciła się jeszcze dalej.

Nie zauważyła niczego poza dobrze ubranymi klientami i parami, które wymieniały uwagi, przeglądając towary.

A potem jej dociekliwy wzrok spoczął na barwnych sztychach ustawionych na górze regału jeden obok drugiego. Odgadła artystę nawet z tej odległości.

– Och! Nowe rysunki Rowlandsona!

Nowe prace Rowlandsona zawsze stanowiły przyjemną niespodziankę. Miał prawdziwy dar przedstawiania londyńskiego mikrokosmosu z niezwykłą przenikliwością i dowcipem.

Jej bracia w tym momencie zastygli jak nieme posągi. Jakby mieli za chwilę oglądać egzekucję.

Zrozumiała, dlaczego, kiedy podeszła na tyle blisko, żeby przeczytać napisy.

Ilustrowana legenda Lyona Redmonda

Napis po prostu zaatakował jej oczy.

Wydawało się, że pan Pickles miał lepszy nos do interesów niżby mogła podejrzewać, skoro samemu Rowlandsonowi zlecono tego typu pracę.

Bezwiednie podeszła bliżej. Landsdowne postąpił za nią.

Na pierwszej rycinie mężczyzna, który, jak uznała, miał być Lyonem – z wiechciem czarnych włosów opadających na twarz i wściekłymi czarnymi oczami – obejmował paskudnie umięśnionymi, odzianymi w nankinowe spodnie nogami osiodłanego i podnoszącego się do góry na tylnych łapach krokodyla, przebierającego malutkimi, przednimi łapkami w powietrzu niczym ogier. Wiadomo było, że to Nil, bo artysta przemyślnie umieścił w oddali malutkie piramidy.

Lyon dzierżył bat, a na głowie miał cylinder; jego oczy miały bardzo zdecydowany wyraz.

Zabawne, że Lyon rzeczywiście wyglądał podobnie, kiedy się przy czymś uparł. Czyli cały czas. Kiedy go znała.

– Olivio. – Głos Landsdowne’a zabrzmiał tuż obok. Był błagalny.

Podniosła rękę. Powoli, jakby nie miała wyboru, jakby wstępowała na szubienicę, przeszła do drugiego obrazu.

W błękitach, różach i czerwieniach, Lyon został przedstawiony, podczas gdy próżnuje – oględnie rzecz ujmując – na stosie poduszek z frędzlami, w towarzystwie zmysłowych – artysta nie szczędził zaiste inkaustu i puścił wodze wyobraźni – skąpo ubranych kobiet. Lyon wydawał się palić fajkę wodną, jego buty, niedbale rzucone, leżały obok.

Cała czwórka wpatrywała się w obraz jak zaczarowana.

– Wydaje się zadowolony, nieprawdaż?

Jej głos, ironiczny, odezwał się jakby z oddali; trzej mężczyźni popatrzyli na siebie z niepokojem.

Lyon nigdy nie zapaliłby fajki wodnej. I nie rzuciłby butów tak niedbale.

Był tak niezwykle zdyscyplinowany.

– Olivio…

Jej imię wymówił chyba jeden z braci. Dotarło do niej przytłumione, jak hałas z ulicy.

Prawda była taka, że walczyły w niej trzy sprzeczne emocje.

Rozbawienie.

Przerażenie.

Wściekłość.

Trochę jak ten wiąz, obok którego spotykała się z Lyonem, a który, rozdarty przez piorun, rósł dalej, jak gdyby nigdy nic.

Uczucia przepływały jak trzy różne silne medykamenty; czuła się dziwnie oddzielona od własnego ciała, jak po laudanum.

Wściekłość wynikała jednak głównie z tego, że największą wesołość obrazy wzbudziłyby w Lyonie, którego tu nie było, więc zabawa siłą rzeczy go omijała.

Wściekłość była zawsze najbezpieczniejszym uczuciem w odniesieniu do Lyona.

Przeszła do następnej ryciny.

To musiał był rajski ogród, ponieważ na środku widniało bujne drzewo z jabłkiem i wężem, a obok Adam i Ewa, skromnie przystrojeni w listki figowe, Lyon między nimi. Dziwne, ale on sam miał na sobie pełny strój, jakby właśnie wyszedł od White’a; ręce położył zuchwałym gestem na biodrach. Wszyscy uśmiechali się do siebie promiennie, nawet wąż, jakby obchodzili czyjeś urodziny.

Na środku kolejnego obrazu wielki, bulwiasty czarny czajnik stał na buzującym ogniu, który oddano w szatańskich, pomarańczowych barwach. Lyon siedział w czajniku, z ramionami przywiązanymi do boków i z ustami wygiętymi, czemu trudno się dziwić, w małe „o” rozpaczy. Istota, która musiała być kanibalem, sypała mu sól na głowę. Inny kanibal siedział w pobliżu z nożem i widelcem w pogotowiu; to ostatnie uderzyło ją jako niedorzeczność, bo kanibale jedli przecież rękami?

– Teraz czuje się raczej niezręcznie – szepnęła.

Ironią losu, to słowo doskonale opisywało przygnębionych, milczących mężczyzn za jej plecami.

Ian odchrząknął.

– Olivio, my…

Podniosła natychmiast rękę, nie odwracając się.

Na następnym obrazie Lyon, stojąc na pokładzie statku, osłaniał twarz dłonią, pochylając się naprzód. Jego koszula i żagle powiewały wściekle na wyobrażonym wichrze. To było ironiczne odbicie sztychu przedstawiającego Le Chat. I jedyna sytuacja, którą Olivia mogła uznać za prawdopodobną.

Pozostał jeden obraz. Ogarnięta złym przeczuciem, wciągnęła powietrze, wypuściła je cicho i przeszła dalej.

Obraz przedstawiał samotną kobiecą postać.

Przeraziła się, ale ciekawość okazała się silniejsza. Pochyliła się, jakby obraz był dzikiem, którego postrzeliła, ale nie miała pewności, czy śmiertelnie.

Z ulgą stwierdziła, że kobieta jest raczej ładna. Włosy spływały jej po plecach dramatyczną czarną falą i miała na sobie niebieską, piękną suknię, jakby artysta odgadł, że w tym kolorze jest Olivii najbardziej do twarzy. Jej biust, zgodnie z upodobaniami artysty, mocno napinał suknię.

Coś jakby koronka spływała z jej głowy aż do ziemi.

– Och, noszę…

Już miała powiedzieć: welon.

I wtedy olśniło ją, że to pajęczyna.

– Matko Boska – mruknął wściekle Landsdowne. – To wstrętne. Nalegam, żebyśmy wyszli.

– Och, to tylko rysunki – powiedziała niemal łagodnie, chociaż nadal dość słabym głosem. Jak ktoś leżący w stanie łaski na łożu śmierci, komu ziemskie sprawy są już obojętne.

Łapczywa uwaga, jaką czwórka elegancko ubranych gości poświęcała rycinom, nie uszła bystremu oku pracownika Ackermanna. Ruszył radośnie w ich stronę.

– Czyż nie są czarujące? – zawołał wesoło. – Legenda Lyona Redmonda to ilustrowana ballada o sławnym młodym dziedzicu, który zniknął po tym, jak kobieta złamała mu serce, kobieta, która teraz gnuśnieje w staropanieństwie. Sądząc z tempa, w jakim się sprzedają, wkrótce każdy dom w Londynie będzie je miał. Artysta to niezwykle utalentowany Thomas Rowlandson. – Wskazał podpis na dole.

Cała czwórka zwróciła na niego ponure i niedowierzające spojrzenia.

– Jego oczy są źle namalowane – odezwała się w końcu Olivia mdlejącym głosem. – Powinny być niebieskie.

W herbaciarni Twinning panowała błoga cisza. Słychać było jedynie kojącą duszę muzykę filiżanek stukających o spodeczki, brzęk łyżeczek mieszających cukier i śmietankę oraz ciche bulgotanie przelewanego płynu. Żadnych podejrzanych pieśni wpadających z ulicy przez okna. Żadnych wyszydzających jej życie sztychów na ścianach.

Miała nadzieję, że Landsdowne nie zauważył ironii w leżącym lwie nad wejściem do herbaciarni.

– A zatem – odezwała się w końcu wesoło Olivia. – Colin i Ian mieli rację. Nie chciałam wejść do Ackermanna.

Parsknął cicho, gniewnie.

Oboje czuli się przygnębieni i oszołomieni. Jakby ledwie wyszli cało z wypadku.

Colin i Ian zostawili ich samych, żeby doszli do siebie po Ackermannie.

– Przykro mi z powodu dzisiejszego dnia – dodała. – Londyn wiecznie goni za widowiskiem. Jednak nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewała.

Uśmiechnął się słabo.

– Jak sądzisz, co będzie następne? Operetka?

Nie zastanawiała się nad operetką.

– O, Boże – jęknęła.

– Przypuszczam, że możesz to uznać za hołd. Gdybyś była pospolita, nikt by na tym nie zrobił interesu.

Wygięła lekko usta.

Przez chwilę milczeli.

– Olivio, obracałaś filiżanką, jak kołem ruletki. Napij się. Musisz nabrać koloru na policzkach.

Rzeczywiście, wierciła się niespokojnie, teraz się uspokoiła. Herbata w jej filiżance także w końcu znieruchomiała.

Znowu cisza.

– Jesteś pewna, że cię to nie martwi, moja droga? – spróbował Landsdowne.

– Och, mogę się zginać, ale się nie złamię. – Zdołała to powiedzieć, machnąwszy niedbale dłonią. Czuła wszystko, tylko nie beztroskę, ale z drugiej strony tak długo tłumiła swoje uczucia, że weszło jej to w krew.

– Tylko… kiedy czytałaś to… powiedzmy, dzieło… przed zakładem madame Marceau, zbladłaś mocno. I myślałem, że u Ackermanna mogą być potrzebne sole trzeźwiące. Bardzo… się niepokoiłem.

Nie wiedziała, że zbladła.

Ale, jeśli już mowa o kolorach, kostki dłoni Landsdowne’a, którą trzymał filiżankę, całkiem zbielały.

Spojrzała mu w twarz – zupełnie przeciętną, jeśli szukać ogólnie uznanych rysów męskiej urody – orlego nosa, byronowskich loków i tym podobnych. Wyrażała jednak siłę i pewność siebie i bardzo się Olivii podobała. Miał bezpośrednie, bystre spojrzenie i mocną budowę ciała. Miało się wrażenie, że można mu zaufać w ważnych sprawach. Szczerze się o nią troszczył. Wiedziała, że nigdy nie będzie naciskał, żeby powiedziała, czy zrobiła coś, czego nie chce. Nigdy nie podda jej próbie.

Zastanawiała się, czy właśnie ta cecha sprawiła, że spośród tylu konkurentów, to on w końcu wygrał. Ponieważ ona mogła pozostać sobą, dzieląc z nim tylko część siebie, a on nigdy by się tego nie dowiedział.

Lyon tylko i wyłącznie poddawał ją próbom.

– John. – Położyła mu delikatnie rękę na ramieniu.

Jego twarz natychmiast złagodniała, a dłoń na filiżance rozluźniła się.

Wydawało się nie w porządku, że mogła tak na niego wpływać zwykłym dotykiem czy jednym słowem. Tak bardzo ją podziwiał i o tak niewiele prosił. Pewnie na niego nie zasługiwała, ale „zasługiwać” to bardzo subiektywne słowo. Tym bardziej rosło jej zdecydowanie, żeby być dla niego doskonałą żoną.

Żona. Miała zostać jego żoną.

Odchyliła się do tyłu i wyprostowała, prawie tak jak pani Sneath, kiedy szykowała się do zrobienia czegoś, co uważała za swój obowiązek.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać o *Legendzie Lyona Redmonda*.

Wypowiedzenie tych paru słów na głos, jakby były tak zwyczajne, jak „widelec” albo „herbatnik” było jednym z największych aktów heroizmu w jej dotychczasowym życiu.

– Mówisz o ulicznej balladzie czy o samym człowieku?

Powiedział to dość swobodnym tonem. Ale w sposobie, w jaki badał jej twarz, nie było nic niewymuszonego.

Był bardzo bystry.

Zdobyła się na blady uśmiech.

– Biorąc pod uwagę to, co się dzisiaj wydarzyło, nie byłabym zdziwiona, gdybyś chciał coś wiedzieć na temat źródeł tej tak zwanej legendy. Czy chcesz, żebym cię uspokoiła?

– Byłbym niegrzeczny, odmawiając takiej propozycji.

Tak właśnie ze sobą rozmawiali: z ironicznym humorem i łagodnym sarkazmem. Znajdowali przyjemność we wzajemnej inteligencji i zbliżonym poglądzie na świat. To było łatwe, przyjemne i bezpieczne, i

odpowiadało jej, ponieważ podejrzewała, że nigdy nie zażąda od niej niczego więcej.

– Przyznaję, że podobał mi się, kiedy byłam nieco młodsza – ta tak zwana legenda zawiera ziarnko prawdy – ale to nie trwało długo. Nie potrafię ci powiedzieć, dlaczego zniknął i gdzie teraz przebywa. Cokolwiek się wtedy działo, nie ma żadnego wpływu na to, kim jestem teraz i kim będę.

Podobał mi się. To wyrażenie wydawało się tak nijakie, że brzmiało jak herezja. Ledwie parę miesięcy po tym, jak ich oczy się spotkały na sali balowej, leżała obok niego na polanie, głęboko w lesie koło Pennyroyal Green, obejmując go ramionami za szyję i całując tak, jakby oboje właśnie wynaleźli całowanie. Przyjemność działała jak narkotyk. Chcieli jej więcej i więcej.

Jeśli jej przyzwoitka powzięła tego dnia jakieś podejrzenia, widząc źdźbła trawy w jej ubraniu, nie dała tego po sobie poznać.

Co do reszty tego, co przed chwilą powiedziała, Olivia nie miała zielonego pojęcia, czy to prawda. To nie miało znaczenia. Lyon odszedł, a Landsdowne był tutaj. Powiedziała to, co potrzebował usłyszeć.

– Zabawne, jak ta „legenda” – że użyję tego słowa – się trzyma. – Landsdowne mówił obojętnie. – Można by pomyśleć, że towarzystwo dało sobie spokój z zakładami i zapomniało o jego istnieniu. Zamiast tego jego legenda odżywa jak hydra o stu głowach. A ja chciałbym cię przed tym chronić.

– Wiem i jesteś mi drogi – ona także użyła tego słowa! – za to, że tak się o mnie martwisz, a mnie tak jest przykro, że przysparzam ci troski. Rodzina Eversea zawsze stanowiła dar z niebios dla plotkarzy w Londynie i szlachetnie urodzonych nicponi u White’a, którzy z rozkoszą wypełniali księgi zakładów głupstwami. Tyle jest rymów do „Eversea”. A ja długo byłam czymś w rodzaju sportu, jak krykiet czy pięściarstwo, więc teraz mają ostatnią okazję, żeby wyciągnąć z tego jakąś korzyść. Jednak w

przyszłości mogą ci towarzyszyć ballady o moich krewnych, bo nie spodziewam się, żeby w mojej rodzinie nastało kiedyś spokojne pokolenie. Czy bardzo cię to zniechęca?

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Pewnego dnia ktoś inny stanie się bohaterem pieśni. My będziemy zniedołężniałymi staruszkami. Ależ historie będziemy opowiadać swoim wnukom.

Mówił to tak naturalnie. Żeby mieć wnuki, będą musieli najpierw mieć dzieci, a żeby je mieć, będzie musiała się kochać cieleśnie, a żeby się kochać, będzie musiała leżeć naga pod nagim ciałem Landsdowne'a i …

– Cieszę się, że tak myślisz – odparła pospiesznie. – Chociaż odrobina nudy od czasu do czasu przyniosłaby nam odpoczynek.

– To ciekawe, te młodzieńcze doświadczenia… często wydarzenia z młodości kształtują nas na całe życie. Kiedy jeszcze jesteśmy młodzi i podatni.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś stary i zmurszały?

Roześmiał się.

– Myślę, że odkryjesz, że jestem raczej zwinny.

Jej oczy błysnęły ze zdziwienia, opuściła wzrok na filiżankę. Poczuła gorąco na policzkach.

Landsdowne nagi. Landsdowne wyciągający po nią ręce. Landsdowne obok w łóżku, do końca jej dni. Czy jęczał i wydawał różne odgłosy i…

Zesztywniała i wyrzuciła te myśli z głowy. Musiała jednak spędzić trochę czasu, wyobrażając sobie to wszystko. Z pewnością nie było w tym nic odrażającego. Był wysoki i męski, miał wszystkie zęby, cudownie pachniał. Jeśli poświęci więcej czasu na myślenie o tych sprawach, lepiej się przygotuje do tego, co nieuniknione. Na pewno to będzie coś, co sprawi jej przyjemność… pewnego dnia.

Podniosła głowę, jego ciemne oczy wpatrywały się w nią z uwagą.

Nie uśmiechał się.

Wyczuła jednak, że wyobraża sobie dokładnie to samo.

Landsdowne chciał jej – w każdym sensie tego słowa.

Może myślał, że rumieniec to oznaka skromności i trzeba będzie ją delikatnie edukować w kwestiach miłości.

Gdyby tylko wiedział.

– W duchu wzajemnej szczerości, sądzę, że powinnam cię zapytać, czy zostawiłeś za sobą sznur złamanych serc w drodze do ołtarza. Zdołałeś pozostać poza zasięgiem brukowców, co dla mojej rodziny wydaje się nieosiągalne.

Uniósł brwi. Nabrał szczypczykami cukru i mieszał go w herbacie na tyle długo, że zrozumiała, że chce jej coś wyznać.

Upił łyk dla wzmocnienia.

A potem odchylił się do tyłu i westchnął.

– Doskonale. Jest pewna… Cóż, znam lady Emily Howell od wczesnej młodości. Śliczna dziewczyna, o złotym sercu, bardzo ją podziwiam. Nasze rodziny sądziły, że pewnego dnia się zaręczymy. Przypuszczam, że ja też w to wierzyłem. A potem… spotkałem ciebie.

Słowo „ciebie” zostało wypowiedziane z pewnym żarem.

Jakby los tak chciał. Jakby było oczywiste, że nie miał wyboru.

Często myślała, że Landsdowne postrzega ją jako wyzwanie. Bogaty, trochę starszy, właściciel ziem w całej Anglii, uchodził za uczciwego, jednak bezwzględnego w interesach.

Jego upór, żeby zdobyć rzekomo nieosiągalną Olivię Eversea i jej, od niedawna, gotowość do kapitulacji, zbiegły się ze sobą. O ich okresie przedślubnym raczej nie układano by pieśni, ale wiele małżeństw miało słabsze podstawy.

Uśmiechnęła się, ale nie odezwała słowem.

– Lady Emily uosabia wszystko, czego można pragnąć w przyjacielu. Choć sądzę, że jest w istocie rozczarowana. Mówię uczciwie, że nie

konkurowałem do jej ręki i nie sądzę, żeby ktoś mógł przypuszczać, że jesteśmy formalnie po słowie. A jednak.

– A jednak – powtórzyła cicho Olivia.

– Żałuję ogromnie, jeśli sprawiłem jej ból.

Olivia wyobraziła sobie lady Emily i jej wyrażane w dobrym tonie rozczarowanie. Żadnej histerii. Żadnych pergaminów zapisanych imieniem Landsdowne'a i spalonych o północy.

Kiedy wieść o zniknięciu Lyona Redmonda w końcu dotarła do świadomości mieszkańców Pennyroyal Green, a potem całej towarzyskiej śmietanki Londynu – trochę to trwało, tak jak wilgoć nie od razu powoduje, że dach się zapada – Olivia przestała jeść. Tak, jakby wszystko, co ludzkie, jej apetyt, potrzeby – zostały usunięte. Nie potrzebowała już pożywienia, tak jak świeca bez knota nie potrzebuje płomienia. I czuła się równie niepotrzebna.

Nie uświadomiła sobie w pełni, że nie je, póki jej matka nie wpadła w panikę.

W którymś momencie znowu zaczęła, no bo przecież nie umarła.

Jednak od tamtego czasu jedzenie straciło swój dawny smak.

Lyon ją porzucił.

A Landsdowne był obok.

– Jesteś bardzo dobrym człowiekiem – powiedziała w porywie uczucia. Bo taki był. Dobry, godny zaufania, zdolny do współczucia, a najważniejsze, że był tutaj.

Wygiął usta, jakby skromność kazała mu zaprzeczyć.

Oboje napili się dla wzmocnienia herbaty.

– Mam przyjaciela, który trenuje konie i wystawia je na wyścigach – odezwał się w końcu. – To jego pasja. Spadł z jednego, narowistego, i paskudnie złamał rękę. Doktor mu powiedział, że może ją złożyć na dwa sposoby. Jeśli złoży ją tak, jak to się zwykle robi, żeby zapewnić mu możliwie największy zakres ruchu, nigdy już nie będzie mógł porządnie

trzymać wodzy, żeby kierować koniem. Wybrał drugą możliwość – taką, przy której mógł trzymać wodze.

– Mówisz zatem, że jesteśmy złamani według kształtu naszych ran. Albo kształtu tego, co dla nas najważniejsze, więc dopasowujemy się tylko do jednego.

Uśmiechnął się. Landsdowne szczerze podziwiał jej inteligencję.

Nie odwzajemniła uśmiechu. Ogarnął ją chłód.

– Czy mówisz może na podstawie własnego doświadczenia? – zapytała delikatnie. Nagle niepewna siebie.

Wzruszył ramionami.

– Och, nie sądzę. Pomyślałem tylko, że warto się tą anegdotką podzielić. Że może zasługuje na filozoficzną dyskusję.

– Nie jestem pewna, czy nadaję się w tej chwili do prowadzenia filozoficznej dyskusji, skoro rozwiązuję teraz takie dylematy – i muszę w tym tygodniu dać znać, madame Marceau, na co się decyduję – jak wykończyć suknię: srebrną koronką czy może kremową? A może koralikami? Może parlament zechciałby wziąć to pod rozwagę i poddać głosowaniu. Choć jestem pewna, że twoja metafora nie odnosi się do mnie.

Milczał; tym razem to on obrócił filiżankę parę razy.

– Nie wyszłaś jeszcze za mąż, a masz tysiące możliwości.

Dwa tygodnie potem, jak zapełniła pergamin imieniem Lyona, zapisała kolejny: Olivia Redmond Olivia Redmond Olivia Redmond. Wciąż i wciąż. Nie wiedziała, jak sobie poradzić inaczej z burzą uczuć, które mogła dzielić jedynie z Lyonem. Były zbyt nagłe, zbyt nowe i potężne, żeby je opanować czy zrozumieć.

Tamten pergamin też wrzuciła do ognia.

Ponieważ w oczach jej i jego rodziny to była herezja.

– Nie poślubiłam nikogo, bo dopiero niedawno spotkałam ciebie – oznajmiła.

To było coś najwspanialszego, co mógł usłyszeć, więc wolał w to uwierzyć.

Ujął ją za rękę i ścisnął. To było ciepłe, prawdziwe i bezpieczne, ale nie wzbudziło w niej żadnej radości czy jakichkolwiek innych uczuć. Pomyślała, że taki rodzaj bezpieczeństwa jest pewnie lepszy, szaleństwo należy do młodszych.

4

Około pięć lat wcześniej, na balu z okazji Bożego Narodzenia, Sussex...

Nie, nie, Miles, to się robi tak.

Jonathan Redmond oparł się niedbale o ścianę zatłoczonej sali balowej, wsunął ręce do kieszeni, zmrużył oczy i skierował spojrzenie spode łba na młodą kobietę, co najmniej pięć lat od siebie starszą.

Kobieta zauważyła spojrzenie, zmarszczyła lekko brwi, zaskoczona, ale wyrozumiała, lekko, z irytacją potrząsnęła wachlarzem i odwróciła się. Źrebięcy wiek Jonathana sprawiał, że chłopak był dla niej praktycznie niewidzialny.

Jego brat, Miles, stłumił śmiech.

– Wyglądasz, jakby cię piłka od krykieta walnęła w czoło. To raczej w ten sposób.

Odchylił głowę, zmrużył oczy, zacisnął szczękę i spojrzał na tę samą kobietę.

I chociaż Miles Redmond, drugi najstarszy syn, miał wiele świetnych zalet, to jednak nosił okulary i był jeszcze młodzieńczo niezgrabny, więc kobieta i tym razem pozostała obojętna.

– Wyglądałeś, jakbyś miał niestrawność i tyle – stwierdził obrażony Jonathan. – Jaka kobieta na to pójdzie?

– Skąd wiesz, że nie na tym polega tajemnica Lyona? – odparł Miles.

Parsknęli śmiechem.

Lyon przewrócił oczami. Bracia kpili sobie z niego, zwykle go to bawiło. Takie kpinki były jedną z wielu przyjemności, jakie wynikały z posiadania braci. Jeśli okazywali sobie miłość, to dogryzając sobie i mocując ze sobą – ku zadowoleniu wszystkich.

Ale jego braciom łatwo było się śmiać.

Nie musieli wchodzić w jego skórę.

Prawda, w istocie opatentował płomienne spojrzenie. Naprawdę nie musiał się bardziej starać, niż po prostu być Lyonem Redmondem, kiedy wpatrywał się bez mrugnięcia okiem, z zainteresowaniem w wybraną kobietę – odrobinę dłużej niż nakazywała przyzwoitość.

Niemal za każdym razem wywoływał rumieniec.

Młodzieńcy z dobrego towarzystwa na ogół zgadzali się, że mając wybór, chętnie zamieniliby swoje życie na jego, choćby na jeden dzień.

Może spędziliby ten dzień u Mantona, trafiając zawsze w środek tarczy albo wytrącając floret z ręki mistrza szermierki, potem spędzając godzinę lub dwie w ekskluzywnym i owianym tajemnicą Mercury Club, klubie jego ojca, gdzie najzamożniejsi ludzie Anglii opracowywali strategię, jak pomnożyć swoje i innych bogactwo, a może zakończyć ten dzień na balu, jak ten dzisiejszy, gdzie większość kobiet omijała wzrokiem wszystkich mężczyzn w nadziei, że natrafią na jego płonące spojrzenie.

Lyon mógłby prawie każdego z nich zapewnić, że on sam zazdrości Lyonowi Redmondowi. Ponieważ Lyon Redmond z tej bajki był właśnie tym: bajką.

Powiadano, że bez trudu osiągał we wszystkim doskonałość. To nie było prawdą.

Skupiał się na tym, w czym chciał osiągnąć mistrzostwo i metodycznie, uporczywie to zdobywał, czy to był krykiet, czy sztuka matematyki, szermierka, strzelanie, czy kobieta. Istotnie zawsze dostawał, czego chciał, ale dbał o to, żeby ukryć wysiłek, jaki go to kosztowało.

Urodził się z wiedzą, jaką moc ma delikatne działanie i jaką przewagę daje zaskoczenie. Redmondowie mieli to ostatecznie we krwi.

A to oznaczało także dyskrecję w sprawach rozkoszy ciała.

Koniec końców, mając wybór, Lyon zapewne zdecydowałby się pozostać sobą.

Zaczynał się jednak czuć jak rasowy byk zamknięty w pozłacanej zagrodzie, kiedy jego ojciec, Isaiah Redmond, uznał, że nadeszła pora, aby zapłodnił starannie wybraną, arystokratyczną jałówkę. Wydawało się prawdopodobne, że wybór padnie na córkę lorda Hexforda, Arabellę. Choć trudno było porównywać Arabellę do jałówki. Oszałamiająco piękna, była tak nieśmiała, że sprawiała niekiedy wrażenie niemowy i czerwieniła się przepraszająco po każdym słowie, które wypowiadała.

Ale tego wieczoru nie było jej na balu. Ten akurat bal wydawał się zbyt skromny dla córki księcia. Lyon wrócił na dobre do domu, chociaż po drodze spędził trochę czasu w Londynie, w miejskiej rezydencji rodziny. Londyńskie rozrywki stanowiły dramatyczny kontrast z tym, co ofiarowało w tej dziedzinie Pennyroyal Green. Tutaj czymś najbardziej zbliżonym do „jaskini rozpusty” była gospoda Pod Świnią i Ostem, gdzie panowie Culpepper i Cooke toczyli ze sobą odwieczną wojnę szachową, nie przebierając w środkach.

Nie to, żeby Lyon przesiadywał w takich miejscach. Cenił swoje dziedzictwo i wiedział dokładnie, jak ma postępować, żeby je zachować.

– Patrzcie uważnie, wy głupki – rozkazał braciom. – To jest tak…

Wokół kręciły się tuziny młodych kobiet, większość w bieli, część utytułowana, wszystkie promienne i piękne tak, jak zawsze są piękne młodość i nadzieja; słowem czarująca i podnosząca na duchu scena i niezwykle angielska.

Później Miles przysięgał, że dosłownie usłyszał dźwięk gongu, kiedy Lyon ją ujrzał.

Jednak uczucie, jakie w owej chwili w największej mierze owładnęło Lyonem, można opisać jedynie jako panikę.

Panikę, że to może być zjawa, a nie kobieta z krwi i kości. Panikę, że to prawdziwa kobieta, ale on nigdy nie zdoła się do niej zbliżyć i całe jego życie straci sens. Panikę, że ona nie zechce go w ogóle zauważyć. Panikę, że nie będzie wiedział, co powiedzieć, jeśli go jednak zauważy.

To wszystko były banialuki, które rozbawiłyby do łez każdego, kto go znał, ponieważ Lyon, podobnie jak jego ojciec, wydawał się posiadać wrodzoną zdolność mówienia ludziom dokładnie tego, co należało powiedzieć, żeby postąpili w taki akurat sposób, jaki mu odpowiadał.

Miała na sobie białą, muślinową sukienkę, pięknie skrojoną i prostą. Podobnie jak wiele innych dziewcząt. Była drobnej budowy. Jak wiele innych dziewcząt.

A jednak wyróżniała się tak jak pierwszy polny kwiat, który zauważamy po długiej, srogiej zimie.

Poczuł ból, rozchodzący się gdzieś od okolic klatki piersiowej.

Jej twarz przypominała serce na szczupłej, białej szyi – może dlatego pomyślał o kwiatach?

Widok jej ust wywołał w nim jednak… zupełnie inne myśli.

Jej usta były jak różowa poduszeczka, zachęcająca do grzechu.

Bracia wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Lyon, co się, do czorta, dzieje? – zapytał Jonathan. – Nie jesteś trochę za młody na apopleksję? Na co ty się tak gapisz…

Głos mu zamarł. Skierował wzrok tam, gdzie patrzył Lyon.

To znaczy na wiotką, czarnowłosą Olivię Eversea.

– Kto to jest? – Głos Lyona brzmiał jakby z oddali. Mówił z wystudiowaną obojętnością.

– Nie poznajesz?

– To panna Olivia Eversea. Ta od dobroczynności, mądralińska… Eversea, Lyon.

Jonathan zerknął z niepokojem na Milesa.

– Nie, Lyon – powiedział Miles, tym razem śmiertelnie poważny. – Nie myślisz poważnie… Nie, nie, nie, nie, n…

Lyon szedł już w jej stronę, niesiony jak szczątki rozbitego okrętu na fali.

Szedł przez tłum, w ślad za nim odwracały się głowy. Może nawet uśmiechał się i kiwał głową we właściwym momencie, tak go wychowano i taki był bystry. Kobiece serca biły gorączkowo i łamały się z trzaskiem, kiedy przechodził.

Olivia podniosła nagle głowę, kiedy już prawie do niej dotarł, jakby usłyszała ten gong. Jej oczy zapłonęły.

A potem uśmiechnęła się.

Powoli.

Olśniewająco.

Ale bez cienia ciekawości czy zaskoczenia.

Raczej tak, jakby na niego czekała.

Ten uśmiech… jakby otwierał przed nim drzwi do świata, którego istnienia nie podejrzewał. W jednej chwili zrozumiał sens słowa radość i dlaczego to słowo jest takie krótkie, tylko dwie sylaby. Proste i głębokie uczucie było jak nagły płomień w ciemności.

Zatrzymał się na jakieś trzy stopy przed nią.

Przez chwilę, a może przez rok, stali w milczeniu, uśmiechając się jak lunatycy, jakby powiedzieli sobie już wszystko, co mieli do powiedzenia – może w jakimś innym życiu.

Istnieli tylko oni.

A jednak, jak mieli się później przekonać, patrzono na nich z ukosa albo przyglądano się całkiem otwarcie, czasami z gniewem.

– Oczywiście – odezwała się w końcu cicho.

– Oczywiście? – powtórzył z czułością, już czcząc to słowo, pierwsze, jakim do niego przemówiła. Wyrażało tę chwilę w sposób doskonały.

Oczywiście. Oczywiście, to na ciebie czekałem całe życie. Oczywiście, że jesteśmy sobie przeznaczeni, na dobre i na złe, na wieczność. Oczywiście.

– Oczywiście, że z tobą zatańczę, panie Redmond? To o to chciałeś zapytać, prawda?

Otrząsnął się błyskawicznie.

– Między innymi.

Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego spod rzęs; zabawne, że to spojrzenie bardzo przypominało jego własne, to zmysłowe i uwodzicielskie.

– Przypuszczam, że o tych innych możemy porozmawiać podczas walca.

Wspaniale! Zapraszała do flirtu!

– Och, jestem pewien, że rozmowa potrwa co najmniej trzy walce. Może nawet całe życie.

Nigdy dotąd nie powiedział czegoś równie śmiałego.

Nigdy niczego nie pragnął goręcej.

Sam się tym zaniepokoił; miał nadzieję, że jej nie przestraszył, ale nie miał pojęcia, co się z nim dzieje i co robić, poza tym, żeby mówić prawdę.

Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

Kazała mu czekać, a on odliczał czas uderzeniami serca.

– Może zaczniemy od walca. – To było wyzwanie i obietnica.

Obietnica wyrażała się w tym, że choć słowa brzmiały beztrosko, brakowało jej tchu.

Stąd wiedział, że jej serce bije równie mocno jak jego własne.

Potem położyła rękę na jego wyciągniętym ramieniu i pozwoliła się zaprowadzić na parkiet.

Olivia nigdy nie zbliżyła się tak bardzo do Lyona Redmonda i było to tak niezwykłe, że miała wrażenie, jakby dano jej prawdziwego lwa do tańca. Rodziny Eversea i Redmond nie tańczyły ze sobą. Ich członkowie, jeśli nie istniała wyższa konieczność, nie rozmawiali ze sobą, ani o sobie, ani nie prowadzili ze sobą żadnych interesów. Odkąd sięgała pamięcią, wiedziała,

że w jej domu wypowiedzenie słowa „Redmond” zostałoby potraktowane tak, jakby ktoś puścił bąka. Okoliczność niesmaczna, ale czasami nie do uniknięcia i chociaż można ją było uprzejmie zignorować, z pewnością nie spotykała się z zachętą.

Ale pojawił się przed nią i stało się coś dziwnego: cała sala balowa stała się jakby przezroczysta na krawędziach, jakby poza nią mogła sięgnąć w wieczność.

Wypuściła powoli powietrze. Jakby teraz mogła swobodnie odetchnąć po tym, jak całe życie wstrzymywała oddech. Czekając na niego.

Jeszcze nie debiutowała – ale z pewnością czekało ją to w przyszłym roku; powszechnie sądzono, że wywoła spore zamieszanie, a konkurenci rzucą się gromadnie, ubiegając o jej rękę; bawiło ją wyobrażanie sobie tego. Słyszała jednak wszystkie plotki na jego temat i była skłonna im wierzyć. Na sali rozległy się szepty, kiedy wszedł; jego przyjście zwiastował także podmuch wywołany przez poruszające się nerwowo wachlarze; gwałtowne trzepotanie powiek i odwracanie głów w jedną stronę. Inni młodzi mężczyźni prostowali plecy i podnosili głowy, nie potrafili jednak naśladować tego, cokolwiek to było, co wnosił ze sobą Lyon: pewności siebie, niezrównanej elegancji, poczucia wyższości – wyzywającej, ale i budzącej respekt. On się z tym urodził.

Teraz jednak, kiedy trzymał dłoń na jej kibici, drugą ściskając jej rękę, oboje milczeli, a ona czuła, jak ogarnia ją dziwne uczucie – jakby miała potrzebę go chronić.

Przyszło jej do głowy, że ten rodzaj arogancji, jaki okazywał, to znakomita przykrywka dla nieśmiałości.

Teraz nie mieli już wyboru, musieli tańczyć walca w pokoju pełnym ludzi, którzy otwierali szeroko usta ze zdumienia. Miała nadzieję, że nie znajdowali się wśród nich jej bracia. Zwykle można było liczyć, że sami wywołają podobny efekt u innych. Rodziców nie było tego wieczoru na balu. Najwyraźniej uznali, że trudno o bardziej niewinną okazję, jak bal w

Pennyroyal Green, a Olivia jest ostatnią osobą, ze strony której można by się obawiać czegoś niestosownego.

Głową sięgała Lyon’owi Redmondowi mniej więcej do obojczyka.

Gdyby uniosła brodę do góry, stając przy tym na palcach, a on jednocześnie opuścił głowę, to według jej kalkulacji ich usta spotkałyby się bez wysiłku.

Jak dotąd, w całym życiu, podobna myśl nie zagościła w jej głowie.

Poczuła gorąco na ramionach.

Jego twarz stanowiła cud geometrii, złożony z płaszczyzn i zagłębień, które wydawały się stworzone specjalnie po to, żeby wywoływać przyspieszone bicie serca oraz utrudniać oddychanie, tak jakby obserwator został nagle przeniesiony na inną wysokość. Może wysokość Olimpu.

Doprawdy, był nieziemsko przystojny i niepokojąco męski.

Ale jego niebieskie oczy były ciepłe i patrzyły nieśmiało.

– Właśnie sobie uświadomiłem, że my może oboje jesteśmy zbiegami, panno Eversea. Czy ten walc nie był już zamówiony?

– Oczywiście, że był. Przeproszę niezwłocznie dżentelmena, który poniósł szkodę – odparła wesoło.

– Niezwłocznie? – To go rozbawiło. – Czy to ten dżentelmen, który piorunuje nas wzrokiem? Dostrzegam białka jego oczu, kiedy go mijamy.

– To lord Cambersmith.

– Dobry Boże, toż to Niezgraba! Nie poznałem go w dorosłym ubraniu.

Podniósł rękę z jej kibici, żeby mu wesoło pomachać, a Niezgraba odruchowo odwzajemnił pozdrowienie, żeby po chwili zorientować się, co robi i opuściwszy rękę, przybrać ponownie gniewny wyraz twarzy.

– Kiedyś łowiłem ryby z jego starszym bratem. Sądzisz, że wyzwie mnie na pojedynek?

– Czy zastrzeliłbyś go niezwłocznie?

– Starałbym się tego nie zrobić – powiedział z udanym żalem. – Rzecz w tym, że nigdy nie chybiam, a nie chciałbym zniszczyć jego dorosłego

stroju, zważywszy, jak późno go przywdział.

Uśmiechnęła się. Oboje zachowywali się zaskakująco i nieznośnie samolubnie, ale żadne się tym nie przejmowało. Nikt inny na świecie nie wydawał się w tej chwili ważny.

– Cóż, nie ma prawa cię pozywać; i tak by tego nie zrobił. Znam go niemal od urodzenia. Nic nas nie łączy.

Zawahał się.

– A z kimś innym?

Śmiałe pytanie. Zadane cichym, szorstkim głosem.

– Nie.

Choć poczuła, że teraz ktoś rości sobie pretensje do jej osoby.

Znowu nastąpiła chwila milczenia, podczas gdy sens tych słów docierał do Lyona.

– A ty panie Redmond? Czy rozczarowałeś w szczególności jakąś kobietę?

– Zapewne parę tuzinów. Ile razy można tańczyć walca na balu.

To było tak aroganckie, że parsknęła śmiechem, a on zajrzał jej w oczy, drocząc się z nią. Śmiał się z siebie samego.

Nagle spoważniał, wydawał się niemal onieśmielony.

– Przeproszę Niezgrabę, sądzę, że tobie także winien jestem przeprosiny. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak wierutnie sprzeniewierzyłem się dobrym obyczajom. Tylko że… czułem, że to ważne, żeby znaleźć się przy tobie, zanim się rozpłyniesz w powietrzu.

Jego wahanie uznała za czarujące.

– Rozpłynę się w powietrzu?

Nie odpowiedział od razu.

– Tak, jak się dzieje ze snami, kiedy budzisz się rano.

Mówił szorstkim tonem; wiedziała, że jest szczery, bo czuła, że własne słowa wprawiają go w zakłopotanie.

W ten sposób zdradził, że niemającego sobie równych Złotego Chłopca Lyona Redmonda, który wznosił się nad nią jak góra, a ramiona miał szerokie na milę, można było zranić jak każdego innego człowieka.

Niech tylko ktoś spróbuje, pomyślała z przejęciem.

Jakby przypadkiem, leciutko ścisnęła jego rękę.

Delikatnie odwzajemnił uścisk.

Nie pozwól mi odejść. Absurdalna myśl, zwłaszcza że nagle zapragnęła, żeby walc się skończył; miała ochotę wypaść z sali balowej i biec przed siebie, jak wypuszczony w niebo fajerwerk. Albo znaleźć jakiś kącik i zastanowić się, co teraz czuje, próbować zrozumieć to zmieszanie, olśnienie – niemal nie do zniesienia. Nie działała pod wpływem chwili, zawsze chciała wiedzieć dlaczego i jak, i zupełnie nie wiedziała, jak to się stało, że z nim tańczy. Wiedziała jednak, że nie chciałaby znajdować się nigdzie indziej na świecie, tylko tutaj, w jego ramionach, na tej sali.

– Nie było cię przez jakiś czas, panie Redmond – odezwała się w końcu. Kiedy wydawało się, że całkiem stracił głos.

– Byłem w Oxfordzie.

– Czego cię tam nauczyli?

– Wielu rzeczy. Łaciny, krykieta, jak się stać bogatym. Albo bogatszym.

– Naprawdę? Jest zatem profesor od bogactwa?

– Oni wszyscy są nimi, jeśli potrafi się słuchać. Rzecz w tym, jak się wykorzysta pobrane nauki. I jakich się dobierze przyjaciół.

Nie żywiła niechęci wobec bogactwa, chociaż często nierówny podział dóbr i to, co z niego wynikało, budziło jej sprzeciw, kłócąc się z jej wrodzonym poczuciem sprawiedliwości; jednak jego pogląd na tę sprawę ją zafascynował.

– A jak ty zamierzasz się wzbogacić?

– Na silnikach parowych. Mądrych inwestycjach.

– Silnikach parowych?

– Albo raczej na kolei. Wierzę, że silniki parowe to przyszłość transportu. Wyobraź sobie, proszę, panno Eversea, Wielką Brytanię połączoną torami kolejowymi od końca do końca. Pewnego dnia będziesz mogła znaleźć się w Szkocji w ciągu paru godzin. Albo w Bath. Mam też pewne pomysły co do importu i eksportu. Myślę o dniu, kiedy skończy się budowa kanału i… Czy to stosowna rozmowa w walcu? Czy nie powinienem powiedzieć ci paru komplementów z powodu…

Szybkim spojrzeniem objął jej diadem, naszyjnik, wypukłość piersi skromnie wychylających się nad koronką, którą dobrała tak starannie do tej szczególnej sukienki.

Nic nie powiedział.

Ale to spojrzenie oblało ją jak gorący miód, wlewając się w jej żyły. Wiedziała, że się czerwieni.

– Dziękuję – odezwała się w końcu, tak naturalnie, jakby przemówił.

Roześmiał się, wyraźnie zachwycony.

Poodwracały się głowy – na ten śmiech.

Zniżył głos konspiracyjnie.

– Przygląda nam się straszliwa pani Sneath. Widziałem przed chwilą, jak zatrząsł jej się turban. Pewnie dlatego, że uniosła brwi do góry.

Olivia także się roześmiała, nieodwołalnie oczarowana, ale stłumiła śmiech, zdając sobie sprawę, że nie powinni tak od razu i aż tak bardzo przypaść sobie do gustu.

– Jest straszliwa, nieprawdaż? I niezwykle groźna. Spędzam z nią dużo czasu w Towarzystwie Opieki Nad Biednymi Sussex. Moim zadaniem jest dostarczanie koszyka z wiktuałami rodzinie Duffych raz w tygodniu, we wtorek.

– Duffy… – Zmarszczył lekko brwi. – Mieszkają w południowym końcu miasta, za tym wielkim, podwójnym wiązem. Ich dom wygląda, jakby miał się lada chwila przewrócić.

– Tak! – Była zachwycona, że o tym wie. Wiąz, rozpołowiony uderzeniem pioruna, rósł dalej, jakby nic się nie stało.

– Pani Sneath niewątpliwie potrafi dopiąć swego. Tak było, odkąd pamiętam.

Nagle zrobiło jej się przykro, że w dzieciństwie widywała go jedynie z daleka, albo widziała jego plecy w kościele i nie gromadziła każdego wspomnienia w myślach, żeby je potem przeżywać w samotności.

Przyszło jej teraz do głowy, że pewnie znają tych samych ludzi i te same miejsca, ale z różnych perspektyw. To dotyczyło również ich rodzin.

– Chciałabym być do niej podobna, kiedy się zestarzeję – oznajmiła.

– Nie powinnaś tego chcieć – odparł natychmiast.

– Dlaczego? – obruszyła się. – Podziwiam ją ogromnie. Czyni tyle dobrego.

Pozostał niewzruszony w obliczu tego małego wybuchu, podczas gdy niejeden mężczyzna zadrżał, widząc ją w gniewie.

– Och, sądzę, że jest wyjątkowo, wspaniale skuteczna. Niczym generał rozpoznaje potrzeby, gromadzi wojska i posyła je do bitwy bez sentymentów. Ale myślę, że ta energia bierze się po części z rozczarowania. Jej chłopcy dorośli albo dorastają, a mąż ją chyba nudzi. Nie wierzę ani przez chwilę, panno Eversea, że jest ci przeznaczona tego rodzaju nuda.

Uśmiechnęła się lekko. Uwaga na temat małżeństwa pani Sneath wydawała się nieco skandaliczna, ale uświadomiła jej, że choć nie brakuje jej inteligencji, to on jest starszy, bardziej doświadczony i bardziej bywały w świecie. Nigdy nie myślała o tych sprawach w ten sposób i nagle zapragnęła przyjrzeć się wszystkim dorosłych ludziom, jakich znała, w nowym świetle.

Biedna pani Sneath.

Jak dobrze, że całe to podniecające życie jest jeszcze przed nią.

Jakie to szczęście, że zainteresował się nią Lyon Redmond.

– Prorok z ciebie, panie Redmond, czy tak?

Uśmiechnął się znowu i ten uśmiech pozbawił ją tchu.

– Jestem jedynie spostrzegawczy.

Znowu zamilkli na chwilę.

– A co do inwestowania, panno Eversea, myślę, że wybiorę się jutro koło drugiej do księgarni Tingle’a i sprawdzę, czy mają jakieś książki o Hiszpanii. Tingle trzyma je w pobliżu działu historycznego, który znajduje się, jak może wiesz, w najbardziej oddalonej, schowanej pod warstwą kurzu części sklepu. Na samym tyle. Przypuszczam, że to dlatego, że mało który z jego klientów zapuszcza się w te rejony.

Pojęła natychmiast.

– Hiszpania jest taka słoneczna – stwierdziła ni w pięć, ni w dziewięć.

– Tak – odparł krótko. Czuła, że sam jest przejęty.

Milczeli chwilę, a potem:

– Nienawidzę walca – oznajmił tak ponurym głosem, że zadrżała.

Na widok jej szeroko otwartych oczu uśmiechnął się blado.

– To dlatego, że są o wiele, o wiele za krótkie.

Niepodziewanie zbyt ją to onieśmieliło, żeby odpowiedzieć.

Muzyka ucichła.

Ale jej serce wciąż tańczyło walca.

Ukłonił się, ona dygnęła.

Odprowadził ją na skraj sali balowej, zwracając przyjaciołom, jakby odstawiał na półkę cenną figurkę.

5

Następnego dnia...

Na dwadzieścia minut przed godziną drugą Lyon niemal wyfrunął z sypialni.

Przystanął w progu, otworzył biurko i wyciągnął kartkę pergaminu spod szkatułki z różanego drzewa, tej z fałszywym dnem, cudnej szkatułki – zagadki.

Naskrobał dwa krótkie zdania, posypał kartkę piaskiem, siłą woli polecił inkaustowi, żeby wysechł natychmiast, do czego ówże się w zasadzie zastosował, potem złożył kartkę i schował ją do kieszeni kubraka.

Spojrzał w lustro, upewniając się, że krawat równo leży i to był, jak się okazało, błąd. Trzymał już rękę na poręczy – lubił się na niej wspierać, pokonując kilka stopni naraz – kiedy czyjś głos unieruchomił go, jakby natknął się na ścianę.

– Lyon… możesz na słówko?

Lyon obejrzał się przez ramię i zobaczył rękę i przedramię ojca. Wysuwały się z drzwi gabinetu, kreśląc zachęcające gesty w powietrzu.

Niech to diabli. Został wezwany do Sali Tronowej, jak zwykli nazywać gabinet ojca on i jego rodzeństwo. Wizyty w tym miejscu często okazywały się dla niego przyjemne, ale takie wezwanie rzadko wróżyło coś dobrego i było miłe, zwłaszcza dla biednego Jonathana, który, co raczej zabawne, nie potrafił niczego zrobił właściwie; dla Lyona, który nie potrafił na ogół

niczego zrobić źle i miał silnie ukorzenioną potrzebę właściwego postępowania, tak jak koń jest świadom uprzęży – również.

Wciągnął głęboko powietrze, wypuścił je głośno, zrezygnowany obrócił się na pięcie i wszedł do pokoju, świadom, że zwykle jest tu miłym gościem, a ojciec czasami ma po prostu ochotę popatrzeć na niego, uśmiechając się z dumą, dyskutując o najnowszych dokonaniach Mercury Club; Lyonowi sprawiało to raczej przyjemność.

Jednak wchodząc, ominął wzrokiem zegar.

W tej chwili traktował go jak wroga; czas może zwolni, jeśli będzie się udawać, że zegary nie istnieją.

– Dzień dobry, ojcze – powiedział wesoło.

– Siadaj.

Niech to diabli. Jeśli należało usiąść, to zanosiło się na coś poważnego.

Lyon zastosował się do polecenia, odciągnął krzesło i usiadł, przybierając swobodną pozę; oparł nogę na nodze, machając jednym błyszczącym, wypolerowanym heskim butem.

W przedniej części buta widział odbicie zegara; jego wahadło kiwało się zdradziecko.

– Czy dobrze się bawiłeś na swoim pierwszym balu w Sussex?

– Miło jest wrócić. Zupełnie co innego niż Londyn. Chętnie zostanę dłużej i nabędę wiejskich nawyków, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo tęskniłem za wsią.

Tym sposobem próbował przygotować ojca na to, że nie zamierza w najbliższym czasie opuszczać Pennyroyal Green.

– Zawsze widzimy cię tutaj z radością, Lyonie. Czy zeszłej nocy wydarzyło się coś interesującego?

– Spotkałem paru starych przyjaciół.

– Jak młody Cambersmith?

– Tak.

Przestraszył się nagle, ogarnęło go złe przeczucie.

– Jego ojciec wspomniał, że tańczyłeś z panną Olivią Eversea. Ukradłeś mu walca z panną sprzed nosa. – Ojciec wydawał się lekko rozbawiony.

Sam dźwięk słów „Olivia Eversea” sprawił, że Lyon poczuł gorąco na karku i napięcie mięśni brzucha.

Nie spojrzy na zegar, nie spojrzy, nie spojrzy…

– Tak, myślę, że tak. Nie z nią jedną. – Ich imion nie zdołałby sobie przypomnieć, nawet gdyby przystawiono mu pistolet do głowy. – Czy to nie zabawne, że Cambersmith się poskarżył? – Uśmiechnął się lekko.

Ojciec milczał. To nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

Lyon z rodzeństwem nieraz żartowali z zielonych oczu ojca. Podejrzewali, że niczym kot zagląda wprost (mieli nadzieję, że z czułością) w czarne serca swoich synów i jednej, wyjątkowo pełnej życia córki, odkrywając wszelkie tajemnice. Wydawał się zawsze wiedzieć, kto utknął na poręczy, kto przypadkiem odstrzelił stopę w statuetce Merkurego w ogrodzie albo kto ukradł cygaro z cygarnicy.

Ojciec złożył dłonie, układając palce w piramidkę i lekko nimi postukując o siebie. Dziwne, zważywszy że ojciec zwykle nie wykonywał nerwowych gestów ani nie odkładał niczego na później. Wolał przekazywać rozkazy i nowiny tak, jak spada gilotyna, precyzyjnie spełniając zadanie. Szybko i pewnie jak chirurg.

– Czy któryś z twoich braci czy przyjaciół nakłonił cię, żebyś z nią zatańczył, czy też…

Lyon zamrugał, szczerze zaskoczony.

– Przepraszam?

– Przepraszasz za to, że z nią tańczyłeś? – W głosie ojca brzmiała chyba ulga.

– Wybacz, jeśli nie jestem zbyt pojętny, ale nie rozumiem pytania. Dlaczego ktoś miałby mnie nakłaniać do tego, żebym zatańczył z młodą kobietą, której nie brakuje partnerów i która raczej by mi nie odmówiła? Ostatecznie, jesteśmy Redmondami. – Na pół żartował.

Ojca na ogół bawiły takie żarty.

Tym razem przeszedł bez echa.

To, że Lyon tańczył z Eversea było czymś nienormalnym i obaj o tym wiedzieli. Lyon miał od dziecka wpojone zasady i wiedział, że Redmondowie i Eversea po prostu ze sobą nie tańczą, podobnie jak psy i koty nie puszczają się w tany, gdy gra orkiestra.

– Zatem dlaczego z nią zatańczyłeś?

Lyon odwzajemnił spojrzenie. W oczach ojca widział jedynie własne odbicie.

Rozważał złośliwie powiedzenie czegoś w rodzaju: ponieważ ona jest moim przeznaczeniem, po to, żeby sprawdzić, czy ojciec nie jest za młody na apopleksję.

Dotąd nie przyszłoby mu do głowy, że mógłby pomyśleć coś takiego, a co dopiero w to uwierzyć.

Nagle sytuacja przestał mu się wydawać zabawna.

Próbował przymilania.

– Cóż, masz oczy na właściwym miejscu, ojcze. I byłeś kiedyś młody. Przypuszczam, że to był impuls.

Ojciec zapewne wydziedziczyłby go na poczekaniu, gdyby stwierdził, że dziewczyna przypominała mu pierwszy wiosenny kwiat. Stosowanie zbyt wielu metafor w mniemaniu ojca było wadą charakteru.

Ojciec uśmiechnął się – słabo i sztywno; uśmiech nie objął oczu.

– W istocie byłem młody. Kiedyś.

Zabrzmiało to wyjątkowo ironicznie.

I coś mu przypomniało, obudziło podejrzenie, które żywił od pewnego czasu. Ponieważ był rzeczywiście, jak zapewnił Olivię Eversea, spostrzegawczy, nie uszło jego uwadze, że wzrok ojca częściej, niżby wypadało, wędrował w stronę pewnej kobiety.

Odpowiedział ostrożnie uśmiechem na uśmiech. Przez lata nauczył się panować nad uczuciami, wyrazem twarzy, słowami, wszystko po to, żeby

ojciec pozostał wyrozumiały i dumny z niego, bo tylko to zapewniało wygodne życie w rodzinie Redmondów.

– A jednak zazwyczaj nie ulegasz impulsom, Lyonie.

– Nie, zazwyczaj nie. – Miał dość rozumu, żeby nie rozwijać tematu.

W gruncie rzeczy Lyon stanowił zaprzeczenie „impulsywnego”. Nie przepuszczał pensji w kasynach gry, nie przyprawiał służących o ból brzucha i nie trafiał na łamy plotkarskich gazet, pokazując się na Rotten Row w towarzystwie znanych wdów z arystokratycznych rodów.

Chociaż pozwolił sobie na jedną czy dwie arystokratyczne wdowy. Czasami myślał, że Bóg stworzył je jedynie w tym celu, żeby wprowadzać młodych, przystojnych dziedziców w arkana sztuki miłosnej. Był jednak zarazem dyskretny i wymagający.

Odkąd się urodził, wbijano mu do głowy obowiązki przyszłego dziedzica dynastii, tak jak sygnet zanurza się w roztopionym wosku.

Zaczynał sobie zdawać sprawę, że wyuczona ostrożność to całkiem przydatna cecha.

Docierało też do niego powoli, jaką płaci za to cenę.

Wolał się więc nie odzywać.

Ale, Boże miej go w swojej opiece, zerknął szybko na zegar.

Ojcu zwykle nic nie umykało. Jeśli jednak zauważył to spojrzenie, to nie dał tego po sobie poznać.

– Lyon… powinieneś widzieć, jaki jestem z ciebie dumny. Mężczyzna nie mógłby sobie życzyć lepszego syna.

Powiedział to z taką serdecznością, że Lyon, wbrew sobie, niemal się zaczerwienił. Duma i aprobata ojca miały równie potężną moc jak krytyka, i jego trzej synowie, chcąc nie chcąc, żyli właśnie dla nich. Bracia zwykle musieli się zadowolić odpryskami tego, co spadało na Lyona. (Siostra, Violet stanowiła osobną kategorię. Wszyscy ją rozpieszczali, włącznie z ojcem i groziło jej poważne niebezpieczeństwo, że rozpieszczą ją do niemożliwości).

– Dziękuję, panie.

– Czeka cię wspaniała przyszłość w Mercury Club. Świat leży u twoich stóp. Zawdzięczasz to nie tylko nazwisku, ale także swojej przenikliwości, inteligencji i dyscyplinie. W istocie, za parę tygodni pojawi się możliwość, żebyś udał się ze mną do Londynu i przedstawił swoje projekty inwestycyjne członkom klubu.

Wczoraj byłaby to cudowna, oszałamiająca wiadomość. O niczym innym nie marzył.

Ale, co dziwne, w tej chwili podróż do Londynu wydawała się równie pociągająca jak wyprawa do czyśćca. A populacja niebiańska, w jego oczach, składała się z dwojga osób.

– Dziękuję, ojcze. To dla mnie zaszczyt.

– Teraz powinieneś zawrzeć świetne małżeństwo, tak jak ja, małżeństwo, które ściągnie na rodzinę Redmondów błogosławieństwo i doda jej splendoru na dziesięciolecia. Wiem, że twoje starania zostaną przyjęte życzliwie przez jedną pannę w szczególności i jej rodzina chętnie powita nas w Londynie.

Lyon miał się teraz na baczności. Imię owej panny padnie pewnie za chwilę. Panny z tytułem i majątkiem oraz ojcem, którego koneksje Isaiah z wdziękiem wykorzysta, budując swoją fortunę.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chodziło o lady Arabellę.

Jeszcze wczoraj Lyon byłby ciekaw tego imienia. W gruncie rzeczy, całkiem niedawno, miał na uwadze kilka imion. Zaledwie wczoraj lady Arabella wydawałaby się całkiem rozsądnym, a nawet pożądanym wyborem. Byłby to wybór zrozumiały, jako że od dziecka dorastał, wiedząc, że ma obowiązek zawrzeć wspaniałe małżeństwo, które wzmocni wpływy i pozycję rodziny na pokolenia.

Teraz wiedział, że to, co mówi ojciec, nie ma już znaczenia.

Lyon wiedział, kogo i czego chce.

A przedwczoraj jeszcze nie rozumiał, co to znaczy naprawdę czegoś pragnąć.

– Zawsze chciałem ożenić się równie dobrze jak ty, ojcze.

Lyonowi wydawało się, że twarz ojca drgnęła lekko w okolicy oczu. Mógłby przysiąc, że zdanie, które wypowiedział, z jakiegoś powodu głęboko ojca poruszyło.

Isaiah w końcu ledwie kiwnął głową.

– Nic nie daje mi takiego szczęścia i poczucia dumy jak świadomość, że mogę w pełni na tobie polegać co do tego, że postąpisz właściwie, ponieważ twoje postępki odzwierciedlają twój dobry charakter. Jestem całkowicie pewien, że nigdy mnie nie rozczarujesz ani nie przyniesiesz wstydu rodzinie, a to ogromna pociecha dla mnie i dla twojej matki.

Tak jakby mógł zaczarować rzeczywistość i sprawić, że słowa staną się prawdą, kiedy je po prostu wypowie.

Lyona zawsze fascynowało, że ojciec jest w stanie każdego do wszystkiego przekonać. Był świadkiem, jak ojciec niestrudzenie używał sprytu, uroku i strategii na spotkaniach w klubie Mercury i u White’a, przechadzając się z porto i cygarem po przyjęciach, na których gościł. Studiował ludzkie słabości, mocne strony, obawy i skłonności, i wykorzystywał je dla własnego dobra, tak jak dyrygent kształtuje symfonię. Lyon widział, jak bogaci inwestorzy, jeden po drugim ulegali taktyce ojca. I tak fortuna i wpływy Redmondów rosły niepowstrzymanie.

Ta wynikająca z intelektu intuicja stanowiła prawdziwy talent ojca, z którego Lyon był potajemnie dumny.

Teraz jednak, kiedy Isaiah stosował tę samą taktykę wobec niego, wrażenie było nieco ponure.

Lyon czuł mrowienie na skórze. Jakby go obcierały krępujące go więzy.

Nie po raz pierwszy tego rodzaju myśli przychodziły mu do głowy. Przeklęta godzina – prawie druga po południu – nie stanie się w historii jego życia chwilą objawienia.

Ale nagle doznał zdumiewającej jasności myśli, a wraz z nią – niezwykłego spokoju.

Lyon nie był swoim ojcem, tylko kimś osobnym.

Nie lubił żadnych nakazów i zakazów.

A także, podobnie jak ojciec, zamierzał dostać to, czego chciał.

– Dziękuję, ojcze. Twoja opinia wiele dla mnie znaczy.

Ojciec milczał. Zacisnął tylko wargi w zamyśleniu.

Wskazówki zegara przesuwały się nieubłaganie. Wybiła nieszczęsna druga godzina.

Lyon poruszył się dyskretnie. Kartka, którą wsunął do kieszeni, zaszeleściła.

W końcu nie wytrzymał.

– Czy to wszystko, ojcze?

– Mam nadzieję – odparł ojciec. I uśmiechnął się lekko.

Następnego popołudnia Olivia bez trudu namówiła Genevieve, żeby jej towarzyszyła do miasta, do księgarni Tingle’a. Genevieve uwielbiała księgarnię Tingle’a, a Tingle lubił dziewczęta Eversea. Należały do jego najlepszych klientek – Olivia, z jej upodobaniem do politycznych pamfletów i dobrych książek przygodowych oraz Genevieve, lubiąca barwne romanse i biografie wielkich artystów, a czasami zaglądająca do londyńskich brukowców, nad którymi chwilami chichotały razem z Olivią.

Olivia wstała jednak późno, ponieważ gorączkowe wizje walca nie dawały jej zasnąć przez całą noc. A Genevieve grzebała się, bo po raz kolejny usiłowała, bez powodzenia, ułożyć włosy w loki. Olivia myślała, że jej głowa oderwie się od szyi i pofrunie z niecierpliwości, podczas gdy wskazówki zegara zbliżały się do godziny drugiej.

Było kwadrans po drugiej, kiedy dotarły na miejsce.

Wpadły do sklepu i przystanęły na progu, wciągając szczególny aromat skóry, papieru i kleju, tak charakterystyczny dla Tingle’a. Przestronny sklep

obsługiwał całe Sussex; w bardziej nasłonecznionej części można było podziwiać lśniące, pozłacane oprawy i wygodnie przerzucać kartki książek, które miały już poprzecinane karty; w drugiej części panował półmrok, chroniący delikatne okładki przed wyblaknięciem.

W pomieszczeniu kręciło się parę osób, w tym dwóch starszych dżentelmenów i jedna kobieta, każdy z nich pogrążony w osobnym, książkowym świecie.

Tingle podniósł głowę, uśmiechnął się i skłonił, jakby ujrzał księżniczki.

– Czyż to nie panny Eversea! Co za wspaniały zbieg okoliczności. Panno Olivio, mam dla ciebie nowy pamflet.

Pan Tingle żył, żeby obsługiwać swoich klientów.

Olivia wzięła broszurkę z zachwytem.

– Och, cudownie, panie Tingle. Jak miło z twojej strony, że pamiętałeś sprowadzić go dla mnie.

– Żaden kłopot, moja droga. Panno Genevieve, mam całą dostawę książek, o których wiem, że cię zainteresują – oznajmił, promieniejąc. – Są jeszcze na zapleczu. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Za chwilkę wrócę.

Zanurkował na tyły sklepu, słyszały, jak krząta się po magazynie, gwiżdżąc pod nosem i fałszując przy tym niemiłosiernie.

Olivia przesuwała się, starając się robić to możliwie niepostrzeżenie, do działu z książkami historycznymi. Krew łomotała jej w uszach, jako że serce wprawiało ją w obieg raczej z entuzjazmem.

– Historia, Olivio? Czy nie spojrzysz raczej na te horrory? Chyba widziałam *Sierotę znad Renu* na półce. Chciałaś ją, pamiętasz?

– Sio! – szepnęła Olivia w stronę Genevieve, która nie chciała się odczepić.

– Słucham? – przestraszyła się Genevieve.

– Eee…, nic, czuję, że mam kamyk w bucie.

– Och, cóż, może powinnaś go zdjąć i…

– Gen, spójrz! Pan Tingle wrócił z twoimi książkami.

– Och, cudownie! – Młodsza siostra zakręciła się na pięcie i niemal pobiegła na przód sklepu.

Olivia wciągnęła głęboko powietrze i obeszła regał.

Pan Redmond stał swobodnie, na lekko ugiętych nogach, studiując grzbiety książek; jego wysoka postać wydawała się być tutaj równie na miejscu jak na sali balowej. Sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego tym, co robi.

Pod pachą trzymał już jedną książkę.

Patrzyła na niego, szeroko otwierając oczy.

Nawet się nie odwrócił.

– Cóż. Dzień dobry, panno Eversea.

Jego głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu.

– Dzień dobry, panie Redmond. Interesujesz się historią?

– W istocie zajmują mnie minione wydarzenia. A szczególnie wydarzenia zeszłej nocy.

– Zeszłej nocy… Czy myślisz o tym, jak pierwszy raz ukradłeś walca?

Uśmiechnął się.

– Nadal nie czuję żalu z tego powodu.

– Oddałeś mi w istocie przysługę, bo lord Cambersmith podeptałby mi stopy. Zawsze to robi.

– Widzisz? Jestem prawdziwym Robin Hoodem sali balowej.

– Czy Robin Hood nie oddawał tego, co ukradł, biednym?

– Och, ależ tak zrobiłem. Dałem biednemu, który dotąd nigdy z tobą nie tańczył.

Stłumiła śmiech.

Odwrócił się.

– Kupiłem już coś. – Wskazał książkę, którą trzymał pod pachą. – Chciałem się tylko upewnić, czy nie ma w sklepie czegoś, co chciałbym mieć, zanim wyjdę.

– To bardzo rozsądne z twojej strony. – Jej głos był tylko odrobinę głośniejszy od szeptu. – Martwiłabym się o ciebie bardzo, gdybyś coś przeoczył.

Nagrodził ją za tę dwuznaczną uwagę leniwym uśmiechem, który odczuła w splocie słonecznym.

– Co trzymasz w dłoni, panno Eversea? Przyniosłaś mi list miłosny?

Olivia, zaszokowana, powstrzymała wybuch śmiechu. A potem, odruchowo, schowała pamflet za plecami.

– Najuniżeniej proszę o wybaczenie, czy byłem zbyt śmiały? – Jego twarz i postawa wyrażały kpiącą skruchę.

– Cicho. Nie. Trudno mnie wprawić w zakłopotanie. Wiesz, mam paru braci o raczej żywym usposobieniu. W takich warunkach nabywa się odporności na szokujące zachowania.

– O, tak. Wszyscy słyszeli o twoich niespokojnych braciach, panno Eversea. Doskonale. Trudno cię zaszokować, tak? Uważaj albo uznam to za wyzwanie.

– Osobiście, uważam, że wyzwania dodają nam życia.

– Śmiałe słowa z ust kobiety, która nie chce mi pokazać, co trzyma w ręce, obawiając się, co na to powiem.

Niech to. To była prawda; zamrugała oczami, nie mogąc zaprzeczyć.

Uniósł wyzywająco brwi.

– To prawda. Nie chcę ci tego pokazać – przyznała, a jednak, co dziwne, całkiem z niego zadowolona.

– Och, Boże. Czy to dlatego… czy to dlatego, że to jest… poezja? – powiedział to tak dramatycznym tonem, że parsknęła śmiechem, natychmiast zakrywając usta dłonią.

– Gdybyś mi wcześniej powiedziała, że lubisz poezję, siedziałbym całą noc, pisząc wiersz o tobie, panno Eversea. Nigdy bym nie pomyślał, że powiem komuś coś takiego w całym moim życiu.

– Nie obawiaj się, to nie poezja. I wcale bym nie chciała narażać cię na podobne męki. Zwłaszcza że nic się nie rymuje z „Olivia”.

– Z „piękna” także nic się nie rymuje. Dla ciebie jednak przyjąłbym wyzwanie.

Straciła na chwilę oddech.

Słyszała tego rodzaju komplementy z tuzin razy już wcześniej.

Ale sposób, w jaki Lyon Redmond to powiedział, sprawił, że zrozumiała, co widział i czuł, patrząc na nią, a to, co widział i czuł, było dostępne w istocie tylko dla dorosłych. „Piękna” – tego słowa ani się nie przyjmowało, ani nie wypowiadało lekko.

Jej ramiona z tyłu ogarnęło gorąco, modliła się, żeby nie oblał jej rumieniec.

– Jesteś bardzo śmiały, panie Redmond – wykrztusiła w końcu. Trochę niepewnie.

– Doprawdy? – Wydawał się szczerze zaskoczony. – Nigdy mnie o to nie oskarżano. Myślałem, że jestem po prostu prawdomówny.

– Prawdomówny i trochę dandys.

Uśmiechnął się powoli, trochę krzywo, raczej zadowolony z tej oceny.

– Co zrobisz, panie Redmond, jeśli kiedyś rzeczywiście uda ci się przyprawić mnie o zgorszenie?

– Jeśli mi się uda, wybaczysz mi natychmiast – odparł, wzruszając lekko ramionami; gest równie ekscytujący, co irytujący.

Skrzywiła się gniewnie, acz nieszczerze.

– No, pokaż mi, co to jest. – Brodą wskazał to, co trzymała w dłoni. – Nie będę cię osądzał.

Nie chciała wprowadzać nutki niezgody w te kradzione, przyprawiające o zawrót głowy chwile, spędzane w jego towarzystwie.

Ale pamiętała jego odwagę z poprzedniej nocy.

I nie znosiła udawania.

Wciągnęła pokrzepiający łyk powietrza i westchnęła.

Zrezygnowana, przełożyła broszurkę zza pleców i podniosła wysoko, żeby mógł przeczytać tytuł.

– *List do jego ekscelencji księcia de Talleyrand – Perigord na temat handlu niewolnikami* – przeczytał po cichu. – William Wilberforce.

Spojrzał na nią.

– To… pamflet przeciwko niewolnictwu. – Wydawał się trochę zmieszany.

Serce jej zamarło.

Przyglądał jej się z pytaniem w oczach, ale nie było w nich tego czego się obawiała: potępienia, kpiny, politowania czy nudy, albo tępego samozadowolenia osoby, której umysł nie jest niczego ciekaw i nie jest zdolny do głębszej myśli.

Po prostu czekał, żeby powiedziała coś więcej.

– Widzisz, to jest… – Głos jej zamarł.

Poczuła się onieśmielona.

– Co? Co to jest? – nalegał delikatnie, podchodząc do niej bliżej. Zrozumiała, że to nieświadomy odruch, że chce ją chronić przed tym, co ją niepokoi, przed nieznanym niebezpieczeństwem.

Dziwne, ale natychmiast poczuła, że jest bezpieczna.

Teraz gorąco rozlało się jej po karku i przestraszyła się, że lada chwila przeniesie się na twarz, zawstydzając ją szkarłatnym rumieńcem.

Spojrzała na niego. Miał tyle ciepła w oczach.

– Po prostu nie mogę tego znieść.

Nigdy nikomu nie zwierzyła się w ten sposób, nie w takich słowach w każdym razie. Rodzina uważała, że Olivia jest mądra – na ogół o wiele za mądra dla własnego dobra – a także żywa, dowcipna, niekiedy dość zjadliwie. W rodzinie każdy miał przypisaną rolę, a ta przypadła jej.

Ale wszystkie te cechy pięknie także skrywały to, jak naprawdę cierpiała z powodu niesprawiedliwości na świecie. Jaki sprawiała jej niemal fizyczny ból i nie pozwalała zaznać spokoju; napięcie łagodniało tylko wtedy, kiedy

z nią walczyła – w jakiś sposób. Nigdy nie próbowała naprawdę tego wytłumaczyć. Zaniepokoiłaby ich tylko i wprawiła w zmieszanie, burząc naturalny porządek domu Eversea; usiłowaliby ją pocieszyć, nie mogąc znieść, że się smuci, podczas gdy ona zdawała sobie sprawę, że nic się na to nie poradzi.

– Nie możesz znieść? – powtórzył łagodnie.

Policzki jej płonęły.

– „Handel trójkąta”… ci handlarze… nielegalne praktyki… oni kupują i sprzedają ludzi. Odrywają od domów i rodzin, i sprzedają. Czy możesz sobie wyobrazić, jak odbierają ci wolność, dom, życie? Dla zysku. Naprawdę… trudno nawet o tym myśleć i tak niewiele mogę zrobić. Więc widzisz…dlatego czytam i rozprowadzam pamflety, kiedy tylko mogę i pomagam pani Sneath, i…

Słuchał z uwagą, ale z trudnym do odczytania wyrazem twarzy. Wydawał się zatroskany, ale też nieco oddalony. Słuchał, ale jednocześnie myślał o czymś zupełnie innym.

Spoza tej maski wyzierała jednak, niczym wschód słońca, serdeczna czułość.

Cała jej niepewność rozwiała się. Nie powinna w niego wątpić. Oczywiście, że rozumiał. W jakiś sposób wiedziała, że tak będzie.

Och, boję się go. Ale to był cudowny, oszałamiający strach, jak wtedy, gdy stojąc na szczycie góry, widzimy wokół bezkres krajobrazu.

– Dlaczego nie chciałaś mi tego pokazać? – zapytał łagodnie.

– Cóż, uważa się, że takie rzeczy damie nie przystoją, prawda? Krucjaty w dobrej sprawie i tym podobne. Albo raczej to zajęcie dla starych panien, przemądrzałych sawantek i młodych kobiet bez posagu, a ja do nich nie należę. Albo wyjątkowo nachalnych kobiet o przenikliwym głosie, których mężczyźni się boją. Kto ci przychodzi do głowy, kiedy myślisz o krucjatach?

– Pani Sneath – odparł Lyon bez namysłu. Wydawał się zafascynowany.

– Głos ma tubalny i przenikliwy, prawda?

– O, tak.

– Moi rodzice nie załamują nade mną rąk z tego powodu, ale na ogół zmieniają temat, kiedy zaczynam o tym mówić. Mogę konwersować na inne tematy. I mam inne zainteresowania. Nie mówię w kółko o jednym i tym samym.

Ale w istocie miała wrażenie, że mówi w kółko o tym samym. A ściśle rzecz ujmując, paple.

Spojrzenie jego niezwykle błękitnych oczu, uważne i intensywne, mąciło jej myśli.

– Handel niewolnikami jest czymś złym, hańbą dla ludzkości. I nie przychodzi mi do głowy piękniejsza cecha niż współczucie. Obiecaj mi, panno Eversea, że nigdy nie będziesz się jej wstydzić.

Nie była w stanie wymówić słowa.

– Obiecaj. – Mówił z pasją.

– Doskonale – odparła nieśmiało, śmiejąc się nerwowo. – Ale naprawdę? Ciebie to nie nudzi?

– Trudno mi wyobrazić sobie okoliczności, w jakich mogłabyś mnie nudzić. Podejrzewam, że jesteś pełna niespodzianek.

– Ostrożnie, panie Redmond albo uznam to za wyzwanie.

– Nawet kiedy śpisz, z pewnością jesteś fascynująca albo co najmniej zajmująca. Może chrapiesz albo mruczysz pod nosem, jak pułkownik Kefauver u White’a, który mówi przez sen. O tygrysach pożerających tubylców i podobnych rzeczach.

Powinna się roześmiać. Ale oczyma wyobraźni wciąż widziała jeden obraz: otwierała oczy o poranku i odwracała głowę na poduszce.

Żeby spojrzeć w jego ciepłe, błękitne i zaspane oczy.

Spuściła wzrok, nagle zupełnie onieśmielona.

W ciszy, jaka zapadła między nimi, słychać było tylko podnoszący na duchu szelest odwracanych kartek i dobiegający z oddali wesoły głos

Genevieve, gawędzącej z panem Tingle’em.

– Panie Redmond, myślę, że w tych okolicznościach potrzebuję trochę czasu, żeby wybaczyć panu śmiałość – powiedziała w końcu cicho Olivia.

Milczał przez całe dwa uderzenia jej serca.

– Czy tyle czasu wystarczyło? – szepnął.

Owszem, tak, ale nie zamierzała mu tego wyjawiać. Po prostu zerknęła na niego ponownie przez rzęsy.

Nie stał się ani odrobinę brzydszy, kiedy wzrok miała skierowany w dół.

Chociaż teraz wydawał się trochę zmartwiony. Marszczył lekko brwi. Miała ochotę ująć jego twarz w dłonie i wygładzić mu czoło.

Podobna myśl nigdy wcześniej nie przyszła jej do głowy.

A co dopiero w stosunku do kogoś wyższego od niej o dobrą stopę, jak Lyon Redmond.

Czuła, że Lyon dźwiga większy ciężar niż mogło się innym wydawać.

– Przykro mi, jeśli… – wyszeptał w końcu. – Zwykle nie jestem… – Machnął bezradnie ręką. – Tylko że…

Potrząsnęła gwałtownie głową. Nie bądź.

Wiedziała, co ma na myśli.

I nagle oboje stracili zdolność mowy.

Potok wymowy przeszedł w aksamitną ciszę. Olivię kusiło, żeby pokonać odległość między nimi i położyć mu głowę na piersi.

Jakby robiła to dziesiątki razy w życiu.

– Czy mogę… czy mogę dostać ten pamflet? – zapytał niespodziewanie.

– Chcesz go przeczytać? – W to wątpiła.

Skinął poważnie głową.

Zawahała się, ale potem mu go podała – uroczyście, trzymając oburącz, a on go przyjął z taką powagą, jakby broszurka obrosła złotymi liśćmi.

Dopiero kiedy ich palce zbliżyły się do siebie na grubość włosa, zwróciła uwagę, że jego dłonie także drżą.

A kiedy wypuszczała pamflet, delikatnie, ale celowo musnął kciukiem jej kciuk.

Dreszcz przyjemności przebiegł jej po plecach. Serce zabiło radośnie.

Pierwszy dotyk nagiej skóry.

Zakazany, potajemny i o wiele zbyt śmiały.

I niewystarczający.

Och, zupełnie niewystarczający.

Wiedziała, że to dopiero początek.

– Weź to – szepnął z przejęciem, wciskając jej w ręce książkę, którą trzymał.

– Olivia, pan Tingle powiedział, że…

Olivia odskoczyła, jakby Lyon stanął nagle w płomieniach i odwróciła się do siostry, która wychynęła niewinnie zza rogu.

– Na Boga, Genevieve, ale mnie przestraszyłaś – warknęła, wsuwając książkę pod pelerynę.

Genevieve zamarła niczym myśliwski pies ojca; jej oczy zaokrągliły się ze zdziwienia jak spodki.

– Ja tylko wyszłam zza regału – zauważyła rozsądnie, ponieważ Genevieve zwykle była rozsądna, poza tym, że pragnęła mieć loki, a jej włosy w żaden sposób nie chciały się kręcić. – To ty podskoczyłaś jak kot, któremu nadepnięto na ogon. Czy to nie był dziedzic Redmondów? Lyon? – Zniżyła głos do szeptu. – Przestraszył cię?

Powiedziała to ze współczuciem. Jakby Redmondowie byli skrzatami z bajki albo duchami rozbójników, jak jednooki William, rozbójnik, który kiedyś podobno grasował na drogach Sussex. Jakby mogli rozpętać piekło, jeśli pobudzi się ich do życia głośnym gadaniem.

A Lyon rzeczywiście rozpłynął się jak duch.

I w tej diabelskiej teorii mogło być ziarnko prawdy. Ostrożnie przesunęła palcem wskazującym wzdłuż kciuka. W dłoni wciąż czuła mrowienie pod

wpływem jego dotyku. Jakby był lontem, od którego zajęły się wszystkie cząsteczki i włókienka jej ciała.

Olivia wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że to mógł być on. Byłam zajęta pamfletem.

Genevieve przyjrzała jej się z uwagą.

– Olivio, w jakiś sposób jesteś bardzo mocno zaróżowiona, a jednocześnie bardzo, bardzo biała. To nie są twoje zwykłe kolory.

– Obejrzałaś zbyt wiele obrazów, Genevieve. Z pewnością już wszyscy zaczynają dla ciebie wyglądać jak u Gainsborough'a.

Genevieve parsknęła śmiechem.

– Nie ma czegoś takiego, jak za dużo obrazów.

Olivia uśmiechnęła się. Genevieve była kochana. Zabawna, śliczna, spokojna. Miała ochotę wyciągnąć ręce i przytrzymać ją, jakby zaczynała znikać. Po raz pierwszy w życiu coś przed siostrą ukrywała.

– Czy znalazłaś książkę, którą chciałaś, Genevieve?

Genevieve wskazała w milczeniu stosik, jaki hołubiła w ramionach. Wszystkie, jak można się było domyślać, o sztuce i artystach. Na samym szczycie leżała gazeta.

– Myślisz, że papa będzie miał mi za złe, jeśli kupię wszystkie? A ty znalazłaś to, czego szukałaś, Olivio?

Za regałem nic nie było widać i nie dobiegał stamtąd żaden dźwięk.

– Sądzę, że tak.

6

Olivia i Genevieve popędziły do domu z księgarni Tingle’a, mając tylko tyle czasu, żeby pospiesznie odłożyć książki, każda w swojej sypialni i wsunąć się na krzesła przy stole, na którym podano obiad. Na ogół spożywano posiłek w bardzo swobodnej atmosferze, a lokaje krążyli tam i z powrotem dosyć rzadko. Jacob Eversea lubił prezydować przy stole i osobiście kroić mięso, zwłaszcza takie jak smakowity rostbef tego dnia.

– A więc jakie plotki przyniosłyście z wczorajszego balu?

Ojciec rzucił to pytanie w powietrze.

Interesujące, że nikomu nie spieszyło się z odpowiedzią.

– Piękna muzyka – oznajmiła Olivia nieco zbyt radosnym tonem. – Wszyscy pięknie wyglądali.

– Najstarszy z Redmondów wrócił do miasta – stwierdził obojętnie Marcus. – To coś nowego.

– Nasza Olivia tańczyła walca – dodał Chase. – Przepłynęła obok mnie, jak tańczyłem.

Et tu, Chase! Rzuciła mu gniewne spojrzenie i szybko schyliła głowę, żeby tym spojrzeniem nie zdradzić winy.

Nie wiedziała, że ich obserwowano.

A ściśle mówiąc, nikt inny na świecie nie istniał, kiedy tańczyła z Lyonem Redmondem i nie była nawet pewna, czy byłaby w stanie opowiedzieć, co działo się potem.

– Czy tak, Olivio? A z kim? Przygotowujesz się do sezonu w przyszłym roku? – zapytał ojciec. Jej biedny, niewinny ojciec. Zawsze pobłażliwy, chętny do żartów.

Olivia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nagle straciwszy zdolność mowy.

– Z Lyonem Redmondem – usłużnie wtrącił Colin. – I tak to było.

– I widziałyśmy go dzisiaj w księgarni Tingle'a – dodała wesoło Genevieve. – Przy książkach historycznych. Lyona Redmonda.

Wszyscy zamarli z kęsami jedzenia w ustach.

– U Tingle'a, powiadasz? – odezwał się w końcu ojciec, sięgając po kolejną porcję rostbefu.

Olivia nagle nie wiedziała, na co skierować wzrok. Miała wrażenie, jakby w jej oczach odbijał się obraz Lyona Redmonda i każdy mógł go zobaczyć.

Zajęła się groszkiem zanurzonym w małej kałuży sosu. Uciekał żwawo przed zębami jej widelca, zmuszając ją do skupienia.

– Tak! – ciągnęła podekscytowana Genevieve – A Olivia rozmawiała z … Auć!

Genevieve skrzywiła się gniewnie, patrząc na Olivię i schylając się, żeby pomasować nogę, w którą kopnęła ją siostra.

– Jak chciała powiedzieć Genevieve przed napadem bólu – może masz niestrawność z powodu nadmiaru wołowiny, Gen? – dodała Olivia słodkim głosem. – Rozmawiałam z panem Tingle'em, który polecił mi inną książkę i dał nowy pamflet.

Wokół stołu rozległo się zbiorowe, jękliwe westchnienie. Rodzina nie była pozbawiona litości i współczucia. To tylko słowo „pamflet" tak na nich działało. Nieraz próbowała poruszyć ten temat, byli wyrozumiali, ale zaskoczeni pasją, która, w ich przekonaniu, wzięła się znikąd i powinna dać się łatwo wyleczyć jak zwykła gorączka, kiedy wyjdzie za mąż.

„Pamflet" powinien odwrócić ich uwagę od Lyona Redmonda.

Ojciec pokropił mięso sosem.

– Co za przypadek, że Lyon Redmond znalazł się w księgarni dokładnie w tym samym czasie co wy, moje panie.

Rzucił szybkie spojrzenie na córkę.

Olivia zamarła.

Nie śmiała spojrzeć na matkę, bo ona potrafiła w niej czytać jak w otwartej książce.

Ojciec, Jacob Eversea, był zwykle tak pogodny i uczuciowy, że zapominali, że jest także człowiekiem niezwykle przenikliwym. Majątek Eversea nie wziął się znikąd. Powstał dzięki niemu. Miał niesamowity instynkt co do inwestycji, a czasami, jeśli wierzyć plotkom, zdarzało mu się działać w sposób nieortodoksyjny.

Wybiegi i poczucie winy były dla Olivii czymś stosunkowo nowym i nie czuła się z nimi dobrze. To ostatnie sprawiło w istocie, że zaniemówiła. Genevieve, wciąż urażona i z obolałą nogą, badała twarz siostry, nie mrugając oczami, jakby podejrzewała, że na miejscu Olivii siedzi oszust w jej kostiumie.

Genevieve, niestety, nie była głupia.

Żadna z nich nie odpowiedziała więc ojcu.

A cisza powoli z niezręcznej stawała się oskarżycielska.

Pomoc przyszła z nieoczekiwanej strony – od niczego nieświadomego Iana.

– Rozrywki w Pennyroyal Green, oprócz jazdy konnej i strzelania, zaczynają się w pubie, a kończą w księgarni. Dokąd jeszcze miałby pójść Lyon Redmond? Do kościoła?

– Wolałabym, żebyś słowa „kościół” nie wymawiał z takim powątpiewaniem – odezwała się matka suchym tonem. – Wiele zawdzięczamy łasce bożej.

– Szkoda, że żaden z nas nie przywdział księżej sukienki.

Chichot, jaki te słowa wywołały, szybko umilkł. Olivia, podobnie jak matka i siostra, nie miałyby nic przeciwko temu, żeby któryś z braci wstąpił do kleru. Zamiast tego wszyscy poszli na wojnę. Chase i Ian odnieśli ciężkie rany. Colin, ze swoim talentem do dbania o własną skórę, wyszedł z niej niemal bez szwanku. Wszyscy służyli z honorem, wykazując się odwagą. Cud, że wszyscy wrócili.

Uświadomiła sobie na nowo, że rozmowa o czymkolwiek przy tym stole, w obecności całej rodziny, czy to był Lyon Redmond, kościół, czy krykiet, była luksusem, którego nigdy już nie powinna przyjmować za rzecz oczywistą. Ci ludzie, tak rzadko spotykający się w tak licznym gronie, znaczyli dla niej więcej niż wszystko inne.

Byli jej światem.

Ogarnęła ją miłość i żal z tego właśnie powodu; mogłaby im wybaczyć wszystko, włącznie z plotkami na jej temat.

– Nie mam zielonego pojęcia, co mogłoby zatrzymać Lyona Redmonda w Pennyroyal Green – dodał Colin. – Słyszałem Pod Świnią i Ostem, że ma jechać na kontynent w sprawach klubu Mercury. Albo ożenić się z córką Hexforda, jak głoszą księgi zakładów u White'a. Ostatecznie, kiedy człowiek jest przyzwyczajony do szastania pieniędzmi na lewo i prawo, i do tego, że kobiety mdleją na jego wi…

Ojciec odwrócił się powoli do Colina, mrożąc go spojrzeniem tak lodowatym, że dziwne, że nie pogasły od niego świece.

– Jesteśmy przy stole – oznajmił Jacob łagodnie zamarłym nagle członkom rodziny, odczekawszy chwilę napiętego milczenia, żeby jego słowa na pewno do nich dotarły. – Dlaczego mamy sobie psuć przyjemny posiłek rozmową o takich rzeczach?

– W porządku – odezwał się w końcu Colin, przygaszony, ale niepokonany. – Co wy na to, żebyśmy jutro zagrali w krykieta? Podejdziemy do gospody Pod Świnią i Ostem i zbierzemy paru ludzi?

Rozmowa zeszła na krykiet, noże i widelce znowu zaczęły się poruszać.

Olivia nie mogła oderwać oczu od talerza.

Córka Hexforda. Lady Arabella. Olivia ją znała. Nieśmiała dziewczyna, ładna i bardzo, bardzo bogata. Na rynku matrymonialnym Arabella stanowiła równoważność najwyższej nagrody w zawodach strzeleckich Sussex.

Pamiętała cień, jaki pojawił się w oczach Lyona Redmonda, kiedy mu się wydawało, że ją przestraszył. Jak zrobił krok w jej stronę, żeby ją chronić. Swój odruch, żeby położyć głowę na jego piersi, jakby mogła przez policzek przekazać mu wszystkie swoje troski.

Tańczyła walca jakieś cztery razy w życiu, niezliczoną ilość razy tańce wiejskie i kadryla, ale nigdy nie miała wrażenia, że jej dłoń tak doskonale pasuje do dłoni partnera. Ani razu nie czuła tak długo ciepła dotyku na kibici.

A oni mówią o nim w ten sposób.

Kpiące, roześmiane niebieskie oczy.

Drżenie jego ręki.

Muśnięcie, od którego krew jej zawrzała i zrodziło się pragnienie, dzięki któremu zrozumiała w mgnieniu oka wszystko i nic z tego, co dzieje się między mężczyzną a kobietą.

A oni mówią o nim w ten sposób.

Jakby najmniejsza wzmianka o nim czy innym Redmondzie mogła pozbawić rostbef smaku.

Nigdy nie podawała tego w wątpliwość. Dzieci są ufne i podatne, kiedy kochają i są kochane przez rodziców, a Jacob i Isolde Eversea byli dobrzy, mądrzy i wymagający; na przemian serdeczni i surowi. Eversea mieli dziesiątki przyjaciół w całej Anglii, wszyscy oni, przynajmniej ci, o których wiedziała, byli niezwykle szacownymi ludźmi. Olivia nigdy nie zauważyła u rodziców skłonności, żeby okazywać komuś wrogość.

Zatem niechęć do Redmondów nie brała się z powietrza?

Ale była przecież jeszcze legenda. Drzewa na placu w miasteczku, dwa stare, splątane ze sobą gałęziami dęby, mające ponoć reprezentować Redmondów i Eversea. Tak ze sobą związanych, że walcząc o przewagę, podtrzymywali jeden drugiego i nie mogli bez siebie żyć.

Niektórzy nazywali to przekleństwem.

– Czy mogę już odejść od stołu? – zapytała nagle.

– Olivio, kochanie, dobrze się czujesz? – Matka się zmartwiła. Olivia zwykle opróżniała talerz do czysta i brała dokładkę.

– Ma nowy pamflet – wyjaśniła Genevieve.

– Tak, tak, pamflet, no tak – mruknęli wszyscy pod nosem.

Pobiegła do swojego pokoju. Pamflet dała Lyonowi. Szczęście, że nikt w rodzinie nie miał ochoty go czytać.

Chwyciła książkę o Hiszpanii, którą wsunął jej w ręce, chcąc koniecznie dotknąć czegoś, czego on dotykał. Jeszcze jej nie otwierała.

Dziwne, ale nie czuła się szczególnie zaniepokojona czy zaskoczona tym, że tak podobał się kobietom. Naturalnie, że tak było – wystarczyło raz na niego spojrzeć, żeby wiedzieć dlaczego. Oczywiście zaczynała naprawdę rozumieć siłę swojej własnej urody i wiedziała, że majątek dodawał jej jeszcze uroku w oczach kandydatów do ręki.

Ale uroda była tylko drobną częścią tego, kim była.

Instynkt jej podpowiadał, że to samo dotyczy Lyona Redmonda.

Otworzyła książkę, odwracając okładkę; cieszył ją dotyk sztywnego grzbietu. Otwieranie nowej książki zawsze sprawiało przyjemność, prawie niezależnie od tego, co było w środku.

Ze środka wypadł kawałek pergaminu, lądując jej na kolanach.

Serce jej zabiło gwałtownie.

Spotkajmy się przy podwójnym wiązie w środę o trzeciej po południu. Powiedz, że idziesz odwiedzić rodzinę Duffy.

Otworzyła usta ze zdumienia.

A potem parsknęła śmiechem, oszołomiona śmiałością Lyona.

Musiał to napisać, zanim wyszedł z domu, udając się do księgarni Tingle’a.

Nie brakowało mu tupetu. Uznał najwidoczniej, że łatwo przychodzi jej kłamać, a wcale tak nie było, że nie ma nic przeciwko temu, żeby jej mówiono, co ma robić – każdy, kto ją znał, wiedział doskonale, że jest dokładnie odwrotnie – i że chce go znowu zobaczyć.

Chciała tego bardziej niż niemal czegokolwiek innego na świecie.

Przeczytała ponownie liścik, serce biło jej przy tym tak głośno, że dziwne, że nikt z rodziny tego nie usłyszał i nie zapytał o przyczynę hałasu.

Musiał pisać w pośpiechu. Literki pochylały się do przodu, a „D” i „L” tworzyły śmiałe, pionowe kreski. Eleganckie i piękne, niecierpliwe i zdecydowane, niejednoznaczne, jak mężczyzna, spod ręki którego wyszły.

Za wiele. Za szybko. Zbyt nowe to wszystko. Walczyła ze sprzecznymi uczuciami i nie miała pojęcia, jak sobie z nimi poradzić, podczas gdy jej dotychczasowa egzystencja snuła się, jak jedwabne nici do haftu, o które dbały obie z Genevieve, czasami się o nie sprzeczając.

Myślała o swojej ukochanej rodzinie na dole; usadowili się teraz pewnie przy kominku, czytając sobie nawzajem, grając w szachy, wyszywając kwiaty na próbkach materiału, przeżywając chwile spokoju, zanim bracia wyruszą do Pod Świnią i Ostem. Wszyscy w końcu się pożenią i założą własne domy, więc te chwile były niezwykle cenne.

Czy w domu Lyona dzisiejszego wieczoru było tak samo?

Wątpiła, żeby było aż tak spokojnie.

Czy pociągał ją, ponieważ stanowił zakazany owoc?

Wątpiła w to.

Zmarszczyła lekko brwi. Czuła się… popychana. A może pociągana byłoby właściwszym słowem.

Kiedy ją popychano, zawsze zapierała się piętami.

A jednak przesunęła palcem po literach, rysując je, a kiedy wyobrażała sobie, jak Lyon je pisze, zaskoczyła ją czułość, jaka ją ogarnęła. Był mężczyzną, z męską siłą i pragnieniami, z pewnością wiedział wszystko o pożądaniu zmysłowym i jak je zaspokoić, sądziła, że niewiele kobiet, jeśli w ogóle, potrafiłoby mu odmówić. Przeżułaby i połknęła ten skrawek pergaminu, jeśli Lyon Redmond okazałby się prawiczkiem.

Ale jego uczciwość była niemal niewinna. Wiedziała, że tym razem wypłynął po raz pierwszy na szerokie wody, a ona, jako jedyna osoba na świecie, wiedziała, jak on się czuje.

Och, Boże.

Jak mogła sprostać temu wszystkiemu? Jak mogła równać się z nim?

Może wyjedzie na kontynent.

A może poślubi córkę księcia.

Wstrzymała oddech, jakby szykowała się do wyciągnięcia drzazgi i czując niemal fizyczny ból, wrzuciła list do ognia.

Spalił się, jego popioły zmieszały się z popiołem po pergaminie, który spaliła poprzedniego dnia.

Pisała: Lyon Redmond Lyon Redmond Lyon Redmond, aż zabrakło miejsca.

Nie przeszło mu przez myśl, że może na nią czekać, więc nie zabrał książki, nawet *Marka Aureliusza*, który zwykle wszędzie z nim podróżował.

Przyniósł za to jej pamflet, który przeczytał już trzy razy, jakby to było jej serce w postaci druku. Przypuszczał, że w pewien sposób tak właśnie było.

Pojęcie niewolnictwa budziło w nim głęboką niechęć. Ale jego reakcja była bardziej intelektualnej natury, a może nawet samolubna: tracił oddech na myśl o utracie własnej wolności.

Dla Olivii była to najwyraźniej sprawa życia i śmierci.

Tyle wiedział, że cierpi, a świadomość jej cierpienia z jakiegokolwiek powodu wprawiała go we wściekłość i gotów był na wszystko, żeby to cierpienie złagodzić.

Żarliwie ją podziwiał i to go niepokoiło. Po części dlatego, że jej pasja sprawiła, że zrozumiał, że przez lata całe był nie tyle obowiązkowy i posłuszny, co nieczuły i otępiały.

Oparł się o potężny wiąz i spojrzał przez liście. Robił to co najmniej dziesięć razy w życiu – mógłby pewnie przejść przez całe miasto z zamkniętymi oczami i nie zgubić się, znał doskonale każdy kamień w tym mieście. Zerknął w górę, próbując cieszyć się kontrastem, jaki tworzyła żywa zieleń wiosennych liści z błękitem nieba. Niczym witraż.

To wymagało cierpliwości, której już mu brakowało.

Tego ranka ogolił się ze szczególną starannością i był pewien, że mężczyzna, który patrzy na niego z lustra, wyglądał na doskonale, niemal po królewsku, zadbanego. Trzy razy rozwiązywał i zawiązywał krawat, zanim uznał, że najprostszy węzeł jest najlepszy, głównie dlatego, że jego ręce poruszały się dziwnie niezręcznie ze zdenerwowania. Ci, którzy go dobrze znali, jak Jonathan czy Miles, śmialiby się, widząc go na łasce kobiety, podczas gdy w powszechnym przekonaniu zazwyczaj było odwrotnie.

Choć może mniej by ich to bawiło, gdyby wiedzieli, że tą kobietą jest akurat Olivia Eversea.

O wpół do czwartej przejrzał zawartość kieszeni kubraka. Dwa pensy, stary bilet teatralny, maleńki scyzoryk i złoty zegarek kieszonkowy, na którym wygrawerowano jego inicjały – prezent od ojca na szesnaste urodziny. Uwielbiał ten zegarek. Sprawił, że poczuł się bardzo dorosły. Stał się kimś, kto potrzebuje zegarka, bo są miejsca, w których powinien być o tej i o tej godzinie, oraz sprawy, które musi załatwić.

Otworzył zegarek i zaraz go zamknął. Znowu otworzył i zamknął. Nie czując się straszliwie dorosłym. Kliknięcie wydawało się ogłuszające tutaj,

wśród drzew i tylko podkreślało, jak bardzo jest samotny pod tym wielkim wiązem.

O czwartej przeszedł trzydzieści stóp zrytą koleinami, piaszczystą drogą, wpatrując się uważnie przed siebie, ale nie zobaczył nic poza wiewiórką, do której później przyłączyła się druga wiewiórka. Szczęśliwe wiewiórki, którym udało się spotkać.

Widział, jak wydłużają się cienie wszystkiego wokół, włącznie z jego własnym.

Kwadrans po czwartej wyrył scyzorykiem literę „O” w korze wiązu. Myślał, że dzięki temu złagodzi uczucie palącego niepokoju, trawiącą go gorączkę. Miał wrażenie, że nóż rzeźbi w tej chwili tę literę w jego własnej duszy.

Nie odzyskał spokoju.

Nie był pewien, czy dotąd zdarzyło mu się czekać dwie godziny na kogoś, zwłaszcza kobietę.

Był zdecydowanym człowiekiem. Stał tam i siłą woli próbował zmusić ją do pojawienia się na drodze.

Nie pojawiła się.

Ogarnęła go rozpacz, tak czarna i dławiąca, że bał się, że nie zdoła się poruszyć. Wieki miną, a on będzie tu trwał, jak drzewo. Spoglądając, jak skończony głupiec, tęsknym wzrokiem w stronę domu Eversea.

To go w jakiś ponury sposób rozbawiło. Przedtem na niczym mu tak nie zależało, żeby wpadał w rozpacz i to nowe, intensywne doznanie niemal go pokonało.

Prawie.

Sama nowość tych uczuć przywróciła go do życia. Rozpacz było co najmniej interesująca.

Dzisiaj to był tylko jeden dzień.

A on zamierzał dostać czego chce.

7

Tamtej niedzieli...

Cała rodzina Eversea zgromadziła się w swojej ławce w kościele w Pennyroyal Green, ławce wypolerowanej przez wieki przez siedzenia całych pokoleń Eversea – żeby uprzejmie udawać zainteresowanie tym, co proboszcz ma do powiedzenia. Każdy wypracował własną strategię, żeby nie zasnąć podczas kazania. Olivia i Genevieve często bawiły się w zgadywanie, kto ma nowy kapelusz albo przynajmniej nowe przybranie głowy.

– Pewnego dnia będziemy mieli fascynującego proboszcza – powiedziała matka. – Zapamiętajcie moje słowa.

– Nie mogę się doczekać – szepnął w odpowiedzi Jacob Eversea.

– Spójrz, kto tu jest. Myślałem, że wyjeżdża na kontynent. – Colin trącił Iana łokciem.

Olivia spojrzała tam, gdzie wskazywał Colin.

I zamarła.

Tym ramion nie można było pomylić. A kiedy się odwrócił, tylko troszeczkę, żeby powiedzieć coś matce, widok jego profilu sprawił, że zaczęła oddychać szybko i nierówno.

Jej serce uniosło się w górę, jak ptak wypuszczony z klatki.

Teraz wydawało się obłędem, że gdzieś w jej umyśle tliła się myśl, że byłoby łatwiej, gdyby wyjechał. A teraz nie miała wątpliwości, że z nim w pobliżu wszystko układa się lepiej.

Olivia nie słyszała ani jednego słowa z kazania, ale patrząc na nią, można by pomyśleć, że kazanie proboszcza unosi ją pod niebiosa, tak promienną i pełną zachwytu miała twarz. Nigdy nie była szczęśliwsza. Wyglądała pięknie – włożyła dzisiaj błękitną muślinową suknię w paski i kapelusz z niebieskimi wstążkami, ponieważ wszyscy mówili, że jej oczy są dokładnie tego koloru.

I ten znajomy dźwięk, kiedy dziesiątki ludzi naraz podnosi się z miejsca, szeleszcząc spódnicami, czekając aż stare nogi zdołają się znowu poruszyć, a potem wszyscy naraz wychodzą powoli z kościoła, mieszając się ze sobą i wymieniając pozdrowienia…

Podeszła z tłumem pod ogrodzenie kościelnego dziedzińca, serce biło jej mocno; podniosła głowę, żeby się rozejrzeć. Drzewa wokół kościoła wypuściły liście niemal z dnia na dzień w radosnym wybuchu zieleni.

Nagle usłyszała szept przy tuż przy uchu.

– Upuść książeczkę do nabożeństwa.

Natychmiast posłuchała.

Ukucnęli oboje z Lyonem Redmondem. Obserwator uznałby, że po prostu schylił się grzecznie, żeby podnieść książkę. Redmondowie, ostatecznie, byli doskonale wychowanymi ludźmi.

– Czekałem dwie godziny – wyszeptał pospiesznie. Ton jego głosu był lekko oskarżycielski, ale także pełen podziwu. I lekko rozbawiony.

Zagryzła wargę. Był taki przystojny, że dosłownie sprawiało jej to ból. Jakby opanował jej wszystkie zmysły.

– Nie lubię, kiedy ktoś mi mówi, co mam robić. Zwłaszcza, kiedy każe mi się kłamać. Nigdy nie kłamię.

– Nigdy? – Był tak szczerze zdumiony, że nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Cóż, marnie mi to wychodzi. Poza tym trzeba mieć zasady.

– Zgadzam się. Powinno się mieć zasady – odparł poważnie. Ale oczy mu się śmiały.

Próbowała, ale nie udało jej się nie uśmiechnąć.

– Wybacz, panno Eversea. Widzę teraz, że zbyt wiele się spodziewałem. Uznałem, na przykład, że zechcesz ze mną jeszcze raz porozmawiać. Czy tak jest?

Sprytna, sprytna szelma, żeby zadać pytanie w taki sposób, żeby nie mogła wykręcić się od odpowiedzi. Ponieważ właśnie oświadczyła uroczyście, że nigdy nie kłamie.

– Tak.

– Czy mam przyjść z wizytą? – powiedział obojętnym tonem. Ale też lekko niecierpliwym, nie mogli przecież wiecznie tak kucać.

Ich oczy się spotkały.

Bogu wiadomo, co się mówiło o rodzinie Eversea w jego domu.

Dał jej do zrozumienia, co ma na myśli, nie mówiąc słowa więcej; wiedział, że pojęła.

Słyszała szum wesołych głosów wokół, jakieś dziecko krzyczało, najwyraźniej czymś niezwykle uradowane – pewnie tym, że uwolniono je z czyśćca, gdzie musiało siedzieć sztywno na twardej ławie, podczas gdy mężczyzna w długiej szacie mówił i mówił same nudy.

W tej chwili miała bardzo dziwny widok – świat, na który składały się rąbki spódnic, czubki butów i błękitne, jakże błękitne oczy Lyona.

– Wiedz, panno Eversea, że ja także nie mam zwyczaju kłamać. Proszę o wybaczenie, jeśli uraziłem cię tym listem. Sądziłem jedynie, że byłoby po dżentelmeńsku wymyśleć jakiś plan, który pozwoliłby nam się znowu zobaczyć i potem ci go przedstawić. Ponieważ chciałem cię zobaczyć, a moją zasadą jest zdobyć to, czego chcę.

Był tak podniecająco bezczelny, że niemal zakręciło jej się w głowie.

– To było skuteczne – przyznała. – Zgrabnie przeprowadzone.

Potrząsnął lekko głową, wyraźnie uszczęśliwiony; usta miał zaciśnięte, oczy mu błyszczały; uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że kapelusz ukrywa jej zaróżowione policzki przed resztą świata.

Jaka to by była radość móc rozmawiać z nim bez końca – jakoś wiedziała, że to możliwe. Mówić zwykłym głosem, jak w normalnej rozmowie, a nie wymuszonym szeptem. Śmiać się głośno. Cieszyć się jego obecnością, nie oglądając się przez ramię, patrząc tylko na niego.

To jej przypomniało, że naprawdę powinna obejrzeć się przez ramię.

Jeśli ktoś z rodziny zdążył już zauważyć jej nieobecność, to nie pomyślał, żeby spojrzeć w dół. Na szczęście bracia byli bardzo wysokiego wzrostu i w pierwszym odruchu raczej nie szukaliby siostry na ziemi.

Była ciekawa, czy Lyon Redmond i tego przypadkiem nie wziął pod uwagę, kiedy kazał jej upuścić książkę do nabożeństwa.

Była bardzo sprytna, bystra jak żywe srebro, przenikliwa. Podejrzewała jednak, że pan Redmond prześcigał ją o krok.

Irytowało ją to, nawet jeśli bardzo jej się podobało.

– Panie Redmond… – odezwała się w końcu.

– Lyon – poprawił niemal gniewnym, niecierpliwym szeptem, jakby zrobił już to przedtem dziesiątki razy. Jakby nie mieli czasu na dwa słowa, podczas gdy wystarczało jedno.

– Lyon – powtórzyła łagodnie, jakby darował jej mały skarb.

Uśmiechnął się, jakby go właśnie pasowała na rycerza.

To były pełne treści sekundy, podczas których patrzyli sobie w oczy, a las nóg wokół zaczął się przerzedzać, bo wierni wracali do domu i wkrótce kucająca na obrzeżach kościelnego dziedzińca para mogła zostać wystawiona na widok publiczny.

– Zaniosę Duffym koszyk z jedzeniem we wtorek po południu – szepnęła pospiesznie. – Koło drugiej. Będę sama.

– Czyż nie spotkamy się przypadkiem na drodze wiodącej na południe?

– Och, to będzie przypadek – zgodziła się, przejęta; potem wstała, otrzepała spódnicę i odeszła, nie mówiąc już ani słowa.

Z trudem powstrzymała się, żeby nie podskoczyć i nie stuknąć obcasami, wracając do rodziny.

– Upuściłam książkę do nabożeństwa – wyjaśniła; rodzina wydawała się nieco zdziwiona tym stwierdzeniem, ponieważ, na szczęście, nikt nie zwrócił uwagi, że odeszła gdzieś dalej. – Po prostu wyskoczyła mi z rąk. To moja ulubiona książka. Za nic nie chciałabym jej stracić. Upuściwszy na ziemię.

– Myślę, że Olivia doznała przed chwilą objawienia religijnego. Promienieje jak lampa. – To padło z ust Chase'a, który przyglądał jej się dziwnie uważnie. Ale może to dlatego, że paplała o książce do nabożeństwa.

– Jak mogła doznać objawienia po tym kazaniu? Przysiągłbym, że proboszcz zdrzemnął się na chwilę w trakcie mówienia. A jeśli on może spać podczas mszy, to dlaczego ja nie mogę?

Colin przedstawił ten logiczny wywód matce, która parsknęła gniewnie i ujęła go pod ramię, jakby tylko w ten sposób mogła poskromić niesfornego syna i uniemożliwić mu wspinanie się po treliażach zamężnych hrabin.

– Należymy do kościoła Anglii, droga córko i mamy obowiązki wobec żyjących, więc nie baw się myślami o wstąpieniu do klasztoru – powiedział ojciec suchym tonem, biorąc ją pod ramię.

– Olivia zadręczyłaby wszystkie zakonnice. Ona musiałaby być najlepszą zakonnicą – zakpił Ian.

Roześmiała się, chociaż miał absolutną rację: uwielbiała wygrywać. Ale w tej chwili była gotowa uznać cały świat za ciekawy i piękny i nie zamierzała się obejrzeć, och, naturalnie, że nie zamierzała, w żadnym wypadku nie zamierzała się obejrzeć, żeby sprawdzić, czy Lyon Redmond na nią patrzy.

Genevieve, która szła przed nimi, zerknęła przez ramię na Olivię.

– Nie sądzę, żeby o tym akurat myś… Auć!

Olivia nadepnęła na tył jej pantofla i ściągnęła go.

– Przepraszam, Genevieve! Niezdara ze mnie!

Genevieve rzuciła jej gniewne spojrzenie, a Olivia odwzajemniła je – ostre jak sztylet.

– Pójdź, moja kochana, tu, gdzie siostra nie może cię podeptać – polecił ojciec, kpiąc sobie z obu.

Genevieve cofnęła się i wzięła ojca pod drugie ramię.

Dwa tygodnie wcześniej byłby to dla Olivii obraz pełnego szczęścia. Piękna wiosna, śliczny dzień, malutkie fioletowe kwiatki polne przebijające się przy ogrodzeniu kościelnego dziedzińca, na którym stały kamienie upamiętniające przodków Redmondów i Eversea, a także noszące inne znajome nazwiska Sussex; jej rodzina razem – sprzeczająca się, żartująca, spleciona ramionami w drodze do domu. Ojciec, wysoki, szeroki w ramionach, przystojny, z trochę tylko wydatniejszym brzuszkiem, jak każdy zadowolony z życia mężczyzna, w swoim ulubionym niedzielnym płaszczu pachnącym dymem z cygara i palonego drzewa. Dla Olivii jego płaszcz pachniał miłością i bezpieczeństwem. Matka o twarzy w kształcie serca i błękitnych oczach, tak bardzo podobnych do jej własnych, posłała jej szybkie, lekko drwiące, kochające spojrzenie, które mówiło: wiemy, że nasi mężczyźni nas potrzebują, żeby pozostali cywilizowanymi ludźmi.

Jej życie spajały niezliczone niedziele podobne do tej oraz inne, drogie jej sercu rytuały, które znała od dzieciństwa.

Przyciągnęła ramię ojca do swojego boku, jakby chcąc się zakotwiczyć przy nim, a także w ziemi, nawet jeśli nie czuła jej pod stopami. Nawet jeśli czuła, że coś ją od nich odciąga.

Miała zobaczyć Lyona Redmonda jeszcze raz.

Nie obejrzała się.

Nie wiedziała więc, że Lyon zatrzymał się na krótką chwilę, trwając w całkowitym bezruchu, patrząc, jak Olivia odchodzi, jakby starał się to zapamiętać wszystkimi zmysłami.

Właśnie ten bezruch zwrócił uwagę jego ojca, ponieważ tak właśnie zastygała strzała, kiedy dosięgła celu.

Poszedł za spojrzeniem Lyona i zobaczył ciemnowłosą dziewczynę o szczupłych plecach i lekkim kroku, splecioną ramionami z Jacobem Eversea.

Dziewczynę tak boleśnie znajomą, że niemal zachwiał się na nogach, jakby miał zemdleć.

Jacob Eversea. Człowiek, którego życie mogło być życiem Isaiaha.

A potem piękna żona Isaiaha, Fanchette, ujęła go pod ramię, a on odwrócił się do niej z serdecznym uśmiechem.

Prowadził własną rodzinę, Lyona, Milesa, Jonathana i Violet w przeciwnym kierunku – w stronę domu Redmondów.

We wtorek po południu, za kwadrans druga, Lyon czekał przy wiązie, trochę zmieszany, że drzewo wiecznie już będzie nosić symbol jego rozpaczy, literę „O” – wyciętą poprzednim razem w korze. Biedne drzewo.

Ale potem dostrzegł białą plamkę w oddali i serce zabiło mu tysiąc razy szybciej.

Kiedy go zobaczyła, puściła się biegiem; jej twarz rozbłysła wewnętrznym światłem, była niczym spadająca gwiazda.

Nagle to „O” wydało mu się zupełnie niewystarczające. Należało wyryć „H” przed nim i „sanna” po nim.

Usiłował sprawiać wrażenie nonszalanckiego, męskiego, pewnego siebie – jak widzieli go inni. Ale spotkał ją w połowie drogi, zanim sobie w ogóle uświadomił, że idzie.

Oboje stanęli, milczący i oczarowani.

Uśmiechnęła się i odsunęła kosmyk włosów z czoła, przez chwilę nic nie mówili.

– Pozwól, że ci to poniosę – powiedział w końcu.

Zsunął koszyk z jej ręki.

– Jest ciężki – ostrzegła. – Chleb, pół gomułki sera, trochę owoców i różnych rzeczy w słoikach. Całe mnóstwo jedzenia.

Podniósł lekko koszyk, żeby pokazać, jaki jest silny i męski.

– Jest całe mnóstwo Duffych.

– Jest i będzie jeszcze więcej, bo on jej nie może zostawić w spokoju.

Zamarła i zakryła ręką usta; spłonęła szkarłatnym rumieńcem, uświadomiwszy sobie, co powiedziała.

Parsknął śmiechem.

Ale nawet on omal się nie zaczerwienił.

– Szkoda, że nie należą do kościoła anglikańskiego – zauważył. – Anglikanie podchodzą do tych rzeczy z trochę mniejszym entuzjazmem.

– Czy tak? – W jej głosie brzmiała szczera ciekawość i lekkie rozczarowanie.

– Cóż, nie wszyscy.

Oboje rzecz jasna należeli do kościoła anglikańskiego.

Umilkli, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia, że rozmowa zeszła na sypialnię Duffych.

– Naprawdę nie powinniśmy rozmawiać o takich sprawach – powiedziała z powątpiewaniem w głosie. Speszona. Powiedziała to bardziej dlatego, że sądziła, że powinna, niż dlatego, że w to wierzyła.

Ruszyła drogą, wzdłuż której rosły wiązy, jesiony i stare krzewy głogu. W krzakach kryły się – i szeleściły – ptaki i inne maleńkie stworzonka. To miejsce wydawało mu się takie opuszczone, kiedy na nią czekał. Teraz to był raj.

Chciał jej oszczędzić zakłopotania.

– Gdybyśmy unikali wszystkiego, czego nie powinniśmy robić, panno Eversea, żadne z nas nie szłoby tą drogą, ciesząc się wyjątkowo pięknym dniem w czarującym towarzystwie. Jeśli cię coś martwi, chciałbym o tym wiedzieć. Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie?

– Ależ naturalnie.

Powiedziała to z taką żarliwością, że oczarowała go całkowicie.

Początkowo mówili jedno przez drugie, ale teraz zamilkli. Po prostu szli. To, co mogli powiedzieć głośno, nie dotyczyło, jak na razie, wzajemnych uczuć; wędrowali więc w ciszy, szczęśliwi i pełni niecierpliwości.

– Naprawdę nie chciałam tego powiedzieć – odezwała się nagle. – Nie chciałabym, żebyś myślał, że jestem taka roztrzepana. Widzisz, ja się po prostu martwię. Dzieci Duffych są słodkie na swój sposób, ale często chorują, bo brakuje im pożywienia i nie są za silne, a pan Duffy pracuje, kiedy może i pije też, kiedy się da.

– Sądzę, że większość mężczyzn pije, kiedy się da. Zajrzyj do gospody Pod Świnią i Ostem w którąkolwiek noc. – Choć podejrzewał, że pan Duffy pije więcej niż to przyjęte.

Roześmiała się.

– Większość mężczyzn, jakich znamy, tak, ale w granicach rozsądku, przynajmniej w dobrym towarzystwie. Poza dobrym towarzystwem tylko Bogu wiadomo, co się dzieje. Mój brat, Colin, rzucił kiedyś butem w drzwi, kiedy zapukałam zbyt wcześnie rano. Wrócił z pubu, po rzutkach i piwie, bardzo późno.

– Ojciec zamordowałby mnie, gdybym przebrał miarę w piciu i to publicznie. Albo ciskał butami.

Rzuciła mu pytające, współczujące spojrzenie.

– Zamordowałby? Za rzucanie butami?

Zaśmiał się.

– Może nie dosłownie. Tylko że… zawsze wychowywano mnie raczej surowo. Nie sądzę, żebym się temu sprzeciwiał. Ostatecznie wiążą się z tym pewne korzyści – zauważył smętnie. – Na przykład takie, że ojciec nie odbiera mi pensji.

W ciszy, jaka nastąpiła, oboje uświadomili sobie, jak bardzo ograniczona jest swoboda Lyona.

– Nigdy nie czujesz pokusy?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Kawał życia spędziłem, ucząc się, jak opierać się pokusom.

Oboje, choć rozbawieni, poczuli się trochę niezręcznie, jako że stanowili dla siebie nawzajem chodzącą pokusę.

– Miałem na myśli to – dodał pospiesznie – że owszem, odczuwam pokusy, ale nauczyłem się, że z ojcem najłatwiej dawać sobie radę, jeśli się nie ciska butami. Ani kostkami do gry. Ani nie wpada w złość. Piłki do krykieta są dopuszczalne.

Wpatrywała się w niego zachłannie, marszcząc leciutko czoło w wyrazie współczucia.

– Bardzo wiele się ode mnie oczekuje, panno Eversea. – Tylko częściowo żartował. Nie był pewien, czy potrafi wytłumaczyć ogrom swojej odpowiedzialności jako dziedzica Redmondów.

– Och, tak. Ludzie często mówią o tobie nabożnym szeptem, Lyonie Redmond. Jabłko pada niedaleko od jabłoni. Kiedyś stanie się legendą.

Parsknął śmiechem, który przeszedł w westchnienie ukontentowania. Wciąż go zaskakiwała. Bezpośrednia, pewna siebie i szczęśliwa. Zupełne przeciwieństwo nieszczęsnej lady Arabelli.

– Spodziewam się, że pewnego dnia przejdę do legendy – oznajmił z powagą, może tylko odrobinę żartując.

– W rodzinie Eversea utarła się tradycja, że młodzi mężczyźni starają się zdobyć fortunę na swój własny sposób. Ojciec nieraz wyruszał na morze i wracał bogaty. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby groził komuś mordem. Raczej wtedy, gdy chce dać coś do zrozumienia, przybiera taki szczególny wyraz twarzy.

Lyon wiedział, że bracia Eversea wpadli podobno na sposób, żeby dostawać się do sypialni zamężnych hrabin i tym podobnych.

– Mój ojciec też to potrafi – stwierdził dość ponurym głosem.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Sądziłam, że masz wyruszyć w podróż na kontynent w związku z interesami ojca. Albo poślubić córkę księcia.

Obrócił gwałtownie głowę.

– Gdzie słyszałaś coś takiego?

– Jeden z moich braci dowiedział się o tym w pubie.

– Rozmawiano o tym w twoim domu?

Był zdumiony.

– Niezbyt długo – odparła. – Ten temat padł niczym pierwsza gęś zestrzelona w sezonie.

Zachichotał.

– W twoim domu, w porównaniu z moim, wydaje się panować anarchia. Nie sądzę, żebym kiedyś usłyszał, jak ktoś głośno wypowiada słowo „Eversea”.

– To nie anarchia! – Odwróciła się do niego w gwałtownym proteście. – W naszym domu przestrzegamy najlepszych manier!

Był przekonany, że tak jest w istocie – jakiejkolwiek by rozwiązłości Ian i Colin Eversea się dopuścili, z pewnością nie zapominali o „proszę” i „dziękuję” przed, po i w trakcie – i ogarnęła go fala niemal bolesnej czułości. Dziewczyna zawsze była gotowa namiętnie bronić ludzi, których kocha.

To ich łączyło.

Ale mogło ich także podzielić. Historia ich rodzin była złożona i trudna; kryła tajemnice, których jeszcze nie poznali.

Nie chciał, żeby jakieś komplikacje zakłócały tę sielankę.

Wyciągnął rękę, niemal kładąc ją na jej ramieniu, odruchowo chcąc ją uspokoić i pocieszyć.

Cofnął ją szybko. Ten gest z pewnością należał do tego, czego „nie powinni”.

Och, ten dzień, kiedy weźmie ją w ramiona…

Nie „jeśli”, tylko „kiedy”.

Podejrzewał, że oboje o tym wiedzą.

– Nie chciałem cię urazić, panno Eversea. Wybacz, proszę… Chciałem raczej, niezgrabnie, wyrazić to, że nasze rodziny są najwidoczniej zupełnie inne. Moja matka jest łagodnego usposobienia, kochająca i tolerancyjna, a ojciec… – Jak miał opisać w paru słowach Isaiaha? – …Bardzo go podziwiam – powiedział w końcu i, dziwne, ale parę dni wcześniej zabrzmiałoby to bardziej szczerze. Podziw mieszał się teraz z czymś mrocznym. – Mam pełną świadomość, że się tak wyrażę, wielkości nazwiska i tego, że oczekuje się ode mnie wielkich rzeczy i że każdy mój ruch odbija się jakoś na wszystkich członkach mojej rodziny, zwłaszcza na nim. Albo raczej on to w ten sposób spostrzega. Moje szczęście jest niepomierne. Wiem o tym i słyszę to dosyć często.

Powiedział to suchym tonem.

Milczała chwilę, zastanawiając się nad tym.

– Wyobrażam sobie, że konsekwencje byłyby bardzo poważne, gdybyś zechciał zejść z wyznaczonej drogi.

Zadziwiająca przenikliwość.

Zwykły spacer z nią w stronę domu Duffych już był poważnym odstępstwem od przypisanej mu roli.

Milczał chwilę, starannie dobierając słowa. Niezależnie od wszystkiego on także miał być komu wierny.

– Mój ojciec ma swoje sposoby, żeby okazać niezadowolenie. I, owszem, ma wobec mnie pewne plany.

Spojrzała na niego badawczo; jej twarz była poważna, a jednocześnie taka ożywiona, inteligentna, pełna współczucia. Wyczuł, że chciałaby go dotknąć, z tych samych powodów co on wcześniej. Żeby pocieszyć.

Myśl o dotyku odbierała mu spokój.

Przyszło mu do głowy, że może nie było zbyt rozsądnie umawiać się z nią sam na sam w lesie. Bo w odległości stu stóp od miejsca, gdzie teraz byli, w pobliżu drogi znajdowała się mała polanka, wyścielana mchem i otoczona drzewami i krzewami, i wiedział doskonale, że od tej chwili,

kiedy położy się w nocy, w łóżku, będzie sobie wyobrażał, jak kładzie ją tam delikatnie na plecach i pochyla się nad nią, żeby…

Natychmiast zaczął szukać w wyobraźni czegoś, co ostudziłoby jego zapały i przywołał obraz pani Sneath.

Olivia, przy swojej niewinności, nie była naiwna. Powietrze między nimi wydawało się tak iskrzyć, jak atmosfera przed burzą z piorunami i wydawało się niemal nieuczciwe wprost o tym nie porozmawiać. Trochę tak, jakby nie zawołać: „pada!”, nawet jak chmura się obrywa i spada ulewny deszcz.

Ktoś, jeden z jej wysokich braci, powinien jej towarzyszyć na spacerze, pomyślał przewrotnie. Lyon chciał ją ochronić przed samym sobą, myśląc jednocześnie o tym, żeby ją posiąść na polanie. Co za paradoks.

W panującej dookoła ciszy słychać było tylko konkurujące ze sobą ptasie arie i szum liści, jakby jacyś muzykanci przygrywali im na tamburynach.

– Chciałby, żebym wkrótce zabrał głos w Mercury Club w Londynie. Żebym przedstawił swoje przemyślenia na temat silników parowych i jakieś strategie inwestycyjne.

– Jestem pewna, że wywiążesz się z tego równie dobrze jak twój ojciec.

– Lepiej.

Powiedział to tak zwyczajnie i z takim przekonaniem, że roześmiała się zachwycona.

– Czy to właśnie chcesz robić? Inwestować i tym podobne? Zupełnie jak ojciec.

Zawahał się.

– Tak mnie wychowano. Jestem w tym dobry. Ale ostatnio wiele się dowiedziałem o tym, czego chcę.

Pozwolił, żeby te słowa wybrzmiały. To, czego chcę. Jakby wykuwał coś na kowadle. Tym, czego chciał, była ona.

Zaróżowiła się z przyjemności.

– Czy byłaś ostatnio w Londynie, panno Eversea?

– Och, ostatnio nie. Ale przypuszczam, że w przyszłym roku nadejdzie mój sezon. Powinnam go odbyć w zeszłym roku, ale dostałam zamiast tego gorączki.

Wiedział, jak będzie wyglądać jej sezon w Londynie: mężczyźni uwijający się wokół niej jak pszczoły wokół kwiatu. Ogarnęła go zazdrość, dość absurdalna, zważywszy że dotyczyła czegoś, co się jeszcze nie zdarzyło.

– Co do twojego wcześniejszego pytania, panno Eversea… W istocie miałem natychmiast udać się na kontynent. Postanowiłem jednak zostać w Pennyroyal Green.

Oboje wiedzieli, co to zdanie oznacza: wyznanie.

Nie wspomniał o córce księcia. Nie zapytała o to po raz drugi.

W sercu szalejącej wokół nich burzy iskier panowała dziwna, spokojna pewność: ta osoba jest mi przeznaczona.

Wędrowali, a może raczej płynęli dalej, w milczeniu, jakby ta chwila była małym, dzikim stworzonkiem i żadne nie chciało go przestraszyć.

– Cóż, chętnie zwiedziłabym kontynent – powiedziała w końcu, podskakując lekko, żeby dotknąć liścia wiązu, pod którym przechodzili, jakby witając się ze starym przyjacielem. I pewnie tak było.

Z przyjemnością patrzył, jak się porusza. Kiedyś zwrócił uwagę na dmuchawiec wirujący na wietrze. Ona miała w sobie tę naturalność i wdzięk.

– Czy tak? – zapytał jakby onieśmielony.

– Zawsze chciałam wyruszyć w podróż na ocean. Widzieć wszędzie wodę dookoła! Jakie to byłoby wspaniałe! I zrywać pomarańcze z drzewa, które nie rośnie w oranżerii. I zanurzać nagie palce w ciepłym, złotym piasku. Najbliżej morza dotarłam do Brighton. I czytałam *Robinsona Crusoe*.

Roześmiał się.

– Od dawna chciałem zobaczyć Hiszpanię. Chcę tam zbudować dom, z widokiem na morze, w słonecznym kraju.

– Innymi słowy, nie w Anglii.

– Raczej nie jesteśmy w tropikach, nieprawdaż?

– Ale dzisiaj, to prawie jak w raju, czyż nie? Wyobraź sobie krainę, gdzie każdy dzień jest taki jak ten. – Odchyliła głowę i zaczerpnęła głęboko pachnącego wiosną powietrza.

– Opisujesz Hiszpanię.

– A zatem przeczytam twoją książkę! – zawołała z zapałem. – Wiesz, jeszcze tego nie zrobiłam, przeczytałam tylko wiadomość, która z niej wypadła. Powiedz, jaki dom tam zbudujesz?

– O wdzięcznych liniach. Może trochę w stylu mauretańskim. Biały. Prosty. Z dużymi pokojami o wielkich oknach. I z każdego miejsca można będzie patrzeć na morze. Jasny, z dużą ilością światła i pięknymi rzeczami. Ale nie nadmiarem rzeczy.

Opisywał przeciwieństwo swojego rodzinnego domu, rezydencji Redmondów. Starej, wspaniałej i bogatej, z dużą ilością ciemnego drewna i cichymi korytarzami, a także niesamowicie kosztownymi rzeczami, których w dzieciństwie nie wolno im było dotykać.

– Brzmi niebiańsko. Mam nadzieję, że pewnego dnia go zobaczę.

Nastała chwila niezręcznej ciszy. Ponieważ to także zabrzmiało jak rodzaj wyznania.

Wiedział, że zastanawia się, czy zadać następne pytanie.

– Czy twój ojciec wie, że chciałbyś mieć dom w Hiszpanii? – Powiedziała to niemal łagodnie. Ostrożnie.

Ta dziewczyna tyle była w stanie zrozumieć i to w tak krótkim czasie.

– Nie – odparł.

Dziwne było uświadomić sobie nagle, że Olivia Eversea zna jego pragnienia lepiej niż jego własny ojciec. W istocie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie.

Miał wrażenie, że czekał na to całe życie. Nigdy nie czuł się tak bardzo sobą jak przy niej. Już zaczynała mu uświadamiać, że jest kimś więcej niż mu się dotąd mogło śnić. Może nie całkiem było mu z tym wygodnie, ale czuł się urzeczony.

Z daleka widzieli już dom Duffych i Lyon świadomie zwolnił kroku. Ale choćby nie wiadomo, jak wolno szli i tak musieli tam dojść.

– Może lepiej zatrzymaj się tutaj – powiedziała trochę zmieszana.

Zsunął koszyk z ramienia i podał jej w napiętej ciszy, ponieważ tak wiele miał do powiedzenia i wydawało się, że nigdy nie starczy na to czasu. Otarli się rękami, krótko, ale celowo; to było tak, jakby dorzucali drew do ognia.

Ten nieśmiały dotyk odebrał im na chwilę mowę.

– Panno Eversea…

– Olivio.

– Olivio.

Powiedział to poważnym głosem. Taki zaszczyt wymagał ceremonii.

I uśmiechnął się powoli, powodując, że zaczerwieniła się po nasadę włosów.

Miała oczy odrobinę bardziej błękitne niż niebo, a rzęsy, kiedy je opuszczała, rzucały drżący cień na jej policzki.

– Olivio, ja…

Przerwał. Mógł to zdanie zakończyć na milion sposobów.

– Zwykle zanoszę koszyk Duffym w każdy wtorek, po spotkaniu Towarzystwa Opieki nad Biednymi Sussex – powiedziała pospiesznie.

A potem zakręciła się na pięcie i odbiegła, zatrzymując się tylko raz, żeby dotknąć liścia nad głową.

– Znowu się spotykamy, wiosno! – zawołała.

Parsknął śmiechem, patrząc za nią.

Odwrócił się i ruszył przed siebie, a chociaż miał prostą drogę do domu, od czasu do czasu przeskakiwał jakiś niski płot, dla samej przyjemności.

Przystanął tylko raz, żeby dotknąć litery „O”, którą wyciął w korze wiązu.

8

Sześć tygodni przed ślubem...

Oto cztery szylingi. – Olivia wrzuciła je po jednym do wspólnego kubka żebraków pod sklepem madame Marceau. – Mam nadzieję, że kupicie za to coś ciepłego do jedzenia. Rozważcie wyjazd do Sussex, jeśli chcecie spokojnie żyć i pracować. Powinno wystarczyć na podróż.

Cofnęła się nagle.

– Może widzimy się po raz ostatni. Żegnajcie.

Zabandażowany żebrak nigdy nie podnosił głowy ani się nie odzywał; zastanawiała się po raz kolejny, czy w ogóle jest w stanie to zrobić. Może nawet był głuchy. Podniósł jednak rękę i opuścił ją w powolnym geście błogosławieństwa. Miała wrażenie, że nad częścią jej życia zapada kurtyna.

Madame Marceau, sprytna i bardzo zajęta, gratulowała sobie zatrudnienia mademoiselle Lilette, ponieważ obie świetnie się z Olivią dogadywały.

Mademoiselle Lilette gwizdała cicho, upinając suknię. Tak się złożyło, że była to melodia *Legendy Lyona Redmonda* i jak na dzień dzisiejszy, miarka się przebrała.

– Mademoiselle Lilette, czy mogę cię prosić, żebyś przestała gwizdać tę melodię?

– Bardzo przepraszam. Proszę o wybaczenie. To bardzo żywa piosenka, *non?*

– O, tak – zgodziła się ponuro Olivia. – Bardzo żywa, w istocie.

Nastąpiła chwila napiętej, denerwującej ciszy.

– Wybacz, panno Eversea, jeśli temat jest *un peu difficile*, ale jesteś jedyną kobieta jaką znam, dla której napisano piosenkę. Czy był żywym mężczyzną? Takim żywym jak piosenka? Ten Lyon Redmond?

Czy był żywy? Nie chciała myśleć o Lyonie podczas ostatniej przymiarki swojej ślubnej sukni.

Nie, nie był „żywy”.

Był samym życiem.

Nigdy w gruncie rzeczy nie rozmawiała o nim naprawdę. Mówiła ogródkami, ogólnikami. Nikt nie znał go w taki sposób jak ona.

Nagle zapragnęła, żeby ktoś wiedział o nim coś więcej.

– Był zdumiewającym mężczyzną. Pełnym… życia, energii… i jednocześnie niezwykle zdyscyplinowanym. Bardzo inteligentnym i niepokojąco bystrym. O dobrym sercu. I tak bardzo chciał zwiedzić świat. Cudownie się śmiał. Chyba… chyba spodobałaby mu się ta piosenka. Mam nadzieję…

Przerwała.

– Nadzieję?

Już niemal nie mogła o nim mówić.

– Mam nadzieję, że mu się udało. – Jej głos brzmiał teraz ochryple. – Że zwiedził świat.

Miała nadzieję, Boże dopomóż. Mógł dokonać żywota w jakimś rowie. Albo rzeczywiście pływa po Nilu na krokodylu. Przez lata wymyślała wszelkie możliwe scenariusze. Wyobrażała go sobie na pokładzie statku. To dawało jej odrobinę pociechy, chociaż podszytej cieniutką warstewką gniewu: gdziekolwiek by był, nie było go tutaj i odszedł bez niej.

– Czy był dzielny? Był dobry?

Mademoiselle Lilette wydawała się trochę nadto ciekawska.

Ale Olivia zamknęła oczy. W tej chwili jej umysł był pusty. A, jak komuś kiedyś oznajmiła, nigdy nie kłamała.

– Tak – odparła stłumionym głosem. – Bardzo dzielny. I bardzo dobry.

Nie wiedziała, jak długo stała z zamkniętymi oczami.

Otworzyła je, bo pod zamkniętymi powiekami znowu zobaczyła jego twarz w deszczu, w mroku.

Zamiast tego przywołała obraz Landsdowne'a. Jego drogą twarz i ciemne oczy.

– Kiedyś przeżyłam wielką miłość – odezwała się cicho, z wahaniem mademoiselle Lilette.

Ach, może stąd te pytania.

– Co się z nim stało?

– Nie wiem. Pewnego dnia zniknął. – Pstryknęła palcami. – Ot, tak. Nigdy nie wyszłam za mąż.

– Och, Lilette… Tak mi przykro. – Serce Olivii ścisnęło się boleśnie.

– *Merci*, panno Eversea. Jesteś taka dobra.

Milczały chwilę.

– Z pewnością pewnego dnia… Jesteś jeszcze młoda… – odważyła się Olivia.

– Być może. Ale moje serce wydaje się nie zauważać nikogo innego.

Och, Boże. Olivia zastanowiła się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby kiedyś odważyła się wyjaśnić to rodzinie w ten sposób: moje serce wydaje się nie zauważać nikogo innego.

A potem spokojnie wycofała się z życia. Ot, tak! Skończyłaby z tymi wszystkimi głupstwami.

A tak, musiała cierpieć przez lata, kiedy znoszono jej bukiety kwiatów i wpisywano jej imię w księgach zakładów. Wymykała się z wdziękiem pretendentom do ręki i długo udawało jej się ukrywać większą część siebie.

Póki jej kuzyn, Adam Sylvaine, proboszcz, nie dał jej miniaturki, którą kiedyś podarowała Lyonowi. Oznajmił, że nie wolno mu wyjawić, jak wszedł w jej posiadanie. Wiedziała tylko, że Lyon pozbył się jej w jakiś sposób, a przyrzekał, że nigdy tego nie zrobi.

I tak czar prysnął. Postanowiła, że znowu będzie żyć pełnią życia.

A życie dla kobiety oznaczało zwykle wyjście za mąż i założenie rodziny.

– Przykro mi, że go straciłaś, mademoiselle Lilette. Naprawdę.

Opuściła rękę i poczuła, jak dłoń Lilette podnosi się, żeby ją uściskać.

– *Mais bien sur*, jestem silna.

Olivia nie widziała, ale wyczuła galijskie wzruszenie ramion w okolicach obrębu sukni.

Ciszą uczciły straconych kochanków.

– Mademoiselle Lilette…

– *Oui*, panno Eversea?

Niemal bała się zadać to pytanie. Nie znała nikogo, kogo mogłaby o to zapytać, ale nie była pewna, czy chce usłyszeć odpowiedź.

Ale w końcu się na to zdobyła.

– Jak… jak sobie radziłaś? Kiedy zrozumiałaś, że odszedł?

Nigdy nie spotkała nikogo, kto mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Madmoiselle Lilette nie odzywała się przez jakiś czas.

– Ja też mam swoje pasje. Jeśli jest się kobietą o namiętnej naturze, to znajdzie się jakieś zajęcie, to po prostu silniejsze od nas. Tak, jak ty, prawda? My, silne kobiety, nie poddajemy się łatwo.

Olivia nie była w stanie się odezwać. Zadanie tego pytania kosztowało ją mnóstwo nerwów i jeszcze nie odzyskała głosu.

– Twoje serce się uleczyło, *non*, panno Eversea? Piosenka to głupstwo, nie powinnaś się nią kłopotać. Będziesz szczęśliwa, panno Eversea, zobaczysz. Poślubiasz wspaniałego mężczyznę.

Olivia nie miała ochoty rozprawiać o stanie swego serca.

– Jeden z najlepszych, jakich znałam.

– Masz szczęście.

– Mam szczęście.

– I tylko o wspaniałych kobietach układa się pieśni.

Olivia parsknęła pogardliwie.

– Pod tym względem nasze opinie się różnią. Najbardziej pragnę oddechu od piosenek, zakładów, różnych druków i tych wszystkich głupstw. Są wszędzie, gdziekolwiek się obrócę. Gdybym mogła gdzieś uciec na tydzień czy dwa, zaczerpnąć oddechu… żebym mogła stanąć przed ołtarzem z jasnym umysłem.

– Może wyjazd na wieś?

– Może do innego kraju – odparła ponuro Olivia. – Mój dom jest na wsi, w Pennyroyal Green, w Sussex. Musiałabym udać się bardzo daleko, żeby uciec od tych głupstw. Wydaje się, że Londyn i okolice jest nimi przesiąknięty. Z kolei moja matka mogłaby nawet nie zauważyć, że wyjechałam, ostatnio nie była zbytnio pomocna. Nerwy sprawiają, że staję się jędzowata.

Wciąż mówiła, kiedy uświadomiła sobie, że mademoiselle Lilette nie rusza się od pewnego czasu.

– Panno Eversea?

– Tak?

– *Fini*.

No cóż. Zatem ona i mademoiselle Lilette będą pierwszymi osobami, które zobaczą ją w sukni ślubnej.

Krawcowa obróciła ją ceremonialnie za ramiona, kierując w stronę lustra.

Suknia okazała się arcydziełem prostoty, z koronki delikatnej jak pajęczyna. Krótkie, falbaniaste rękawy przystrojono srebrną lamówką. Wyglądały na jej ramionach, jak czarodziejskie dzwoneczki. Tren ciągnął się za nią jak mgła, srebrna wstążka lśniła przy dekolcie, obrębie sukni, pasie. Kraj sukni ozdobiono małymi pętelkami ze srebrnej wstążki i koralikami. Olivia miała nosić białe rękawiczki z koźlej skórki.

Ledwie poznawała dziewczynę, która patrzyła na nią z lustra. Bladą, olśnioną. Uduchowioną.

– Z pewnością bym siebie poślubiła.

Mademoiselle Lilette uśmiechnęła się.

– Jesteś piękna, panno Eversea. To na pewno wszystko, czego można od ciebie teraz wymagać.

Pora pomyśleć o Landsdownie.

Jak jego droga, silna twarz będzie wyglądać, kiedy zobaczy ją w tej sukni.

Może jej serce nie widziało nikogo innego. Może w istocie uległo trwałej ślepocie.

Uznała jednak, że dać komuś szczęście to druga najlepsza rzecz zaraz po zapewnieniu szczęścia samemu sobie i wiedziała, że może tego dokonać.

I może pewnego dnia nie zdoła oddzielić szczęścia Landsdowne'a od własnego.

Około pięciu lat wcześniej...

Annie, Jenny, Patrick, Maeve, Jordy, Christopher, Michael i dziecko, które pewnie miało imię, ale było dziewczynką, więc miało się nazywać bobasem, póki nie urodzi się następne, czego, w wypadku Duffych, należało się spodziewać.

Lyon znał ich imiona i wszystkie ich małe dramaty na pamięć.

Tak jak się poznaje własny sufit nad głową w bezsenne noce.

Przez prawie trzy miesiące spotykał się z Olivią raz w tygodniu, przez mniej niż dwie godziny, chyba żeby doliczyć do tego kościół, gdzie nie było bezpiecznie na nią patrzeć, a co dopiero rozmawiać. Już nawet nie wymyślał wymówek. Po prostu znikał z domu w każdy wtorek mniej więcej o tej samej porze. Nie starał się nawet za bardzo nikomu mydlić oczu, ale udawało mu się skutecznie unikać ojca, jedynej osoby, przed którą naprawdę musiałby się tłumaczyć.

Wiedział, że Olivia woli marmoladę od dżemu jagodowego, że przedkłada kawę nad herbatę, chyba że herbata była bardzo czarna i nie dodaje do nich cukru, zupełnie jak on i że woli zjadać śniadanie w kuchni, a nie w jadalni, ponieważ lubi sposób, w jaki światło słoneczne wpada o

poranku przez tamto okno, delikatne jak mgiełka i jasne, i że marzy o białych, ze złotym wykończeniem, rękawiczkach z koźlej skórki, które widziała na wystawie Postlethwaite'a. Wiedział, że miała kotka, który zdechł, kiedy miała dziewięć lat i nigdy o nim nie zapomniała i że martwiła się o swojego brata Chase'a, który ostatnio wydawał się dziwnie cichy i o Colina, który zalecał się jawnie i burzliwie do panny Louisy Porter, że z kwiatów lubiła najbardziej czerwone maki, że ogromny ostrokrzew za oknem sypialni nazwała Edgarem, bo to imię wydawało się pasować, że jej bohaterami byli: panna Hannah More, Zachary Macaulay i pan William Wilberforce, namiętni, niezmordowani abolicjoniści i obrońcy ubogich. Oraz oczywiście pani Sneath.

Jego ambicją było dołączyć do grona jej bohaterów.

Podziwiał ją niemal bezradnie. Po raz pierwszy w życiu Lyon czuł, że musi na coś zasłużyć. Czasami, kiedy byli razem, miał wrażenie, że spaceruje po płocie, machając rękami dla utrzymania równowagi, bojąc się, że w następnej chwili dziewczyna uzna, że jest nic niewart.

Ale wrodzona pewność siebie zawsze wracała.

Było jasne jak słońce, że ona czuje to samo.

Rozmowa toczyła się wartko, bez wysiłku, słowa sypały się jak iskry, przeskakując z tematu na temat. Odkryli w sobie nawzajem niewyczerpane źródło radości.

Ale każda chwila z nią spędzona wyostrzała jego zmysły, aż w końcu najdrobniejsze rzeczy nabierały erotycznego sensu. Zgięcie łokcia. Skóra nadgarstka, kiedy obracała go do góry. Marzył, żeby powieść palcem po błękitnych żyłkach i wargami wyczuć jej puls. Cień między jej piersiami, od którego kręciło mu się w głowie, bo nie mógł nie wyobrażać ich sobie nagich. Biały, delikatny pas skóry między zaczesanymi do góry włosami a kołnierzem peleryny. Sposób, w jaki jej szczupłe plecy rozszerzały się w biodra. Lok włosów. Wyobrażał sobie, jak przesuwa po jej karku językiem, a ona cicho jęczy. Kiedy stali blisko siebie, powietrze między nimi drgało z

gorąca i wydawało się czymś absurdalnym, że nie tuliła się do niego całym ciałem.

Leżał, nie mogąc zasnąć i cierpiał.

Ten rodzaj palącego pragnienia był dla niego czymś nowym. Przywykł do apetytów, ale nie obsesji, a zwykle znajdowała się arystokratyczna wdowa, chętna, żeby zaspokoić jego apetyt. Wiedział także, jak go zaspokajać samotnie, w nocy, w łóżku. Ale nie mógł skorzystać ani z jednego, ani z drugiego sposobu, ponieważ to byłoby jak jedzenie drewnianych wiórów z braku pożywienia.

Niepokój wygnał go w nocy do gospody Pod Świnią i Ostem, gdzie patrzył, jak Jonathan wygrywa w rzucaniu do tarczy i flirtował bez przekonania z uroczą nauczycielką z Akademii panny Marietty Endicott, która jadała niekiedy kolację w pubie. To go trochę rozerwało, ale nie przyniosło ulgi.

Lyon po prostu nie był dandysem czy hultajem. Redmondowi nie wypadało uwodzić szlachetnie urodzonych, młodych panien, zwłaszcza z sąsiedztwa, a już na pewno nie z rodu Eversea. Nawet kradziony całus był świadectwem poważnych intencji.

Ale chwile milczenia wplecione w ożywioną rozmowę stawały się coraz dłuższe i intensywniejsze. Dotykali się czasem ukradkiem – muśnięcie palców, kiedy podawał jej chusteczkę albo kiedy wsuwała mu koszyk na ramię. To było tak straszliwie niewystarczające, że graniczyło z torturą.

Zrozumiał, dlaczego Rzymianie nie karmili lwów, zanim wypuszczali je na chrześcijan. Głód sprawiał, że były wściekłe i nieposkromione.

Wyprawił się pewnego ranka po nieprzespanej nocy na przejażdżkę konną, żeby pogalopować nieprzytomnie; w pewnej chwili zwolnił i zatrzymał konia przed sklepem Postlethwaite’a. Zapatrzył się w wystawę.

A potem zsunął się z grzbietu konia i uwiązał go.

Wahał się krótko. Otworzył drzwi, dzwoneczki zatańczyły i zabrzęczały wesoło. Tego rana ten dźwięk wzburzył jego nerwy.

– Ach, pan Redmond! Dzień dobry! – Postlethwaite ukłonił się. – Co pana sprowadza do mojego skromnego sklepu?

– Dzień dobry, panie Postlethwaite. Chciałbym kupić białe rękawiczki z koźlej skórki z wystawy. Te wyszywane złotem.

Zdawał sobie sprawę, że mówi zbyt szybko i może brzmi szorstko.

– Prezent dla damy pańskiego życia, hę?, panie Redmond?

Postlethwaite wyraźnie znał ten syndrom.

Lyon milczał. Był tak spięty, że musiał jak najszybciej załatwić tę transakcję.

Postlethwaite ściągnął rękawiczki z wystawy i podawał je Lyonowi, żeby ten je obejrzał, kiedy ponownie zadźwięczały dzwoneczki przy drzwiach.

Lyon odwrócił się.

I zamarł.

Na progu stał jego brat, Jonathan, równie zdumiony jak Lyon.

Wzrok Jonathana przesunął się z Lyona na rękawiczki. A potem na Postlethwaite’a. I znowu na Lyona.

Zapanowała męcząca cisza.

– Zobaczyłem, że Benedict jest uwiązany przed sklepem – odezwał się w końcu cichym głosem Jonathan.

Lyon stwierdził, że nie jest w stanie się odezwać. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak wygląda jego twarz w związku z tym, że czuje sto tysięcy rzeczy naraz. W żaden sposób nie mógł przywołać na twarz wyrazu uprzejmej obojętności.

– Nic nie powiem – oznajmił cicho i zaskakująco łagodnie Jonathan.

Lyon nie mógł się nawet zdobyć na to, żeby skinąć głową.

– Zapakuję rękawiczki, jeśli pan pozwoli, panie Redmond – powiedział dyskretnie Postlethwaite.

– Dziękuję – odparł sztywno Lyon. Wciąż patrząc na brata.

Ani on, ani Jonathan nie mrugnęli okiem.

– A pan, młody panie Redmond – zapytał ożywionym tonem Postlethwaite. – Czy pan także czegoś szuka?

– Dziękuję, panie Postlethwaite, ale szukałem brata. Ojciec chce natychmiast z tobą mówić. Może na temat Londynu?

Uwielbiała sposób, w jaki mówił o swojej rodzinie: ciepło w jego głosie, kiedy wspominał o siostrze, Violet, mniej więcej w wieku Olivii; dziewczyna uchodziła za hardą i niezależnego ducha. Znała jego podziw dla mądrego, spokojnego brata Milesa i miłość do Jonathana, który teraz był trochę jak ulubiony szczeniaczek, ale przy swoim podobieństwie do Lyona musiał, jak sądziła Olivia, wyrosnąć na przystojnego mężczyznę, obiekt kobiecych westchnień. Wiedziała, że jego koń nosi imię Benedict, że kiedyś uratował i opiekował się małym wróbelkiem, że najbardziej lubił kolor niebieski, taki, jak jej i jego oczy, że trzy razy z rzędu zdobył strzeleckie trofeum w zawodach w Sussex i wygrał z pół tuzina zawodów w szermierce w czasach szkolnych. Był leworęczny. Miał jeszcze dwa imiona, Arthur i James; odkryła to, kiedy pewnego dnia podał jej chusteczkę, żeby starła z policzka odrobinę dżemu, a ona przesunęła palcem po wyhaftowanych inicjałach. Jakby mogła je w ten sposób uczynić częścią swojej duszy.

Wiedziała, że lubi słodkie rogaliki i bardzo mocną, niesłodzoną kawę, tak jak ona, a także czytać wyciągnięty na fotelu najbardziej oddalonym od kominka w ich salonie, ponieważ, w bezchmurne noce, odchylając głowę do tyłu, mógł zobaczyć Wielką Niedźwiedzicę; wiedziała także, że jako chłopiec odstrzelił przypadkiem stopę posążka Mercurego w ogrodzie ojca. Wciąż wracał do lektury *Marka Aureliusza* i na jej prośbę czytał jej czasem fragmenty, kiedy spacerowali razem. Jego ulubionym fragmentem było: „Akceptuj rzeczy, z którymi wiąże cię los, i kochaj ludzi, z którymi los cię łączy, ale rób to całym sercem”.

Jakże kochała to zdanie. Kochaj ludzi, z którymi los cię łączy, ale rób to całym sercem. Uwielbiała też chwilę ciszy, która następowała po tym, jak

czytał jej to zdanie, ponieważ wiedziała, że o niej myśli i chce, żeby była tego świadoma.

Był niezmiernie, nieubłaganie inteligentny i chętny do zażartych sporów; to ją cieszyło, ponieważ tak bardzo przywykła, że przewyższa umysłem niemal wszystkich, a on nie dawał jej po prostu wygrać. Nawet jeśli zaczynała się złościć.

Chociaż był zachwycony, kiedy wygrywała.

Wszystko, czego się o nim dowiadywała, było jak klejnot, który obracała w dłoni wciąż i wciąż, podziwiając go z każdej strony.

Miała ochotę obwieść palcem rysy jego twarzy, jego wargi, szczękę. Objąć go w pasie, odchylić głowę i dotknąć wargami jego ust. Oddychać nim. Czasami coś powiedział albo światło padało na jego twarz w jakiś szczególny sposób, a jej nagle ściskało się gardło i nie mogła się odezwać, jakby wszystko, co czuła, przejmowało ją całą zbyt gwałtownie.

On także wtedy milczał.

Wiedziała, że to milczenie oznacza, że ją rozumie.

I jeśli ona płonęła, to mogła sobie tylko wyobrazić, jak on płonie. Ponieważ, rzecz jasna, wiedział o tych sprawach więcej niż ona. Jej poduszka była zapewne zaszokowana względami, jakie okazywała jej w nocy.

Czasami żałowała, że jest dżentelmenem. To, że nim był, oznaczało, że mogła się czuć bezpieczniejsza i miała więcej szczęścia, niż na to zasługiwała.

Ale oznaczało też, że większość czasu była jak w gorączce. Dość przyjemna przypadłość, dzięki której, jak się wydawało, stawała się jeszcze piękniejsza, a przynajmniej bardziej interesująca.

– Wyglądasz, jakbyś miała sny po opium, Olivio – oskarżył ją brat, Ian, przy śniadaniu, cztery tygodnie po tym, jak Lyon zaczął jej towarzyszyć w spacerach do domu Duffych. Rodzice spożyli śniadanie dużo wcześniej. Olivia, która przewracała się w łóżku i niemal nie spała od tygodni, ostatnio

spóźniała się na śniadanie, więc zwykle spożywała posiłek w towarzystwie tego brata, który akurat był w domu i dochodził do siebie po intensywnej nocy, spędzonej zwykle na piciu.

– A skąd możesz wiedzieć? I co w tym złego, jeśli tak jest?

– Interesujące – zastanowił się Ian. Przyglądając jej się badawczo.

– Co takiego? – zapytała z irytacją.

– Odpowiedziałaś pełnymi zdaniami. A od jakiegoś czasu nie słyszałem, żeby z twoich ust jakieś padło. A tak lubisz słowa.

Żartował, ale Olivia się zaniepokoiła. Zdawała sobie mętnie sprawę, że w rozmowie stała się ostatnio roztrzepana i wypowiadała się urywanymi słowami. A to dlatego, że każda rozmowa, w której nie uczestniczył Lyon, wydawała jej się stratą czasu. Z tymi ludźmi rozmawiała całe życie. Z Lyonem mogła konwersować jedynie przez około dwie godziny w tygodniu.

Wydawało się, że wszystkie jej zmysły opanował Lyon, ale tak długo nie mogła o nim mówić, że jej radość zabarwiła się czymś, czego nie potrafiła nazwać – może był to gniew albo strach czy frustracja, albo mieszanina tego wszystkiego. Była jak statek porwany morskim prądem, który ciągle musi zmieniać ustawienie żagli.

Ale oboje z Lyonem zdawali sobie sprawę, że to nie może trwać wiecznie.

Olivia, która nigdy nie mogła znieść, żeby mówiono jej, co ma robić, wiedziała, że to Lyon będzie musiał decydować, co się stanie w przyszłości. Lyonowi łatwiej było myśleć o przyszłości, bo właśnie dzięki spekulacji ludzie tacy jak on i jego ojciec stawali się bogaci.

– Skąd możesz mieć pojęcie o majaczeniach po opium, Ianie? – odparowała szybko.

– Eeee… tak zgaduję – powiedział pospiesznie Ian. – Szukałem metafory. Zapomniałaś poprawić przed chwilą moją gramatykę, więc

zastanawiałem się, czy coś jest nie w porządku. Wydajesz się ostatnio trochę roztargniona. – Podsunął jej kawę. – To powinno pomóc.

Olivia nalała trochę kawy do filiżanki i zamknęła oczy, wdychając niebiański zapach.

Kiedy je znowu otworzyła, Ian wpatrywał się w nią, marszcząc brwi.

– Gdybym cię nie znał, uznałbym, że masz straszliwego kaca po whisky.

Parsknęła.

– Nic mi nie umyka. Może po prostu przestałam poprawiać twoją gramatykę, zniechęcona miernymi rezultatami.

– Ach, Olivio – zakpił brat. – Nigdy nie trać we mnie wiary.

Uśmiechnęła się, a on podsunął jej marmoladę, żeby mogła posmarować sobie kromkę.

Nagle Genevieve wpadła do pokoju, rzucając się na krzesło naprzeciwko Olivii; przestraszyła oboje z Ianem.

– Olivio, pójdziesz ze mną dzisiaj do Tingle’a?

– Eee… Och. Uhm. Nie mogę. Muszę iść na spotkanie Towarzystwa Opieki Nad Biednymi Sussex, a potem do Duffych. Dziś jest wtorek.

Między oczami Genevieve pojawiła się zmarszczka.

– Ale to dopiero o pierwszej – zauważyła delikatnie.

– Mam pewne sprawy do załatwienia – powiedziała szybko Olivia.

W ciszy, jaka nastąpiła, Olivia zdała sobie sprawę, że Genevieve i Ian znieruchomieli, obserwując ją bez mrugnięcia okiem.

– Jak… gapienie się rozmarzonym wzrokiem przed siebie? – Genevieve wymieniła szybkie, znaczące spojrzenie z Ianem, który opuścił głowę. Być może po to, żeby ukryć uśmiech.

Olivia skrzywiła się.

– Korespondencja – oznajmiła wyniośle. – Dotycząca mojego pamfletu.

W istocie zaczęła jakiś czas wcześniej pisać list do pani More, więc nie całkiem mijała się z prawdą. Mogła go nawet skończyć tego popołudnia.

– Doskonale – powiedziała w końcu Genevieve, wciąż marszcząc brwi. Mniej onieśmielona słowem „pamflet”, niż Olivia by wolała.

Nastąpiła kolejna chwila dziwnej ciszy.

– Co masz w ręce, Genevieve? – Ian wskazał brodą jej dłoń.

– Och, londyńska gazeta. – Pomachała nią. – Pomyślałam, że poczytam sobie przy kawie.

Ian przechylił czajniczek i do filiżanki Genevieve spłynął żałosny, brązowy strumyczek. Genevieve patrzyła na niego smętnym wzrokiem.

– Zawsze możesz dostać więcej – zapewnił Ian pocieszająco. Gospodyni już szła po następny czajniczek. – Jakie są najnowsze plotki?

– Co, zastanawiasz się, czy tu jesteś? – Genevieve pomachała rozłożoną gazetą.

– Nie powinienem – odparł wymijająco. – W każdym razie nie w tym miesiącu.

Olivia uniosła oczy do nieba z udanym przerażeniem. W rzeczywistości kochała swoje rodzeństwo; była też pewna, że w jej domu panuje anarchia w porównaniu z domem Redmondów. Ale instynkt jej podpowiadał, że jej dom jest szczęśliwszy. Jakże łaskawy był dla nich los, że mogli tu siedzieć razem, śmiać się, rozmawiać, pewni, że „zawsze mogą dostać więcej”, więcej kawy i marmolady, więcej rozmowy, która bawi i irytuje – zupełnie inaczej niż w przerażająco biednym domu Duffych.

I nagle wydało jej się niepojęte, że nie może opowiedzieć rodzeństwu o Lyonie, ponieważ dzielenie się tym, co kocha, z ludźmi, których kocha, stanowiło nie tylko jedną z największych przyjemności w jej życiu, ale też miało fundamentalne znaczenie dla tego, kim była.

Jakie dziwne, że Lyon potrafił sprawić, że jej świat wydawał się nieskończony, a jednocześnie tak go skurczyć.

Ten paradoks zaczął się jej kojarzyć z czymś w rodzaju imadła.

Genevieve odchrząknęła i poruszyła z trzaskiem gazetą, jakby przygotowując się do wygłoszenia mowy.

– Zobaczmy… Lord Ice – tak nazywają markiza Dryden, czy to nie zabawne? – szuka ponoć czterech czarnych koni z białymi skarpetkami. Jakież to dramatyczne. Siostry Silverton wróciły po sezonie za granicą i odnoszą sukces towarzyski za sukcesem. A lady Arabella, córka Hexforda ma się podobno zaręczyć; przebywa w Londynie, odbywając wizyty towarzyskie. Raz ją widziałyśmy, pamiętasz, Olivio? Taka śliczna blondynka.

– Lepiej, żeby to Redmond dał sobie założyć kajdanki niż któryś z nas – stwierdził Ian z niemal religijnym zapałem, gryząc jednocześnie kawałek tostu.

Olivia powoli opuściła filiżankę z kawą na stół. Jakby zaczęła spadać i bała się, że filiżanka się roztrzaska, kiedy w końcu wyląduje.

– Czy jest mowa o tym, za kogo ma wyjść lady Arabella? – Ledwie czuła, jak słowa wydobywają się z jej warg. W jej uszach wydawały się niemal przejrzyste i kruche.

– Tyle ci mogę powiedzieć, że według księgi zakładów u White’a tym szczęśliwcem jest Lyon Redmond – powiedział Ian, ziewając.

„Akceptuj rzeczy, z którymi wiąże cię los, i kochaj ludzi, z którymi los cię łączy, ale rób to całym sercem”.

Jak mogła tego nie zauważyć? Była zadurzona, oto dlaczego. „Wiąże” czy „łączy” to były sy*non*imy do „skuć kajdanami”. Które, jak się nagle zaczęło wydawać, ściskały teraz jej serce, pozbawiając tchu.

Czy los rzeczywiście wiązał Lyona z córką księcia i przeznaczył mu życie na podobieństwo ojca?

O jego przyszłości zdecydowano już w kołysce; był jak wybita moneta.

Nie było reguły mówiącej, że miłość przezwycięży jego poczucie obowiązku.

Ale znowu z drugiej strony nie było reguły stanowiącej, że tego nie zrobi.

– To tylko głupia gazeta – powiedziała tak gwałtownie, że aż Genevieve i Ian podskoczyli.

Odsunęła się od stołu, nie patrząc na nikogo i nie mówiąc ani słowa.

Lyon stał oparty o wiąz; serce biło mu tak absurdalnie mocno, że dziwne, że nie szeleścił papier, w który zawinięto rękawiczki; miał je pod płaszczem. Nigdy dotąd w istocie nie dał prezentu kobiecie, która nie była jego matką, a ten prezent wydawał się doskonały i żałośnie nieodpowiedni jednocześnie. Ponieważ chciał jej podarować świat.

Nie chciał jednak przekazać jej wiadomości, którymi musiał się z nią podzielić.

Jak zwykle, kiedy się pojawiała, świat rozjaśniał się; wyszedł spod drzewa, żeby pławić się w blasku, jaki na ogół bił z jej twarzy.

Przeszła obok niego, jakby był wiązem. Albo stał się niewidzialny.

Cóż. Musiało stać się coś złego.

Zaczął iść obok niej i sięgnął po koszyk. Gwałtownie cofnęła ramię. I wciąż na niego nie patrzyła.

Druga, raczej niezostawiająca wątpliwości wskazówka, że coś było zdecydowanie nie w porządku.

– Olivio – spróbował.

Przyspieszyła trochę kroku, jakby usłyszała brzęczenie komara i chciała mu uciec.

Nie odstępował jej.

– Olivio, nie mogę dzisiaj zostać. Muszę wyjechać do Londynu na jakiś miesiąc. Jutro wyjeżdżam.

I wtedy w końcu się zatrzymała. Spojrzała na niego. Oszołomiona i przestraszona. Jakby do niej strzelił.

Szkarłatny rumieniec wypłynął na jej policzki.

A potem zacięła usta w wąską linię i odwróciła się tak gwałtownie, że niemal potknęła o własne spódnice.

Ale ruszyła dalej.

Dużo, dużo szybciej.

– Olivio, proszę, porozmawiaj ze mną. – Czuł się śmieszny, biegnąc obok niej.

Nie zwracała na niego uwagi. Linia jej szczęki była twarda jak ostrze siekiery, a nos, choć nie wycelowany prosto w niebo, zdecydowanie zadzierał się do góry. Zrozumiał teraz sens wyrażenia: „żywić wielką urazę”.

– Olivio. Na Boga. Zatrzymaj się.

Stanęła raptownie, odwracając się do niego.

– Myślałam, że dałam ci jasno do zrozumienia, że nie lubię, żeby mi mówiono, co mam robić.

Zupełnie nie miał doświadczenia z osobami w takim nastroju, jakkolwiek go nazwać i zupełnie nie przywykł do tego, żeby go chłostano. Przynajmniej odezwała się do niego. Najrozsądniej było to wykorzystać.

– Przepraszam – powiedział ostrożnie. – Ja tylko…

Przerwał.

– Tak? – ponagliła go cierpko.

– Będę za tobą tęsknił, kiedy wyjadę. Kiedy będę w Londynie.

To nawet w przybliżeniu nie oddawało jego uczuć, przepełniającej go rozpaczy. I powiedział to sztywno. Trudno mu było mówić, widząc ją w tym stanie – groźną i nieprzystępną.

Nie złagodniała ani trochę.

– No, to dlaczego jedziesz do Londynu? – zapytała tonem sędziego.

– Żeby wygłosić prezentację w Mercury Club. Tę, o której ci wspominałem. O silnikach parowych.

Jej oczy przewiercały go na wylot.

– I będzie tam książę Hexford.

Milczał, teraz już czujny.

– Tak – przyznał w końcu.

– I lady Arabella pewnie też tam będzie. W Londynie.

Westchnął.

Niech to diabli.

Skąd…? Ach, przeklęte piśmidła pewnie coś o tym wspomniały. Albo gazety, albo londyńskie plotki znalazły jakąś krętą dróżkę do domu Eversea.

– Nie na spotkaniach Mercury Club, tam nie.

W chwilę później zrozumiał, że to, co powiedział, nie było najrozsądniejsze. Duma czy uczucia Olivii wydawały się straszliwie zranione i kpina nie mogła tego załagodzić. Dodał pospiesznie:

– Chodzi o to, że nie mogę ciągle wymyślać wymówek, dlaczego pozostaję w Sussex, a w szczególności nie mogę odkładać tego spotkania. Zaplanowano je dawno temu. Po prostu nie mam wyboru, Liv.

Wpatrywała się w niego, przechylając głowę, jakby stanowił okaz jakiegoś dziwnego gatunku, przypięty do drewnianej płyty.

– Nie masz wyboru, tylko udawać się na konne przejażdżki z lady Arabellą. I tańczyć z nią publicznie. I spacerować z nią. I rozmawiać. Publicznie.

– Lady Arabella nie mówi wiele. Głównie czerwieni się i zgadza ze wszystkim.

– Wydaje się rozkoszna.

Milczał chwilę, zastanawiając się ze zmarszczonym czołem. Gniewna wersja Olivii wywierała silne wrażenie – oczy ciskały iskry, kremowe policzki powlekły się szkarłatem, słowa padały jak grudki lodu. Była niezwykle piękna i miał ochotę jej to powiedzieć, podejrzewał jednak, że w tej chwili nie zostałoby to dobrze przyjęte.

Rozumiał, że czuje się mocno zraniona.

I nie mógł znieść, że jest tego przyczyną.

– Niektórzy mogliby się z tobą zgodzić – powiedział łagodnie. – Ja zaś, ze swej strony, o wiele bardziej wolę rozmawiać z tobą. Wszystko jedno o

czym. Wszystko jedno kiedy. Wolę nawet odbywać tę straszliwie niezręczną rozmowę z tobą, mimo że oczy ci płoną i zaciskasz dłonie w pięści, i lada chwila możesz zacząć tupać nogami.

Milczała zaskoczona, czuł, że ma ochotę parsknąć śmiechem.

Ach, ale ten jej upór.

– Ale ty chcesz jechać do Londynu. – Ton jej głosu brzmiał obojętnie. Wydawała się jednak odrobinę ułagodzona.

– Chciałem rozmawiać z inwestorami z Mercury Club, tak. Ale nie. Nie chcę teraz wyjeżdżać.

To było wyznanie i oboje o tym wiedzieli.

Cisza, jaka nastała, przyniosła pewne odprężenie.

Ale po raz pierwszy rzeczy, o których nie pozwalali sobie mówić, żeby nie pozbawiać się słodkiego smaku ulotnej przyjemności, jaką dawało wzajemne towarzystwo, odebrały im na dobre mowę.

Może powinien sprawić, żeby coś innego przemówiło w jego imieniu. Głęboko wciągnął powietrze.

– Olivio… chcę… chcę… ci coś dać.

Ręce zaczęły mu niemal odmawiać posłuszeństwa, dłonie wydawały się urosnąć do podwójnych rozmiarów, kiedy sięgnął do płaszcza. Chwilę gmerał, ale w końcu znalazł rękawiczki.

Wręczył jej w milczeniu owiniętą w papier paczuszkę.

Serce znowu zaczęło mu bić w tym absurdalnie szybkim tempie.

Spojrzała na niego podejrzliwie, milcząc. Jej piękne oczy wciąż płonęły – gniewem i urazą, ale miał wrażenie, że dostrzega oznaki złagodzenia.

Wstrzymał oddech, kiedy ostrożnie rozwijała papier, wydobywając, powoli, jak zaczarowana, piękne, upragnione rękawiczki.

Zamarła.

A potem spojrzała na niego z twarzą pełną rozpaczy.

Źle poszło. Bardzo, bardzo źle.

– Ale… to są… to rękawiczki od Postlethwaite’a – powiedziała słabym głosem.

– Tak – przyznał ostrożnie.

Słyszał jej drżący oddech.

– Czy to jest… – Głos jej się załamał; zaczerpnęła głęboko powietrza. – Lyon, czy to pożegnalny prezent?

To nim wstrząsnęło.

– Nie! Dobry Boże, nie! To tylko… Chciałem…

– Przeprosić za to, że jedziesz zobaczyć się z lady Arabellą?

– Nie! Olivio…

Nie słyszała go.

– Ale ja nie mogę ich zatrzymać, Lyonie. Co mam z nimi zrobić? Nie mogę ich nosić publicznie. W ogóle nie mogę niczego robić z tobą publicznie. Jak wyjaśnię, skąd je mam? Co ty sobie myślałeś?

Trzęsła się z rozżalenia i wściekłości, a także tłumionej tęsknoty, w jej oczach zabłysły łzy. Jeśli chciałby kiedyś zostać dandysem i uwodzicielem, to teraz był dobry moment, żeby zacząć: mógłby porwać ją w ramiona, całować do nieprzytomności i sprawić, że zapomni o swojej urazie. Z pewnością uwolniłby się dzięki temu z konieczności tłumaczenia się.

Ale po prostu nie mógł tego zrobić ani jej, ani sobie.

Ponieważ i tak musiałby ją zostawić i jechać do Londynu.

Wciągnął powietrze. Policzył w myślach do trzech.

– Olivio.

Powiedział to tak spokojnie, tak uroczyście, że w końcu znieruchomiała i spojrzała na niego, wstrzymując oddech. Bardzo pragnąc usłyszeć coś, dzięki czemu świat wyda się lepszy.

Zbierał się chwilę na odwagę.

– Chciałbym podarować ci księżyc. Ale musiałem poprzestać na rękawiczkach.

Jęknęła boleśnie. Jakby ukłuł ją igłą.

Jej twarz zdradzała cierpienie.

Zbyt późno uświadomił sobie, jak to musiało zabrzmieć w uszach kogoś ze zranionym sercem i dumą; jakby o księżycu nie było już mowy, a rękawiczki rzucono jej na pociechę.

– Olivio…

– Podaruj je lady Arabelli. – Cisnęła mu je z powrotem.

Wziął je, oszołomiony.

Odwróciła się na pięcie i puściła biegiem, jakby chciała uciec od niego najszybciej, jak się dało.

9

Pięć tygodni przed ślubem...

Kiedy wiano Olivii zostało w końcu skompletowane, pewien spokój zstąpił na miejski dom rodziny Eversea. Wszyscy Eversea, z wyjątkiem matki i Colina, rozjechali się – do Pennyroyal Green, do innych miejsc w Anglii, a Genevieve wróciła w stęsknione ramiona męża.

Następnego dnia Olivia zaczęła smarować podpieczoną kromkę chleba marmoladą – weszło jej w nawyk rozprowadzanie marmolady równo po całej powierzchni, zanim odgryzła kęs – kiedy lokaj przyniósł tacę z korespondencją.

– Dla pani, panno Olivio.

Olivia zmarszczyła lekko brwi na widok adresu na kopercie.

Rozcięła go szybko i przeczytała parę linijek.

Położyła go na talerzu i wpatrywała się w niego, zakrywszy ręką usta i szeroko otwierając oczy.

– Och. O mój Boże. Och Boże. Och Boże. Och Boże.

Matka upuściła nóż; brzęknął głośno.

– Olivio, na Boga, powiedz, że nic złego nie spotkało…

Przykryła dłonią nadgarstek matki.

– Wszystko w porządku, mamo. Lepiej niż w porządku. Jest wspaniale.

Jej matka przeżyła utratę dziecka, rozstanie z synami, którzy wyruszali na wojnę i – na szubienicę – a także śluby dzieci, wykazując niezwykłą siłę, wdzięk i poczucie humoru. Ale Olivia była dla niej poważnym

zmartwieniem; starała się nie okazywać, jak bardzo poważnym. Olivia wiedziała, że swój stoicyzm odziedziczyła części po matce.

– Nie, mamo, wydarzyło się właśnie coś cudownego. Zaproszono mnie na spotkanie z panią Hannah More do Plymouth. I pan William Wilberforce też tam będzie. Przez dwa tygodnie! Na małym zgromadzeniu w domu w Plymouth!

Twarze matki i Colina nie wyrażały żadnych uczuć.

– Hannah More.

– Och, tak, tak. Hannah More. Chyba wspomniałaś o niej raz czy dwa – powiedziała ostrożnie matka.

– Albo pięćdziesiąt – sprostował Colin.

Hannah More. Poetka, dramatopisarka, bojowniczka o prawa biednych i abolicję niewolników. Była niezwykłą kobietą. I jedną z bohaterek Olivii.

– Będzie gościć u znakomitej rodziny w Plymouth wraz z Williamem Wilberforce'em. Och, mój Boże. Słyszeli o mojej pracy na rzecz biednych. Piszą o tym tutaj. – Popukała w list. – Rozmawiałam z nią raz, krótko, po wykładzie i widocznie nie zapomniała. – Westchnęła uszczęśliwiona.

– Dwa tygodnie, Olivio! Teraz? W maju wychodzisz za mąż! To za parę tygodni.

– Ach, w maju, czy tak? Lepiej to zapiszę – odparła Olivia.

Colin parsknął śmiechem, a matka pacnęła go ręką.

– Nie zachęcaj jej!

– Mamo, moje wiano jest gotowe i przekracza moje najśmielsze oczekiwania. Mam tak liczną i cudowną rodzinę i przyjaciół, że nie wyobrażam sobie, żeby czegoś mi zabrakło, póki nie osiągnę podeszłego wieku. Chyba że potrzebujesz mojej pomocy w przygotowaniu domu na przyjęcie gości…

– Do tego mamy dosyć służby, ale musisz dopilnować urządzania własnego domu.

– Mam na to całe życie. Mamo, zrozum, proszę – to jedyna takie okazja. Ma już swoje lata, pani More, i może nigdy nie będę miała możliwości, żeby spotkać kogoś, kogo tak bardzo podziwiam. Wierz mi, nic poza zaproszeniem tego rodzaju nie skłoniłoby mnie teraz do wyjazdu. Ale to dla mnie takie ważne. I nie jestem małą dziewczynką.

– Przypuszczam – zgodziła się matka po chwili. – I wkrótce możesz być zbyt zajęta dziećmi, żeby wyjeżdżać.

– Eee… Tak może być, w istocie – przyznała zmieszana Olivia.

Matka spojrzała błagalnie na Colina, szukając sprzymierzeńca.

Olivia wciągnęła głęboko powietrze.

– Mamo… Chodzi o to, że gdziekolwiek się obrócę, widzę… albo słyszę… coś o sobie. Piosenki, księgi zakładów…

Jej twarz nabierała rumieńców.

Matka otworzyła szeroko oczy, ujmując jej dłonie w swoje i ściskając mocno.

– Och, moje biedactwo. Nigdy nic nie mówisz. Nigdy nie okazujesz, jak bardzo cię to dręczy. Wiesz, nic w tym złego, żeby nie być aż takim stoikiem.

Nieprawda; Olivia nie wiedziała, co by się z nią stało, gdyby się poddała. „Stoicyzm” pomógł jej przetrwać aż do tej chwili.

A okazywać swoje uczucia odważyła się jedynie przed Lyonem.

Ale czułość matki była jak balsam na jej duszę.

– Są żałosne – oznajmiła zdecydowanie Olivia. – Te piosenki są żałosne. Tylko tyle. Nie martw się, proszę, tym, jak na mnie działają. Jednak chciałabym wyjechać w jakieś spokojne miejsce, żeby te kuplety przestały mi brzęczeć w głowie, a potem wziąć ślub. Nie widzę w tym nic nierozsądnego.

– Powinna jechać – stwierdził stanowczo Colin. Absolutnie poważnie. Widział twarz Olivii u Ackermanna.

A akurat Colin był tą osobą, która wiedziała coś o tym, jak to jest słuchać piosenek o sobie.

– Ale kto będzie ci towarzyszyć? – zapytała w końcu matka, prawie przekonana.

– Wiem, kogo chciałabym o to prosić. Również interesuje się pracą pani More. Bardzo przyzwoita młoda kobieta o niezwykle praktycznym podejściu do życia. Poznałaś ją, mamo – mademoiselle Lilette.

– Och, tak. Pragmatyczna krawcowa. Spodobała mi się. A twoja nieobecność tylko rozpali mocniej uczucie Landsdowne'a do ciebie – powiedziała matka.

– Mamo, to tylko dwa tygodnie. A Landsdowne będzie taki zajęty przyjazdem matki i sióstr, że będzie po prostu wniebowzięty, kiedy wrócę, wierz mi.

– Chcesz… wyjechać? Teraz?

Landsdowne znieruchomiał. Siedzieli na jednej kanapie w salonie miejskiej rezydencji Eversea, ale dzieliła ich stopa lub więcej pikowanego aksamitu.

Odstawił ostrożnie filiżankę na stół, przyglądając jej się nieufnie.

– Tylko na dwa tygodnie, John, i tylko do Plymouth. To wcale nie jest daleko. Najspokojniejsze miejsce, jakie dotąd pojawiło się na mapie. W Plymouth nie ma żadnych ksiąg zakładów, przynajmniej nic o tym nie wiem.

Podała mu list. Uniósł brwi.

– Ach, Hannah More to rzeczywiście niezwykła kobieta. Przypuszczam, że swój ciągnie do swego.

Widziała, że usiłuje zachować się dyplomatycznie i uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i ulgą.

– Pochlebca.

– Nie sądzę, żeby w Plymouth ktokolwiek mógł się dopuścić jakiejś psoty – zauważył żartobliwym tonem.

– Całkiem nie w głowie mi psoty. To psotnicy mnie prześladują.

– Czcigodne osobistości, bez wątpienia, pani More i inni. – Poklepał list. – Nie będę udawał, że mnie szczególnie fascynują, moja droga, ale chciałbym bardzo ci towarzyszyć. Tylko że właśnie przyjechała moja matka i siostry, a z nimi…

– Lady Emily i jej rodzina?

Trafny domysł.

– To przyjaciele z dzieciństwa. – Uniósł lekko kącik ust. – Staram się ugościć ich jak najlepiej w moim domu, zanim wszyscy wyruszymy do Sussex.

Olivia spotkała się z jego matką raz, jak dotąd. Poczciwa kobieta, nieobdarzona nadmiarem inteligencji, ale bardzo serdeczna. Wydawała się nieszkodliwa i raczej zadowolona, mogąc przyjąć Olivię do rodziny.

– Chodzi o to… że chciałabym zacząć nasze wspólne życie… bez tej piosenki dźwięczącej mi w uszach. I sądzę, że towarzystwo mądrych, dobrych, starszych ludzi, którzy nic o mnie nie wiedzą i nie dbają o nic, co mnie dotyczy, a nie jest związane z moimi abolicjonistycznymi przekonaniami, może okazać się kojące. W Londynie czuję się taka przytłoczona – ludźmi, plotkami. Wierz mi, nic poza tego rodzaju zaproszeniem, nie skłoniłoby mnie do wyjazdu. To się wydaje szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Potem wrócę, a ty ożenisz się z kobietą szczęśliwą i spokojną, która do końca życia nie da pożywki żadnym plotkom.

Przyglądał jej się z uwagą.

– Rozumiesz? – zapytała niemal z rozpaczą.

– Tak sądzę. Będzie mi ciebie brakowało, nawet jeśli to tylko dwa tygodnie. Jesteś jedyną osobą, która może mi współczuć w tym przedślubnym szaleństwie.

Uśmiechnęła się lekko. A potem pochyliła się i objęła jego policzek dłonią, bo nie była pewna, czy będzie za nim bardzo tęsknić, a chciałaby, żeby tak było.

Przykrył jej dłoń swoją i odwrócił głowę, żeby złożyć we wnętrzu jej dłoni mocny, gorący pocałunek, zaskakując ją. Namiętny pocałunek. Jakby chciał ją naznaczyć piętnem. Nie patrzył jej w oczy.

Uświadomiła sobie, jak był zgłodniały takich gestów z jej strony.

Inny mężczyzna sięgnąłby po nią dawno, nie zważając na względy przyzwoitości. Ostatecznie, mieli dzielić łoże przez resztę życia.

Może postępował z nią zbyt ostrożnie.

Pocałował ją namiętnie, kiedy się oświadczył. I od tamtej pory ani razu. Szli jak konie w zaprzęgu, w tym samym kierunku, ze świadomością wspólnego celu, ale rzadko się dotykając.

Wiedziała, że nie zachęcała go do tego.

A jednak, pomyślała zdradziecko, powinien był bardziej się starać, żeby ją uwieść. Nie potrafiła stwierdzić, czy jej to odpowiadało, czy nie.

– To szaleństwo wkrótce się skończy, John.

Pięć lat wcześniej,
kiedy Lyon był w Londynie...

– Może trochę olejku rycynowego, Olivio? – zapytała matka łagodnie, podnosząc głowę znad robótki.

– Może trochę whisky? – odezwał się Colin, podnosząc głowę znad szachownicy; ojciec, z którym grał, parsknął z rozbawieniem.

– A może ziółka? – zaproponowała złośliwie Genevieve. Wywary przygotowane przez kucharkę miały paskudny smak, a matka wierzyła nieugięcie w ich lecznicze działanie.

– Dlaczego wszyscy chcą mnie czymś poić? – zapytała ponuro Olivia, opuszczając książkę na kolana i zakrywając ją dłońmi. Książkę o Hiszpanii.

Nie miała ochoty odpowiadać na tuziny pytań, dlaczego akurat chce się dowiedzieć czegoś o Hiszpanii.

Wieczór był chłodny i wszyscy zebrali się w salonie.

– Wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje przeczyszczenia – zdiagnozował ją Chase, który siedział, trzymając bolącą nogę na stołku blisko kominka.

– Ja tylko myślałam o Duffych. Najmłodsze dziecko kaprysiło ostatnio i chyba jest chore; to mnie martwi.

Oczy niemal całej rodziny skupiły się na niej; nie byli pewni, czy wierzyć jej, czy nie. Colin wzruszył w końcu ramionami, no bo w końcu, o co innego mogło chodzić?

Pan Duffy przepijał niemal wszystko, co zarabiał, a i tak nie było tego wiele; pani Duffy miała wyraz twarzy kobiety, która prędzej rzuci się z mostu, niż spędzi jeszcze jeden dzień w tym domu. Przez krótką godzinę w tygodniu Olivia usiłowała zaprowadzać jakiś porządek w tym chaosie. Uciekała stamtąd z poczuciem ogromnej ulgi. A jednak nie mogła się oprzeć, żeby nie przekroczyć ich progu w kolejny wtorek, tak jak żeglarz nie jest wstanie zlekceważyć zewu morza.

Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo pomagała jej rozmowa na ten temat z Lyonem.

Myślała, że przed Lyonem była szczęśliwa. Z pewnością nie miała się na co skarżyć. Potem, kiedy stał się częścią jej życia, miała takie wrażenie, jakby w domu otworzyło się sekretne przejście do mnóstwa nowych, pięknych pokoi, które tylko czekały, żeby je zwiedzić.

Przez tydzień po jego wyjeździe płonęła z urazy i cierpiała z powodu zranionej dumy. To ją uodporniło na jego brak.

Ale minęły już trzy tygodnie.

I cały krajobraz jej życia wydał się nagle jałowy i pusty. Światło zgasło i uczyła się na nowo poruszać w tym mrocznym i dusznym świecie, i chyba nie robiła tego z wdziękiem, skoro wszyscy sądzili, że powinna wziąć coś

na przeczyszczenie. Może i tak. Bo jeśli miłość przyprawiała ją o chorobę, to złamane serce było jeszcze inną jej odmianą.

Nigdy nie była wybuchowa czy delikatna. Ten nonsens pozostawiała innym. Uczucia, gwałtowne i intensywne, kryła głęboko, tak samo jak cierpienie, ale zawsze nad nimi panowała. Nigdy dotąd jej nie przytłaczały, nie sączyły się z jej duszy, tak, że cała czuła się jak z ołowiu i niemal nie mogła unieść kącika ust do góry. Nigdy przedtem jej uczucia nie były takie oczywiste dla innych. Aż do teraz. Nie znosiła melodramatów, ale, o ironio, stała się bohaterką jednego z nich i w dodatku nie mogła wyjść z tej roli.

Najbardziej dręczyło ją poczucie winy: Lyon kupił jej piękny prezent, a kiedy go odrzuciła… Olivia chętnie kazałaby wychłostać każdego, kto by wywołał ten zdumiony i zrozpaczony wyraz na jego twarzy.

A jeśli nie wróci? Nie będzie nawet miała żadnej pamiątki.

A jeśli napadną go zbóje albo koń zrzuci go do rowu?

Rodzice rok wcześniej zamówili miniatury wszystkich swoich dzieci; Olivia trzymała swoją na nocnym stoliku. Postanowiła odtąd zawsze mieć ją przy sobie. Jeśli go jeszcze znowu zobaczy, da mu ją – jeśli zechce ją przyjąć po tym, jak okropnie go potraktowała.

Pod koniec trzeciego tygodnia jego nieobecności czarna, ciężka jak ołów rozpacz zelżała na tyle, że jej uczucia zaczęły się wahać między dwoma biegunami: zachowała się dziecinnie, jak głupia gęś; miała rację i pełne prawo do hodowania gniewu i urazy.

Nic, rzecz jasna, nie zmieniało faktu, że wyjechał.

– Napiję się trochę whisky – zwróciła się do Colina.

– Nie, nie napijesz się – powiedzieli wszyscy naraz i Olivia o mało się nie roześmiała.

O mało, ponieważ miało go jeszcze nie być co najmniej tydzień.

Istniała możliwość, że nie wróci nigdy.

A ona może być zaręczona z kimś innym, kiedy jednak wróci.

A na domiar złego matka zmusiła ją do wypicia wywaru ziołowego.

Lyon spał w miejskiej rezydencji Redmondów setki razy w życiu, ale po raz pierwszy miał okazję tak dogłębnie studiować jej sufit.

I po raz pierwszy czuł takie ogromne, niemądre rozżalenie z tego powodu.

Strasznie bolała go głowa. Poprzedniej nocy, zanim wyjechał z ojcem do Londynu, wpakował te piękne, białe rękawiczki z koźlej skórki do kieszeni, poszedł do gospody Pod Świnią i Ostem i upił się nieprzytomnie.

A na zewnątrz, w drodze do domu, dał rękawiczki nauczycielce w zamian za pocałunek w mroku nocy.

Słodki pocałunek, ale mający smak zdrady.

I teraz musiał się zmagać z nienawiścią do samego siebie, kolejnym uczuciem w całej burzy uczuć, jakie w nim walczyły od tamtej chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał Olivię Eversea na sali balowej.

Jego dusza cierpiała.

Świadomość, że Olivia może się czuć zraniona, zawstydzona albo porzucona, że choć przez chwilę może uznać rozłąkę z nim za możliwą do zniesienia, dręczyła go w bezsenne noce, a Londyn, który zawsze uwielbiał, stał się niezwykle męczący. Czas, po raz kolejny, stał się jego wrogiem.

Żeby przeżyć, przywołał na usta lekki, wyrażający zainteresowanie uśmiech. Służył mu jako maska i był równie skuteczny. Wkrótce odkrył, że to zupełnie wystarcza, żeby uchodzić za czarującego, ponieważ był Lyonem Redmondem i wszyscy i tak spostrzegali go w ten sposób.

Przyjmował zaproszenia na kolację z dawnymi kolegami szkolnymi, spędził kilka dość przyjemnych wieczorów u White’a, gdzie kelnerzy powitali go z prawdziwym entuzjazmem i szacunkiem, i gdzie stary pułkownik Kefauver nadal na przemian chrapał, gadał przez sen albo opowiadał przerażające historie z czasów swojego pobytu w Indiach. I tak pewnie miało trwać, jak pomyślał Lyon, do końca świata.

Pewnego wieczoru, kiedy razem z ojcem zasiedli przy stoliku u White’a i ojciec zaczął przeglądać gazetę, Lyon podniósł się i podszedł do księgi

zakładów; leniwie przewrócił parę stron.

Zamarł, kiedy w oczy rzuciło mu się własne nazwisko.

„N. Gracen zakłada się z lordem Fincherem o piętnaście funtów, że L. Redmond zaręczy się z córką Hexforda do końca roku”.

Już się zakładają o jego ślub z lady Arabellą.

Chociaż nie ryzykowano zbyt wiele, stawiając piętnaście funtów.

Ale Arabella stanowiła niezłą gratkę i każdy, kto brał pod uwagę oddanie jej Lyonowi, uznawał jego wyższość. Lyon też był łakomym kąskiem.

Kiedyś, w odległej przeszłości, może sześć miesięcy wcześniej, sprawiłoby mu to ogromną satysfakcję.

Teraz czuł się jednak jak rasowy byk kopiący ściany zagrody.

Szacowni klubowicze u White’a to byli zwykli durnie. Gotowi zakładać się o wszystko.

Kiedy patrzył na ten wpis, czuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

Musiał być blady z wściekłości, kiedy się odwrócił.

Ojciec mu się przyglądał.

I uniósł kieliszek jakby w toaście.

Na życzenie ojca przedstawił, przekonująco, swoje zapatrywania na silniki parowe i koleje grupie najbogatszych ludzi w Anglii, siedzących przy zapewne najdłuższym i najbardziej lśniącym stole w kraju.

Wiedział, że ojciec wyobraża go sobie prezydującego przy nim pewnego dnia.

Lyon w istocie widział się w tej roli.

I chwilami porywał go entuzjazm inwestorów. Uwielbiał bystre umysły, innowacje i mogące się opłacić ryzyko. Żywo dyskutowano o szczegółach i Lyon napawał się uznaniem pozostałych dla swoich idei dotyczących silników parowych. Przeznaczył na ten cel swoje własne fundusze.

– Jabłko nie pada daleko od jabłoni – twierdzono później zgodnie przy drinkach.

Drzewem był, rzecz jasna, Isaiah.

Lyon przypuszczał, że to komplement. Nie pozostał wobec niego całkiem obojętny.

Isaiah promieniał ze szczęścia.

Ale to wszystko, włącznie z przewidywanym sukcesem w Mercury Club, zaczynało się wydawać jakimś snem bez końca.

Żył naprawdę tylko przez godzinę, w każdy wtorek.

Odbywał konne przejażdżki po Rotten Row z Arabellą, która z wdziękiem dosiadała konia i tak przywykła do ciekawskich spojrzeń, że nawet nie mrugała okiem, kiedy głowy obracały się w ich kierunku. Na drodze było tłoczno dzięki pogodzie, więc zostali zauważeni; Lyon przewidywał, jakie informacje ukażą się następnego dnia w gazetach.

– Co za wspaniała para – usłyszał czyjś szept pełen zachwytu.

A kiedy odprowadził ją do domu, uśmiechnęła się i zaczerwieniła jakby przepraszająco. Wiedziała, że jest zbyt cicha i nieśmiała, a Lyon – wspaniały. Arabella zapewne nigdy nie sprzeciwiłaby się jakimkolwiek planom ojca co do siebie i nagle Lyonowi zrobiło się jej tak straszliwie żal, że pocałował jej dłoń na pożegnanie.

Po powrocie zastał ojca w domu, siedzącego w ulubionym fotelu, tym, który Lyon pamiętał od zawsze, wielkim, skórzanym Behemocie. Czytał gazetę.

– Jak tam przejażdżka z lady Arabellą?

– Urocza – skwitował krótko Lyon.

Odczekał chwilę w nadziei, że to, co powie, zabrzmi obojętnie, a nie rozpaczliwie.

– Ojcze, jeśli nie jestem ci już tutaj potrzebny, muszę wrócić do Sussex.

Ojciec podniósł głowę znad gazety.

– Och? Musisz? A to dlaczego?

– Kasztanowa klacz, o której marzę od dawna, została w końcu wystawiona na sprzedaż. Odłożyłem na ten cel trochę pieniędzy ze swojej pensji.

Przygotował to kłamstwo na przejażdżce z Arabellą, która dosiadała kasztanowej klaczy. W istocie wyłożył oszczędności na ostatnie przedsięwzięcie Mercury Club i czekał na profity. Nie było go w tej chwili stać na zakup klaczy.

Ojciec odłożył gazetę na kolana, przyglądając się synowi ze spokojem. Chwilę trwało, zanim się odezwał.

– A więc chodzi o klacz, czy tak?

W tych słowach kryła się taka ironia, że Lyonowi zjeżyły się włosy na karku.

– Tak. – Zdawał sobie sprawę, że to brzmi trochę wyzywająco, ale nic nie mógł na to poradzić.

Cisza.

– Doskonale, Lyon – powiedział w końcu ojciec tonem, którego Lyon nie umiał zinterpretować. – Wracaj do domu, do Pennyroyal Green. Obejrzyj swoją klacz. I powiedz matce, że wrócę za tydzień.

Olivia wciągnęła głęboko czyste, świeże powietrze w płuca, zanim przestąpiła próg domostwa Duffych, niczym nurek, który rzuca się w mętne wody. Miała jedynie zostawić żywność, uśmiechnąć się życzliwie i natychmiast wyjść – na tyle tylko zgodzili się jej rodzice – ale nigdy nie była w stanie. To przecież, na Boga, nie były kurczaki na podwórku. Nie pojmowała, jak człowiek obdarzony czującym sercem i sumieniem mógłby rozejrzeć się po domu Duffych albo spojrzeć w twarz pani Duffy i nie zaofiarować jej choćby chwilowej pomocy.

Polubiła dzieci, niektóre z nich – hałaśliwe małe dzikusy, niektóre – anioły, wszystkie, tak naprawdę mieszanina jednego i drugiego, wszystkie domagające się choć odrobiny uwagi ze strony wyczerpanej, zgnębionej

matki i obojętnego, nieszczęśliwego, zwykle nieobecnego ojca. Tak czy inaczej, dzieciom ledwie pozwalano być dziećmi; jak tylko podrosły na tyle, żeby móc chodzić, sprzątały po domach albo służyły jako niańki.

Olivia starała się każde pochwalić, przywitać się z każdym w specjalny sposób, zadać pytanie, które świadczyłoby o tym, że rozróżnia je jako osobne istoty, a nie masę głodomorów. Wierzyła gorąco, że każdy ma prawo do miłości, do pożywienia, ubrania, dachu nad głową. Ale jej pomoc była jak kropla w morzu potrzeb.

Postawiła koszyk z jedzeniem na brudnym stole, odsunęła zasłony, otworzyła okno, wypuszczając nieco stęchłego powietrza, ale też ujawniając resztki wyschłej owsianki na piecu oraz cienką warstwę brudu, który pokrywał wszystko, włącznie z dziećmi. Ogień palił się słabo, a mokre ubrania na kominku wydawały się pleśnieć powoli.

Pani Duffy natychmiast zaczęła rozpakowywać koszyk, podczas gdy dzieci tłoczyły się wokół niej.

– Dzisiaj rogaliki, pani Duffy – oznajmiła wesoło Olivia.

– Dziękuję. – Pani Duffy odgarnęła kosmyk cienkich włosów za ucho. Jej duma dawno już ulotniła się pod natłokiem głodnych gąb i brudnych pieluch. Przyjmowała wszelkie dostępne objawy miłosierdzia.

Czy panu Duffy zdarzało się patrzeć na panią Duffy z podziwem i pożądaniem?

Czy serce pani Duffy biło kiedyś żywiej na widok pana Duffy?

– Czy potrzymać niemowlę, pani Duffy, żebyś mogła nakarmić pozostałych?

Zmęczona do kresu możliwości pani Duffy podała jej niemowlę, śliczne maleństwo, które jeszcze niedawno śmiało się chętnie, zachwycone nowością świata, nawet zakurzonego, brudnego, hałaśliwego świata domu Duffych. Teraz było nieruchome i niepokojąco rozgrzane. W zeszłym tygodniu też chorowało.

Olivii serce się ścisnęło. Podniosła głowę, rozpaczliwie pragnąc stąd odejść, rozpaczliwie pragnąc pomóc i wiedząc, że cokolwiek by zrobiła, to wystarczy tylko na parę minut.

– Och, kochanie – szepnęła do dziecka, które się rozpłakało. – Czy nie sądzisz, że doktor powinien je obejrzeć, pani Duffy?

– Oczywiście, że potrzebuje doktora, panno Eversea.

Pani Duffy uśmiechnęła się lekko, z taką rezygnacją, że Olivię przejął chłód i poczuła się bardzo zawstydzona i młoda. Duffy nie mogli sobie pozwolić na doktora. Ani na nagrobek. Dziecko, kiedy umrze, zostanie zapewne pochowane pod drewnianym krzyżem na tyłach domu.

Pani Duffy będzie musiała dalej tutaj żyć.

A Olivia mogła stąd odejść.

– Do przyszłego wtorku – szepnęła.

Pocałowała niemowlę między oczy i podała je pani Duffy, która je podniosła jak ciężar, jakim było, a nie osobę, jaką mogłoby się stać, gdyby dożyło do wieku dorosłego.

Olivia chwyciła koszyk i wyszła.

Walczyła ze łzami, połykając wielkie hausty powietrza.

Zrozumiała teraz, że Lyon jest kolejnym błogosławieństwem w jej uprzywilejowanym życiu. Nagle nawet lady Arabella, gazety czy jego ojciec przestały się tak bardzo liczyć. Ważne były tylko chwile z nim spędzone.

Chciała koniecznie zobaczyć go jeszcze raz, choćby po to, żeby mu powiedzieć, jak bardzo jest mu wdzięczna.

10

Był wtorek o drugiej, nie o trzeciej, kiedy Lyon dotarł do Pennyroyal Green. Nawet on nie był w stanie zmienić praw fizyki rządzących upływem czasu, ale miał szybkiego konia, jechał dobrymi drogami, a od stajni do wiązu niemal biegł, wciąż mając na sobie kurz podróży.

Stał obok „O”, którego nie śmiał rozwinąć nożem w „Olivia”. Nie musiał. Miał to słowo wyryte w sercu. Ale jeśli będzie miał szczęście, dużo szczęścia – a kiedy go nie miał?, w końcu sam na nie pracował – złapie ją, kiedy będzie wracała od Duffych.

A kiedy dostrzegł w oddali jej małą postać – zamknął oczy i odmówił milczącą hosannę.

Otworzył je ponownie i wyszedł spod drzewa powoli, żeby jej nie przestraszyć.

Nie widziała go. Szła z opuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym we własne stopy, nie patrząc, jak zwykle, w niebo i przyrodę wokół.

Serce mu się ścisnęło. Działo się coś złego. Tak, jakby patrzył na latawiec, który usiłuje wzbić się w powietrze.

Zatrzymała się gwałtownie na jego widok, kładąc dłoń na sercu.

Przez długą chwilę żadne się nie odezwało. Ale jej twarz mówiła wszystko i był pewien, że radość, jaką na niej zobaczył jest odbiciem tego, co zobaczyła na jego własnej.

– Myślałam, że nie będzie cię przez miesiąc – powiedziała cicho.

– Wymyśliłem pretekst, żeby wrócić.

– Myślałam, że lubisz przebywać w Londynie.

– Wszystko, czego pragnę, to być tam, gdzie ty.

Dosłownie zobaczył, jak wstrzymała oddech.

Podeszła bliżej, powoli, jakby wyraz jego twarzy, jego pragnienie, przyciągały ją jak nić nawijaną na szpulkę.

Jej śliczna twarz wciąż wyrażała pewną ostrożność.

Opuściła teraz już pusty koszyk na ziemię.

W ciszy czuło się napięcie, ich wzajemna radość mieszała się z żalem, wyrzutami, frustracją, poczuciem odpowiedzialności.

– Widziałeś ją? – zapytała. Ale ton jej głosu był raczej obojętny, nie oskarżycielski.

– Jeśli chodzi ci o to, czy widziałem lady Arabellę, to tak. Widziałem się z nią. Tańczyliśmy. Odbyliśmy przejażdżkę po Rotten Row.

Patrzyła na niego, nie mrugnąwszy powieką.

– Myślałem o tobie w każdej chwili, każdego dnia, Liv. Widziałem cię wszędzie. W drzewach, chmurach, twarzach przechodzących kobiet, w kałuży sosu na rostbefie…

Odchyliła głowę, przyglądając mu się tymi błękitnymi, jakże błękitnymi oczami, zastanawiając się, czy to prawda. W kącikach jej ust czaiło się coś, co mógłby uznać za rozbawienie.

– Ona nic dla mnie nie znaczy. Byłem jak więzień w Newgate. Każdy dzień pobytu zaznaczałem kawałkiem węgla na ścianie w sypialni.

To wywołało słaby uśmiech na jej twarzy.

– Och, nie.

– Nawet napisałem wiersz: *Dla Olivii, która nie przyjęła rękawiczek*.

Uśmiechnęła się.

– Przekonałem się, że wszyscy ludzie na świecie są nudni poza tobą.

– Tyle czasu potrzebowałeś, żeby to zrozumieć? – I tak był to cień jej dawnego poczucia humoru.

Teraz naprawdę się zmartwił. Podszedł blisko, nie dotykając jej, ale na tyle blisko, żeby poczuć zapach lawendy, której zapewne używała, przechowując stroje.

– Liv – odezwał się cicho. – Dzieje się coś złego. Powiedz mi.

Wciągnęła powietrze.

A potem nastąpiło oberwanie chmury.

– Och, Lyon, tak mi przykro, że zachowywałam się tak dziecinnie. Te… te rękawiczki były takie piękne i tak ładnie z twojej strony, że o nich pomyślałeś… a ja… tak strasznie się czułam, myśląc o tym, jak bardzo zraniłam twoje uczucia. I myślałam…

– To moja wina – wtrącił pospiesznie. – Nie przemyślałem tego. Nigdy, przenigdy nie chciałem cię urazić. Chciałem tylko…

– Myślałam… a co, jeśli już nigdy go nie zobaczę? Jeśli jego powóz uległ wypadkowi albo wpadł z koniem do rowu i leży tam, poraniony i samotny?

Zaskoczony, parsknął śmiechem.

– To bardzo plastyczne wyobrażenie, ale jestem bardzo dobrym jeźdźcem.

– Nie śmiej się. A ja tak źle cię potraktowałam i nie miałbyś niczego, co by ci mnie przypominało, kiedy leżałbyś w tym rowie… Więc…

Zanurzyła rękę w kieszeni fartucha, a potem odetchnęła głęboko, chcąc się uspokoić.

– Zanim minie kolejna okazja, chciałam dać ci to. Jeśli to przyjmiesz. Wyciągnij rękę.

Uniósłszy brwi, zawahał się. Potem zastosował się do jej życzenia.

Położyła coś na jego dłoni. A potem zagryzła wargę, czekając na odpowiedź.

Spojrzał w dół. Z jego dłoni spojrzała na niego jej słodka twarz: niebieskie oczy, miękka chmura ciemnych włosów, prawdziwe, pełne życia. Miniatura, rzecz jasna, nie była nawet w przybliżeniu taka piękna jak

stojący przed nim oryginał, ale artysta pociągnięciami pędzla tak znakomicie uchwycił jej ducha, że Lyon był zbyt wzruszony, żeby się odezwać. To był najlepszy, najdoskonalszy prezent, jaki w życiu dostał.

Był dorosłym mężczyzną, ale nie ufał sobie na tyle, żeby podnieść wzrok.

Milczeli.

Lyon odchrząknął.

– Będę tego strzegł na zawsze jak skarbu, Liv.

Głos mu nieco zachrypł.

Zamknął dłoń na miniaturce i schował ją do kieszeni kubraka.

– Mam nadzieję – powiedziała, już bardziej przypominając dawną siebie. Ale jej głos także brzmiał ochryple.

Wtedy na nią spojrzał. Uśmiechnęli się do siebie i w ich świecie znowu powrócił porządek, choć nad Olivią nadal wydawał się wisieć jakiś cień.

– Liv – powiedział stanowczo. – Jest coś, o czym mi nie mówisz.

Znieruchomiała.

A potem nagle podniosła ręce i zakryła twarz dłońmi.

Odetchnęła głęboko, a kiedy opuściła ręce, na jej twarzy malowała się rozpacz, która go przeraziła.

– Dobrze. Mogę ci powiedzieć… Lyon… chodzi o… najmłodsze dziecko Duffych. Jest taka chora. Nie sądzę, żeby przeżyła. To takie straszne. Potrzebuje doktora. A oni nie mają nawet dość pieniędzy, żeby zapłacić za wynajem domu w tym miesiącu. Oczywiście, to nic niezwykłego. Tyle że już jest późno i pewnie ich wyrzucą, a dziecko umrze wtedy n-n-n-a-a-pewno.

Wciągnęła z drżeniem powietrze.

Przejął go chłód. Miał wrażenie, że zna blisko każdego członka rodziny Duffych i ich dobro leżało mu na sercu.

Wyciągnął chusteczkę i podał jej, kiedy w jej oczach zebrały się łzy, a trybiki jego umysłu zaczęły się gwałtownie obracać. Ulżyło mu, że wie, co

ją gnębi, bo dzięki temu mógł się zastanowić, jak temu zaradzić.

– Tak strasznie mi przykro, że się tak mażę, Lyon. Tylko tak trudno na to patrzeć. To takie ładne dziecko, wcale nie marudzi i nie czeka jej dobre życie, nawet jeśli przeżyje. Prosiłam już wcześniej ojca, żeby im pomógł i był wyrozumiały, ale to nie jedyni biedacy w Sussex i on mówi, że oni będą tylko czekać na datki, a on nie jest w stanie karmić wszystkich. Nie mogę znowu go o to prosić.

– To brzmi zupełnie jak mój ojciec.

Lyon był w gruncie rzeczy pragmatykiem. Zgadzał się z obydwoma ojcami. Niektóre rodziny dawały sobie radę z biedą na różne sposoby, nie tracąc dumy. Rodzina Duffych, z powodu pana Duffy, do nich nie należała.

Jednak nie mógł się powstrzymać od tego, co zrobił. To był bardziej odruch, potrzeba chwili niż przemyślane działanie.

Wsunął rękę do kieszeni.

– Weź to.

Wsunął zegarek kieszonkowy w dłoń Olivii.

– Twój zegarek? Dlaczego?

– Weź – nalegał. – Daj go ich panu. Będzie mógł go zastawić za równowartość co najmniej rocznego wynajmu. Poleć mu przekazać resztę, jeśli będzie, adwokatowi w Londynie, panu Bartholomew Tolliverowi, żeby założył fundusz powierniczy dla dzieci. Dobry człowiek, ten Tolliver.

Oszołomiona, popatrzyła na zegarek.

– Ale… są na nim twoje inicjały… Lyon, ty kochasz ten zegarek… to prezent… nie mogę…

– To był prezent dla mnie, a teraz daję go tobie. Gdybym miał worek gwinei w kieszeni, to bym ci go dał, ale nie mam. Gdybym mógł, Liv, sam nakarmiłbym wszystkich głodnych i starł dla ciebie na zawsze z powierzchni ziemi „handel trójkąta”. Ale teraz jest pilna potrzeba i znaleźliśmy rozwiązanie. Weź ten zegarek. Sprawię sobie kiedyś inny.

Wahała się nadal.

– Ale Lyon…

– Olivia.

Podniosła głowę, zaskoczona tonem jego głosu, otwierając szeroko oczy.

– Musisz mi pozwolić coś sobie dać. – Powiedział to powoli; każde słowo zdradzało udrękę.

Zacisnęła na nim palce.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepnęła.

– Powiedz: dziękuję.

– Dziękuję. – Spojrzała na zegarek, gładząc delikatnie kciukiem satynowy metal wieczka, które otwierał i zamykał niezliczoną ilość razy. Cenił sobie ten zegarek. Ale teraz czuł tylko ulgę, że mógł ulżyć jej strapieniu.

Podniosła wzrok, uśmiechając się lekko.

– Jest okrągły. Jak księżyc.

– Taki jest.

Odwzajemnił uśmiech.

– Jaki ze mnie dzieciuch, Lyonie. Wcale nie chciałam płakać.

– Dzieciuch? – oburzył się. – Jaki „dzieciuch” wchodzi do takiego domu, serce mu się kraje, a on wraca tam wciąż i wciąż, bo jest potrzebny? Jesteś tygrysicą.

A łzy znowu popłynęły obficie.

Nie pamiętał, jak to się stało, ale w jednej chwili patrzyła na niego ze łzami drżącymi na rzęsach, a w następnej obejmował ją ramionami, a ona tuliła się do jego kubraka. Oparła czoło na jego piersi. Otoczył dłonią tył jej głowy, a drugą zsunął wzdłuż jej pleców, żeby spoczęła w słodkim zagłębieniu tuż nad jej siedzeniem i zaczął szeptać słowa, o których nie sądził, że kiedyś przejdą mu przez usta:

– Och, Liv. Liv. Moje serce. Moja miłości. Nie płacz, proszę. Tylko nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Szlochała trochę, cicho, przez chwilę. W końcu westchnęła.

A on po prostu trzymał ja w objęciach.

To była cudowna chwila. Wydawało się, że to nadzwyczajny przywilej móc być tą osobą, która ją pociesza.

Nie miał pojęcia, że po prostu stać i oddychać spokojnie w tym samym rytmie co druga istota ludzka, to taka przyjemność.

– Tak za tobą tęskniłam – szepnęła.

Serce mu pękło, a potem urosło trzy razy większe.

Miękki dotyk jej piersi, wznoszenie się i opadanie jej oddechu pod dłońmi. Szczęście trzymania jej w ramionach było niemal nie do zniesienia. To tak, jakby słońce zamieszkało w jego piersi.

Tulił ją i szeptał, gładząc delikatnie, uspokajająco jej plecy.

Nie myśląc, musnął w pocałunku czubek jej głowy.

Poczuł, jak wstrzymała oddech.

Potem jej plecy poruszyły się przy długim wydechu; podniosła głowę, patrząc na niego.

– Liv? – szepnął.

Ostrzeżenie.

Jedyne, jakie miała od niego otrzymać.

Ale podniosła się na palcach, żeby ich usta mogły się spotkać.

Przesunął wargami po jej ustach, leciutko, ale nawet tak grał w ruletkę, gdzie stawką było jego panowanie nad sobą. Jej usta – miękkie jak płatki kwiatów, smak nieba…

Mocniej zacisnął ramiona. W rękach i nogach czuł dziwne mrowienie, w miarę jak uwalniał, odrobinę, swoje tłumione, jakby gromadzone całe życie, pożądanie.

Dotknął jej ust bardziej zdecydowanie. Rozwarł jej wargi lekkim pocałunkiem.

Jęknęła cicho. Zaskoczona, ale i podniecona.

Ten dźwięk uderzył mu do głowy jak whisky.

Pocałował ją znowu, tym razem dotykając jej języka.

Odchyliła głowę, oddawała pocałunek, jakby urodziła się z wiedzą, jak to robić.

Odsunął się na chwilę, żeby zaczerpnąć oddechu.

– Czy zrobiłam to właściwie? – szepnęła.

– Boże, tak – wychrypiał.

– Czy możemy to zrobić jeszcze r…

Pocałował ją, zanim zdążyła dokończyć. Gwałtownie. Odpowiedziała równym pożądaniem. Pożądanie to istota z pazurami, które go teraz ponaglały. Gładził dłońmi jej łopatki, jej satynowa skóra oddzielona była tylko cienką warstwą muślinu od jego głodnych rąk. Miał ochotę zerwać go jak dzikus i zanurzyć się w niej.

Otoczyła jego głowę rękami i przyciągnęła go bliżej. Jej usta były słodkie jak miód, a on czuł się coraz bardziej oszołomiony, zamroczony z każdym pocałunkiem i coraz głębiej wpadał w wir pożądania.

Oparł ją o drzewo. Całowali się szybko, gwałtownie, zaborczo.

Przerywali po każdym pocałunku, żeby odetchnąć przy swoich ustach. Jego własny oddech brzmiał w jego uszach jak odległa burza.

Jej dłonie ześlizgnęły się do jego pasa; przycisnęła się mocno do niego.

– Liv. – Dotknął miękko jej ust swoimi.

Miała ciężkie powieki, gorący, szybki oddech wydobywał się spomiędzy jej rozsuniętych warg.

Tracił rozum.

Wygięła się przy nim.

– Liv… ja… – wychrypiał z trudem. – Nie możesz…

Odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy; widział, jak pulsuje jej krew na szyi.

– Och, Boże. Och, Boże. – W chwili mimowolnej rozkoszy jego dusza opuściła ciało, unosząc się gdzieś nad równinami Sussex.

Zanurzył twarz w jej szyi. Był rozdarty między rozpaczą a euforią.

Co, na Boga, miał robić?

– Ty drżysz – szepnęła.

Oparł czoło o jej czoło i zamknął oczy. Nie był jeszcze w stanie się odezwać. Ich oddechy mieszały się, unosząc się białą krętą smużką w zimnym powietrzu.

W końcu otworzył oczy. Jej niebieskie oczy wciąż zasnuwała mgiełka od pocałunków, był w nich niepokój.

– Przykro mi, Liv. Nie chciałem, żeby to się stało takie… takie…

– Ćśśś – powiedziała. – Mnie nie jest przykro.

Spojrzał na nią z góry. Wciąż miała trochę wilgotne rzęsy.

Przesunął palcem lekko, leciutko, powoli, wokół jej ust. Słodka górna warga, bujna, pełna dolna.

Wiedział, że odtąd przez resztę życia, ilekroć zobaczy zamgloną szybę, narysuje na niej ten kształt.

– Pewnie wiesz… powinnaś wiedzieć, że jest coś więcej, Liv… czego mogłabyś doznać. To… coś niezwykłego.

– Więcej?

– Gdybym cię dotykał… w pewnych miejscach… w pewien sposób…

W życiu nie zdarzyło mu się prowadzić równie pokrętnej, niezręcznej rozmowy.

Miała szkarłatne policzki.

Podejrzewał, że on także.

– Nie chcę cię tak zostawić. Chodzi o to, że nie wolno nam… musimy być tacy ostrożni… Rozumiesz, że to niebezpieczne?

Skinęła głową.

Może rozumiała. A może nie.

Z pewnością zrozumie następnym razem.

– Niebezpieczne – powtórzyła cicho. Oczy jej pociemniały, patrzyła rozmarzonym wzrokiem.

– Tak. Takie… – Pocałował jej usta delikatnie, przeciągle. – Takie…

– …niebezpieczne – szepnęła, rozchylając usta. Powoli, bardzo powoli tym razem.

Jakby mieli cały czas na świecie.

11

Olivia nie wiedziała, że świat może powstać z pocałunku. Chciała być Lyonem, wniknąć w niego. Nie dało się jednak nie oddychać pomiędzy długimi pocałunkami i kiedy to zrobiła, odchylając głowę do tyłu i otwierając oczy…

Na tyle długo, w istocie, żeby zauważyć czerwoną smugę na niebie.

Słońce zachodziło. Było szokująco późno.

– Ooojej!

Bez słowa więcej chwyciła koszyk i zerwała się do biegu, jak królik uwolniony z pułapki, gnając przed siebie, jakby jej życie od tego zależało, gubiąc pewnie po drodze parę spinek do włosów.

Świadomie zwolniła, idąc spacerowym krokiem, kiedy w polu widzenia pojawił się dom Eversea.

Podobnie jak jej ojciec, który wydawał się odbywać spokojną przechadzką z psem. Podczas gdy normalnie byłby teraz w domu, przygotowując się do kolacji.

Zatrzymała się raptownie.

– Dobry… wieczór, papo.

Niech to… Faktycznie był wieczór.

– Przejdziesz się ze mną chwilę, córko?

Serce podskoczyło jej w piersi ze strachu. Dłonie zaczęły jej się pocić i marzyła o tym, żeby je wytrzeć o spódnicę, zapewne wygniecioną. Nie odważyła się.

– Byłam u Duffych, papo. Zaniosłam im jedzenie. – Pomachała koszykiem.

– Och, tak. To jest to, co zwykle robisz we wtorki. Dzisiaj zajęło ci to dużo czasu – zauważył łagodnie.

– Tak.

– Tu. W Pennyroyal Green, jest dosyć bezpiecznie, ale, rozumiesz, ojciec zawsze się martwi. Może powinnaś brać ze sobą psa. Na przykład tego.

Pies uśmiechnął się po psiemu i sapnął z nadzieją, drepcząc obok nich i obwąchując wszystko.

– Pies walczyłby tylko z psem Duffych. Albo by się z nim parzył, a nikt nie wie, ile ras się złożyło na stworzenie ich psa takim, jakim jest.

Ojciec roześmiał się, a ona się zarumieniła.

– Wybacz, papo. Więcej się nie spóźnię. Nie musisz się martwić. Przykro mi, jeśli cię zmartwiłam.

Nie musiał się martwić, że się znowu spóźni.

Czy to było widać? Jej zaróżowione policzki i włosy, pewnie w nieładzie, usta spierzchnięte od gorących pocałunków. Bardzo chciała znaleźć się teraz sama, żeby ich dotknąć, nacieszyć się dotykiem Lyona. Przeżyć to znowu i znowu. Nie śmiała zrobić tego teraz.

Jeśli ojciec coś zauważył, nic nie powiedział. Może przypisał jej wygląd temu, że biegła.

– Wydajesz się teraz dużo szczęśliwsza, Olivio, niż choćby dzień wcześniej.

– To widocznie te ziółka, które mama we mnie wmusiła, eee, do wypicia których matka mnie wczoraj zachęciła.

– Ach – powiedział ojciec.

Szli w milczeniu i Olivia była wdzięczna za towarzystwo teraz, kiedy już prawie zapadała noc.

– Wiesz, spacerowałem tą drogą z twoją matką, kiedy byłem chłopcem. Tak bardzo ją przypominasz z jej dziewczęcych lat. A była taka uparta, mój

Boże. Taka dowcipna. Taka bystra.

Powiedział to z głębokim zadowoleniem. Był dumny z tych wszystkich cech u swojej żony i u Olivii.

Olivia roześmiała się. Wziął od niej koszyk i powiesił go sobie na ramieniu, drugą ręką ujmując Olivię pod ramię.

– Byłem najlepszym przyjacielem jej brata, wiedziałaś o tym?

– Wuja George'a? Och, tak. Myślę, że wiedziałam.

– Twojego wuja George'a, w istocie. Byliśmy razem w szkole.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie ojca jako młodego mężczyznę. Śmiałego, przystojnego, pewnego siebie. Brat matki nosił nazwisko Sylvaine i był ojcem pół tuzina kuzynów, których widywała rzadziej niżby chciała.

Spacerowali, a nad ich głowami rozciągnęła się wielka, fioletowa chmura. Olivia zastanawiała się, czy Lyon już dotarł do domu. Wsunęła dłoń do kieszeni fartuszka i zamknęła ją na zegarku. Właściciel domu Duffych był uczciwym człowiekiem, zmagającym się z mnóstwem własnych kłopotów i mieszkał blisko. Będzie musiała namówić lokaja, żeby mu zaniósł zegarek.

Co robi Lyon po powrocie do domu? Czy myśli o niej?

Uśmiechnęła się lekko. Jakże mógłby nie myśleć?

– Czy… czy zakochałeś się w mamie od razu, papo?

Odwrócił się do niej z uśmiechem.

– W istocie. Od razu zrozumiałem ten cały nonsens ze strzałami Kupidyna. – Klepnął się ręką po piersi. – Tu się wbiła i nigdy nie wyszła.

– Czy mama…?

– Czy twoja mama… cóż, wydawało mi się, że kochają się w niej wszyscy młodzi mężczyźni w Sussex, ale patrzyłem na nią zakochanymi oczami. Czy wiesz, że pan Tingle był nią zauroczony?

– Pan Tingle z księgarni?

– Och, ożenił się później szczęśliwie z kobietą stworzoną dla siebie. Był pewien wicehrabia, a nawet hrabia, którzy posyłali twojej matce kwiaty. Sylvaine'owie to bardzo dobra rodzina, choć wtedy nie byli tacy bogaci jak teraz. Wykształceni, porządni. Choć niekoniecznie pretendenci do tronu.

Olivia parsknęła śmiechem.

– Pewnego dnia, papo. Jest nas dosyć dużo i jeszcze możemy wżenić się w rodzinę królewską.

– Och, ty i Genevieve z pewnością świetnie wyjdziecie za mąż – odparł.

Poczucie winy odebrało jej mowę.

– Był nawet Isaiah Redmond, jeśli możesz to sobie wyobrazić. Zalecał się do twojej mamy.

Ach. Zrobiło jej się ciężko na sercu. Bardzo jej to nie odpowiadało, teraz, kiedy miałaby ochotę pofrunąć do domu jak na skrzydłach i przeżywać ponownie to, jak się czuła w ramionach Lyona. Może użyje poduszki, żeby wspomóc pamięć.

Jej ojciec był niezwykle subtelnym, mądrym człowiekiem. Zaczęła podejrzewać, że za tym niewinnym spacerem kryje się coś poważniejszego. I tak, kiedy wędrowali tą drogą w stronę domu Eversea, ojciec zmierzał do jeszcze innego celu – chciał jej coś uświadomić.

Ona i Lyon byli tak ostrożni aż do dzisiaj. Chyba nikt nie widział, jak się spotykali?

– Przez jakiś czas pływałem po morzach, zdobywając fortunę, jak wszyscy mężczyźni Eversea. Fortunę, jaką dzisiaj się cieszysz, droga córko. – Żartobliwie dźgnął ją łokciem. – Kiedy wróciłem, musiałem walczyć o jej rękę. Również z panem Redmondem.

– Wygląda na to, że mama miała w kim wybierać. Tak się cieszę, że wybrała ciebie. Jesteś najlepszy.

– Och, pochlebczyni. To teraz oboje tak uważamy.

– Chociaż pani Redmond także jest bardzo ładna.

– Trzeba było ją widzieć, kiedy była młoda.

Dziwnie było wyobrażać sobie tych wszystkich ludzi jako młodych mężczyzn i kobiety. Tacy byli teraz zadowoleni, mama i papa. Czy kiedykolwiek cierpieli z tęsknoty? Czy toczyli ze sobą subtelną wojnę? Niemal niemożliwe wyobrazić sobie chłodnego, eleganckiego ojca Lyona, cierpiącego z jakiegoś powodu – z wyjątkiem chciwości. A co dopiero własną matkę, która nie zakochuje się natychmiast w ojcu, który jest taki cudowny. Ale może tak właśnie było.

– Widzisz… pieniądze umożliwiają wiele rzeczy, Olivio. Uwielbiam je rozpaczliwie, jeśli chcesz wiedzieć. Dla mnie pieniądze to możliwości. Nieskończone możliwości. Zdobywanie ich, zarządzanie nimi, pomnażanie… to umiejętność, sztuka i to nie dla słabeuszy. Nade wszystko to bezpieczeństwo. Dają bezpieczeństwo tym, których kocham i za to jestem nieskończenie wdzięczny. Wiesz, moja droga, za nami i rodziną Redmondów ciągnie się trudna historia i pewnego dnia usłyszysz o tym więcej. Nie jesteśmy bez winy. W historii rodziny Eversea był niejeden hultaj, ale przeżyliśmy i zawsze, pamiętaj, zawsze będziemy żyć w dobrobycie.

Zerknął na nią, jakby chcąc się upewnić, czy na pewno słucha.

– Ale tak jak Eversea kochają pieniądze, dla rodziny Redmondów nie ma nic ważniejszego niż bogactwo. Zawsze zwycięży. I nie dbają o to, kogo przy okazji zranią.

Niepokój zamienił się w zimny, twardy węzeł w żołądku. Miała żal do ojca, że wniósł wątpliwość do jej raju, ale stało się. Przyłączając się do tego maleńkiego ziarenka wątpliwości, które tkwiło tam, być może, od początku. Ojciec wydawał się zawsze wiedzieć najlepiej. To była rzecz niepodważalna w jej życiu.

I jakie to miało znaczenie wobec tego, co się stało wcześniej, jeśli teraz się mylił?

Nie odzywała się.

Ojciec milczał chwilę.

– Chcielibyśmy zapewnić ci sezon w Londynie w tym roku, Olivio, skoro nie mogłaś uczestniczyć w poprzednim. Miałabyś na to ochotę?

– Tak, papo, byłoby wspaniale, dziękuję – powiedziała, nie zastanawiając się wiele.

Sezon wydawał się taki odległy. A ona właśnie całowała i była całowana (i całowana, i całowana) po raz pierwszy w życiu i to było wszystko, o czym chciała myśleć. O tym i o następnej okazji, kiedy pocałuje Lyona.

W następny poniedziałek, kiedy Olivia zeszła w końcu na dół po gorączkowej, niemal bezsennej nocy, zastała, ku swojemu zaskoczeniu, całą rodzinę zgromadzoną przy stole, przy śniadaniu – przeżuwającą, gawędzącą, ziewającą. Światło wpadało do kuchni w sposób, jaki uwielbiała, przebijając się przez zasłony; kiedy wsunęła się na swoje zwykłe miejsce i podsunięto jej dzbanek z kawą, uśmiechnęła się sennie, ale z wdzięcznością.

Już miała sięgnąć po miseczkę z marmoladą, kiedy zauważyła złożoną kartkę pergaminu obok talerza.

– Co to takiego? – zapytała zaintrygowana.

– Przyszło do ciebie dziś rano z resztą korespondencji – odparł ojciec. – Od pani Sneath.

Rozłożyła szybko kartkę.

Droga panno Eversea!

Uznałam, że inna rodzina powinna skorzystać z twojego oddania i wdzięcznej obecności. Odtąd panna Putney zajmie się rodziną Duffych. Chciałabym się spotkać z tobą we wtorek o drugiej na plebanii, żeby porozmawiać o rodzinie O'Flahertych.

Wspólnie działając w dziele niesienia pomocy ubogim

Pani Sneath

Ogarnął ją chłód złego przeczucia. Nie śmiała podnieść głowy. Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Rodzina O’Flaherty mieszkała w znacznej odległości od Duffych. Nigdzie w pobliżu wielkiego wiązu.

Nie wiedziała, jak go zawiadomić. Wyobraziła sobie, jak Lyon na nią czeka i czeka… a kiedy ona nie przychodzi…

Nie mogła znieść tej myśli.

Wyznaczona w liście godzina mogła być, oczywiście, dziełem przypadku.

Albo ojciec, na swój subtelny sposób, wskazał tę porę, starając się ją chronić.

Ale chyba nie mogli wiedzieć niczego na pewno o niej i o Lyonie.

Z drugiej strony idąc na spotkanie, nie interesowała się niczym specjalnie poza Lyonem. I całowaniem go. Czyżby całe miasto śledziło ich przez lunety polowe?

Z pewnością nie.

Miała wrażenie, że w kuchni zapadła nagła cisza. Jakby wszyscy zamarli, badając jej reakcję.

Ale kiedy w końcu powoli podniosła wzrok, wszyscy przeżuwali albo sięgali po dżem, albo obejmowali bolącą głowę (Colin).

Poza tym oni nie znali Lyona.

Lyon był zdecydowanym człowiekiem.

I potrafił planować.

A jeśli myśleli, że tak łatwo będzie ich rozdzielić, jeśli w istocie krył się za tym taki zamiar… to jej także, tak naprawdę, nie znali.

– Czego chce pani Sneath, Olivio? – zapytała matka.

– Chce, żebym zaczęła odwiedzać inną rodzinę! – odparła wesoło Olivia. – Nie mogę się doczekać.

Nabożeństwo niedzielne wydawało się nie mieć końca; Olivii nieco łatwiej było je znieść ze względu na to, że mogła się wpatrywać w pewną szczególną parę ramion i pewną piękną głowę.

Może to wyobraźnia, ale miała wrażenie, że drżą z napięcia, nie mogąc się odwrócić, żeby na nią spojrzeć.

A kiedy wreszcie zostali uwolnieni od cotygodniowego obowiązku i wszyscy wstali i zaczęli opuszczać kościół, zatrzymała się na chwilę, jakby patrząc z miłością na płyty grobowe swoich przodków; wypuściła z rąk książeczkę do nabożeństwa.

Opadła na kolana.

Lyon Redmond, który akurat przypadkiem przechodził obok, także przyklęknął, żeby podnieść jej modlitewnik.

– Pani Sneath przeniosła mnie do O'Flahertych. O drugiej we wtorki.

Nie odpowiedział. Podniósł tylko modlitewnik i włożył jej go do rąk, po czym dotknął kapelusza, kiedy szepnęła słowa podzięki.

Musiała się zdobyć na nadludzkie opanowanie, żeby nie otworzyć książki po drodze. Nadludzkiego opanowania wymagało także to, żeby nie przebiec całej drogi do domu.

Kiedy już się jednak tam znalazła, potrząsnęła mocno książką.

Wyfrunął z niej kawałek pergaminu.

Spotkaj się ze mną jutro o trzeciej koło dębów w pobliżu domu O'Flahertych. Znam polankę.

Przycisnęła pergamin do siebie, śmiejąc się z zachwytu.

W jakiś sposób się dowiedział. Był, jak zwykle, przygotowany.

– Tak się martwiłam, że pomyślisz, że cię porzuciłam. – Brakło jej tchu, kiedy podbiegła, żeby się z nim przywitać. Ujął jej ręce w swoje. Teraz mogli.

Mogli i, och, mieli się dotykać.

– Wiedziałem, że tego nie zrobisz, Liv. Wiedziałem, że coś musiało się stać. Więc złożyłem pani Sneath wizytę i porozmawialiśmy sobie o tym, jak piękną rzeczą jest dobroczynność. Przekazałem skromną donację i powiedziałem, że moja siostra, Violet, chciałaby roznosić na ochotnika koszyki z jedzeniem. Była tak zaszokowana i olśniona tą możliwością, że nie było trudno wyciągnąć od niej, które rodziny potrzebują pomocy i które młode damy biorą w tym udział.

Roześmiała się, wyobrażając sobie biedną panią Sneath, która musiała uważać Violet Redmond za wyzwanie i wspaniałą możliwość na przyszłość.

– Myślałeś, że przestraszyłam się tych pocałunków? – zapytała żartobliwie.

– Dobry Boże, nie. Wiedziałem, że nie oprzesz się chęci, żeby wrócić po więcej.

Uwolniła ręce i pchnęła go lekko, a on usunął się ze śmiechem.

A potem delikatnie chwycił jej dłonie, splatając jej palce ze swoimi w geście tak intymnym, tak serdecznym, że oboje zamilkli.

Zaprowadził ją na polankę. Chcieli być sami i wydawało się tak oczywiste dlaczego, że nie odzywali się ani słowem, pełni napięcia, podnieceni i onieśmieleni.

Ludzie rzadko zapuszczali się w tę część lasu, ale Lyon jako chłopiec poznał każdą jego piędź.

– Tędy, Liv!

Przeszli pod płotem z gałęzi.

Sapnęła zaskoczona.

– Lyon, to jak polana z bajki!

Otaczał ich pierścień krzewów, światło sączyło się poprzez listowie wiązów i dębów. Pod stopami rozciągał się kuszący materac mchu, opadłych liści dębu i głogu.

– Odkryłem to miejsce, kiedy byłem chłopcem. Zawsze wiedziałem, że kiedyś to odkrycie przyniesie pożytek.

Zrzucił kapelusz i strząsnął kubrak. Opadł na miękki, roślinny dywan. Złożył równo kubrak i poklepał go, a ona uklękła na nim ostrożnie.

Byli zbyt onieśmieleni, żeby od razu dać wyraz swemu pożądaniu.

– Chodź. Połóż mi głowę na kolanach – poleciła.

– Dobrze. Skoro nalegasz.

Nalegała; rozkosznie było spocząć na poduszce jej ud.

– To cudowne, Liv.

Odsunęła mu delikatnie włosy z czoła i jeszcze raz i jeszcze… Westchnął ze szczęścia.

– Zostańmy tutaj na zawsze – powiedziała.

– Dobrze – szepnął.

– Urządzę to miejsce. Będzie wyglądało jak twój dom w Hiszpanii.

– Doskonale – zgodził się, senny i szczęśliwy.

– Lyonie, pani Sneath powiedziała, że dziecko Duffych ma się znowu dobrze. Wyzdrowieje. Wezwali doktora i mogli sobie pozwolić na lepsze jedzenie – wszystko dzięki twojemu zegarkowi. Jestem tego pewna, choć właściciel zachował najdalej posuniętą dyskrecję i ani pani Sneath, ani pani Duffy nie mają pojęcia, kto może być tajemniczym dobroczyńcą. I pani Sneath powiada, że pan Duffy poprzysiągł znaleźć stałą pracę.

– Bogu niech będą dzięki. – Mówił szczerze. O dziecku. Choć nie pokładał ani trochę wiary w panu Duffy.

Otworzył oczy.

Światło padało pod takim kątem, że widział cień sutków Olivii pod stanikiem sukni; zaledwie parę cali od jego twarzy.

Krew zaszumiała mu w głowie, zamknął oczy, pomyślał o pani Sneath i nie usłyszał, co mówi Olivia.

– Lyon?

Widocznie zadała mu jakieś pytanie. Mogła powiedzieć mnóstwo rzeczy, których nie usłyszał.

Ponownie otworzył oczy.

Patrzyła na niego z troską.

– Olivio, połóż się obok mnie.

Jego głos brzmiał dziwnie w jego własnych uszach. Jakby wydobywał się spod wody.

Sturlał się z jej kolan i ułożył na boku, a ona położyła się obok, uśmiechając łagodnie.

Przez chwilę, jakby zawieszoną w czasie, patrzyli sobie w oczy, niewyobrażalnie szczęśliwi.

A potem ostrożnie wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palcem po wrażliwym wnętrzu jej ramienia, wzdłuż błękitnej linii żyły. Dotyk jej cudownie satynowej skóry był czystą rozkoszą. Tygodnie wstrzemięźliwości nauczyły go tego, żeby smakować każdą chwilę. Żeby być koneserem, a nie łakomczuchem. Żeby każdy cal jej ciała traktować jako godny pożądania w sposób nieskończony.

W dniu, kiedy będą się kochać, ziemia zatrzęsie się i powstaną nowe kontynenty.

Musnął paznokciami jej ramię, patrząc, jak powstaje gęsia skórka. Jej oczy pociemniały, stały się wielkie; wyrażały fascynację.

Potem pochylił się i złożył gorący pocałunek w zgięciu jej łokcia.

Westchnęła i zamknęła oczy.

A potem przesunął usta, żeby pocałować pulsujące krwią tajemne miejsce pod uchem.

Pochylił się i przykrył jej usta swoimi, całując ją długo i mocno, a ona wsunęła mu palce we włosy, delikatnie przesuwając paznokciami po jego karku i rozbudzając jeszcze bardziej jego pożądanie. Dotknął wargami jej szyi, a potem zsunął je niżej i niżej, aż do tego pociągającego cienia tuż nad wypukłością piersi.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i wygięła się; wiedział, czego chce, ale nie mógł jej tego dać. Mógłby dosłownie zabić za przywilej odsłonięcia jej piersi i ucałowania ich.

Nie śmiał. Nie ufał sobie. Znał logikę pożądania i wiedział, że kiedy ujrzy jej nagą pierś, przekona sam siebie, że posiąść ją to następny rozsądny krok; wiedział, że namiętna natura Olivii sprawi, że sama da się ponieść swoim uczuciom.

I miała do niego zaufanie. To cenił sobie najbardziej.

I choć było to nieco szalone, że najcudowniejsze części swojego ciała musieli nawzajem traktować, jakby były poranione, albo pokryte kolcami i dlatego należało ich unikać, to jednak nie pamiętał, żeby doświadczył w życiu czegoś równie erotycznego.

Trząsł się cały.

– Och, Boże, Liv – szepnął.

Znowu dotknął ustami jej ust i przesunął je na jej szyję, obwiódł językiem jej ucho, aż jęknęła cicho, a jej ciało zafalowało. Wyszeptał jej imię i przycisnął ją mocno do siebie, przenosząc rękę na jej biodro.

Otoczyła ramionami jego głowę; ich usta dotykały się i rozdzielały. Oddychała z trudem.

– Lyon… Lyon, och… proszę… Och, Boże…

Krzyknęła z rozkoszy, wbijając palce w jego ramiona.

Fala cielesnej przyjemności ogarnęła oboje. Zamknął oczy, a ona wtuliła się w jego ramiona.

Oddychając, czuł zapach lawendy, słodyczy, potu, zapach Olivii; nie mógł pojąć, że mógłby budzić się co rano przez resztę życia, nie czując go.

W końcu otworzył oczy. Jej wciąż były pociemniałe, półprzytomne, rozmarzone; usta wyginał lekki uśmiech. Przyglądała mu się.

Zaśmiał się krótko, boleśnie.

– Liv, kochana. Mogę umrzeć przez ciebie.

Milczała.

Wiedziała, że to nie jest zabawne.

Dla żadnego z nich.

Beztroskę i swobodę między nimi zastąpił głód. Głód, który miał narastać, im częściej się będą widywać, a w końcu sprawi, że się znienawidzą, jeśli nie zdołają go zaspokoić. Albo zrobią coś niesłychanego – i godnego pożałowania.

Ale, Boże, rozkoszy, jaką im by to dało, nie zdołaliby nigdy zapomnieć.

Może dlatego warto byłoby to zrobić.

A to, jak wcześniej stwierdził Lyon, był wyjątkowo niebezpieczny sposób myślenia.

– Budzę się w nocy, Olivio, i myślę tylko o tobie – szepnął sennym głosem, w którym brzmiało zdziwienie. – I o tym, jak bym cię dotknął i gdzie. Wyobraź sobie, jak to jest bez ubrania.

– Wyobrażam sobie. Co noc.

Zamknął oczy i wydał dźwięk – ni to śmiech, ni to jęk.

– Zabijasz mnie.

Trzymali się nawzajem w ramionach i teraz, kiedy gorączka pożądania nieco się uspokoiła, uświadomili sobie, że stoją przed drzwiami, których otwarcie grozi niebezpieczeństwem, ale którego nie da się uniknąć. Czuli strach, ale i pokusę.

– Porozmawiam z ojcem dziś wieczorem – oznajmił w końcu.

To zabrzmiało niemal jak wyrok.

Wstrzymała oddech.

Delikatnie wyplątała się z jego ramion i usiadła; objęła się mocno za kolana, spojrzała na niego i zagryzła wargę. Ogarnęła ją fala emocji, strach i radość zarazem. Nadzieja i złe przeczucie, zdumiewająco do siebie zbliżone.

– Naprawdę, Lyon?

Także usiadł.

– Tak.

– Ale… twój ojciec… Co, jeśli…

– Dzisiaj wieczorem – powtórzył uparcie.

„Dzisiaj wieczorem” brzmiało jak „dzisiaj albo nigdy”.

A w końcu jego mottem życiowym było dostawać to, czego chce.

A potem ją pocałował, rozpraszając strach i wątpliwości.

Dziś wieczorem. W tych słowach zawierała się nieograniczona możliwość. Te słowa stanowiły granicę między chwilą obecną a resztą życia.

Kiedy go całowała, łatwo było uwierzyć, że spełni się wszystko, czego pragną, bo jakże los mógłby się sprzysiąc przeciwko ich szczęściu? Jaki byłby w tym sens?

12

Lyon wracał do domu w szczególnym stanie ducha czy raczej stanie serca, rozdarty niczym stary wiąz między szczęściem a niepokojem. Nie opuszczała go zarazem gorąca i radosna nadzieja. Nie mógł sobie wyobrazić życia, w którym nie będzie noc w noc, do ostatniego tchnienia, leżeć w łożu obok Olivii Eversea. Sprzeciwianie się ich związkowi byłoby jak sprzeciwianie się światu, w którym świeci słońce.

Z pewnością zdoła przekonać ojca. Ostatecznie w ciągu ostatnich miesięcy doświadczył niejednego cudu: poznał, całował i pokochał z wzajemnością Olivię Eversea. W świetle tych wydarzeń nawet przekonanie Isaiaha Redmonda do swoich racji wydawało się możliwe. A jednak Lyon był Redmondem i synem swojego ojca. Urodził się z poczuciem obowiązku i przeznaczenia, i nie cieszył się na myśl o tym, że musi stawić czoła niezadowoleniu Isaiaha.

Niech się stanie. Z radością zniesie wszystko, co musi znieść, żeby uczynić Olivię swoją.

Kiedy szedł, szare chmury przesunęły się i zakryły resztę błękitnego nieba. Na wieczór szykowała się burza.

W domu, na progu, otrzepał pospiesznie buty z piachu i już wchodził do holu, kiedy dobiegł go głos ojca z salonu:

– Ach, oto i on. Lyon. Gdzie się podziewałeś?

Lyon zamknął oczy, zaklął w duchu i poszedł za głosem ojca.

Zamarł na progu salonu.

Cała rodzina, w najświetniejszych strojach, w dumnych pozach, siedziała z jednej strony pokoju.

Lady Arabella zasiadała na największej kanapie, pokrytej ciemnobrązowym aksamitem.

Uśmiechnęła się na jego widok. A potem zaczerwieniła się i jej policzki przybrały odcień sukni, bladoróżowej i ozdobionej kremową satyną przy staniku. Siedziała wciśnięta między rodzicami, księciem i księżną Hexford, którzy sprawiali wrażenie strażników strzegących cennego i kruchego dzieła sztuki.

– Wasza wysokość. Lady Hexford. Lady Arabella. Co za miła niespodzianka.

Zdjął kapelusz i ukłonił się elegancko.

Kiedy to zrobił, dębowy liść, który przywarł do jego włosów, spłynął leniwie na dywan.

Wszystkie oczy śledziły jego ruch.

A potem przeniosły się na jego twarz.

Trwała kłopotliwa cisza.

– Proszę wybaczyć – odezwał się w końcu spokojnym tonem. – Jeździłem konno.

– Na to wygląda – stwierdził ojciec.

To zabrzmiało bardzo dwuznacznie.

Niech to diabli. Ledwie zdążył spojrzeć w lustro, choć zanim pożegnał się z Olivią sprawdził, czy na spodniach z przodu nie ma plam. Zaczerwienioną twarz z wyrazem głębokiej satysfakcji mógł przypisać godzinie czy dwóm szybkiej jazdy konnej, ale inni mężczyźni w pokoju zapewne mieli okazję oglądać taki wyraz w lustrze na własnej twarzy. Mogli wyciągnąć własne wnioski.

Wątpił, żeby komuś przyszło wypytywać stajennego, czy w ogóle brał konia.

– Książę i księżna wraz ze swoją śliczną córką spędzą u nas kilka dni. Czyż to nie wspaniała nowina? – zapytał ojciec.

– Wspaniała – powtórzył Lyon jak papuga. I przywołał na usta uśmiech, który przećwiczył w Londynie.

Znowu chwila ciszy.

– Proszę wybaczyć – odezwał się w końcu Lyon. – Czuję się nieco niezręcznie. Chciałbym oddalić się na moment, żeby doprowadzić się do porządku, a potem chętnie przyłączę się do państwa. Zanim porozrzucam na dywanie inne okazy flory.

Te słowa skwitowano wesołym śmiechem, pozwalając mu odejść.

Mógłby przysiąc, że bracia patrzyli na niego ze współczuciem.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność, ale dzięki swojemu wychowaniu, wyszedł z tej próby zwycięsko. Czarował swoim wdziękiem podczas kolacji. Arabellę posadzono, rzecz jasna, po jego prawej stronie; traktował ją z uwagą, uzbrojony w szereg niewinnych pytań, które można było bezpiecznie zadać i bezpiecznie na nie odpowiedzieć, jak na przykład, czy podoba jej się na wsi? Czy jej zdaniem dziś wieczorem może zacząć padać? Tak, ależ tak, to zupełnie możliwe. Wydawała się obawiać wyrażać jakiekolwiek opinie i nigdy nie rozwijała swoich myśli; Lyon czuł się jak inkwizytor i w końcu przestał pytać.

Po kolacji, przy brandy i cygarach, oparł się o kominek obok ojca i zapytał:

– Czy znalazłbyś dla mnie pół godziny do godziny dziś wieczorem? Mam pewną ważną sprawę, którą chciałbym z tobą przedyskutować.

Ojciec nie spojrzał na niego. Był zajęty zapalaniem cygara.

– Oczywiście, Lyon. Będę długo przeglądał korespondencję. Koło jedenastej?

– Dziękuję.

Ojciec odwrócił się do syna plecami, zwracając się do księcia, ale Lyon właściwie nie słyszał już rozmowy. Jedenasta. O tej godzinie miało się zacząć jego życie.

Trochę później wszyscy zebrali się ponownie, żeby się znowu rozproszyć, bracia Lyona, żeby zagrać w bilard, ojciec, żeby porozmawiać z księciem, Violet, żeby pogawędzić z matką i z księżną. Jego, na skutek niezbyt subtelnego, wspólnego planu, pozostawiono sam na sam z Arabellą.

Rozmawiał z nią niezwykle łagodnie. Nie miał sumienia dręczyć jej kolejnymi pytaniami. Jeśli istniał jakiś temat zdolny ją ożywić, to strzegła go jak najcenniejszej tajemnicy.

Ale okazywał jej czułość, ponieważ był tak zakochany w Olivii, że darzył serdecznymi uczuciami cały świat. Miał nadzieję, że lady Arabella pokocha kogoś pewnego dnia.

Wydawała się zgadzać z zapałem ze wszystkim, co powiedział, złapał się więc na tym, że od godziny prowadzi monolog na temat światła gazowego; zasugerował w końcu, że pewnie jest zmęczona, z czym także zgodziła się z wdzięcznością.

Około w pół do jedenastej w domu zapanowała cisza.

Lyon usiadł na krótko w swoim ulubionym fotelu i wyjrzał przez okno, żeby spojrzeć na Wielką Niedźwiedzicę. Jednak warstwa szarych chmur zasłaniała widok.

Nie wierzył specjalnie w znaki.

A kiedy podjął decyzję, nigdy jej nie zmieniał.

Siedział, zawieszony w czasie – między dotychczasowym życiem a tym, które, jak wiedział, go czeka, począwszy od północy tego wieczoru. Zatem, kiedy wybiła jedenasta, udał się po schodach do Sali Tronowej.

– Dziękuję za twój czas, ojcze.

– Oczywiście, Lyon.

Ojciec wskazał ręką na krzesło i Lyon usiadł. Ojciec, naturalnie, zasiadł za wielkim jak łódź, lśniącym biurkiem, którego blat tak wypolerowano, że Lyon widział dwóch Isaiahów Redmondów, o jednego stanowczo za dużo.

Lyon odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze. Wiedział, jak zacząć i co powiedzieć i właśnie otworzył usta, żeby zacząć mówić.

Isaiah sięgnął do szuflady, żeby coś wyjąć i położył to coś delikatnie, ale bardzo znaczącym gestem, na środku biurka.

Lyon pochylił się w przód.

I zamarł.

Nagle stracił czucie w członkach ciała.

Jego zegarek kieszonkowy.

Ojciec powoli oparł się na krześle. Przyglądał się synowi, czekając, aż ten w pełni uświadomi sobie sytuację.

Lyon niespiesznie podniósł głowę i napotkał wzrok ojca.

Ojciec patrzył na niego z pewnym zainteresowaniem; tak mógłby patrzeć na przeciwnika w szachach. Wszystko to był oczywiście blef.

Nawet postukał lekko palcami w biurko. Jakby wszystko było takie, och, nieistotne. Jakby to coś najpiękniejszego i najważniejszego, co zdarzyło się Lyonowi w życiu, stanowiło jedynie kolejny nieznaczący problem, który da się rozwiązać po kolacji, a przed pójściem do łóżka.

Cisza dzwoniła Lyonowi w uszach.

Jego zmysły wyostrzyły się niesłychanie.

Tykanie zegara ogłuszało go.

– Właściciel lombardu rozpoznał inicjały – zechciał w końcu wyjaśnić ojciec. – A znał tylko jedną rodzinę w Sussex, która może sobie pozwolić na tak wspaniały zegarek i która posiada takie inicjały. Powiedział mi, że dostał go poprzez najemcę Duffych, a tenże otrzymał ją od panny Olivii Eversea. Pomyślał, że chciałbym, żeby do mnie wrócił. Tak więc, Lyonie, kupiłem ten zegarek po raz drugi. Brandy?

Chwila minęła, zanim zdołał się odezwać.

– Nie, dziękuję. – Był wściekły, że jego głos brzmi ochryple.

Ojciec nalał odrobinę brandy na dno kieliszka i zamknął go w dłoni.

– Kiedy go kupiłeś?

Lyon słyszał swój własny głos, jakby dobiegał spod wody. Bardzo chciałby odchrząknąć, ale nie śmiał. Isaiah Redmond był wilkiem. Wyczuje słabość i wykorzysta ją, rozdzierając syna na strzępy.

Zobaczył ojca w nowym świetle; za późno.

– Dwa tygodnie temu, Lyonie.

Dwa tygodnie.

Ojciec trzymał ten zegarek przez dwa tygodnie, czekając na odpowiednią chwilę, żeby go wykorzystać jako atut.

To było zarazem fascynujące i przerażające. W dziwny sposób bardzo ojca podziwiał. Obrał niezwykle skuteczny sposób, żeby wytrącić Lyona z równowagi.

Ojciec pchnął zegarek w stronę Lyona.

– Proszę. Włóż go, proszę, do kieszeni, gdzie jego miejsce i zapomnimy o epizodzie, który doprowadził do tej sytuacji. Możemy zacząć planować twoje małżeństwo z lady Arabellą. To wspaniała partia.

Lyon zignorował te uwagi.

– Nie chcę go, dziękuję. Dostałem go w podarunku i z kolei sam podarowałem.

– Olivii Eversea – powiedział w zamyśleniu ojciec.

– Olivii Eversea.

Zostawił zegarek tam, gdzie leżał.

Ojciec zmarszczył czoło, jakby uznał ten fakt za nieco intrygujący.

Łyknął brandy, smakując ją chwilę w ustach.

Lyon czekał. W obojętny sposób – obojętność stanowiła jedyny środek bezpieczeństwa w tych okolicznościach i jedyną nadzieję na przechytrzenie ojca – zastanawiał się, co ojciec jeszcze powie.

– Synu – powiedział – nawet najlepsi z mężczyzn myślą niekiedy genitaliami.

Lyon przestał oddychać.

Powoli, ostrożnie wypuścił powietrze.

Chryste, to było szokująco dobrze zagrane.

– Z całym szacunkiem, zapewniam, sir, że w tym wypadku nie myślę wspomnianą częścią ciała.

– Muszę zatem uznać, że w ogóle nie myślałeś.

Mówił z najwyższą pogardą. Jakby Lyon nie był jego synem. Ani nawet człowiekiem zasługującym na jakikolwiek szacunek.

– Przeciwnie, sprawie, o której chciałem dzisiaj rozmawiać, poświęciłem więcej myśli niż czemukolwiek innemu w całym życiu.

– W całym życiu – powtórzył Isaiah powoli, pobłażliwym tonem. – Mój Boże, przez całe dwadzieścia parę lat?

– Tak.

– A zatem zawiodłem cię kompletnie.

– Nie, ojcze. Nie zawiodłeś.

Nastała chwila milczenia.

– Doskonale, synu. A zatem dlaczego nie powiesz mi o tej „sprawie”, jak to nazywasz?

Przez cały czas zegarek leżał między nimi, niczym przeklęty dowód winy.

– Pragnę poślubić Olivię Eversea.

Cisza po tych słowach, słowach, o których myślał, odkąd po raz pierwszy ujrzał ją na sali balowej, trwała tak długo, że stawała się prawie namacalna.

– I? – odezwał się w końcu ojciec.

– I ponieważ twój szacunek i życzliwość znaczą dla mnie wszystko, przyszedłem prosić cię o pozwolenie i błogosławieństwo.

Znowu cisza nie do zniesienia. Druga wskazówka zdążyła obiec zegar dwukrotnie.

Lyon milczał. To była bitwa, w której za broń służyła silna wola.

– Jeśli dziwi cię ta cisza… – powiedział w końcu wolno Isaiah. – Milczę, ponieważ jest mi trudno znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia mojego rozczarowania i niesmaku.

– Pokładam wiarę w to, że je znajdziesz, ojcze.

Isaiah uniósł w górę brwi, jakby zainteresowany.

– I pragniesz mojego… błogosławieństwa, czy tak? – Brzmiał w tym rodzaj ciekawości, jakby Lyon postradał rozum i Isaiah szukał nowego sposobu, żeby się z nim porozumieć.

– Tak.

Ojciec był bardzo, bardzo dobry w tym, co robił, jakkolwiek by to nazwać.

– Zapłodniłeś tę dziewczynę?

Brzydkie, prowokujące słowo. Część, z czego Lyon zdawał sobie sprawę, strategii, którą ojciec miał teraz rozwinąć, polegającej na bezlitosnym wyszydzaniu go, obrzydzaniu, łamaniu, póki Lyon nie pomyli własnej woli z wolą ojca, uzna swoją miłość za niedojrzałą, nieprzystojną, głupią i płytką przygodę, po czym zrobi dokładnie to, czego życzy sobie ojciec.

Na nieszczęście dla Isaiaha Redmonda jabłko rzeczywiście nie padło daleko od jabłoni.

Siła woli Lyona dorównywała sile woli ojca.

Nie dała się złamać.

A jeśli Lyon pokochał, to na zawsze.

– Oczywiście, że, jak to ująłeś, nie zapłodniłem dziewczyny. Jest doskonale wychowana, podobnie jak ja.

Chwila ciszy.

– Czy ona… Czy jej rodzice są świadomi twoich intencji?

Interesujące wahanie.

Ojciec chciał, żeby to pytanie zabrzmiało obojętnie, ale bez powodzenia.

Nagłe drżenie głosu wyjawiło wiele.

Lyon zrozumiał w tej chwili, że podejrzenia, jakie żywił od lat, potwierdziły się.

– Nie – odparł Lyon.

Ojciec skinął głową. Wydawało się, że niemal z ulgą.

– Jeśli nie jest w ciąży, to dlaczego, na Boga, chcesz się z nią ożenić, skoro możesz poślubić córkę księcia?

– Ma na imię Olivia – wyjaśnił cierpliwie, wymawiając starannie każde słowo. – I chcę ją poślubić, ponieważ ją kocham.

Twarz ojca skrzywiła się pogardliwie.

– Kochasz.

Wypluł to słowo z pogardliwym lekceważeniem.

Ciało Lyona spięło się, jakby ktoś machnął mu pochodnią przy twarzy. Ale był z siebie dumny, że nawet nie mrugnął.

– Tak.

– Kochasz, jak powiadasz, kobietę, którą szanujesz do tego stopnia, że umawiasz się z nią na potajemne schadzki od miesięcy, może pokładając się z nią gdzieś w lesie od czasu do czasu. Ciekaw jestem, jak to świadczy o charakterze tej młodej kobiety. I jesteś gotów przekreślić swoją wspaniałą przyszłość i honor rodziny dla takiej dziewczyny?

Pokładając się z nią w lesie?

Szok musiał się uwidocznić na twarzy Lyona.

– Widziano cię, jak się z kimś obłapiasz, Lyonie. Parę tygodni temu.

– Nalegam, żebyś nie podawał w wątpliwość prawego charakteru panny Olivii Eversea, który jest nienaganny, a jej rodzina jest równie dobra jak nasza.

Ojciec parsknął śmiechem, a potem westchnął.

– Och, synu, powinieneś sam siebie posłuchać.

– A ja myślę, że powinieneś podziwiać dyskrecję i strategię, ojcze. Ostatecznie nauczyłem się tego od człowieka, który odkupił zegarek i

trzymał go przez dwa tygodnie, szpiegując mnie, jak się wydaje, przez cały czas, czekając na najlepszy moment, żeby wyjawić, że wie o wszystkim.

Nie pomagał swojej sprawie. Ojciec miał, niewątpliwie, więcej doświadczenia, a gniew Lyona zaczynał podkopywać jego opanowanie.

A jednak zauważył z satysfakcją, że Isaiah sztywnieje.

No, proszę, zdołał zaskoczyć własnego ojca.

– Synu – odezwał się Isaiah z nieznośnym politowaniem. – Nie można powiedzieć, żebyś był dyskretny. Równie dobrze mógłbyś sobie powiesić tabliczkę na szyi.

Zasłona opadła.

Lyon poczuł, jak gorący rumieniec wypływa mu na policzki.

Oczywiście, że nie byli dyskretni. Oczywiście, że chodził zamroczony szczęściem i pełen niepokoju. Roztargniony, szczęśliwszy niż zazwyczaj, znikał tajemniczo na całe godziny, siedział w Pennyroyal Green, gdzie rozrywki dostarczał jedynie pub i księgarnia, poza sezonem myśliwskim. Oczywiście, że jego kamerdyner musiał zauważyć plamy na ubraniu. I, oczywiście, ktoś go pewnie widział, zanim mądrze albo w przypływie szaleństwa, zabrał Olivię na tamtą polankę. Myśleli, że są ostrożni.

Jakże ktoś zakochany tak jak oni, mógłby zachować dyskrecję? Byli dyskretni jak latarnie morskie.

Nienawidził siebie, że nie potrafił skuteczniej ochronić Olivii.

– Napis na tabliczce głosiłby: „Jestem szczęśliwy po raz pierwszy w życiu” – stwierdził dzielnie Lyon.

Isaiah oparł się na krześle, przyglądając mu się badawczo.

– Nie jesteś takim człowiekiem, za jakiego cię uważałem, Lyonie. – Powiedział to niemal roztargnionym tonem.

– Nie – zgodził się Lyon. – Na szczęście nie jestem.

– Nie – ciągnął ojciec, jakby go nie słyszał. – Jesteś głupcem.

Siła głosu Isaiaha narastała, aż słowo „głupiec” zostało wyplute jak strzała.

Lyon nie drgnął.

– Jeśli zechcesz kontynuować… Nazwijmy to może „związkiem”? Lepsze słowo, niż na to zasługuje, z pewnością… związek z panną Olivią Eversea wbrew moim życzeniom, w jakichkolwiek okolicznościach, zostaniesz natychmiast pozbawiony dostępu do pieniędzy Redmondów. Nie będziesz mile widziany pod tym dachem i nie wolno ci będzie widywać się z braćmi i siostrą. Dopilnuję, żeby już nigdy cię nie podejmowano w dobrym towarzystwie ani nie przyjmowano w klubach w całej Anglii.

Lyon przestał oddychać.

Ostrożnie przycisnął dłoń do uda, jakby chcąc się przygotować na twarde lądowanie po długim, długim upadku.

Tak po prostu. Karą za miłość do kobiety miało być odcięcie go od wszystkiego, co było mu drogie poza tym. Na zawsze.

Dziwne, ale nie był zupełnie zaskoczony. Ale teraz, kiedy to usłyszał, miał wrażenie, że spogląda na dno przepaści. Ani Milesa, ani Jonathana, ani Vilolet. Rozdzieleni, ot tak.

– Jeśli nie chcesz zrywać z rodziną i majątkiem, masz teraz do wyboru: albo jutro wyjedziesz na kontynent i zostaniesz tam przez rok, zajmując się interesami Mercury Club – dzięki temu moglibyśmy zadbać tutaj o twoją reputację, a pewnego dnia odzyskałbyś moją życzliwość; albo oświadczysz się lady Arabelli w tym tygodniu i ożenisz z nią na wiosnę.

Lyon porzucił wszelką dumę i strategię.

– Ojcze… mam nadzieję, że wiesz, że zawsze ceniłem twoją miłość i szacunek nade wszystko. Starałem się całe życie, żebyś mógł być ze mnie dumny.

Ojciec zachował chłodne milczenie.

– Kocham Olivię. – Starał się mówić opanowanym tonem, ale na słowie „Olivia” głos mu się lekko załamał. – A ona kocha mnie. Wiem, że też byś ją pokochał, gdybyś ją poznał. To jest… Przysięgam… Z pewnością sam kiedyś kochałeś…

Wiedział, że okazując taką słabość jest jak jagnię, które oddaje się pod nóż. Ale miał serce. Wolał być uczciwy niż zdobyć coś, co cenił najbardziej na świecie, poprzez podstępy i strategię. Ojciec miał to, widocznie, w żyłach zamiast krwi.

Gdzieś za tą zimną fasadą był człowiek, który uczył synów łowić ryby i polować, a także jeździć konno. Który chwalił ich osiągnięcia i współczuł porażkom. Który nosił go na ramionach, był surowy, ale wyrozumiały, a nawet zabawny, zawsze budził strach, ale także miłość i szacunek. Który – Lyon był tego pewien – kochał ich.

Gdyby Lyon wiedział, jak warunkowa jest ta ojcowska miłość!

– Ojcze, przysięgam, nie miałem wyboru.

– Na Boga, oczywiście, że miałeś wybór!

Isaiah krzyczał. Był wściekły.

Lyon pozostawał bez ruchu.

Tak po prostu.

Był poza strachem. Poza gniewem.

Podjął decyzję.

I cieszył się, że ma właśnie taką broń, która rzuci ojca na kolana.

– To wszystko. Wszystko dlatego, że ty podjąłeś złą decyzję – powiedział Lyon.

Isaiah zawahał się.

– O czym ty mówisz?

– Jestem świadom tego, że w każdą niedzielę wpatrujesz się w tył głowy pani Eversea, zamiast patrzeć na proboszcza.

Wypowiedział na głos prawdę tak głęboko ukrytą, że nikt, nawet jeśli żywił jakieś podejrzenia, nie śmiałby tego zrobić.

Lyon wyczuwał, że cios jest brutalny.

I odczuł subtelną satysfakcję, widząc, jak twarz ojca zabarwia się powoli szkarłatem.

A zatem tu się kryła słabość ojca.

Isolde Eversea. Żona innego mężczyzny.

Jego ojciec kiedyś miał serce. I wiedział wszystko o miłości.

Pogrzebał swoją miłość przed wielu laty, żeniąc się z niewłaściwą kobietą.

– Ach – powiedział cicho Lyon. – Myślę, że teraz rozumiem. Brakło ci odwagi, żeby walczyć o kobietę, którą kochałeś. Dokonałeś złego wyboru. I spójrz na siebie. Zobacz, kim się stałeś.

Głowa Lyona odskoczyła nagle do tyłu.

Upłynęła chwila, zanim sobie uświadomił, że naprawdę został uderzony.

Czuł metaliczny smak krwi w ustach.

Po paru sekundach początkowe odrętwienie ustąpiło palącemu bólowi; na twarzy odbiła mu się dłoń ojca.

To była ostatnia rzecz, jaką Isaiah Redmond mu przekazał.

Lyon podniósł się powoli.

Ojciec patrzył na niego niemal niewidzącymi oczami, z plamami krwistego rumieńca na policzkach.

Lyon mógłby przysiąc, że w jego oczach zobaczył strach.

Dobrze.

Lyon odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Ojciec widział go wtedy po raz ostatni.

13

Kiedy pierwszy kamyk uderzył w okno, Olivia pomyślała, że to może grad. Mały porcelanowy, malowany zegar obok jej łóżka wskazywał kwadrans po pierwszej w nocy.

Zimnisko panowało straszliwe, a niebo miało odstręczającą barwę szarej dachówki, kiedy zaciągała zasłony na wieczór.

Takiego koloru był strach.

Ale mógł to być również kolor nadziei? Z pewnością coś dobrego zdarzało się w historii w podobne, deszczowe dni?

Zimno z zewnątrz wyssało wszelkie ciepło, które zdążyło wsiąknąć w podłogi i nawet zamierający powoli ogień na kominku przed nim nie chronił. Było bezlitosne i nieustępliwe, jakby krył się za tym jakiś głębszy sens.

Po pierwszym cichym stuknięciu nastąpiło drugie.

Cała lawina kamyczków.

Grad się w ten sposób nie zachowywał, a owady nie zwykły popełniać zbiorowego samobójstwa na szybach w zimne noce w Sussex.

Wyślizgnęła się z łóżka, wsunęła stopy w kapcie i sięgnęła po pelisę. Podbity futrem, elegancki, ulubiony prezent od rodziców. Za każdym razem, kiedy poddawała się jej futrzanym objęciom, przypominała sobie, jaka jest kochana i jakim szczęściem obdarzył ją los.

Uchyliła okno. I wyjrzała na dwór. W ogrodzie panowała niemal nieprzenikniona ciemność, ale dojrzała błysk jednej z kamiennych ławek

porozrzucanych po ogrodzie.

Serce jej zamarło, kiedy dostrzegła sylwetkę mężczyzny z uniesioną głową.

Lyon!

– Olivio, zejdź na dół.

– Co ty wyprawiasz? Jest okropnie zimno!

– Musisz natychmiast zejść na dół.

Nigdy nie słyszała takiego tonu w jego głosie. Było w nim żądanie i rozpacz.

Miała na tyle przytomności umysłu, żeby chwycić małą lampkę, zanim zaczęła zbiegać po schodach. W domu panowała ciemność i cisza, ale znała w nim każdy cień i kąt, więc mogłaby zapewne przebyć tę drogę z zamkniętymi oczami.

Przebiegła przez kuchnię i wypadła na dwór. Czuła chłód przez kapcie.

Podbiegła do niego.

Chwycił ją za ramiona.

– Liv. Ucieknij ze mną, Olivio. Możemy wyjechać dzisiaj, w ciągu dwóch dni będziemy w Szkocji i pobierzemy się.

Sapnęła zdumiona.

– Gretna Green – ciągnął gorączkowo. – Dziś wyjedziemy, za dwa dni tam dotrzemy, a potem…

– Lyon, czy ty piłeś?

– Nie – odparł stanowczo; zrzucił płaszcz i okrył Olivię, potem przyciągnął ją do siebie blisko, żeby przekazać jej resztę swego ciepła. Drżał z tłumionej furii, która budziła w niej przerażenie.

– Nigdy w życiu nie miałem takiej jasności umysłu.

– Lampa – wyszeptała.

Wziął ją od niej i pochylił się, żeby ją odstawić na ławkę.

Światło padło na jego twarz.

Sapnęła.

– Lyon, masz krew… Jest krew…

Dotknął kącika ust.

– Wybacz, przychodzę prosto z…

Urwał nagle.

Wsunęła ręce do kieszeni jego kubraka i wyjęła chusteczkę, o której wiedziała, że tam jest.

– Och, Lyon. – Czule, ostrożnie, dotknęła jego ust chusteczką. Jego pięknych, kochanych ust. Nawet się nie skrzywił.

– W jaki sposób…

Uświadomiła to sobie nagle tak jasno, jakby rozcięto nożem zasłonę.

– Uderzył cię.

Milczenie było odpowiedzią.

W oczach miała czerwoną mgłę z wściekłości; nigdy dotąd czegoś podobnego nie doświadczyła.

Jak ktoś śmie, jak śmie go ranić?

W świetle lampy jego twarz wydawała się blada i napięta, ale dostrzegła na niej wstyd. Uczucie, które nigdy, przenigdy nie powinno zasnuwać cieniem twarzy Lyona Redmonda.

Serce jej pękło; poczuła strach, zadrżała. Wtedy właśnie otworzyło się niebo i spadł deszcz.

To był koniec. Wszystkiego.

Zrozumiała to nagle z absolutną pewnością.

Jakim sposobem mogła się na to przygotować? Na ten straszny ból, który miał ją pochłonąć?

Mówił pewnym głosem, ale była w nim jakaś obca, dziwna nutka.

– Powiedziałem mu, że chcę się z tobą ożenić. Prosiłem go o zrozumienie i błogosławieństwo, i powiedziałem, że także cię pokocha, bo jak można cię nie kochać.

– A on cię uderzył.

– Uderzył mnie z innego powodu, ale jedno łączy się z drugim.

– Powiedz mi, dlaczego cię uderzył.

– Nie mogę.

Ton jego głosu ucinał wszelką dyskusję. Wiedziała, że niczego się od niego nie dowie.

Nie mogła znieść tej myśli. Dumny, mądry, śmiały Lyon otwiera serce przed zimnym jak lód ojcem. Ich miłość wydała się nagle krucha, jak chore dziecko Duffych.

Jak okropnie to musiało brzmieć w uszach jego ojca, człowieka, który nie znosił słabości, który zawsze musiał nad wszystkim sprawować kontrolę. Potajemny romans, nagła prośba o zaręczyny. Niedojrzałe, szalone, bezmyślne. Jak słowa mogły w ogóle oddać wielkość tego, co przeżywali, ich mękę i słodycz, i to, że ich miłość była czymś najwłaściwszym na ziemi? A co dopiero takie ostrożne, oficjalne słowa, jakich Lyon zmuszony był używać pod bezlitosnym spojrzeniem zielonych oczu ojca. Jak mało ważni musieli się wydawać oni oboje komuś, kto nie tylko posiadał na własność kawał Anglii, jak jego ojciec, ale w zasadzie posiadał także swojego syna i przywykł, że wszyscy stosują się do jego życzeń.

– A potem? – wykrztusiła.

– Och, zakazał małżeństwa – odparł zjadliwie lekkim tonem. – Oznajmił, że odetnie mnie od pieniędzy i wszystkich członków rodziny i dopilnuje, żeby nie przyjmowano mnie w żadnym przyzwoitym domu czy klubie.

Niemal gilotyna.

Isaiah Redmond był w stanie dotrzymać słowa.

– I uderzył cię. Z mojego… powodu?

– Nie z twojego powodu. Z mojego powodu. Przedtem już zbierałem cięgi, Liv. – To brzmiało prawie rozsądnie, z nutką czarnego humoru. – Nie od niego oczywiście. Ale jestem mężczyzną. Trudno uniknąć bicia i bycia bitym w drodze do męskości. Taka jest kolej rzeczy.

– Ale to co innego, kiedy nie możesz się bronić.

Milczał, ponieważ wiedział, że Olivia ma rację. Lyon w żadnym wypadku nie uderzyłby ojca.

Różnił się od niego.

Strach przejął ją chłodem; przypływ paniki lada chwila mógł zamienić się w gniew. Strach, że nie różnił się dostatecznie, ponieważ mu nie pozwolono.

– M-może… może twój ojciec potrzebuje trochę więcej czasu… może źle zareagował, bo był zaskoczony… może…

– Och, ojciec nie był zaskoczony – odparł Lyon z gorzką ironią.

Jej policzki spłonęły rumieńcem.

Oczywiście. To, że miłość jest ślepa, dotyczy także kochanków. Otoczenie zauważyło, że coś się z nimi dzieje: jakże mogłoby nie zauważyć?

Olivia od miesięcy poruszała się w świetlistej mgle. Rodzina delikatnie usiłowała zwrócić jej na to uwagę. Ostrzec ją.

Nawet pani Sneath mogła wiedzieć.

– Olivio, dano mi wybór: albo jutro wyśle mnie na kontynent, albo w tym tygodniu oświadczę się lady Arabelli. Rozumiesz więc chyba, że musisz ze mną odejść dzisiejszego wieczoru. Opuścimy Sussex, weźmiemy ślub i stworzymy własne życie. To będzie raj, Liv.

Zaniemówiła. Ogarnęła ją burza uczuć, jak zwykle przy nim.

Może to właśnie pomogło jej uświadomić sobie ich faktyczną sytuację. Pułapkę bez wyjścia. Lyon odebrał doskonałe wychowanie, jeździł konno, strzelał, fechtował, tańczył i roztaczał swój czar. Był jej sercem.

Ale kochała człowieka, którego ojciec uderzył, bo po prostu mógł to zrobić.

I mógł pozbawić go środków do życia.

Wiedziała, że jej milczenie ją oskarża.

– Musisz ze mną jechać. Musisz mi zaufać, że się tobą zaopiekuję, Liv. Zaufasz mi?

Zesztywniała w jego ramionach.

– Liv?

A potem on także zamarł w bezruchu.

– Czego się, do licha, boisz? – odezwał się cichym, napiętym głosem. Jakby oskarżał.

I bał się.

Jak zwykle, dojrzał sedno: wiedział, że się boi.

Wiedział pewnie, że to, o co prosi, kłóci się z rozsądkiem, ale nie mógł zrobić nic innego.

A Lyon, jak jej kiedyś powiedział, zawsze dostawał to, czego chciał.

Przerażało ją, że go straci. Nigdy jednak nie spodziewała się, że musiałaby porzucić wszystkich, których kocha bez ostrzeżenia, zwłaszcza że dopiero od niedawna wszyscy jej bracia byli razem. I nagle znienawidziła go tak samo, jak go kochała, za to, że stawia ją wobec takiej decyzji, teraz, w ciemności, w ulewie.

– Czego się boję? Żądasz, żebym opuściła wszystkich i wszystko, co znam. Ale jakim sposobem przeżyjemy? Jakie życie będziemy wieść?

– Zaopiekuję się tobą, Liv.

Był taki pewny siebie, że niemal skapitulowała.

Ale strach nie ustępował.

– Jak? W jaki sposób? Co ty potrafisz? Będę musiała pracować? W jaki sposób będziemy żyć, nie mając żadnych środków? Widziałam, Lyonie, jak żyją Duffy i trudno to nazwać życiem. Jeśli się kiedyś kochali, to ta miłość już dawno zginęła.

– Jeśli myślisz choć przez chwilę, że nas spotka taki los, to w ogóle mnie nie znasz. – Teraz opanował go zimny gniew.

– Ależ znam cię. Znam. Jesteś… stworzony na wzór i podobieństwo swojego ojca.

Zamarł.

– Jak możesz mówić coś takiego? – odezwał się ochrypłym głosem.

Panika osiągnęła crescendo. Nienawidziła siebie, że niemal wierzy w te wstrętne słowa. Nienawidziła go za to, że nie rozumie, jak bardzo jest przerażona. Że jest zupełnie nieprzygotowana na to, żeby opuścić swoją rodzinę. Gdyby tylko miała czas to przemyśleć.

Chciała się do niego przytulić, pocieszyć go i uzyskać pociechę. Ale nie było już żadnej pociechy, od nikogo.

– Co jeszcze potrafisz? – zapytała z furią. – Zainwestowałeś pieniądze w Mercury Club. Jeśli pozbawi cię wszelkich dochodów, z czego będziemy żyli? Jak zarobisz na życie?

Zdawała sobie sprawę, że go rani, ale nie mogła nic na to poradzić. Słyszała swój własny ostry, okrutny, przerażony głos, jakby należał do kogoś całkiem innego. Teraz dopiero w pełni zrozumiała, co dodawało słodyczy ich każdej chwili spędzonej razem: że to było niemożliwe. Niemożliwe od początku do końca.

W długiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, żadne nawet nie zauważyło deszczu. Niczemu nie zaprzeczał.

– A jeśli kochać ciebie to najlepsze, co potrafię?

Odmierzał słowa ze spokojem, podając jej każde po kolei. Ale w każdym z nich słyszała nutkę urażonej godności.

To brzmiało jak test.

Zamknęła oczy.

Niech go diabli.

Jakże go kochała. A z tą miłością splatał się strach, że nie zasługuje na kogoś, kto potrafi kochać tak odważnie. Była wściekła na siebie i na niego, że sprawiają sobie nawzajem tyle bólu.

Otworzyła oczy. Ujrzała go przemoczonego na deszczu, w świecie, w którym ich marzenia legły w gruzach i powiedziała:

– To mi cię żal.

Drgnął gwałtownie. Jakby wbiła mu sztylet w serce.

A potem… potem… nigdy nie widziała, żeby ktoś stał w tak kompletnym bezruchu.

Jego twarz była biała jak u ducha nawet w świetle lampy.

Zrzuciła jego płaszcz z ramion, chwyciła lampę i pobiegła w stronę domu; jej stopy ślizgały się po mokrej ziemi, jakby uciekała ze sceny morderstwa.

Którego ofiarą mogła być ona sama.

14

Na miesiąc przed ślubem...

*M*ademoiselle Lilette była zachwycona perspektywą towarzyszenia Olivii w podróży do Plymouth. Madame Marceau mogła ją zwolnić – szczęśliwym zbiegiem okoliczności modystka, która przedtem zniknęła, pojawiła się znowu, błagając, żeby dać jej zatrudnienie, choćby na tych parę tygodni, kiedy madame Marceau najbardziej jej potrzebowała – i chlebodawczyni dała się przekonać.

Tak więc Olivia i mademoiselle Lilette wyruszyły do Plymouth.

Do Plymouth podróżowało się z Londynu dyliżansem przez półtora dnia. Mademoiselle okazała się znakomitą towarzyszką podróży – wytrzymała, zawsze zadowolona, nie gaduła.

Im dalej od Londynu, tym weselsza stawała się Olivia. Interesujące, że im dalej od Londynu, tym spokojniejsza, bardziej napięta, uważniejsza i milcząca stawała się tak zwykle rozmowna mademoiselle Lilette.

– Czy niepokoisz się przed spotkaniem z panią More? – zapytała Olivia. – Ja się trochę denerwuję. Od tak dawna ją podziwiam.

– *Oui* – odparła zwięźle mademoiselle Lilette. – Niepokoję się.

Pani More jechała z Brystolu, miały się spotkać w gospodzie Głodna Mewa w pobliżu portu w Plymouth, a potem podróżować dalej do domu, gdzie zapewniono im gościnę, znacznie wygodniejszym i przyjemniejszym

środkiem transportu niż publiczny dyliżans – zgodnie z listem, jaki wcześniej dostała Olivia.

Było dobrze po północy, kiedy dotarły do gospody. Olivia i mademoiselle Lilette z ulgą rozprostowały nogi i wciągnęły świeże powietrze w płuca – powietrze chłodne, pachnące solą i smołą. Tak pachniała przygoda, jak pomyślała Olivia. Wciągała duże hausty, jakby chciała ten smak i zapach zachować na później.

Na tle błękitno-czarnego nieba wznosiły się wysoko maszty zakotwiczonego w porcie statku; zwinięte żagle spoczywały spokojnie.

Zważywszy późną godzinę, zaskoczyło je, że gospodarz czuwa i czeka na nie wewnątrz, niemal chodząc z niepokoju w tę i z powrotem.

W szynku było pusto, za to czysto i ciepło; na kominku płonął żywo ogień. Pozostali goście widocznie poszli się już położyć.

Zażywny gospodarz okazał się pełen energii i życzliwości.

– To musi być panna Eversea i jej towarzyszka! Witajcie, witajcie. Pani More także przed chwilą przybyła, zeszłaby do was na posiłek – mamy wciąż zupę z kolacji – ale jej kolana nie są już takie jak dawniej. Pytała, czy zechciałybyście po przyjeździe zajrzeć do niej na górę i razem spożyć kolację. Trzeci pokój po lewej, jak dojdziecie do szczytu schodów. Kufry wniesiemy na górę.

– Uprzejmie dziękuję, sir. – Olivia włożyła rękę do torebki, szukając paru pensów.

Oberżysta machnął ręką.

– To moja praca.

Olivia rozwiązała wstążki czepka i z ulgą roztarła szyję. Otarła dłonie o spódnicę. Serce jej biło z podniecenia. Odwróciła się do mademoiselle Lilette, unosząc brwi.

– Pójdziemy?

– *Oui, mais bien sur* – zgodziła się cierpko mademoiselle Lilette.

Olivia wspinała się szybko pod górę, ożywiona perspektywą interesującego towarzystwa, mademoiselle Lilette tuż za nią.

Trzecie drzwi po lewej były lekko uchylone.

Obejrzała się na mademoiselle Lilette, która wzruszyła ramionami.

– Pani More? – powiedziała ostrożnie Olivia.

Nie było odpowiedzi.

Zmartwiła się. Pani More była starszą kobietą, może się zdrzemnęła albo nawet umarła, a może przewróciła się i leżała nieprzytomna na podłodze.

– Lepiej zajrzyjmy do środka – szepnęła Olivia do mademoiselle Lilette, która tylko skinęła głową.

Olivia pchnęła lekko drzwi, otwierając je szerzej.

Mały, pogrążony w mroku pokoik wydawał się mieścić niewiele więcej poza kominkiem, w którym palił się słaby ogienek. Bujany fotel, pusty i nieruchomy, stał przed paleniskiem. W rogu ustawiono biurko, pod ścianą wąskie łóżko.

Pani More nigdzie nie było widać.

Mademoiselle Lilette zawahała się na progu, jakby nie bardzo miała ochotę wchodzić do środka.

Olivia zrobiła krok, wchodząc głębiej.

A potem jeszcze jeden.

Drgnęła silnie. A potem zamarła, kładąc dłonie na sercu.

Włoski na karku zjeżyły jej się nieprzyjemnie.

W rogu pokoju stał mężczyzna; trwał w takim bezruchu, że łatwo mogła go wziąć za mebel. Zdradziły go refleksy ognia odbijające się od czubków jego wyglancowanych butów.

Takie buty musiały należeć do zasobnego dżentelmena. Mogłaby się o to założyć.

Odwróciła się.

Mademoiselle Lilette stała w drzwiach; można by pomyśleć, że blokuje wyjście.

Olivia ponownie się odwróciła.

Mężczyzna nadal ani drgnął. Ale coś w jego postaci… Poczuła mrowienie w skórze głowy. Zdumiewające rzeczy działy się z jej oddechem.

Odchrząknęła.

– Proszę wybaczyć… Przykro mi, że przeszkadzam… Powiedziano mi, że mam czekać na panią More w tym… w tym pokoju. Może wybrałam zły pokój…

Słowa rozwiały się jak mgła, kiedy mężczyzna wyprostował się na całą wysokość i postąpił krok naprzód.

I znalazł się w świetle ognia.

Doznała olśnienia. To było jak strzała.

Straciła dech.

Rozchyliła usta.

W końcu wydała cichy jęk.

– Liv.

Cicho, chrapliwie.

Jego głos.

Nic.

Nic nie mogłoby jej przygotować na to, że znowu usłyszy swoje imię z jego ust.

Nie była w stanie się poruszyć.

Jej wargi znowu się rozchyliły. Ale uświadomienie sobie, co się dzieje, wymagało wszystkich jej mocy umysłowych. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Zadrżała.

Zrobił w jej stronę parę kroków. To było takie do niego podobne, ten instynkt, żeby ją chronić, że kolana niemal się pod nią ugięły.

Zatrzymał się jednak w odległości jakichś czterech stóp od niej.

Jakby mogła nagle stanąć w płomieniach albo trzymała miecz.

Olivia pozostała dokładnie w tym samym miejscu.

Żadne nie przemówiło ani słowem.

Teraz oświetlały go tylko drżące płomienie.

Na jego twarzy kładły się bursztynowe plamy i cienie; jej zarys, zagłębienia i kąty, twarda, wyraźna linia szczęki, wzniesienie policzków, były takie, jak pamiętała. Jego kochana, piękna twarz była taka sama. To bolało, bolało mocno, a zarazem było wspaniałe.

A jednak.

A jednak wyczuwało się w nim jakieś nieprzejednanie i niecierpliwość, niemal tak namacalne jak ciepło bijące z kominka. Zawsze był pewny siebie, ale teraz to było co innego. Poczucie władzy. Jakby doświadczenia, jakie go spotkały po tym, gdy wyjechał, nakładały się na siebie, jak kolejne warstwy skały, dając mu szczególną moc.

Jego ramiona – szersze teraz, tworzące wyraźną poziomą linię nad jego zwężającym się w dół ciałem – przywodziły na myśl coś dzikiego. Może wilka.

Głęboki, wewnętrzny niepokój, jaki odczuła na jego widok, uświadomił jej, jak niewiele w ogóle czuła, odkąd zniknął z jej życia.

To, jak leżało na nim ubranie, jego jakość… musiało być niezwykle kosztowne.

Sprawiał niemal wrażenie, jakby przed godziną wyszedł od White’a.

Ale coś się zmieniło.

Jego włosy, czarne i falujące, urosły na tyle, że mógł je związać w krótki kucyk.

Twarz miał ogorzałą od słońca.

To wszystko podkreślało barwę jego oczu.

Niebieską.

A kiedy nagle wszystko zaczęło lśnić i się zamazywać, zrozumiała, że ma łzy w oczach.

Natychmiast, niczym magik, wyciągnął chusteczkę i podał jej.

Ich dłonie się nie zetknęły, kiedy ją wzięła. Zgodnie z dawnym nawykiem przesunęła kciukiem po jej rogu; wyczuła inicjały: LAJR.

Lyon Arthur James Redmond.

– Jestem po prostu wstrząśnięta. Tylko tyle. Zaskoczona. – W jej własnych uszach jej głos brzmiał spokojnie, ale to mógł być ktoś inny, mówiący zza szklanej ściany.

A więc to były pierwsze słowa, jakie usłyszał od niej Lyon Redmond, kiedy spotkali się po tylu latach. Jestem po prostu wstrząśnięta. Tylko tyle. Zaskoczona.

Pospolite i nieprawdziwe.

– Czy tak? Jesteś pewna, że to nie są łzy radości?

Nigdy nie zwracał się do niej takim tonem. Z taką ironią.

Nigdy jego głos nie wyrażał innych uczuć poza miłością.

– Ludzie zwykle mdleją albo płaczą pod wpływem szoku. Gdybyśmy w takiej sytuacji wydzielali zapach lawendy, na pewno bym tak zrobiła.

Roześmiał się, zaskoczony, bo kto by nie był? Rozbawiła go.

Ten śmiech.

Dźwięk, który kiedyś był jej najdroższy ze wszystkich dźwięków na świecie.

Nagle to wszystko… jej imię wypowiedziane ochrypłym głosem, chusteczka z jego inicjałami, po których zwykła przesuwać palcem, które były cenne, ponieważ należały do niego… to wszystko, co było takie samo i wszystko, co się zmieniło…

To wszystko, wszystko razem, wprawiło ją we wściekłą furię.

Wcisnęła mu z powrotem chusteczkę, miała ochotę go kopnąć.

Wziął ją, mruknąwszy ze zdumienia.

Dobry Boże, brzuch miał twardy jak skała.

Nie ruszał się przez chwilę, patrząc na chusteczkę, jakby w istocie dźgnęła go mieczem.

A potem podniósł wzrok, złożył chusteczkę powoli, starannie i schował do kieszeni.

Jakby chcąc okazać niezachwiany spokój w obliczu tego, że ona straciła panowanie nad sobą.

A potem zaczął się jej przyglądać. Niemal obojętnie. Mierząc ją wzrokiem niczym przeciwnika.

Ciekawa była, czy wie, jak bardzo przypomina w tej chwili swojego ojca.

Kiedyś jego uczucia były dla niej jak otwarta książka. Ale wtedy jej ufał. Z latami Lyon nabył umiejętność niezdradzania swoich myśli, zachowując zimny, nieprzenikniony wyraz twarzy i patrząc na ludzi, jakby studiował ich przez szkło powiększające.

Przypuszczała, że częściowo jej to zawdzięczał.

Stała, poddając się temu badaniu, ciekawa, co zobaczył.

Jak się zmieniła, czy się zmieniła?

Kiedyś obrysował jej usta palcem, jakby chciał wpisać jej obraz w swoją duszę.

Być może, odkąd wyjechał, tuzin kobiet zdążyło rozmyć to wspomnienie.

Jej ramię lekko drgało, jakby wyczuwając jej intencję, żeby odwrócić się na pięcie i uciec.

Nie mogła jednak wykonać tego ruchu, tak samo jak drzewo nie jest w stanie wyjąć korzeni z ziemi i ruszyć spacerem przez równiny Sussex.

Wydawał się wyczuwać jej chęć ucieczki.

– Olivia.

Jej imię, istotnie, ale znowu – takiego tonu u niego dotąd nie słyszała. Żadnej namiętności, pieszczoty, żartobliwości, czułości.

To był całkiem wyraźny rozkaz.

Prawie ostrzeżenie.

I wtedy właśnie rozum przeważył nad sprzecznymi uczuciami: w jej pamięci i snach pozostał boleśnie prawdziwy i żywy.

Teraz jednak był w istocie – kimś obcym.

I nie miał dla niej życzliwych uczuć.

– Tak? – powiedziała. Usiłowała naśladować jego zimny ton. Wciąż drżała. Schowała niespokojne dłonie w fałdach spódnicy.

– Chciałbym z tobą porozmawiać dłużej. Sądzę, że może są między nami jakieś niedokończone sprawy.

Miał niewątpliwie rację.

Nie wiedziała jednak, co na to odpowiedzieć.

– Może są jakieś rzeczy, które chciałabyś mi powiedzieć? – W oczach miał błysk wisielczego humoru, ale ton głosu pozostał głównie obojętnie ironiczny.

– Może – zdołała z siebie wydusić. Jej głos wciąż brzmiał słabo.

– Więc może przystaniesz na rozmowę. Ale nie tutaj. Pragnąłbym ją odbyć na moim statku.

– Na twoim statku?

– Tak – odparł. Niemal niecierpliwie.

– Twoim… statku.

– Tak.

Zarozumiały drań nie raczył nawet wyjaśnić, skąd się u niego wziął statek.

– Więc… pani More wcale tutaj nie ma.

– Nie. – W tym słowie pobrzmiewało nieznośne rozbawienie.

– Zatem kłamałeś. I oszukałeś mnie podstępnie.

– Tak.

Był brutalnie szorstki i nie wykazywał odrobiny skruchy.

Wtedy zrozumiała wszystko do końca.

Lyon także był wściekły.

Trawiła go zimna furia.

W jakiś dziwaczny sposób podniosło ją to na duchu. To było lepsze niż obojętność.

Spojrzała w jego twarz, szukając jakichś wskazówek co do tego, kim się stał. Nie dostrzegła śladów młodego człowieka, którego ostatni raz widziała, kiedy stał nieruchomo jak umarły, z twarzą pozbawioną koloru, z włosami przyklejonymi przez deszcz do twarzy, a koszulą do piersi, ponieważ oddał jej swój płaszcz.

– Trzeba mieć zasady, jak mi kiedyś powiedziałaś, Olivio. I choć wolę nie kłamać, wolę także dostawać to, czego chcę. A to, czego chciałem, to porozmawiać z tobą na osobności, bez niczyjej wiedzy. I wiedziałem, jak to osiągnąć.

Każde słowo wypowiadał beznamiętnie, jak urzędnik magistratu.

Jej własna wściekłość zapłonęła gwałtownie, a potem osłabła wobec jego wściekłości, namacalnej jak ściana.

Nie mogła zaprzeczyć, że miał do niej prawo.

– Na twoim statku – powtórzyła z ironią równą jego.

– Na moim statku.

– Czy nie mogłeś… – Głos jej zamarł. Nie dokończyła, bo przecież znała odpowiedź.

– Czego? Złożyć wizyty twojemu ojcu z kapeluszem w ręku? Przysłać kwiatów? Wykrzyczeć sprzeciwu, podczas gdy odczytują twoje zapowiedzi każdej niedzieli? Nie, Olivio, tego nie zrobię. Ale chcę z tobą porozmawiać. Jeśli się zgodzisz, odbędziemy tę rozmowę na moim statku. Teraz albo nigdy.

Teraz albo nigdy.

Dokładnie tak samo, jak tamtej nocy przed pięcioma laty, kiedy zmuszał ją, żeby zadecydowała o swojej przyszłości w ciągu jednej chwili, w ulewie, w ciemności nocy.

Ten irytująco, lodowato pewny siebie mężczyzna był tym samym Lyonem.

A jednak nie był.

Ten odruch, żeby ją pocieszyć. Jej imię w jego ustach. Głos nabrzmiały od emocji. To było znajome.

A może to tylko odruchy zrodzone ze wspomnień?

Moje serce, kiedyś ją nazywał. Moja miłości.

Była jego sercem. A on jej.

I zostawił ją bez serca, kiedy zniknął.

Może teraz mogłaby je odzyskać. Razem z całym życiem.

– Jest zakotwiczony całkiem niedaleko. Dojdziesz tam bezpiecznie. To krótki spacer. Nic złego cię nie spotka z mojej strony, ani, zapewniam cię, ze strony jakichś szubrawców i ciemnych typów. Musimy pójść teraz.

Wtedy zauważyła szablę przy jego biodrze pod pięknym płaszczem.

Nosił szablę. W taki sposób, jak inni mężczyźni noszą zegarek na łańcuszku.

Zamrugała, czując ukłucie niepokoju.

Kim był teraz?

Kim się stał?

Boże dopomóż, jakże chciała to wiedzieć.

– Doskonale – powiedziała. – Pójdę.

15

Nie powiedział: „dziękuję”.

Jedynie skinął głową i wykonał kpiąco szarmancki, zamaszysty ruch ręką w kierunku drzwi.

– Ty pierwsza.

Obróciła się gwałtownie i niemal zbiegła po schodach, stukając obcasami.

Mademoiselle Lilette, o której dopiero teraz sobie przypomniała, czekała na schodach.

– Dziękuję, Digby – zwrócił się do niej Lyon, jak do podwładnego, który wykonał zadanie.

Digby?

Olivia spojrzała przez ramię.

Mademoiselle Lilette patrzyła wprost przed siebie. Jak żołnierz wobec dowódcy.

Co do oberżysty, nigdzie nie było go widać.

Olivia drgnęła, kiedy zastęp mężczyzn wyłonił się z mroku, dołączając do nich; mademoiselle Lilette wtopiła się w grupę.

Szare światło świtu odbijało się od szabli, lśniących u ich bioder.

Wątpiła, żeby byli uzbrojeni tylko w szable. To byli wyćwiczeni, zdyscyplinowani i śmiertelnie niebezpieczni ludzie. To nie budziło wątpliwości.

Ale nie byli żołnierzami.

Wyglądali na najemników.

Mężczyźni pomogli jej uprzejmie i z pewnością siebie wejść do łodzi; popłynęli po atramentowoczarnej powierzchni morza, które wznosiło się i opadało łagodnie.

Lyon siedział na dziobie, przed nią, tak jak w kościele wiele lat wcześniej.

Nie oglądał się na nią.

Nigdy dotąd nie była na statku i jego dziwna, elegancka, imponująca sylwetka budziła w niej fascynację. Podniosła głowę i nagle drgnęła, napotkawszy wzrok człowieka siedzącego w bocianim gnieździe.

– Chodź ze mną, Olivio – odezwał się uprzejmie Lyon. – Możesz poczekać na mnie w kabinie, podczas gdy ja załatwię sprawy na pokładzie.

Tylko chora na umyśle kobieta zgodziłaby się zejść z nim pod pokład.

Ale jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

Poszła za nim po stromych schodach, wąskim korytarzem do tej części statku, gdzie załoga najwyraźniej udawała się na nocny spoczynek.

Otworzył drzwi kabiny i zaprosił ją gestem do środka.

– Będzie najbezpieczniej, jeśli tu na mnie poczekasz. Nie wychodź, proszę. Muszę dopilnować czegoś na pokładzie i wrócę… szybko.

Celowo wybrał to słowo… tego była pewna.

Kabina przypominała celę mnicha. Ale na podłodze leżał dywan, może nie z Savonnerie, ale dobrej jakości, zapewne perski, a łóżko, przybite do podłoża, wyglądało na czyste i świeżo pościelone, z błękitną wełnianą narzutą na wierzchu.

Pod ścianą stało małe biurko z niezapaloną lampką naftową, nad nim rozwieszono mapę Morza Śródziemnego.

A obok obrazek z drukowanej *Legendy Lyona Redmonda*.

Ten, który przedstawiał go w kotle kanibala – z ustami otwartymi w małe „o” przerażenia.

Spojrzała na Lyona zaskoczona.

Po jego twarzy przemknął lekki uśmieszek.

– Uznałem, że jest zabawny.

Wyszedł i zamknął drzwi.

Podskoczyła i sprawdziła drzwi. Nie była zamknięta na klucz.

Postanowiła więc pozostać na miejscu, jak jej polecono, ponieważ nie mogła wymyślić nic innego.

Lyon tutaj nie spał. Coś jej podpowiadało, że tak właśnie było. Nie widziała żadnych jego osobistych rzeczy. Mydła do golenia, szczotek, książek, kufra z ubraniami. To musiała być kabina dla gości.

Oprócz niespokojnego chodzenia tam i z powrotem, miała do wyboru siedzieć i czekać. Może modlić się.

Może wspominać.

Usiadła na krawędzi łóżka. Nie zmrużyła tej nocy oka, ale podczas gdy jej umysł był ożywiony jak nigdy, ciało słabło.

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Lyon. Pomyślała o tej ostatniej chwili, kiedy je otworzyła, żeby ujrzeć go obok siebie. Na tamtej polanie, przejęta nowo poznaną rozkoszą, wtulona w jego ciało.

Gwałtownie uniosła powieki. Nie chciała teraz się nad tym rozwodzić.

A potem zmarszczyła brwi.

Nie poruszyła się. Ale może śniła. Krzesło, na które spojrzała, przesunęło się odrobinę. Statek płynął.

Przeklęty statek płynął!

Zerwała się na równe nogi i wypadła z kajuty, trzaskając drzwiami, pognała korytarzem, unosząc spódnicę, w górę po schodach, na pokład.

Rozejrzała się gorączkowo. Żagle nabierały powietrza, a port znajdował się już niepokojąco daleko za nimi.

Odnalazła Lyona natychmiast, rozmawiał z jednym z członków załogi.

Zauważył ją i znieruchomiał, człowiekowi, z którym rozmawiał, rzucił jedno słowo. Wyglądało na „odejdź”.

Mężczyzna zrobił to i to raczej pospiesznie.

Lyon podszedł do niej.

– Chyba powiedziałem ci, że będzie najbezpieczniej, jeśli zostaniesz w kajucie.

– Ale… statek płynie. – Jakby to było coś, co przypadkiem przeoczyli i teraz mogli naprawić.

– Tak.

– Statek płynie. Oddala się od portu. – Stopniowo podnosiła głos, brzmiało w nim niedowierzanie.

– Tak – powtórzył znudzonym tonem. Zerknął w niebo, tak jak ktoś inny mógłby spojrzeć na zegarek, żeby sprawdzić godzinę, potem na takielunek; po czym skinął głową człowiekowi przy sterze, jakby dając mu jakiś tajny sygnał, coś potwierdzając.

– Odpływasz… ze mną na pokładzie?

– Tak.

– Ja… ty…

Przyglądał jej się z nieznośną cierpliwością, unosząc brew, jakby czekał, aż niezbyt rozgarnięte dziecko dokończy zdanie.

– Nie możesz… Mój Boże… Lyon… nie możesz…

– Odpłynąć z tobą na pokładzie? – dokończył. – No cóż, najwyraźniej mogę.

Odebrało jej mowę.

– Porywasz mnie? Chcesz mnie więzić dla okupu?

Parsknął pogardliwie.

Znowu nie wiedziała, co powiedzieć. To było nie do pojęcia. Jego śmiałość była szokująca i, owszem, w pirackim stylu.

Patrzyła na niego wielkimi ze zdumienia oczami.

– Tak? – zachęcił ją delikatnie.

– Będę krzyczeć – spróbowała. Ostatecznie w porcie mogli ją jeszcze, być może, usłyszeć.

– Nie robiłbym tego.

Powiedział to tak zwyczajnie i ponuro, że natychmiast odrzuciła ten pomysł.

A ci wszyscy raczej groźni i bardzo sprawni mężczyźni uważali go najwyraźniej za dowódcę.

I jedna kobieta. Digby. Uprzednio znana jako mademoiselle Lilette, obecnie przeklęta zdrajczyni.

– Co za szaleniec dopuszcza się porwania? – Niemal wypluła te słowa.

Ale może nie powinna używać takich słów wobec szaleńca.

I wcale nie wyglądał na obłąkanego. W gruncie rzeczy rzadko widywała kogoś, kto by sprawiał wrażenie równie trzeźwego na umyśle.

– Pozwolisz, że zwrócę ci uwagę, że zostałaś zaproszona, a potem dobrowolnie wstąpiłaś na pokład?

– Ale nie przyszło mi do głowy, że mógłbyś… Nie powiedziałeś, że zamierzasz…

– Zwykłaś kiedyś być dużo bystrzejsza, Olivio. Może otaczasz się niezbyt inteligentnymi ludźmi.

– Nigdy nie wspomniałeś, że statek pożegluje…

– Zabawne, nieprawdaż, że czasami rzeczy, których nie mówimy, mogą być ważniejsze od tych, które mówimy.

Zamilkła.

Patrzył jej w oczy, jakby wrócili do tamtej nocy w Pennyroyal Green.

– Wrócisz do Londynu za mniej więcej tydzień, cała i zdrowa. I nikt się nie dowie, gdzie byłaś. – Ton jego głosu złagodniał.

Olivia podniosła ręce do twarzy, po czym opuściła je i potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

Zaczęła chodzić po pokładzie, jak zwierzę w klatce. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem.

Lyon nie spuszczał z niej wzroku. Gdyby przyszło jej do głowy wyskoczyć za burtę, złapałby ją z łatwością. Mógłby pewnie złapać ją jedną ręką za kark.

To w nim wzbudziło niespodziewanie niepokój i gniew.

Była zbyt chuda. Delikatne kości jej twarzy rysowały się ostrzej pod skórą; przypominała mu kruche porcelanowe figurynki, jakie ciotka mogłaby ustawić na półeczce nad kominkiem.

Przestała w końcu chodzić i odwróciła się do niego.

Wciąż i wciąż. Po tylu latach. Mięśnie jego brzucha wciąż spinały się, kiedy na nią patrzył. Przygotowując go na zetknięcie z jej pięknem czy też jakimś pierwotnym uczuciem, które w nim budziła i które przeradzało się w słodkie pożądanie.

– Postradałeś rozum. Jesteś… ty… ty…

– Zanim wybierzesz następne słowo, może zastanów się, jak się do mnie zwracać. W końcu, nie wiesz, kim teraz jestem. Kim się stałem. Jeśli jestem szaleńcem, to spodziewać się po mnie można wszystkiego. Przyzwyczaiłem się po prostu brać to, czego chcę.

– Spróbuj „wziąć” cokolwiek ode mnie, a możesz stracić oko.

– Nie pochlebiaj sobie. Wszystko, czego chcę, to rozmowa.

Milczała.

Spojrzeli sobie w oczy.

Widział, jak w jej oczach pojawia się zgoda i spokój.

A także poczucie winy.

Wiedziała dokładnie, o czym mówił.

Ach, to była Olivia. Bystra jak rtęć. I jak zawsze bezkompromisowo uczciwa i sprawiedliwa.

Nigdy nie musiał jej niczego wyjaśniać. Niemal zapomniał, jaki to luksus i jak się z tym czuł. Świat przy niej wydawał się po prostu większy, lepszy i bezpieczniejszy. Przy niej wydawał mieć dużo więcej sensu, a bez niej nigdy już nie był taki sam.

Zagryzała wargę w zamyśleniu.

On także dotykał tej wargi zębami, kiedyś. Delikatnie, bardzo delikatnie, podczas gdy wsuwała palce w jego włosy, kiedy uczyli się oboje dawać i

przyjmować przyjemność.

Zaskrzeczała mewa.

Statek posuwał się niepowstrzymanie naprzód.

– Tydzień, Olivio – powiedział ciszej.

Potrząsnęła mocno głową.

– W jaki sposób… Skąd… Jak…

Podniósł rękę.

– Później.

Niemal warknęła.

– Zaplanowałeś to wszystko.

– Tak – odparł po prostu. – Oczywiście, że zaplanowałem.

Mocniej opatuliła się pelisą.

Zastanawiał się, czy by nie zdjąć płaszcza i nie zarzucić jej na ramiona, kiedyś zrobiłby to odruchowo.

Teraz taki gest wydał mu się zbyt intymny.

Ale nawet teraz nie mógł znieść, żeby cierpiała niewygodę.

Oparł się na poręczy, blisko niej, ale w bezpiecznej odległości i razem patrzyli, jak Anglia kurczy się powoli. Odgłosy portu w Plymouth zamierały. Wkrótce miały ich otaczać jedynie żywioły. Słońce, wiatr i morze.

Jaką ulgą było kiedyś opuścić stały ląd, żeby zmierzyć się z czymś, co go przerastało. Nie raz śmierć zajrzała mu w oczy. Morze niejeden raz próbowało go zabić. Mogło go jeszcze pokonać. Ale zdołał je okiełznać i czerpał z tego ogromną satysfakcję, zwłaszcza że z resztą swego życia nie poradził sobie aż tak dobrze.

– Olivio? – odezwał się w ciszy szorstkim głosem.

Odwróciła się szybko.

– Tak? – zapytała cierpko.

– Dlaczego poślubiasz Landsdowne’a?

Nie odpowiedziała od razu. Nie była w stanie na niego spojrzeć. Więc podniosła wzrok w górę. Wstawał zaiste płomienny świt, ze szkarłatnymi i morelowymi pasmami na niebie. Barwił jej skórę złotem, a ciemnym włosom nadawał rudawy poblask.

– Pytasz, dlaczego go poślubiam zamiast wybrać życie jako chodząca, oddychająca, ale wciąż więdnąca świątynia twojej pamięci?

Było w tym wiele goryczy.

Ale Olivia była jedyną kobietą, jaką znał, która potrafiła powiedzieć coś takiego, jak „więdnąca" świątynia.

Wbrew wszystkiemu, nawet teraz, w dziwny sposób go to bawiło. To, co mówiła, na co zwracała uwagę, zmieniający się wyraz jej boleśnie ślicznej twarzy… nigdy, przenigdy nie była nudna.

– Czy zatem usychałaś beze mnie, Liv? – zapytał cicho.

– Tego nie powiedziałam – zauważyła drwiąco.

Wciąż uparcie nie patrzyła na niego.

– Taki wyciągnąłem wniosek.

W kąciku jej ust pojawiło się napięcie, które mogło przerodzić się w uśmiech. W innych okolicznościach tak by się stało.

– Nie, Lyonie – odparła spokojnie z przyprawiającą o wściekłość cierpliwością, której nie znał u dawnej Olivii. Cierpliwością nauczycielki małych dzieci. – Nie usychałam. Nie jesteś słońcem, księżycem i gwiazdami. Życie mogło trwać i trwało podczas twojej nieobecności.

– Esencja życia – powiedział cicho.

Zerknęła na niego szybko, otwierając szeroko oczy, jakby pamiętała to, co czyniło go kiedyś wyjątkowym w jej życiu. Innym niż reszta ludzi.

Tylko jej.

A potem znowu spojrzała zdecydowanie przed siebie.

– I jesteś zakochana do szaleństwa w Landsdownie. Dlatego wychodzisz za niego.

Nie było łatwo powiedzieć to głośno, jak jej się być może wydawało.

„Miłość” była słowem, które darzył niemal religijną czcią, odkąd opuścił Pennyroyal Green. Doznawał przyjemności od tamtej pory, czasami niezwykłej, czasami pamiętnej, w ramionach innych kobiet, których twarze szybko się zamazywały.

Ale to słowo należało tylko do Olivii.

Nie odpowiedziała.

– Ach, zatem nadal nie umiesz kłamać. Przynajmniej to się nie zmieniło.

To było jak rzucenie rękawicy. Ponieważ Olivia nie mogłaby się oprzeć chęci, żeby się dowiedzieć, co jeszcze się w niej zmieniło w jego oczach.

Otworzyła usta, ale znowu je zamknęła.

– Jestem za stara, żeby cokolwiek robić czy odczuwać „do szaleństwa” – powiedziała w końcu.

To była żadna odpowiedź.

– Czy tak? – zapytał obojętnie. – A kiedyś wszystko, co robiłaś, było szaleństwem.

Trzymał ramiona na poręczy, wciąż blisko, ale nie dotykając jej; oboje wpatrywali się w morze, w stale powiększającą się plamę błękitu, która dzieliła ich od wybrzeży Anglii.

– Odczuwałaś szaleńczo. Wierzyłaś szaleńczo. Kłóciłaś się szaleńczo. Musiałem mocno mieć się przy tobie na baczności.

Spojrzała na niego szybko, zachwyt rozświetlił jej twarz; stała przed nim dawna Olivia. Kiedyś tak właśnie na niego patrzyła.

Wrażenie szybko się rozwiało.

Odwróciła się od niego znowu.

– I całowałaś… Liv, och, Boże, całowałaś jak szalona. Kiedyś, dawno, dawno temu. Może już zapomniałaś. A może to tylko moja wyobraźnia. Może to wszystko był sen.

Widział, jak rumieniec wypływa na jej policzki. Podniosła rękę, jakby chciała złagodzić pieczenie, ale opuściła ją.

Nadal na niego nie patrzyła.

Oboje patrzyli na wznoszącą się i opadającą powierzchnię wody, na ozłocone porannym słońcem morze. Woda uderzała z pluskiem o burty statku, wiatr szumiał i skrzypiał w żaglach – z czasem pokochał te dźwięki.

– Pocałował cię? – zapytał wprost. Jego głos brzmiał dziwnie w jej uszach.

– Nie masz prawa pytać.

Parsknął z irytacją.

– Uniki i retoryka są nudne, Olivio, wiesz o tym. Pocałował cię? Tak czy nie?

– Tak, oczywiście.

Oczywiście.

Spojrzał na nią.

Nawet teraz poczuł, jak ogarnia go paląca zazdrość.

Olivia prawie zawsze miała rację, oczywiście.

Nie miał prawa do zazdrości.

Ale, na tej samej zasadzie, jego płuca nie miały prawa oddychać powietrzem, którym oddychały, a jego serce nie miało prawa bić.

Przyglądała mu się teraz, wiedząc, uświadamiając sobie z całą pewnością, jaki wpływ miały na niego jej słowa i w jej oczach błysnął triumf.

– Czy spełnił twoje marzenia? – szepnął. – Ten pocałunek?

Ton jego głosu był zwodniczo, niebezpiecznie jedwabisty.

W jej oczach widział niedowierzanie i narastający gniew.

– Co odkryłaś, kiedy cię pocałował, Olivio? Że jeden pocałunek przypomina drugi? Że moje były w istocie pospolite, jak każde inne? Drżałaś, kiedy cię całował? Bo, o ile dobrze pamiętam… drżałaś, kiedy ja cię całowałem. Jakby przepływała przez ciebie rzeka. Jakby przyjemność była większa, niż mogłaś znieść. Czułem to w twoim ciele, kiedy kładłem ręce na twoich plecach.

– Przestań – powiedziała napiętym, gorączkowym szeptem.

– Pamiętam, że wydałaś z siebie taki dźwięk, kiedy cię pocałowałem po raz pierwszy. Coś w rodzaju… Było w nim zdumienie, głód, radość… Tamtej nocy leżałem w łóżku i wspominałem ten dźwięk wciąż i wciąż. Myślałem, że mógłbym umrzeć, żeby móc go jeszcze raz usłyszeć. Myślałem, że odkryłem powód, dla którego się urodziłem. Całować cię, słyszeć radość w twoim głosie i wiedzieć, że czeka nas oboje jeszcze więcej radości i przyjemności.

– Przestań. – Oddychała z trudem, jej policzki znowu płonęły.

Mówił dalej, jakby wspominając wbrew sobie.

– Całując cię… zrozumiałem nagle, co to są ognie rzymskie. Ogień pojawia się nagle, gwałtowny, olśniewający… Różnica między życiem a niebytem…

– Przestań.

– Czy przy Landsdownie czułaś się w ten sposób, kiedy cię całował?

– Przestań!

– Przestań. Przestań. Przestań – powtórzyło piskliwe echo.

Przestraszone mewy zerwały się do lotu.

Lyon zawstydził się nagle.

Wydmuchnął powietrze i ponownie spojrzał na wodę, dziwnie pusty i przygnębiony.

Nie szło to spotkanie. Ciągłe zrywy, nagłe ataki i uniki.

Co on wyprawia? Co ma nadzieję uzyskać?

Miał nadzieję zyskać życie, przypomniał sobie. Miał nadzieję odzyskać swoje serce, o ile było to możliwe.

Stali w ciszy, ponurej i pełnej wzajemnych żalów.

Sekundy przeciągały się w minuty, parę minut.

– Przypuszczam, że żyłeś w celibacie.

Powiedziała to sztucznie swobodnym tonem.

Rozpalając w nim maleńką iskierkę nadziei.

– Oczywiście, że nie. – Wzruszył ramionami.

To była absolutna prawda, ale wzruszenie ramion miało ją urazić.

Nie rozwinął tematu, a ona nie pytała. Olivii nie brakowało inteligencji, a wyobraźnia mogła zadać jej dotkliwsze tortury niż nawet koło ogniste, jeśli zaiste to, co usłyszała, nie było jej w smak.

Pozostawała w zupełnym bezruchu, milcząc. Ale kostki jej dłoni na poręczy zbielały.

Wyobrażała sobie to. I cierpiała.

Dziwne, ale czuł zarazem radość i smutek.

Po prostu nigdy nie chciał jej zranić. Celem jego życia zawsze wydawało się chronienie jej od złego.

Przez chwilę opuściło go zdecydowanie. Mógłby się teraz z nią pożegnać i może znowu doznałaby zła, ale nie z jego ręki.

– On mnie kocha – powiedziała cicho. Wyzywająco. – Landsdowne.

– Biedny głupiec.

– On mnie kocha, Lyonie.

Po raz pierwszy wypowiedziała jego imię, odkąd się znowu spotkali; był wściekły, że akurat w takim kontekście.

Jej spokojna pewność budziła w nim furię. Jego imię, wypowiedziane jej głosem, kiedyś tak kochane.

– Och, bez wątpienia. Bez wątpienia. A ty oczywiście musisz dbać o to, żeby nie zranić mężczyzny, którego kochasz.

Słyszała stłumioną gorycz w jego głosie.

Odwróciła się pospiesznie.

– Nie powiedziałam, że kocham…

Oboje zamarli, patrząc sobie w oczy.

Chwila tak pełna napięcia i krucha, że mogłaby pęknąć z trzaskiem jak szkło.

– Tak? – zapytał szorstko.

W końcu spuściła wzrok.

I zapadła w uporczywe milczenie.

Wiatr uwolnił więcej jej jedwabistych czarnych włosów, które wirowały wokół głowy w szalonym tańcu derwisza. Oszałamiający widok – czarne włosy na tle świetlistego, błękitnego nieba. Pamiętał ich dotyk na dłoni, kiedy obejmował jej głowę, żeby ją pocałować. Nie zapomniał także dotyku jej miękkich ust. Ani jedwabistej skóry, której nie odważył się eksplorować do końca.

– Sądzę, że nie powinieneś go nie doceniać – powiedziała w końcu. Cichszym głosem.

– Nie przyszłoby mi to do głowy. Ostatecznie ludzie, których nie doceniamy, mogą nas zaskoczyć i zrobić coś takiego, och, jak na przykład porwać cię na parę tygodni przed twoim ślubem.

– Podąży za mną, jeśli odkryje, że zniknęłam.

– Nie odkryje. Postarałem się o to. Ale jeśli to zrobi, będę gotów na jego przyjęcie – stwierdził po prostu. Z rozbawieniem. – I oddam cię, jeśli taka będzie twoja wola.

Zawahała się.

– Lyon…

Ten ton. Taki rozsądny. Taki protekcjonalny. Niemal uspokajający.

To go wprawiło we wściekłość.

– Dosyć. – To słowo zabrzmiało jak wystrzał z muszkietu.

Drgnęła mocno, otwierając szerzej oczy.

– Nie chcesz tego skończyć, Olivio? Jeśli jesteś w stanie przysiąc na wszystko, co jest ci drogie – czy to własną, śliczną główkę, rodzinę, ziemię, na której stoi twój dom rodzinny od pokoleń, szacunek Landsdowne’a – jeśli w istocie go cenisz – jeśli wiesz z taką samą pewnością, jak wiesz, że jutro wzejdzie słońce, a Eversea i Redmondowie do końca świata będą sobie skakać do gardeł, jeśli wiesz, że mnie już nie kochasz – odeślę cię teraz. Rzeknij słowo. Możesz przysiąc, że nie?

Kochasz.

To jedno słowo. Niczym kula armatnia, która przeleciała przez blanki.

Używał go z dużo większą łatwością niż ona.

Z drugiej strony mężczyznom zawsze łatwiej przychodziło posługiwać się bronią.

Jej oczy wydawały mu się tak piękne i zmienne, tak pełne obietnic, czułości i tajemnicy; kiedy błyszczała w nich złość, stawały się trochę niebezpieczne. Mężczyzna mógł się w nich zagubić. Albo odnaleźć. Jak na morzu.

Morze dlatego na morzu czuł się jak u siebie.

Zamknęła je.

I ledwie dostrzegalnie potrząsnęła głową: nie.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził z ponurą satysfakcją.

Odwrócił się.

– Ale…

– Muszę omówić nasz kurs z pierwszym oficerem. Nie próbuj wyskoczyć za burtę. Pilnują cię, a moja załoga nie ma zwyczaju załatwiać czegokolwiek łagodnie.

16

Była wstrząśnięta, wściekła, straszliwie zmęczona, ale i tak nic nie mogła zrobić: otworzyła oko, potem drugie, tak żeby móc patrzeć, jak odchodzi.

Cóż, to zawsze wymagało nadludzkiego wysiłku, żeby nie patrzeć na Lyona Redmonda.

Zauważyła zasadniczą różnicę. Kiedy poznała go tamtej nocy na sali balowej, był człowiekiem, w którym czuło się pewną samokontrolę. Jakby dźwigał na ramionach niedostrzegalny dla innych ciężar albo jakby poruszał się w pewnych wytyczonych niewidzialną linią granicach, których nie mógł przekroczyć.

Teraz kroczył, jakby posiadał całą ziemię na własność wraz z jej mieszkańcami i nie obchodziło go, co myślą inni, włącznie z nią samą.

Zapomniała, jaki potrafił być nieugięty. Absolutnie bezlitosny w poszukiwaniu prawdy.

Nie zapomniała, jak łatwo przychodziło mu ją zaskoczyć i pobudzić do śmiechu.

I znowu ogarnął ją gniew – na to, kim się stał.

Na to wszystko, co ją ominęło.

Na to wszystko, co on stracił.

Odwróciła się w stronę wody i zastygła w bezruchu, zaszokowana, zaciskając boleśnie dłonie na poręczy.

Nigdzie nie widać było lądu.

Dobry Boże, nigdzie nie widziała lądu.

Tylko nieskończona, falująca, szklista, błękitnozielona powierzchnia wokół. Welon srebrzystej piany, niczym welon królewskiej panny młodej, ciągnął się za statkiem. Słone powietrze uderzało do głowy jak wino, każdy haust powietrza był czymś niezwykłym, egzotycznym, wiatr smagał jej policzki i sprawiał, że włosy uderzały ją po twarzy jak kańczugiem.

Żagle trzeszczały i falowały, wypełniając się powietrzem i pchając statek wciąż dalej i dalej.

Niech to diabli.

Niech go diabli.

Bo… to było wspaniałe.

Pamiętał. Musiał pamiętać. To, co mu mówiła o tym, co chciałaby zobaczyć. Ocean. Płynąć statkiem.

Zamknęła oczy, głęboko wzruszona. Jakiś jasny płomyczek przebijał się poprzez jej gniew i zmęczenie. Coś jakby piękna, na pół zapomniana piosenka, zasłyszana za murami zamku.

– Dzień dobry, panno Eversea.

Gwałtownie uniosła powieki.

Mademoiselle Lilette opierała się swobodnie o poręcz obok.

– Och, dzień dobry, kimkolwiek, do wszystkich diabłów, jesteś – odparła przeciągle Olivia.

– Och, to trochę zabolało – stwierdziła Digby z wprawiającą w furię wesołością. – Coś mi mówi, że po raz pierwszy wplotłaś w zdanie to „do wszystkich diabłów”, panno Eversea, i znakomicie ci to pasuje. Otóż, jestem Digby. – Dygnęła. – Pani Delphinia Digby-Thorne.

Digby mówiła teraz z angielskim akcentem. Ale, być może, miała szczególny talent do mówienia z różnymi akcentami. Równie dobrze mogła być rodowitą Portugalką.

Olivia odwróciła się i zmierzyła drugą kobietę złowrogim wzrokiem.

– Gdzie się nauczyłaś mówić po francusku, oszustko?

– Oszustko? – Digby położyła dłoń na sercu. – To mnie rani. Jestem raczej zręczną aktorką, a nikt przecież nie oskarża aktorek o oszustwo, kiedy praktykują swoje rzemiosło. Nauczyłam się francuskiego zapewne w ten sam sposób co ty. Młode angielskie damy uczą się takich rzeczy, nieprawdaż? Tego, szycia i tym podobnych. Można, jak sądzę, powiedzieć, że na tym nasze podobieństwa się kończą.

Ta cała Digby zachowywała się z nieznośną swobodą i tak, jakby traktowała Olivię jak swoje osiągnięcie, z którego była szczególnie dumna. Olivia znowu poczuła gorąco na policzkach – na myśl o tym, jak bardzo zaufała Digby.

– Jesteś także szpiegiem.

– Cóż, tak. – Digby zdziwiła się lekko, jakby zdumiało ją wypowiedzenie czegoś tak oczywistego na głos.

– Dobrym.

– Tak – zgodziła się skromnie Digby.

– Czy straciłaś kiedyś wielką miłość?

– Przeżyłam wiele miłości, ale żadnej wielkiej, póki nie spotkałam mężczyzny, którego poślubiłam. Wyszłam ostatnio za mąż za pierwszego oficera kapitana, pana Magnusa Thorne’a. I zamierzam zatrzymać go na zawsze.

Olivia parsknęła.

– W jaki sposób zdołałaś… W jaki sposób on… – Olivia machnęła niecierpliwie ręką w stronę niewidocznego już Londynu.

– Dowiedział się, że madame Marceau powierzono przygotowanie twojej wyprawy ślubnej i zapłacił jej asystentce, żeby zniknęła, a ja pojawiłam się niespodziewanie akurat w tej chwili, kiedy madame Marceau najbardziej potrzebowała pomocy. Poprzednia pracownica osiadła na wsi, mogąc sobie pozwolić na zamążpójście, albo i nie, jak jej odpowiadało. Ale kapitan zwabił ją kolejną zapłatą ponownie do Londynu, kiedy była potrzebna. Kapitan może rozbić takie rzeczy, ponieważ jest bogaty. Bardzo, bardzo

bogaty – oznajmiła z zachwytem i podziwem. – Po prostu posłuchałam jego wskazówek i swojego instynktu, i dzięki temu zdołałam cię w końcu przejąć. To się na ogół opłaca, to jest, słuchać jego wskazówek.

Olivia przyglądała się z uwagą kobiecie – niedużej, ciemnowłosej, o bujnych okrągłościach, które zachwyciłyby niemal każdego mężczyznę. Miała wesołe i aż nadto rozumne, ciemne oczy. Jako mademoiselle Lilette widocznie używała pudru, ponieważ teraz ujawniło się parę złotych piegów, a włosy musiała wygładzać i przypłaszczać, grając rolę modystki; teraz widać było, że kręcą się buntowniczo.

– Przejąć – powtórzyła z ironią Olivia. – To tak się dzisiaj określa porwanie i oszustwo?

– Jednakże, przyznać trzeba, że to właściwe słowo.

– A w jaki sposób poznałaś… kapitana… Digby?

Jakie to dziwne, mówić o nim w ten sposób. Kapitan. Bracia wrócili z wojny, emanując nowo nabytym poczuciem własnej ważności i spokojem; czasami było w tym coś tajemniczego, kiedy nagle popadali w milczenie. Widzieli rzeczy i robili rzeczy, o których nie mieli nigdy opowiadać i to ich dzieliło od sióstr i w jakiś sposób silniej wiązało ze sobą. Wydawało się, że na tym polega los mężczyzn, oglądać i robić rzeczy, o których nie można mówić.

A jednak poczucie władzy i pewność siebie Lyona były czymś zupełnie innym.

Jakby stanowił własne prawa.

Ciekawa była, czy coś mogło go teraz zranić.

– Cóż, jego reputacja raczej go wyprzedzała – mówiła Digby – a ja ogromnie go podziwiałam. Potrzebowałam pracy. Przekonałam go, że będę pożyteczną pracownicą. I tak jest – ciągnęła z ogromnym zadowoleniem. – Bo chciał, żebyś się tu znalazłaś i oto jesteś.

Olivia wpatrywała się w kobietę, mając ochotę zadać jej tysiąc pytań.

– Co masz na myśli, mówiąc „jego reputacja”?

– Jako kapitana statku, odnoszącego wyjątkowe sukcesy, zamożnego kupca… i rewolucjonisty, swego rodzaju. Chociaż to ostatnie nie jest powszechnie znane.

Kupiec?

Rewolucjonista?

Lyon Redmond?

Czyżby śniła?

– Pominęłaś szaleńca, być może, panno Digby – stwierdziła cierpko.

Digby odchyliła głowę.

– Uważaj, panno Eversea. Przypuszczam, że można go nazwać w różny sposób, ale z pewnością nie szaleńcem. We wszystkim, co robi, jest metoda. Nie chcę słyszeć żadnego obraźliwego słowa pod jego adresem. Zrobiłabym dla niego wszystko.

Olivia wbiła w nią badawcze spojrzenie.

– I zrobiłaś? – zapytała cicho.

Digby zatrzepotała powiekami, zaskoczona.

A potem, ku zadowoleniu Olivii, ta nieznośnie pewna siebie kobieta zaczerwieniła się.

– Po pierwsze, panno Eversea, czy naprawdę chcesz wiedzieć, co moim zdaniem insynuujesz? A po drugie, czy naprawdę sądzisz, że masz prawo do odpowiedzi?

Opanowanie Digby było zarazem denerwujące i zabawne, w dużym stopniu dlatego, że Olivia miała wrażenie, że patrzy w lustro. I choć Olivia nie miała nic przeciwko temu, żeby wdać się w porządną bójkę, to jej poczucie sprawiedliwości przeważyło.

– Doskonale powiedziane, Digby. Nie i nie.

Oczy Digby błysnęły ze zdumienia. A potem skinęła krótko głową.

– Jeśli potrzebujesz pomocy, jestem do twojej dyspozycji, panno Eversea. Odprowadzę cię do kajuty, jeśli zechcesz pójść za mną.

– Poczekaj… dokąd zmierza statek?

– Do Hiszpanii – odparła zwięźle Digby. – To tylko dzień czy dwa przez Zatokę Biskajską.

Hiszpania. Oczywiście.

Zastanawiała się, co tam znajdzie.

Nagle uznała, że wie. I odczuła maleńki, szelmowski, zupełnie nie na miejscu, promyczek radości.

– Digby… co miałaś na myśli, mówiąc: „rewolucjonista”?

Digby przystanęła, zamyśliwszy się.

– Panno Eversea… jesteś świadoma, że twoje imię widnieje na statku?

Olivia poczuła pustkę w głowie.

– Na…

– Statek nosi nazwę „Olivia”.

Olivia nie była w stanie się odezwać.

Digby widocznie zauważyła coś szczególnego w wyrazie jej twarzy, bo jej własna złagodniała.

– Mężczyźni miewają romantyczne fantazje, panno Eversea. Jeśli twierdzi, że jesteś warta jego czasu, to mu wierzę i powstrzymuję się od osądów. Polubiłam cię, ale moje zdanie nie ma znaczenia. I pozostawię jemu, żeby ci opowiedział, co robił, odkąd widziałaś go po raz ostatni.

– Doskonale – szepnęła Olivia.

– Jedno ci powiem, panno Eversea. Kapitan nigdy nie chciał ode mnie niczego poza lojalnością, żałuję, ale taka jest prawda. Jaka kobieta nie dałaby mu wszystkiego, czego by zechciał? To niezwykły człowiek. Teraz chodź ze mną. Potrzebujesz snu.

Jej kufer cudownym sposobem znalazł się w kajucie, podczas gdy przebywała na pokładzie.

Parsknęła gniewnie. Był pewien, że popłynie statkiem, to jedno nie ulegało wątpliwości.

Cóż, znał ją.

Gniew na przemyślne oszustwo łagodziła jedynie świadomość, że jeśli udało się ją zwieść, to właśnie dlatego, że Lyon ją znał. Jak nikt inny na świecie.

Świadomość tego uwypukliła jeszcze samotność, jaka była jej udziałem, odkąd się rozstali i to mimo że otaczali ją przyjaciele i bliscy.

Drań domyślał się tego.

Niemal się uśmiechnęła.

Czy on też czuł się samotny?

Olivia była pewna, że tej nocy nie zaśnie.

Ale po, jak jej się wydawało, paru chwilach, obudziła się nagle, z poczuciem, że upłynęło dużo czasu. Kiedy zobaczyła Lyona na ścianie, siedzącego w kotle kanibala, przypomniała sobie, gdzie jest.

Przeturlała się na bok i spojrzała w dół.

Koło łóżka umieszczono troskliwie nocnik, obok – wiadomość na kartce złożonej na kształt małego namiotu.

Pochyliła się i przeczytała:

Na wypadek, gdybyś miała mdłości.

Pismo, schludne, równe, zdradzało kobiecą rękę. Widocznie Digby tu zaglądała.

Ładnie z jej strony.

Podniosła się ostrożnie, potem zrobiła parę kroków po poruszającej się w górę i w dół podłodze. Na szczęście wydawało się, że nie jest podatna na chorobę morską. Przeszła jeszcze kawałek i nadal czuła się dość pewnie.

Nie było lustra, więc podniosła ręce i wygładziła włosy najlepiej, jak umiała, obciągnęła sukienkę, a potem uchyliła drzwi na parę cali.

Odskoczyła, gwałtownie wciągając powietrze, kiedy ogromny mężczyzna połyskujący metalem – w uszach, przy biodrze i, co szczególnie niepokojące, przy ręce, gdzie zamiast dłoni miał hak – zwrócił się w jej stronę.

– Ach, nie śpi panienka, tak? Zostań tu. Na pokładzie niebezpiecznie. Pójdę po kapitana. Zamknij drzwi na klucz.

Zamknął drzwi stanowczym gestem.

Jeśli taki mężczyzna powiedział jej, że na pokładzie jest niebezpiecznie, gotowa była wziąć go za słowo.

W jakim to świecie żyje teraz Lyon?

Przekręciła klucz.

Parę minut później usłyszała kroki na zewnątrz, a potem rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

– Olivio, mogę wejść? – To był głos Lyona.

A jej zdradzieckie serce podskoczyło na ten dźwięk.

Przesunęła zasuwę i otworzyła drzwi.

Stanął w progu. Wielki, szokująco przystojny, zwłaszcza że miał na sobie coś, co można by określić jako strój wieczorowy.

Jeśli nie liczyć, rzecz jasna, szpady.

Większość mężczyzn, jakich znała, nie nosiła szpady do kolacji.

– Która godzina? – zapytała.

– Już prawie pora na kolację. W związku z tym… – Podniósł rękę, w której trzymał butelkę wina, w drugiej ręce miał sakwę, zapewne z jedzeniem, jak się domyślała. – Dopłyniemy do portu jutro późnym popołudniem, może bliżej zachodu słońca.

Wyciągnął z sakwy bochenek chleba, kawał sera, nóż, talerz i dwa kieliszki; wszystko to porozstawiał bez ceremonii na małym biureczku.

Usiadła sztywno w nogach łóżka, składając ręce na kolanach, podczas gdy on usadowił się przy biurku.

Patrzyła, jak kroi chleb i ser, i układa je zręcznie na talerzu.

– Dlaczego twój statek nazywa się Olivia?

– Musiałem go jakoś nazwać, a pani Sneath nie brzmi równie dobrze.

Roześmiała się.

Zanim sobie przypomniała, jak bardzo się na niego gniewa.

Odwrócił szybko głowę w jej stronę; jego twarz wyrażała uczucie, które można by nazwać głodem.

Przestała się uśmiechać i zapanowała cisza.

Postawił butelkę na środku biurka i szybko wyciągnął korek, potem nalał trochę wina do obu kieliszków.

Wręczył jej jeden.

Uniósł swój do góry.

– *À votre santé*, Olivia.

Pociągnęła mały łyk. Wino było doskonałe; zaskoczona uniosła brwi.

– Hiszpańskie – wyjaśnił krótko. – Eksportuję je.

Fascynujące stwierdzenie, bez wątpienia, budzące tysiąc pytań.

– Jak wszedłeś w posiadanie statku?

– Kupiłem go.

Spojrzała na niego uważnie.

– To tak ma być, tak?

– To znaczy, jak?

– Krótkie, nadąsane odpowiedzi, które nic mi, w gruncie rzeczy, nie mówią.

– Nadąsane? – To słowo wyraźnie go rozbawiło.

– To najbardziej odpowiednie słowo. Stać cię na więcej.

Wciągnął powietrze, a potem wypuścił je ze świstem.

– Dobrze. Kupiłem go za pieniądze, które zarobiłem, pracując na tym samym statku. Z dodatkiem pieniędzy, które wygrałem od ludzi na tyle niemądrych, żeby grać ze mną w pięć kart. Pracowałem, uprawiałem hazard i inwestowałem.

Odchylił się w tył, obserwując, jakie wrażenie wywarły na niej jego słowa. Przy jego oczach rysowały się lekkie zmarszczki.

Skąd się wzięły?

Pięć lat bez niego. Był starszy, nabył statek, eksportował wino. I miał teraz zmarszczki koło oczu.

A ona nic z tego nie widziała.

Mięśnie jej brzucha napięły się, jakby w panice, na myśl o tym, co straciła. Czego dokonał bez niej.

Panika ustąpiła, zamieniając się znowu w niezrozumiały, męczący gniew.

– Ale co cię skłoniło… żeby kupić statek?

– Z Pennyroyal Green powędrowałem do Londynu, a tam znalazłem pracę na statku, bo chciałem znaleźć się jak najdalej od Anglii.

Oboje wiedzieli dlaczego i to zdanie zawisło na chwilę w powietrzu między nimi.

– I… udało ci się?

Zawahał się.

– W istocie dotarłem bardzo daleko – uśmiechnął się. Nie był to najprzyjemniejszy uśmiech. Odzwierciedlał wspomnienie tego, co widział i zapewne tego, co robił.

A pewnie także kobiet, z którymi się kochał.

Robił to wszystko, podczas gdy ona w Pennyroyal Green odrzucała zalotnika za zalotnikiem, instruując lokaja, gdzie postawić kwiaty znoszone przez mężczyzn, którzy nie mieli żadnych szans, żeby zwrócić jej uwagę.

Ponieważ żaden z nich nie był Lyonem.

Kiedyś byli w stanie rozmawiać bez końca o wszystkim i o niczym. Wystarczyło, żeby podjął jakikolwiek temat, żeby natychmiast uznała go za fascynujący.

Cisza tworzyła kolejną przepaść między nimi. Zbyt wiele mieli do powiedzenia. A teraz nie bardzo wiedzieli, jak ze sobą rozmawiać.

– Byłeś członkiem… załogi? – Ktoś z jego pochodzeniem i wychowaniem musiał się boleśnie rzucać w oczy.

Z drugiej strony Lyon zdobył główną nagrodę w zawodach strzeleckich Sussex i wygrał niejeden turniej szermierki.

– Biorą każdego zdrowego na ciele mężczyznę, który chce pracować na statku, Olivio. Uczyli mnie. Ja się uczyłem. Pracowałem. Walczyłem.

Wygrywałem. Nie musiałem uczyć się niczego, czego bym już wcześniej nie umiał.

Powiedział to bardzo spokojnym tonem.

Ale jasne było, że myśli o tamtej nocy w Sussex, kiedy pytała go: Co potrafisz robić?

W ciągu pięciu lat awansował ze zwykłego majtka, pracującego fizycznie na właściciela i kapitana statku.

Z drugiej strony nie sądziła, żeby tak naprawdę kiedykolwiek w niego zwątpiła.

Milczała. Miała do niego milion pytań.

Połamała chleb, złapała się na tym, co robi i włożyła go do ust.

Patrzył z aprobatą.

– Zjedz więcej. Wychudłaś.

Otworzyła szeroko oczy.

Jego głos brzmiał szorstko.

Pewnie zastanawiał się, dlaczego jest taka chuda, podczas gdy ona myślała o jego zmarszczkach.

Rozważała, czy by się nie sprzeciwić. Ale słyszała szczerą troskę w jego głosie i instynktownie chciała go uspokoić.

Więc posłuchała go. Chleb był chrupiący i zwyczajny, ale bardzo smaczny, podobnie jak ser. Nigdy nie jadła przy publiczności, ale on patrzył w całkowitym milczeniu, jak zjadła z apetytem jeszcze dwie kromki i popiła winem.

Podał jej serwetkę. Otarła usta, złożyła serwetkę i spojrzała na niego.

– Olivio?

– Tak?

– Dlaczego Landsdowne? Dlaczego teraz?

Ich oczy się spotkały.

– A dlaczego nie miałby być on i dlaczego nie teraz? – odparła dosyć spokojnie.

Wypił wino i wstał; przez chwilę na nią patrzył.

– Bo go nie kochasz – stwierdził obojętnym tonem.

Wstrząśnięta, wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Jak śmiesz?

– Sądzę, że zdziwiłabyś się, wiedząc, na co się teraz ośmielam.

Znowu spojrzeli sobie w oczy. Powietrze drżało od niebezpiecznych emocji i niewypowiedzianych słów.

Nie miała pojęcia, jak mogliby je kiedyś z siebie wyrzucić.

– Wkrótce dopłyniemy do brzegu – oznajmił w końcu. – Nie próbuj sama wychodzić z kajuty. Żaden z członków mojej załogi nie jest szlachetnie urodzony, a nawet jakby był, to miesiące na morzu bez kobiety mogą nadwerężyć dżentelmeńskie odruchy.

Powiedział to z całkowitą swobodą. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, dla kogoś jego pochodzenia dowodzić załogą złożoną z niebezpiecznych mężczyzn, tłumiących z trudem zwierzęce instynkty.

Spojrzała na obrazek na ścianie, ten, na którym gotował się w kotle ludożerców.

I pomyślała o innym obrazku na ścianie u Ackermanna.

O mężczyźnie z błękitnymi oczami, ze szpadą w ręku i włosami targanymi wiatrem.

– Jeśli potrzebujesz czegoś, żeby przyjemniej spędzić czas…

Sięgnął do sakwy i wydobył *Robinsona Crusoe*; położył książkę starannie na stole. Zaraz potem wyjął jeszcze *Sierotę Renu*.

Patrzyła na książki. Zaskoczona.

I nagle bardzo, bardzo wzruszona.

Kupił je u Tingle’a, była tego pewna.

Podniosła na niego wzrok, wspominając tamten dzień. Jakby samo przebywanie z nim miało wymiar magiczny. Jakby opadała i wznosiła się, płynąc w powietrzu.

Zrobiłby wtedy dla niej wszystko. Czuła to nawet wtedy.

Nagle zabrakło jej odwagi, żeby patrzeć mu w oczy. Jednak zdobyła się na to.

Zobaczyła w jego oczach, że on także wspomina tamten dzień.

Jego piękno i…

Jak wszystko zostało zniszczone.

– Poczytaj sobie. – Uśmiechnął się blado.

I wyszedł.

Musiała zasnąć nad *Robinsonem Crusoe*, bo drgnęła gwałtownie, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

Olivia podskoczyła, wygładziła spódnicę i wyjrzała na zewnątrz.

To była Digby.

– Pora opuścić statek, panno Eversea. Jesteśmy na miejscu.

Digby zaprowadziła Olivię na pokład, po drodze minęło ich dwóch groźnie wyglądających mężczyzn, którzy dotknęli kapeluszy na powitanie; szli po jej kufer.

Olivia zamrugała; zachodzące słońce wydawało się świecić wprost w jej oczy. Odwróciła głowę, parę chmur płynęło po niebie, które poza tym było czyste i błękitne, choć teraz błękit ustępował barwie zachodu, indygo.

Jej imienniczka, „Olivia”, stała zakotwiczona w małej zatoczce, w złotej podkowie plaży.

Lekki wietrzyk poruszył skrajem spódnicy Olivii, potargał włosy, które wymknęły się spod szpilek. Ta scena tchnęła takim spokojem i pogodą, że z młodej kobiety opadło napięcie i przez chwilę zapomniała, że zwabiono ją tu podstępem i tylko czuła wdzięczność, że jest tu, gdzie jest, gdziekolwiek to było.

A potem Lyon stanął obok i jej zdradzieckie serce podskoczyło z radości. Przypomniało sobie, dla kogo kiedyś biło. Ostudziła je. Nie jemu decydować, już nie.

Tak sobie w każdym razie mówiła.

– Kadyks – powiedział po prostu.

Odstawiono ich na brzeg łodzią. Załoga zdołała osadzić łódź na piasku i pomogła Olivii dostać się na plażę niemal suchą nogą, a ona zdołała w dużym stopniu ochronić swoją skromność. Bogu wiadomo, że nie chciała pokazywać zbyt wiele odzianej w pończochę łydki tym wygłodniałym kobiet mężczyznom.

Potrząsnęła spódnicą i rozprostowała ją; wyszeptała podziękowania.

Lyon stał na plaży, nienagannie ubrany, prosty jak igła kompasu, w ciemnych spodniach i butach oraz białej koszuli; rozmawiał z marynarzami, jak się wydawało, płynnym hiszpańskim, wskazując na podnóże klifu.

Jeden z członków załogi przyniósł i położył kufer Olivii, tam gdzie pokazał Lyon – w miejscu, gdzie zaczynała się droga, wijąca się wyżej po klifie.

Mężczyźni zasalutowali Lyonowi, po czym wsiedli z powrotem do łodzi i odpłynęli.

Zostawiając ją zupełnie samą z Lyonem.

– Pójdziemy? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, ruszył przez plażę.

Odwróciła się w stronę statku i zamarła.

Załoga podnosiła kotwicę. Poczuła chłód.

– Lyon – zawołała.

– Tak? – rzucił przez ramię. Nie zatrzymał się.

Ruszyła za nim, szczęśliwa, że ma na nogach porządne buty podróżne.

– Dlaczego oni z nami nie idą?

– Nie zostali zaproszeni.

– Co oni robią?

– Odpływają – odparł krótko.

– Co to znaczy: „odpływają”? – Znienawidziła dźwięk swojego głosu. W ciągu ostatnich dwóch dni częściej mówiła piskliwie niż wcześniej, podczas

całego swojego życia.

– Wrócą za parę dni.

Tego już było za wiele. Stanęła i odrzuciła głowę do tyłu.

– Aaaaaa!

Odwrócił się natychmiast i znieruchomiał.

Jej krzyk rozbrzmiewał echem wokół nich.

Wtedy do niej dotarło, jak wielka panowała tam cisza. I, zapewne, jak bardzo byli tam sami.

– Interesujący dźwięk – stwierdził w końcu ostrożnie.

– Lyonie Redmond. Nie zmuszaj mnie, żebym znowu podniosła głos. Nie podoba mi się, kiedy jest taki piskliwy. Nie wydawaj mi rozkazów. Informuj mnie o wszystkim i rozmawiaj ze mną jak z gościem, a nie pojmanym wrogiem. Nie idź przede mną, zmuszając mnie, żebym truchtała za tobą nieelegancko, usiłując nadążyć. Jestem tutaj dobrowolnie i masz mnie traktować w sposób cywilizowany, o ile nie zapomniałeś, co to znaczy.

W ciszy, jaka nastąpiła, wiatr wydął jego koszulę niczym żagiel i poderwał włosy z jego ogorzałego od słońca czoła. I w rzeczy samej, w tej chwili wyglądał bardziej na poganina niż przedstawiciela cywilizowanego świata. Być może nieco za bardzo przywykł, żeby jego polecenia wypełniano bez szemrania.

Jednak jego uroda wywierała na niej wstrząsające wrażenie.

– Doskonale – powiedział w końcu z zaskakującą, całkowicie rozbrajającą czułością. – Przepraszam, że byłem taki nieznośny. I przyjmuję twoje warunki.

Odebrało jej mowę.

– Czy masz inne warunki?

Potrząsnęła głową; nie ufała swojemu głosowi, teraz, kiedy czuła gwałtowne ściskanie w gardle.

– Czy mogę zauważyć, że teraz to ty wydajesz rozkazy? – dodał, delikatnie kpiącym tonem.

– Przyjmuję tę uwagę.

Miała ochotę się uśmiechnąć. Niemal to zrobiła.

On też chciał się uśmiechnąć, czuła to. Prawie to zrobił.

Żadne jednak nie uległo, za bardzo przygniatał ich ciężar minionych lat.

Znowu się od niej odwrócił.

– Popatrz tam, na to wzniesienie.

Osłoniła oczy dłonią i spojrzała tam, gdzie wskazywał. Zobaczyła niski, wdzięcznie usytuowany dom z białego kamienia, otoczony bujną zielenią – obsypanymi kwieciem drzewami, a także dębami, sosnami.

Spokojny dom, o niewyszukanych liniach, pełen prostoty, a zarazem imponujący.

Widok z każdego okna musiał zapierać dech w piersiach – ocean, plaża i falujące wzgórza.

Dokładnie tak, jak to opisywał przed laty.

Zabrakło jej tchu.

Spojrzała na niego.

– To mój dom – powiedział.

W każdym słowie dźwięczała spokojna, głęboka satysfakcja.

Serce jej zadrżało.

– Twój dom?

Nie patrzył na nią. I wtedy przyszło jej do głowy, że jego szorstkość może brać się stąd, że Lyon denerwuje się, mając jej pokazać dom.

– Jeden z moich domów. – Jedno z najbardziej intrygujących stwierdzeń, jakie zdarzyło jej się usłyszeć.

17

Zdjął kubrak i podał go jej bez słowa.

Wzięła go, zaskoczona. Złożyła delikatnie i przerzuciła sobie przez rękę, opierając się chęci podniesienia go do nosa i powąchania, żeby się przekonać, czy Lyon nadal pachnie tak jak kiedyś.

Podwinął rękawy i podniósł jej kufer, umieszczając go sobie na ramieniu; niósł go bez widocznego wysiłku.

Poszła za nim.

Ścieżka wiła się lekko, prowadząc pod górę, ale Olivia urodziła się na wsi i przywykła do chodzenia; taka wędrówka nie była dla niej niczym trudnym. Nie wydawał się usposobiony do rozmowy, więc zadowoliła się oglądaniem fascynującej gry mięśni na jego plecach i pośladkach, kiedy piął się pod górę.

Ścieżka doprowadziła ich do żeliwnej furtki w niskim murze z białego kamienia.

Pchnęła furtkę i weszła do środka.

Zaparło jej dech.

Znaleźli się na małym podwóreczku. Pod ich stopami rozciągała się we wszystkie strony mozaika z kafelków w różnych odcieniach czerwieni. Na środku wznosiła się biała, złożona z kilku warstw, fontanna.

Jedną ścianę podwórca spowijała zielona winorośl, przetykana białymi pękami jaśminu. Sąsiednią ścianę porastały szkarłatne kwiaty.

Zanim się zorientowała, co robi, podeszła bliżej i dotknęła jednego – odruchowa reakcja na piękno.

– Bugenwilla – powiedział.

– Jest taka piękna – szepnęła. – Nigdy nie widziałam tych kwiatów poza oranżerią, ale one rosną tam, gdzie jest słońce, prawda? Są jak spódnice hiszpańskich tancerek.

Odwróciła się; uśmiechał się do niej.

– Wszystko, czego potrzebujesz, to niebieskie kwiaty i będziesz miał brytyjską flagę – dodała.

Roześmiał się.

– Hiszpanie byliby zachwyceni. A skoro już mowa o rzeczach, których nie widuje się poza oranżerią – nie, nie ciebie mam na myśli – odwróć się i zajrzyj za tamten róg.

Posłuchała go. Po paru krokach po czerwonych kafelkach, wyjrzała za róg domu.

I oto było tam.

Otworzyła usta. Patrzyła, jakby przypadkiem wpadła na jej królewską wysokość zażywającą odpoczynku w ogrodzie.

– Śmiało. Zawsze tego chciałaś.

Wydawało się niezwykłe, jak ze snu, rosnąc tak pod gołym niebem, obsypane dojrzałymi, słonecznymi kulami owoców.

Zbliżyła się do niego, jak do egzotycznego zwierzęcia, podniosła rękę i pociągnęła.

Pomarańcza wpadła w jej dłoń.

Zamknęła oczy, przysunęła ją do nosa i głęboko wciągnęła powietrze. Wyjątkowa woń, ostra, słodka, cytrusowa wydawała się przenosić ją wprost do nieba.

Angielska pogoda zabiłaby to drzewko natychmiast, gdyby odważyło się wyrosnąć na otwartej przestrzeni. To dlatego drzewa w Anglii odznaczały się taką krzepą i żyły wiele, wiele lat.

Jak dwa dęby w środku Pennyroyal Green, o których powiadano, że reprezentują rodziny Redmondów i Eversea. Rosły uparcie od wieków, podtrzymując się nawzajem i konkurując o światło i wodę.

Roześmiała się ze szczęścia i odwróciła.

Patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

– Zerwij jeszcze parę – odezwał się obojętnym tonem. – Trochę zjemy, trochę wypijemy.

Przejęta zachwytem, zerwała więcej owoców.

Postawił kufer na ziemi, mruknąwszy cicho, a potem wsunął masywny klucz w solidne, łukowate drzwi. Nacisnął klamkę.

Sapnęła.

Dom zrobiony był ze światła.

Potem zamrugała i zrozumiała, skąd to wrażenie. Trzy wysokie, łukowato zakończone okna wpuszczały do środka światło słońca, które rozlewało się niemal po całym pokoju. Pod oknem stał ciężki drewniany stół, który z wiekiem nabrał srebrnawego połysku; na jego środku ustawiono wielką, szklaną misę w najbledszym odcieniu akwamaryny. Jakby kroplę morza uwięziono w szkle weneckim.

Kremowobiałe ściany spotykały się z wysokim sufitem w zaokrąglonych rogach, podłogę z wielkich, gładkich czerwonawych kafli ozdobiono skomplikowaną niebiesko-żółtą mozaiką.

Łukowate drzwi prowadziły do ciemnawych, chłodnych korytarzy, przy których znajdowały się zapewne sypialnie.

Kanapa – pokryta francuskim brokatem w kolorze kości słoniowej, prawdopodobnie Chippendale – ale jednak bardzo na miejscu w tym pomieszczeniu – stała przed kominkiem, z dwoma pozłacanymi krzesłami po bokach, także z brokatową tapicerką. Między nimi umieszczono niski marmurowy, owalny stolik z drewnianymi, kunsztownie powykręcanymi nogami.

Czuła się, jakby wchodziła w jego marzenie. Jedno z pierwszych, jakimi się z nią kiedyś podzielił.

– Pomarańcze można włożyć tutaj.

Wskazał błękitną misę, a ona wsypała tam owoce, po czym cofnęła się, żeby je podziwiać.

Piękne rzeczy, nie mnóstwo rzeczy, jak jej kiedyś powiedział. To chciał mieć w swoim domu.

Pamiętała o tym, bo pamiętała wszystko, co jego dotyczyło.

Oboje milczeli.

Nie poruszała się, pełna zachwytu, spokoju i poczucia, że tutaj, w tym domu, wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno. Dziwnie znajome uczucie.

Przypomniała sobie tę chwilę, kiedy poczuła się w ten sposób po raz pierwszy:

Wtedy, kiedy podszedł do niej na sali balowej. Jakby ktoś przewrócił płot otaczający jej świat.

Ironia losu, patrząc z perspektywy czasu, skoro ich związek ograniczał zegar, żywopłoty i oczekiwania rodziny.

– Tu jest tak pięknie, Lyonie. Ten dom jest jak spełnione marzenie.

– Może dosłownie. Bo o tym marzyłem.

Z pozoru całkiem niewinne zdanie.

Domyślała się, że chęć poddania się jej radości walczy w nim z jakimiś mroczniejszymi, głębszymi uczuciami, od których ona również nie była wolna.

Ona oczywiście była jego marzeniem, tak samo, jak on jej.

Na półce nad stołem stał rząd książek.

Podeszła do nich powoli.

Ponieważ wśród nich zobaczyła *Marka Aureliusza*.

Teraz postrzępiony, niemal bez złoceń, które wytarły się na skutek ustawicznego wkładania do kieszeni kubraka, umieszczania w kufrze,

dotykania rękami.

Zatrzymała się przy niej, czując zawrót głowy. Zawahała się. Potem ostrożnie, nieśmiało, wyciągnęła rękę i dotknęła jej leciutko. Jakby mogła zniknąć, razem z Lyonem i tym pokojem, niczym miraż.

Marek Aureliusz. Jedna z pierwszych rzeczy, jakich się o nim dowiedziała.

Jakże drogie było jej to wszystko, czego się o nim nauczyła. Niemal jakby wiedziała, że ich czas jest ograniczony. Że on pewnego dnia odejdzie i wszystko, co jej zostanie, to garść wspomnień, jak figurki w gabinecie osobliwości.

Niespodziewanie znowu ogarnął ją gniew.

Za to wszystko, co mu przepadło.

Za to wszystko, co jej przepadło.

Za to, że ją opuścił.

A teraz za to, że pokazał jej, jak wyglądało jego życie bez niej.

Nie była pewna, czy to z jego strony rodzaj zemsty. Sposób, żeby jej uświadomić, jak bardzo się myliła.

Albo może chciał jej pokazać, jak mogło być.

Obok *Marka Aureliusza* stały wszystkie tomy napisane przez jego brata, Milesa Redmonda, przyrodnika i obecnie sławnego podróżnika, pożądanego gościa na londyńskich salonach z powodu swoich opowieści o wyprawach do Lacao.

– Milesa o mało nie zjedli kanibale – zauważyła niemal wesoło. – Wiedziałeś o tym?

Nie widać było po nim ani odrobiny zaskoczenia, ale w ukrywaniu swoich uczuć osiągnął przecież mistrzostwo.

– Nie dałby się łatwo strawić. Jest trochę żylasty.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

Twarz miał nieruchomą i chłodną. Ręce skrzyżował na piersi. Przypominał trochę rycerza w zbroi.

Przeszła dalej wzdłuż półki, przyglądając się grzbietom książek.

– Violet ma teraz dziecko. Poślubiła hrabiego Ardmay. Jest hrabiną.

Celowo wybrała tę wiadomość. Zerknęła przez ramię.

Nawet nie mrugnął.

– O mało nie umarła przy porodzie, jak słyszałam – dodała niemal obojętnie.

Trwał w absolutnym bezruchu. Ale pobladł w okolicach ust.

Była pewna, że Lyon wie doskonale, dlaczego to powiedziała.

Czuła w nim napięcie, które źle wróżyło, coś, co narastało stopniowo. Twarz miał spiętą, usta pobielałe w kącikach.

Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie dolewać oliwy do ognia. Chciała, żeby się złamał. Nie było cię tam. Potrzebowałam cię. Tęskniłam za tobą. Brakowało ci tego. Straciłeś to wszystko.

– Czy wiedziałeś, że Colin o mało nie zginął na szubienicy?

– Wiedziałem. – Mówił cichym, napiętym głosem.

Tamtego ranka siedziała z rodziną w miejskiej rezydencji i modliła się.

Tęskniła wtedy za Lyonem. Gdyby tak zjawił się u niej w domu…

Ale tak się nie stało.

Colin przeżył. Colin w ogóle miał takie szczególne szczęście.

Odwróciła się od niego raptownie, jakaś mała figurka na końcu półki przyciągnęła jej wzrok.

– Mogę?

Skinął głową.

To był ptak. Śliczny, delikatny drobiazg, ledwie cięższy od dmuchawca. Podniosła go i postawiła na dłoni.

– To żuraw origami – wyjaśnił. – Origami to japońska sztuka składania papieru… składania kartki papieru w zawiłe kształty. Zwierzęta, kwiaty… Zabawne, jak coś całkiem zwykłego można łatwo przekształcić w coś niezwykłego.

Spojrzała na niego pytająco. Wiedziała doskonale, dlaczego to powiedział.

– Dała mi to pewna kobieta. Na szczęście. I żebym o niej pamiętał.

Wiedziała, dlaczego także to powiedział.

Maleńki żuraw na jej dłoni mógł być teraz równie dobrze żmiją.

Teraz stało się jasne, że każde słowo, jakie między nimi padało, choćby pozornie grzeczne i uprzejme, pozornie obojętne, kryło w istocie wściekłość, oskarżenie i ból.

Być może także miłość.

Może nie dało się już tego rozdzielić.

Odstawiła pospiesznie figurkę origami.

Miałaby ochotę ją spalić.

– Chętnie zażyłbym trochę powietrza. Może przejdziemy się po plaży, Olivio?

Chwycił kubrak, odwrócił się, nie czekając na odpowiedź i wyszedł.

Ruszyła za nim z równym pośpiechem.

Szedł denerwująco długimi krokami. Biegła, żeby nie zostać z tyłu. Nie przeprosił i nie zwolnił. Nie prosiła o to. Chciała biec.

– Gdzie są twoje inne domy, Lyonie?

– Mam plantację w Luizjanie, Sugarcane. Jeden w Nowym Yorku. Dom na południu Francji.

– Ale nie w Anglii.

Nie odpowiedział.

Żwir chrzęścił pod ich stopami na ścieżce, póki piasek plaży nie wyciszył kroków; podeszli razem do samego brzegu.

Wydawało się, że są zupełnie sami. Ani śladu ludzi. Ani ptaków.

– Mógłbym teraz kupić niemal każdy dom w Anglii, który by mi się spodobał. Gdybym chciał mieszkać w Anglii – dodał zimno. Z ironią. Jakby mówił o kimś innym.

Słońce niemal już utopiło się w morzu i żywe barwy zachodu bladły powoli, przechodząc w błękit i fiolet nocy. Powietrze nadal było ciepłe i łagodne, ale czuło się w nim zapowiedź chłodu.

– Czy pamiętasz, Lyonie, jaki nudny był kiedyś proboszcz? Mój kuzyn, Adam Sylvaine, jest teraz proboszczem. Jest całkiem dobry. W kościele panuje teraz tłok w każdy weekend. Nie przeszkadza, że mój kuzyn jest szalenie przystojny.

Uśmiechnął się lekko, uprzejmie. Milczał.

– Wezwali go, kiedy sądzili, że twoja siostra umrze przy porodzie. W środku nocy. Eversea w twoim domu. Opowiadał, że Jonathan częstował go brandy.

Był sztywny jak posąg. Mocniej złożył ręce na piersi. Jakby starał się coś zatrzymać.

– A Jonathan ożenił się z niezwykłą kobietą i wywrócił przy tej okazji Londyn do góry nogami. Założył własną grupę inwestycyjną. I ubiega się o miejsce w parlamencie. Wiedziałeś, że interesuje się reformą prawa dotyczącego pracy dzieci? Nie kto inny, jak Jonathan Redmond. Twój brat.

Lyon nie poruszył się, tylko wiatr podrywał mu włosy z kołnierza. Morze zrobiło się teraz niebieskoczarne, jeśli nie liczyć snopu światła, jaki rzucał pełny księżyc. Było spokojne, wyrzucało pianę jak koronkę na brzeg w odstępach równych westchnieniu. Tam kierował się jego wzrok. Z dala od niej. Jakby sprawiała mu ból.

– Zastanawiam się, Olivio, czy twoim zamiarem jest zarzucić mi, że nic o tym nie wiem – otóż wiem, dużo, być może nie wszystko – albo, że nic mnie to nie obchodzi? A może jedno i drugie?

Powiedział to bardzo, bardzo wolno. Niebezpiecznie wolno. W jego głosie brzmiało ostrzeżenie, na które zwróciłby uwagę każdy człowiek z odrobiną rozsądku.

Jego głos drżał z wściekłości.

Nie mogła się jednak powstrzymać. Musiała go sprowokować.

– To nie ma znaczenia, czy tak? Umknęło ci to. To wszystko. Te wszystkie rzeczy. Wszystko… ponieważ… uciekłeś.

Odwrócił się powoli.

Miała dość rozsądku, żeby cofnąć się o dwa kroki.

Wściekłość biła od niego jak żar z pieca, którego drzwi przypadkiem otworzyła.

Patrzył na nią, jakby jej nigdy dotąd nie widział.

– Uciekłem – powiedział przeciągle. Jakby uczył się obcego języka.

Nie poruszyła się.

Ale nie była w stanie się odezwać, więc tylko skinęła głową.

– Uciekłem – powtórzył. Głosem pełnym niedowierzania i palącego gniewu. – Interesujące słowo w ustach tchórza.

Jego pogarda zapiekła boleśnie.

Powietrze w płucach paliło.

– Jestem…

– Tchó-rzem – wymówił powoli i dobitnie. Jakby uczył ją nowego słowa.

W głowie jej zaszumiało.

– Jak. Śmiesz. Podczas gdy to ty uciekłeś.

Parsknął pogardliwie.

– Ach, Olivio. Posłuchaj samej siebie. Powinnaś pamiętać, że twoje humory nie robią na mnie wrażenia. Znam cię. I mówię prawdę. Co więcej, myślę, że ty o tym wiesz.

– Znasz mnie? Sądzisz, że nadal mnie znasz? Masz czelność.

Ale to była zwykła fanfaronada. Ponieważ mówił prawdę. I wszystko wskazywało, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Ostatecznie zawsze wyprzedzał ją o krok.

A teraz pędzili jak na skrzydłach huraganu w stronę czegoś, co tłumiła w sobie od lat.

Prawdy.

Nie mogła tego powstrzymać, choćby chciała.

– Mam czelność – odparł spokojnie, nieustępliwie. – I znam cię. Zawsze myślałem, że jesteś taka dzielna. Z taką pasją broniłaś praw biedaków, wyrzutków, ludzi, których głosu nikt nie słucha. Kobieta, która mówi, co myśli. Podziwiałem cię całym sercem za twoje poświęcenie. Chciałem być ciebie wart. Kiedy w końcu okazałaś się tylko… małą… przerażoną… dziewczynką.

Zimne, brutalne słowa.

Drżała wobec tego ataku.

– Nie wiesz, co…

– Założę się, że wciąż się boisz. Boisz się chcieć czegoś, czego, jak sądzisz, nie powinnaś chcieć. Tego, jak mocno czujesz. Jak bardzo, bardzo… – Podszedł bliżej, nie poruszyła się. – … Jak bardzo, bardzo mnie pragnęłaś. W każdym sensie tego słowa. Nie mogłem znieść, że jesteś w stanie walczyć dla każdego, tylko nie dla mnie. Jeśli mnie stworzył na swoje podobieństwo mój ojciec, to ty jesteś dziełem swojej rodziny.

– Lyon… Nie wolno ci…

Nie słyszał jej. To wszystko spało w nim przez lata, jak lawa w nieczynnym wulkanie.

– Dałbym ci księżyc. Mógłbym to zrobić, Olivio. Tamtego wieczoru prosiłem, żebyś we mnie uwierzyła. A ty mnie odrzuciłaś. Bo. Się. Bałaś.

To było nie do zniesienia.

– Lyon… Proszę… Zrozum…

– Sądziłem, że zobaczyłaś we mnie jakieś piętno, coś niewybaczalnego. Nie mogłem tego wytrzymać, Olivio. Teraz wiem, że byłaś po prostu tchórzem. Nic więcej.

Cisza porażała. Wypełniał ją chrapliwy dźwięk ich oddechów. Jakby byli parą gladiatorów, którzy po walce wreszcie od siebie odskoczyli.

Podniosła ręce do twarzy. Z trudem wciągała rozgrzane powietrze.

Najgorsze, że miał rację. Wszyscy mieli rację co do niej.

Wszystkie plotki i opowieści były prawdziwe.

Złamała mu serce.
A czyniąc to, z rozmysłem, może na zawsze, złamała własne.
A także tych wszystkich, którzy go kochali.
Wszystko dlatego, że za bardzo się bała o niego walczyć.

18

*L*yon… musisz zrozumieć… nawet mi się nie śniło, że odejdziesz – powiedziała łamiącym się głosem. – Nie chciałam, żebyś odszedł. Nie powinieneś był odejść. Nie powinieneś był odejść. Nie powinieneś był naprawdę odejść.

Głos drżał jej z rozpaczy, z rozpaczy, której nigdy nikomu nie zdradziła, nawet samej sobie; inaczej nie mogłaby żyć.

Upadła na kolana i zakryła twarz dłońmi.

Wciągnęła powietrze urywanymi haustami. Potem jeszcze raz.

Szlochała nad swoim złamanym sercem.

Zastarzałe łzy. Zbyt długo powstrzymywane.

Nigdy dotąd nie płakała przez niego – odkąd wyjechał.

Po chwili poczuła, że ukląkł obok niej.

– Och, na miłość boską. Moja dziewczyno. Moja słodka dziewczyno. Na Boga. Nie płacz. Proszę, nie płacz. Nie chciałem, żebyś płakała.

Mówił cicho, niemal w panice.

Prawie ją to rozbawiło.

Nikt inny jej tak nie nazywał. Nikt inny nie uważał, że jest słodka.

Nikt inny nie wiedział, jaka jest naprawdę czuła.

Nikt inny nie był w stanie naprawdę jej zranić.

Nikt inny nie potrafiłby jej uratować przed nią samą.

To wszystko sprawiło, że rzuciła się plecami na piasek, zakryła ręką oczy i rozszlochała się rozpaczliwie.

Nie odzywał się.

Może przeraziła go tak, że stracił zdolność mowy.

Leżała na piasku, nie dbając, że będzie go miała pełno we włosach, że zniszczy sobie tył sukni ani o to, że straci godność; płakała, jakby świat się kończył. Jakby go teraz straciła po raz drugi.

W pewnej chwili czułe dłonie ujęły jej głowę.

Poddała się, kiedy wsunął pod nią złożony kubrak jak poduszkę.

Kubrak pachniał nim. I tak, jak wszystko, co się z nim wiązało, niósł pociechę i poruszał.

Westchnęła rozpaczliwie.

Wydawało się, że nie jest już w stanie płakać.

Oderwała w końcu rękę od twarzy

I zamrugała, zaskoczona.

Panowała ciemność. Blask gwiazd niemal boleśnie kłuł w oczy.

Czuła spokój i pustkę, miała wrażenie, że zatarciu uległy wszelkie granice. Równie dobrze mogła być piaskiem albo niebem.

Stąd wiedziała, że od dawna całą jej istotę wypełniała rozpacz.

Teraz, kiedy pozwoliła sobie jej w końcu ulec, nie miała pojęcia, kim może być.

Leżała nieruchomo w pustce. Pozwoliła, żeby głowa opadła jej na bok. Lyon siedział, obejmując luźno kolana rękoma, patrząc na wodę, spowity cieniem.

Żadna inna istota na planecie nie zdołałaby tak nią wstrząsnąć. Świadomość, że ktoś tak dobrze ją zna i rozumie, dawała spokój, nawet jeśli jednocześnie czuła się tak, jakby obdzierano ją ze skóry.

– Miałeś rację – szepnęła. – We wszystkim. Byłam – jestem – tchórzem.

Odwrócił się do niej szybko. Parsknął gorzkim śmiechem.

– Zanim przystąpisz do dalszego samobiczowania, Olivio – a nie jest całkiem nieusprawiedliwione – prawda jest taka, że musiałem wyjechać z

Pennyroyal Green. Z tobą czy bez ciebie. Uświadomiłem to sobie niedawno. Może w końcu… może w końcu wszystko wyszło na dobre.

Jego głos był cichy, niemal zamierający. Przyszło jej do głowy, że powiedział jej już to, co chciał powiedzieć i może on także czuł się pusty i oczyszczony.

Ale kim teraz byli?

I czy w końcu – jak powiedział wcześniej – skończyli ze sobą?

Jak cokolwiek, co ich podzieliło, mogło wyjść na dobre?

Ale wiedziała także, że Isaiah Redmond po rozmowie z synem nie zawahałby się spełnić groźby i brutalnie podciąć Lyonowi skrzydła: pozbawiłby go dochodów, zmusił do małżeństwa, które uważał za właściwe, groziłby odcięciem od wszystkiego, co Lyon kochał – aż syn zacząłby tańczyć, jak mu ojciec zagra.

Dla Lyona byłoby to nie do zniesienia.

– Tak, rozumiem, co masz na myśli, Lyon. Myślę, że co do tego także masz rację. Nie miałeś wyjścia.

Ku jej zaskoczeniu roześmiał się; śmiał się szczerze, na koniec wzdychając z zadowoleniem.

– Och, Liv. Niemal słyszałem, jak twój mózg męczy się, żeby dojść do tego wniosku. Nigdy nie musiałem ci niczego wyjaśniać. To był taki luksus… Nie masz pojęcia. Być z tobą… to było jak… jakbym zrzucał za ciasne buty. Tylko że oczywiście nieskończenie bardziej podniecające.

Uśmiechnęła się. Boże, wiedziała doskonale, o czym mówił. Przed nim i odkąd wyjechał subtelnie ograniczała samą siebie, chcąc dostosować się do innych.

Naprawdę sobą była tylko z nim.

Uświadomienie sobie tego miało słodko-gorzki smak.

– I nie myliłaś się zupełnie, twierdząc, że jestem… dziełem swojego ojca – dodał. Mówił przez ściśnięte gardło.

– Rzadko mylę się zupełnie – szepnęła. – A twojemu ojcu udało się stworzyć parę wspaniałych rzeczy. Ciebie, na przykład.

Wyczuwała, że się uśmiecha. Coś się zmieniło w powietrzu. Jakby jego nastrój był jej własną pogodą.

Westchnął, rozprostował długie ciało i leniwie wyciągnął się obok niej, podkładając ręce pod głowę.

Robił to wszystko powoli, jakby chcąc podkreślić, jak bardzo jest wysoki, jak silny i jak niebezpiecznie męski.

Te parę cali przestrzeni między nimi niemal wibrowało. A jednak mógłby to być cały Ocean Atlantycki.

– Lyon?

Szloch sprawił, że głos jej zachrypł.

– Mm?

– Tak bardzo, bardzo mi przykro, że cię zraniłam.

Słowa, które tak bardzo chciała z siebie wyrzucić od dawna.

Nie odezwał się.

Wstrzymała oddech.

Spokój, jaki udało im się osiągnąć, znowu zaczął zamieniać się w napięcie, które aż dzwoniło jej w uszach.

Wybacz mi, błagała w duchu. Potrzebuję twojego rozgrzeszenia.

– Myślałem, że mną gardzisz. – Wyraźnie zbierał myśli.

– Ja nigdy…

– I wiesz… Zawsze myślałem, że prędzej umrę niż cię zranię. Z pewnością chciałbym zabić każdego, kto by się ważył cię zranić. A jednak w tym samym czasie sam chciałem cię zranić. Chciałem, żeby cię obchodziło, że odszedłem.

Zamilkł.

Wydawało się, że wstrzymuje oddech.

– Och, Boże. Lyon. Obchodziło mnie.

Urywane, wyszeptane słowa. A jednak wyraziła się w nich rozpacz tych wszystkich lat bez niego i całego jej serca.

Westchnął, przewrócił się na bok i podpierając się na łokciu, spojrzał na nią z góry. Światło księżyca wydobywało jego twarz z mroku.

– Mnie także jest przykro – szepnął.

Stało się zatem.

Pozwolili, żeby te słowa przez chwilę unosiły się w powietrzu.

– Znalazłbym dla nas jakiś sposób na życie, Olivio.

– Wiem. Nie sądzę, żebym kiedyś naprawdę w ciebie wątpiła. Tylko… byłeś starszy ode mnie. Bardziej doświadczony. Zawsze trochę szybszy. Czasami… to było zbyt wiele. Czasami czułam się… wplątana w coś, trochę popychana. Po prostu nie byłam gotowa, żeby podjąć taką decyzję tamtej nocy.

Przyjął to długim westchnieniem.

– Byłem taki pewny słuszności tego, co robię. Swojej racji. Byłem taki zarozumiały. Młody, niepokonany i tak dalej.

Uśmiechnęła się.

– Co my wiedzieliśmy o miłości?

I oto padło to słowo. Łatwiej je było wypowiedzieć teraz, kiedy przestali udawać, atakować się czy bronić. Przestała się tego bać, bo to prostu była prawda, jak piasek pod nimi i niebo nad ich głowami.

– Miłość jest jak naładowany muszkiet – powiedział w zamyśleniu. – A jednak jest dostępna dla każdego. Jest zawsze… – Wykonał gest, jakby podawał komuś broń. – Weź. Spróbuj nie zabić siebie ani innych. Młodych ludzi nie powinno się do niej dopuszczać.

Ale nadal mówili o miłości jak o czymś osobnym, jakby stanowiła element krajobrazu albo wspomnienie, a nie coś, co teraz do nich należało.

Roześmiała się.

– Ach, ale gatunek by nie przetrwał, gdyby młodzi nie byli głupi.

Rozchylił usta, jakby zamierzał coś powiedzieć. Zmienił jednak zdanie i potrząsnął głową.

– To, co mówisz, Olivio… Ja tylko… – Znowu potrząsnął lekko głową.

Zbyt przejęty przyjemnością przebywania z nią, żeby coś powiedzieć.

Uśmiechnęła się do niego.

Słuchała jego głosu, a także westchnień morza, które wpływało na plażę i cofało się ponownie. To było wszystko i wydawało się, że wystarczy na zawsze. Wydawało się, że to wszystko, czego mogła kiedykolwiek potrzebować.

Nigdy nie powiedziała mu wtedy na głos, że go kocha. Zawsze tego żałowała.

Tak się męczyła niechęcią do siebie samej. Była zaręczona ze wspaniałym mężczyzną, który mówił, że ją kocha; zaczęła już sobie wyobrażać życie u jego boku, życie wygodne i dostatnie, bezpieczne, godne i stateczne, w otoczeniu rodziny, przyjaciół, w końcu dzieci. Życie i mężczyznę, dwie rzeczy mogące stanowić powód do dumy dla każdej kobiety, dawać jej poczucie uprzywilejowania.

Mężczyznę, którego mogłaby pewnie któregoś dnia pokochać.

Nie chciała zranić Landsdowne’a ani nikogo innego, ze sobą włącznie. Była taka zmęczona bólem. Może po prostu zmęczyło ją to, że tyle czuła.

Nie mogła jednak teraz nie dotknąć Lyona, tak samo, jak nie mogła zatrzymać bicia własnego serca.

Czubkami palców musnęła lekko jego policzki. Niepewna przyjęcia.

Wyczuła raczej niż usłyszała, jak wstrzymał oddech.

Łagodny spokój poprzedniej chwili ulotnił się.

Wróciła ostrożność, niepewność, co się może stać.

Nie mogła zobaczyć wyrazu jego oczu, tak samo jak swoich własnych.

Przesunęła delikatnie palcami wzdłuż jego szczęki. Znała ją tak dobrze jak własną. Patrzyła zafascynowana, jak pod wpływem jej dotyku, niczym za sprawą czarodziejskiej różdżki, na jego twarzy pojawia się pożądanie.

Kiedyś mogli mieć dla siebie tylko tyle i nic więcej.

Może tak miało pozostać.

Przesunęła palce na jego gardło. Krew pulsowała szybko i mocno.

Czuła, jak budzi się jej własne pożądanie.

A potem jego twarz przysunęła się blisko. Jego wargi dotknęły jej.

Z wahaniem.

Delikatnie.

Być może tak jak ona obawiał się świeżego bólu.

Ale ich ciała zachowały pamięć o sobie nawzajem w każdej najdrobniejszej cząsteczce. A kiedy ich usta się spotkały, pożądanie i radość stłumiły rozsądek i kazały zapomnieć o ostrożności.

Wiedzieli, co robić. To on ją uczył, a ona go inspirowała.

Rozchyliła usta pod naciskiem, a potem…

Och, Boże, nie mogąca się z niczym równać słodycz jego ust, ciepło i satyna. Zapomniana przyjemność. Żaden narkotyk z pewnością nie mógł się z nią równać.

Przejęło ją pożądanie; wsunęła palce w jego włosy. Zapomniała o świecie.

– Liv. – Pół westchnienie, pół jęk, całkowite zapamiętanie.

Osunął się obok niej, objęli się ramionami. Dotyk jego ciała był tak dobrze znany, tak właściwy. Ale było w nim coś nowego – jakaś dzikość, zarazem niebezpieczna i pociągająca. Twarda pierś obok niej przypominała, że to nie jest dawny Lyon. Że może nie wie o nim teraz wszystkiego, co wiedzieć powinna.

Wiedziała jednak, że go pragnie.

Nagle odsunął usta, wsparł się na rękach i przetoczył się na bok, wciągając z drżeniem powietrze. Ręce położył sztywno obok siebie, jakby chcąc je ukarać za to, że przed chwilą ją obejmowały.

Leżeli oboje, oszołomieni, znowu oddaleni, co nagle wydało się takie niewłaściwe. Miała wrażenie, że unosi się między dwoma światami i z

żadnym nie jest związana.

Przed Lyonem ustępowały nawet logika i siła ciążenia.

Całe jej ciało wibrowało, jak trącony pałeczką dysk gongu.

Przerwał w końcu milczenie.

– Nie jestem już chłopcem, Olivio. Nie zamierzam więcej moczyć spodni.

Szorstkie, ale szczere.

– Rozumiem.

Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, jakby zaskoczony. A potem zaśmiał się krótko.

Leżeli w całkowitym milczeniu, oboje napięci jak struny, aż w końcu zaczęła sobie zdawać sprawę z innych rzeczy, poza obecnością Lyona. Na przykład tego, że zrobiło się chłodniej.

Drgnęła, kiedy zerwał się na równe nogi.

Patrzył na nią chwilę z góry, po czym wyciągnął rękę.

Chwyciła ją, a on podciągnął ja do góry, żartobliwie jęcząc z wysiłku.

– Doskonale! Już jesteś trochę cięższa, Liv, dzięki dobremu jedzeniu na statku.

– Bestia – odparła równie lekko.

Wyprostowawszy się, odkryła, że świat nadal lekko wiruje.

Nic na świecie nie uderzało do głowy tak jak Lyon Redmond.

Puścił nagle jej rękę i odbiegł, wzbijając piętami tumany piasku.

– Dokąd… co ty…

Odwrócił się i podbiegł z powrotem w jej stronę, a potem podniósł oczy w niebo, zatrzymując się gwałtownie.

– Zostań tu, gdzie jesteś! – polecił.

Wyciągnął rękę, jak zwycięski akrobata, który właśnie wylądował i odwrócił dłoń.

– Teraz spójrz, Liv. Patrz na moją rękę.

Spojrzała.

Na jego dłoni spoczywała świetlista kula księżyca.

– Ooooch – szepnęła.

Piękne, doskonałe, czarowne.

Magiczna iluzja.

A potem udał, że rzuca do niej księżyc, jak w krykiecie.

Uchyliła się, podnosząc ręce do głowy.

Potrząsnął głową, wzdychając ponuro.

– Musimy popracować nad twoimi chwytami, Eversea, jeśli miałabyś się kiedyś stać przyzwoitym zawodnikiem.

Opuścił rękę, zostawiając księżyc na niebie.

Roześmiała się i ruszyła ku niemu; jej bose stopy zapadały się w jedwabistym piasku; cieszyła się każdym krokiem, bo zbliżał ją do niego.

Pamiętał, żeby się zatrzymać i poczekać na nią.

Ach, mój ty suficie. Stary przyjacielu, myślał ponuro Lyon. Znowu się spotykamy.

Ciekaw był, czy sufity zawsze będą mu przypominać o Olivii.

W milczeniu rozeszli się do swoich pokoi, kiedy dotarli do domu.

Zrzucił ubranie i wskoczył do łóżka; leżał, czekając na sen, który nie nadchodził. Zupełnie jak dawniej.

Był trochę starszy, może trochę mądrzejszy, na pewno o wiele bardziej wybredny. Dostawał ciosy nożem i strzelano do niego, sam walczył nożem i strzelał do innych. Zgromadził fortunę przy pomocy dziwnej mieszaniny bezwzględnego oportunizmu, bezprawia i idealizmu, zyskując poczucie, że jest niemal niezwyciężony. Nie mówiąc o odciskach i bliznach na dłoniach i – sercu.

A jednak był tu, leżąc nieruchomo, jak człowiek, który obawia się odnowić śmiertelną ranę. Tak niepewny siebie i przejęty pożądaniem, jak chłopiec, który po raz pierwszy musnął dziewczęcą pierś.

A sprawiło to wszystko zaledwie parę chwil w jej ramionach.

Sam sobie, doprawdy, wydawał się zabawny.

Pod pewnymi względami to cierpienie wydawało się teatralne, wmówione przez bajkowe opowieści. Tragiczni, przeznaczeni sobie kochankowie, rozdzieleni przez los, i tak dalej. Ona była jego piętą Achillesa, raną Chirona, która nigdy nie miała się zagoić.

Z drugiej strony nic z pewnością nie mogło być zwyczajniejszego. Bo nie powstałyby mity, opery, sztuki i romantyczne ballady, gdyby mężczyźni i kobiety przed nimi, od początku świata, nie wykonywali tego dziwnego *pas de deux*.

Myślał, że chce jej pokazać dom w Kadyksie, żeby jej uświadomić, jak bardzo się myliła. Pokazać, co straciła.

Teraz wiedział, że chciał jej udowodnić, że jest jej wart. Tylko tego zawsze pragnął.

Miała rację. Nie rozumiał tego wcześniej, ale to on ją porzucił. Wiedział, jak cenna jest dla niej rodzina, zwłaszcza odkąd omal nie straciła braci na wojnie. Miała dość niepewności w życiu. A jednak zażądał, żeby razem z nim zdała się na niepewny los.

Sądził po prostu, że miłość wystarczy.

Poruszył się niespokojnie w łóżku.

Mógł ją posiąść tej nocy.

Zapewne powinien był ją posiąść tej nocy.

Wciąż mógł to zrobić. Spała zaledwie parę pokoi dalej.

Wiedział, jak wykorzystać namiętność i zmysłowość Olivii, żeby dostać to, czego chciał.

Ale co wtedy?

Miał dość honoru i dobrego wychowania, żeby nie cieszyć się przyprawianiem rogów takiemu człowiekowi, jak Landsdowne. Albo odbierać dziewictwo kobiecie zaręczonej z innym.

Ale kiedy przyjrzał się temu, co się kryło za tym rozumowaniem, odkrył prawdę:

Mógł przeżyć ciosy sztyletu i kule.

Ale Olivia Eversea była ostrzem, które mogło pociąć jego serce na strzępy.

Zawsze tak było.

Ciekaw był, czy zawsze będzie.

I, Boże dopomóż, nie był pewien, czy ma dość odwagi, żeby znowu to przeżyć.

Kiedy w końcu zasnął, spał samotnie.

19

Poranne słońce wlewało się przez okno, lekka bryza owiewała wszystkie kąty, czyste, jasne światło sprawiało, że wszystko w pokoju zlewało się w miękką, świetlistą plamę, ściany, okna, zasłony, podłoga.

Wszystko, z wyjątkiem lśniącego słoika z marmoladą i błyszczącej rękojeści noża, który z niego wystawał.

Lyon siedział przy stole, na którym stał talerz ze stosikiem pieczonych kromek oraz parujący kubek kawy. Wsunęła się na krzesło naprzeciwko i oparła brodę na rękach.

Nalał jej kubek kawy z zadziwiająco delikatnego, porcelanowego imbryczka i podsunął w jej stronę.

– Prawdziwa siekiera. – Mówił chropawym od snu głosem, który podziałał na nią tak, jakby pogładził palcami włoski na jej karku.

Patrzył, czekając, aż spróbuje.

– *À vôtre santé*. – Podniosła kubek do ust w toaście, wypiła łyk i skrzywiła się.

– Hm? – zapytał radośnie.

– Hm – odparła z aprobatą, biorąc kolejny, krzepiący łyk. – Wspaniała. Tak sobie zawsze wyobrażałam smak lawy.

– Turecka – oznajmił zwięźle. I uśmiechnął się lekko.

Odwzajemniła uśmiech. Pod jego oczami widniały fioletowawe półksiężyce, podejrzewała, że jej twarz wygląda podobnie. Najwyraźniej żadne z nich nie spało dobrze, jeśli w ogóle. Kiedy się rozstawali, ich ciała,

w przenośni, stały w ogniu, a potem, każde w swoim łóżku, dopalało się na popiół.

Ciekawe, czy tak dobrze zapamiętał swój sufit, jak ona swój. Bardzo możliwe, że straciła wszelkie nabyte podczas podróży uncje ciała, przewracając się tej nocy z boku na bok.

Postąpił jednak słusznie, przerywając pocałunek tamtej nocy.

– Wyglądasz jak pirat – powiedziała. I niebezpiecznie. Pociągająco. Jak człowiek wrażliwy.

A czarne bokobrody sprawiały, że jego oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie.

Jego oczy rozbłysły na te słowa. Nieprzypadkowe.

Uśmiechnął się szybko i przesunął, zmieszany, ręką po brodzie.

– Ty wyglądasz… – Jego oczy dokończyły za niego.

Jeśli można się kochać spojrzeniem, to on właśnie to zrobił.

Sięgnął po kromkę i popchnął talerz w jej stronę, wraz ze słoikiem marmolady. Jej ulubionej.

– Domowe luksusy. – Jej głos brzmiał słabo po tym jego spojrzeniu.

Chwyciła nóż i zaczęła rozsmarowywać po nim marmoladę, jakby była jednym z ulubionych malarzy Genevieve.

Patrzył na nią niepewnie.

Podziwiała chwilę swoje dzieło, zanim ugryzła kawałek.

– Czy musi być całkowicie pokryta dżemem? – W jego głosie brzmiała fascynacja.

– Tak – odparła pewnym głosem.

Uśmiechnął się.

Znali się nawzajem tak dobrze, a jednak było tyle drobiazgów, tyle codziennych, skromnych drobiazgów, o których nie mieli pojęcia.

Ugryzła. Niebo w ustach. Chleb z marmoladą nigdy nie smakował tak cudownie.

Kiedy zjadła, powiedziała:

– Chętnie bym się wykąpała.

Przerwał żucie i zerknął na nią jakby lekko zaskoczony, a potem powiódł po niej wzrokiem, jakby sprawdzając, czy rzeczywiście jest brudna.

– Jestem kobietą – zauważyła. – Tolerancja na piasek w różnych zagłębieniach mojego ciała jest z pewnością niższa niż twoja.

– Słuszna uwaga.

Patrzył z zadowoleniem, jak rzuca się na chleb niczym wygłodniały wilk. W życiu nie była taka głodna.

– Znam pewne miejsce – odezwał się w końcu. To zabrzmiało tajemniczo.

– Miejsce?

– Nie mam jeszcze wanny jako takiej i jak pewnie zauważyłaś, służby, która by się nią zajmowała, gdyby takowa była. Widzisz, kiedy jestem sam i chcę się porządnie umyć… – Wskazał brodą za okno.

– Nie powiesz mi chyba, żebym weszła do oceanu!

– Nie będę ci w ogóle mówił, co masz robić. Dałaś jasno do zrozumienia, co o tym sądzisz. – Powiedział to z wyraźną przyjemnością. – Tylko ci pokażę.

Ugryzł jeszcze kawałek chleba i spojrzał jej w twarz.

Odłożył chleb.

– Spodoba ci się – oznajmił łagodnie i z całkowitą pewnością. Irytujące i niezwykle pociągające, jak zwykle. Jakby była płochliwą klaczą, a on uznał za punkt honoru nakłaniać ją do tego, co z pewnością pokocha, kiedy przestanie się bać.

– Jonathan ma swoją własną grupę inwestycyjną, powiadasz? – odezwał się nagle. – Mam swoje sposoby, żeby wiedzieć, co się dzieje na bieżąco, ale o tym nie słyszałem.

Wyruszyli w piękny poranek. Wrzucił parę rzeczy do plecaka, ser, chleb, małą butelkę wina, a także dwa zwinięte koce; machał nim, gwiżdżąc jakąś

trudną do rozpoznania melodię. Melodia wiła się, wciąż zmieniając; podejrzewała, że jest jego autorstwa. Uśmiechnęła się.

Błękitne, świetliste niebo nad ich głowami było barwą szczęścia, wesołą jak baldachim podczas świątecznej zabawy. Jasne słońce przygrzewało łagodnie, w powietrzu czuło się delikatną wilgoć; Olivia zastanawiała się nad faktem, dlaczego nie pomyślała o zabraniu czepka albo pończoch. Chwyciła torebkę, bardziej z przyzwyczajenia niż potrzeby, jakkolwiek znajdował się w niej grzebień. Jak łatwo przyszło jej zamienić się w dzikuskę.

– I podobno ma się ubiegać o miejsce w parlamencie – przypomniała. – Bardzo się angażuje w sprawę reformy pracy dzieci.

Lyon potrząsnął głową ze zdumienia.

– Musiała się w to wmieszać kobieta.

– Dlaczego tak myślisz?

– Ponieważ to kobiety stoją za tym, co robimy.

Zastanowiła się chwilę.

– To oczywiście zbyt ogólne stwierdzenie.

– Ze smutkiem jednak stwierdzam, że wytrzymuje analizę.

Rzucił jej szelmowskie spojrzenie, wiedząc, że Olivia uwielbia analizy.

Uśmiechnęła się, zadowolona, że pamięta.

– Jonathan może by w ogóle o tym nie pomyślał, gdybyś nie opuścił Pennyroyal Green.

Spojrzał na nią przenikliwie.

I zapadł w milczenie na tyle długie, że można się było domyśleć kryjącego się za nim smutku.

Wiedziała, że niezależnie od wszystkiego, on także tęsknił za swoją rodziną.

– Filozofujemy dzisiaj od rana, Olivio? – zapytał w końcu.

– To często mi się zdarza, zwłaszcza rano.

Roześmiał się.

Zastanawiała się, czy przez resztę jej życia dźwięk jego śmiechu będzie wprawiał jej serce w drżenie; ten dźwięk powodował, że wszystko w życiu stawało się lepsze, tak jak sól czy marmolada dodawały smaku jedzeniu.

Wspięli się na łagodne wzniesienie; zdała sobie nagle sprawę z nieustającego szumu, innego niż pulsowanie fal bijących o brzeg. Kiedy stanęli na szczycie, sięgnął po jej rękę.

– Będziemy schodzić w dół, a grunt jest tutaj niepewny, więc…

Podała mu rękę. Zniknęła w jego dłoni i Olivia poczuła się nagle onieśmielona i bardzo młoda.

– Nie ufasz mojej zręczności? – zapytała wesoło.

– Och, nie o to chodzi. Po prostu nie chcę się stoczyć na łeb na szyję, ku niechybnej śmierci, bez towarzystwa.

Parsknęła śmiechem, a potem sapnęła, kiedy pociągnął ją w dół dosyć stromym zboczem. Prowadził ją zręcznie, bez wysiłku, jak na kapitana statku przystało. Jego siła szokowała i onieśmielała. Był jak ze stali.

Zeskoczyli na wąski pasek złotej plaży.

– A zatem dobrze – powiedział tylko.

Nie była w stanie się odezwać.

Znajdowali się w czymś w rodzaju kosza, utworzonego przez stromy klif i skały.

U ich stóp lśnił turkusowy klejnot jeziora, który tworzył łagodny owal na przestrzeni około pięćdziesięciu stóp, zwężając się później niczym ogonek apostrofu, przechodzący w kolejne, mniejsze jezioro, znikające za olbrzymim skalnym występem. Jego powierzchnia drżała, zakłócana delikatnie przez wodospad u jego krańca. Nieustający strumień pienistej wody nie był wyższy od Lyona, a jego szerokość Olivia oceniała na dwa stojące obok siebie powozy. Nie widziała, skąd wypływał, musiał mieć źródło na jakimś skalnym wzgórzu, ukrytym przed ich wzrokiem; opadał po skalnych półkach, topiąc się w końcu w jeziorze.

Za wodospadem znajdował się zacieniony, skalny występ; wydawał się płaski.

Wodospad wyglądał jak koronkowa biała kurtyna zasłaniająca scenę.

– Eden.

Nie zdawała sobie sprawy, że wypowiedziała to słowo na głos. Było raczej jak tchnienie, które wydobyło się z głębi jej duszy.

– Właśnie tak pomyślałem, kiedy zobaczyłem to miejsce po raz pierwszy.

Podziwiali je w milczeniu przez kolejną chwilę.

– A teraz zdejmij ubranie, stań pod wodospadem i umyj się.

Odwróciła gwałtownie głowę.

Wyciągnął ku niej rękę i otworzył dłoń ceremonialnie. To była kostka mydła. Bardzo biała na jego opalonej dłoni.

Spojrzała na nie.

A potem ostrożnie podniosła wzrok na niego.

– Francuskie. Powąchaj.

– Wierzę – odparła sucho. – To poprzednie zdanie mnie poruszyło.

Znowu milczeli chwilę. Patrzyli sobie w oczy, ich myśli niemal dało się usłyszeć, jednak nic nie mówili.

– Będę tam. – Wskazał ręką fragment jeziora, ogonek apostrofu, znikający za skałą. – I dokonam własnych ablucji. Tu jest płytko i śmiem twierdzić, że nawet ty będziesz mogła stać swobodnie. Nie będę cię widzieć ani ty mnie. Chociaż jeśli staniesz za wodą, to tak, jakbyś się zasłoniła welonem, a ja i tak cię nie zobaczę, gdziekolwiek będę.

Odwróciła się w stronę wodospadu. A potem znowu do niego.

– Czy potrzebujesz… pomocy? Z koronkami, gorsetem…? – zapytał niemal sztywno. – Czy też wolisz zachować piasek w zagłębieniach ciała jako pamiątkę pobytu tutaj?

– Dam sobie radę – oznajmiła stanowczo.

– Nieustraszona jak zawsze.

Parsknęła cicho.

– Stanę na straży i obronię cię przed wszelkimi podstępnymi mewami i mściwymi syrenami.

– Są mściwe? – Sięgnęła w końcu powoli po mydło.

Przypomniała sobie tamtą chwilę, kiedy dała mu polityczny pamflet. Pierwszy dotyk jego ciała, potajemny, niedozwolony i taki cenny. Lont, który nigdy nie zgasł.

Jego dłonie wciąż były długie i eleganckie, ale zbrązowiały od słońca i stwardniały od pracy. Jedną przecinała blada blizna. To mogły być dłonie wojownika, który walczył z bronią w ręku przez ostatnie lata. I zajmował się innymi niebezpiecznymi rzeczami.

Czy zdarzało mu się jeszcze drżeć? Czy też widział i dotykał zbyt wielu kobiet, żeby się pozbawić tego rodzaju wrażliwości?

– Och, syreny to zazdrosne istoty – powiedział cicho, jakby słyszał jej myśli. – Często pozwalają sobie na bardzo kąśliwe uwagi wobec innych pięknych kobiet.

Tak ją oczarował obraz rozzłoszczonych panien wodnych, bijących gniewnie ogonami w piasek, że natychmiast zapomniała o wszelkich obawach.

Był to także pierwszy otwarty komplement, jaki od niego usłyszała, odkąd zobaczyła go po raz pierwszy po latach; podziałał na nią z tak absurdalną siłą, że zaczerwieniła się.

Doprawdy, nie pamiętała, kiedy ostatnio zaczerwieniła się czy zbladła w obecności Landsdowne’a albo innego mężczyzny.

Może z wyjątkiem tej okazji, kiedy czytała *Legendę Lyona Redmonda*.

To jej przywiodło na myśl Landsdowne’a i jego dłonie – silne, kwadratowe, arystokratyczne, z błyszczącym sygnetem na palcu, kiedy słodził herbatę, przyznając ostrożnie, że być może rzeczywiście rozczarował nieco inną kobietę, zaręczając się z Olivią.

I oto tutaj stał przed nią Lyon, który nie potrafił robić niczego ostrożnie czy niepewnie, a teraz ofiarującego jej coś nowego, coś, co może ona zdoła

albo nie zdoła przyjąć, coś, co mogło, ale nie musiało być mądre.

– Weź jeszcze to, będziesz musiała się wysuszyć. – Lyon rzucił jej zwinięty koc, a ona wsunęła go pod pachę. – Możesz podejść do wodospadu i schować się za nim. Zobaczysz.

Nagle podniosła rękę, rozwiązała wstążkę i mocno potrząsnęła głową, oddając włosy we władzę wiatru, który natychmiast zaczął nimi targać jak nową zabawką. Potem zrzuciła pantofle, schyliła się, żeby wziąć je w jedną rękę, drugą uniosła suknię, odsłaniając łydki – niech sobie popatrzy – i ruszyła w stronę wodospadu.

– Dla twojej wiadomości: mam ciało pokryte błyszczącymi łuskami – rzuciła przez ramię.

– Dobry Boże, mam nadzieję. To spełnienie moich marzeń.

Jej śmiech brzmiał jeszcze, kiedy odeszła, radosny i melodyjny jak szum wodospadu.

Tego mu właśnie brakowało, jak sobie uświadomił. Ten dźwięk, bardziej niż niemal cokolwiek innego, oznaczał dla niego „Olivia”.

Stał, chłonąc go.

Wydawała się wolna i szczęśliwa. Niewinnie szczęśliwa. Jak ptasi śpiew po burzy, kiedy ptaki nie oszczędzają gardziołek, wkładając w swoją pieśń całe serce.

Zawsze powinna być taka szczęśliwa.

Zauważył coś błyszczącego na ziemi – kawałek błyszczącego materiału.

Upuściła torebkę.

Podniósł ją, wypadł grzebień i coś zwiniętego ciasno w biały kwadrat, który rozwinął się, spadając na ziemię.

Podniósł to ostrożnie, marszcząc brwi i przesunął po nim palcami.

Jego kciuk natrafił na „LAJR” wyhaftowane w rogu.

Skąd to wzięła? Chusteczka była nieskazitelnie czysta, poza maleńką kroplą krwi.

Potem przypomniał sobie: noc, kiedy opuścił Pennyroyal Green. Noc, kiedy ojciec go uderzył.

Zachowała tę chusteczkę tak długo.

I nosiła ją przy sobie, zwiniętą w ciasny kwadrat.

Zamknął oczy i poczuł, jak jego pierś pęcznieje ze szczęścia, tak jak za pierwszym razem, kiedy wziął ją w ramiona.

Może to będzie wszystko, co będą kiedykolwiek mieli – godzina czy dwie rozkoszy od czasu do czasu, nanizane jak klejnoty na nici tęsknoty i rozpaczy. Może teraz przeznaczono im zaledwie parę chwil, które pozostaną ich tajemnicą, skrywaną przed innymi, tak jak oni schowali się teraz w tej oddzielonej od plaży zatoczce.

A jednak.

Patrzył jak odchodzi, zdumiony przewrotnością losu, z sercem ściśniętym z tęsknoty. To było niegasnące pragnienie, które trzymało go jak w szponach i skazywało na wieczny niepokój.

Kochała go. Zawsze.

Był tego pewien tak jak koloru własnych oczu.

Był też pewien, że urodził się, kochając ją, tak jak wiedział, że urodził się z niebieskimi oczami. To było takie proste. I takie niezmienne.

I jeśli to było przekleństwo, to nie wiedział, czym jest błogosławieństwo.

Olivia posuwała się ostrożnie plażą na bosych nogach, aż dotarła do chłodnego, srebrzystoszarego głazu, którego krawędzie wypolerowała przez minione stulecia spadająca z góry woda. Weszła wyżej, chowając się za wodospadem. Jaskinia za nim była na tyle głęboka, że jej tylna ściana pozostawała sucha, choć chłodna, a zapach wilgotnej ziemi i minerałów był jak perfumy. Odetchnęła głęboko.

Zerknęła przez wodną kurtynę.

Na brzegu leżał stosik ubrań i para butów oraz rozpostarty koc, a to oznaczało, że Lyon musiał się szybko rozebrać i teraz był w wodzie.

Mężczyźni. Niech Bóg błogosławi ich proste pogańskie dusze.

Na nią kolej.

Mogłaby to zrobić szybko, gdyby się nie zadumała. Dosyć łatwo było ściągnąć suknię przez głowę, kiedy już dała sobie radę z tasiemkami. Potem zdjęła koszulę. Złożyła to wszystko zgrabnie i odłożyła pod ścianą jaskini.

I oto stała zupełnie naga na dworze, o krok od wodospadu – dziwne zachowanie jak na osobę z angielskiej arystokracji.

Choć nie zdziwiłaby się, gdyby jej braciom zdarzyło się coś takiego raz czy dwa razy.

Stała tak, ciesząc się po prostu swoją nagością, nieskrępowana niczym, co ją określało, jak świetny, angielski strój. Ciepłe, gęste, aksamitne niczym pieszczota powietrze nadawało zwykłym czynnościom, którym nigdy dotąd nie poświęcała wiele uwagi – uniesienie ramion, stąpanie boso, potrząsanie głową, żeby puścić włosy wolno wzdłuż nagich pleców – nieznaną zmysłowość.

Weszła pod wodę i sapnęła, a potem zaśmiała się, zaskoczona.

Kontrast między chłodem wody a jedwabistym powietrzem sprawiał rozkosz. Włożyła mydło pod wodę, trąc między dłońmi.

Zbyt energicznie, jak się okazało.

– A niech to!

Kamienne ściany wzmocniły jej głos, jakby stała na scenie w Covent Garden.

Mydło wyrwało się na wolność z jej uścisku, wskoczyło z pluskiem do wody poniżej i zaczęło szybko odpływać.

Lyon zanurkował i szybko wyskoczył na powierzchnię. Coś, jak szybki chrzest, próba otrzeźwienia.

Co za ulga powierzyć rozgrzaną głowę i napięte ciało chłodnej wodzie. Unosił się na powierzchni, leżąc na plecach i obserwując swobodny lot mewy nad głową.

Ale ta mewa też cierpiała głód, który musiała zaspokoić i żyła od posiłku do posiłku.

Wolność – od czegokolwiek, czy to była przeszłość, rodzina, niespełniona miłość, była raczej złudzeniem, o czym zdążył się już przekonać.

Kątem oka dostrzegł coś połyskliwego i białego; zamrugał.

Obok przepływała radośnie kostka mydła.

Sięgnął ręką natychmiast i chwycił ją, a potem wyprostował się.

W jednej chwili zrozumiał, co trzyma w ręce:

Element przetargowy.

Przedmiot negocjacji.

A także: potencjalnie straszliwy błąd.

Mógł pozwolić, aby popłynął do oceanu.

Mógł go schować do plecaka i udawać, że nigdy go nie widział.

Mógł postąpić dużo rozsądniej od tego, jak postąpił. Podniósł głos.

– Zgubiłaś coś… Olivio?

Cisza. Znaczące i niemal namacalne wahanie, podczas którego niemal słyszał, poprzez szum wodospadu, jak jej umysł pracuje pospiesznie.

Pozwól mówić swojemu ciału, Olivio.

– Czy to… trafiło do ciebie? – Akustyka była tak wspaniała, że niemal nie musiała podnosić głosu. Był tylko trochę bardziej piskliwy. Także opanowało ją napięcie.

– Było w drodze do Le Havre, a ja je złapałem.

W ciszy, jaka nastąpiła, miało się wrażenie, że świat wstrzymał oddech.

– Chcesz to z powrotem?

Mówił szorstkim tonem. Nie starał się ukryć napięcia.

Tak bardzo czekał na jej odpowiedź, a nie wiedział, jakiej pragnie najbardziej.

Okazało się, że odpowiedzią było:

– Tak.

20

Ruszył do niej natychmiast, nie mówiąc już słowa więcej.

Nigdy nie weryfikował raz podjętej decyzji. Odziedziczył tę cechę, wynikającą z arogancji i życia w przywilejach, po swoim ojcu. Choć kolejne próby, jakim los go poddawał w ciągu ostatnich paru lat, nieco tę cechę utemperowały.

Wpłynął na większe jezioro i zatrzymał się raptownie.

Stracił oddech, widząc zarys jej ciała, przesłoniętego welonem wody. Odchyliła głowę, żeby woda mogła spływać po jej całym ciele; była jak marmurowy posążek zdobiący fontannę.

Już wcześniej tulił jej ciało do siebie, ale poprzez warstwy muślinu. Przez lata myślał, że to nie ma znaczenia, jak Olivia wygląda pod ubraniem. Mogłaby mieć głowę dziewczyny i ciało nosorożca, a i tak doznawałby dreszczy na jej widok.

Jej ciało było zdecydowanie ciałem kobiety.

Poprzez wodę widział ją z profilu: zarys małych, uniesionych ku górze piersi o różowych sutkach, talia, rozszerzająca się cudownie w białe, okrągłe siedzenie, długie, szczupłe, białe członki.

Wrażenie równało się uderzeniu pioruna. Prąd przeszedł wzdłuż jego kręgosłupa; myślał, że głowa mu odpadnie i pofrunie razem z mewami.

Wyszedł na brzeg szybko, z mydłem w ręku, zanim go zobaczyła.

Odwróciła się gwałtownie.

Patrzyli na siebie, jak Adam i Ewa, kiedy po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz.

Albo tak, jak wtedy, na sali balowej, kiedy czas się zatrzymał, a oni tylko na siebie patrzyli.

– Żadnych łusek – odezwał się w końcu.

Nie mogła mówić. Na jego widok krew uderzyła jej do głowy, uszkadzając, przy okazji widocznie, zdolność mowy.

Przyjęła teraz zupełnie nową logikę. Ta nagła słabość na widok wyjątkowego okazu męskiej urody musiała być wpisana w rozwój gatunku. Celem było oszołomienie kobiety, żeby stała się bezwolna i poddana.

Nago powinniśmy wydawać się bezbronni, pomyślała. Ale Lyon nago wyglądał tak samo stosownie i pewnie jak prawdziwy lew we własnej skórze i wydawał się równie swobodny, jakby stał na sali balowej albo na pokładzie statku.

Nie wiedziała jednak, dlaczego ktoś miałby się przejmować skromnością, wyglądając tak jak on. Jego szczupłe ciało miało w różnym stopniu barwę złota i brązu, ciemniejszych na ramionach, nogach i twarzy, niżej na ciele nieco bledszych. Mięśnie rysowały się wyraźnie pod skórą, korpus między szerokimi ramionami a wąską talią tworzył prawdziwe „V”. Miał na sobie kilka niepokojących blizn, jedna z pewnością od kuli z muszkietu.

Wiedziała, że uważa ją za piękną, miał to wypisane na twarzy. Bardziej podniecała ją jednak intencja, którą tam także wyczytała. Pierwotna, nie do pokonania.

Zamierzał ją posiąść.

A ona bardzo pragnęła dać się posiąść.

Nie było czasu dywagować co dobre, a co złe. Istniała tylko chwila obecna. Strach i radość zlały się w jedno.

– Może pomóc ci umyć kark, Olivio? Przypuszczam, że się spociłaś.

Patrzyła na niego w milczeniu. Wszystkimi zmysłami chłonęła jego widok, chcąc na zawsze zachować go w pamięci.

Przesunął się, żeby stanąć za nią. Jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. Zamknęła oczy. Czuła gorąco jego ciała; jej serce biło gwałtownie.

Podniósł delikatnie ciężką masę jej mokrych włosów, jakby w istocie była dzikim, płochliwym zwierzątkiem.

Namydlił jej kark lekkimi muśnięciami palców, wywołując setki doznań w całym ciele.

Jej oddech stał się szybki, urywany.

Podsunął dłoń pod wodę i pozwolił, żeby cienki strumyczek z jego pięści spadał na jej kark.

A potem powoli objął ją w pasie, dotknął ustami szyi, tam, gdzie pulsowała krew i złożył na niej palący pocałunek; językiem przesunął po czułym, ukrytym miejscu pod uchem.

I dmuchnął na nie lekko ciepłym oddechem.

Wydała z siebie długi, cichy jęk.

Błagała, wiedział o tym.

Natychmiast zapomniał o wszelkich subtelnościach i stracił panowanie nad własnym pożądaniem; Bogu tylko wiadomo, co stało się z mydłem.

Jego dłonie, stwardniałe i gorące, sunęły po jej skórze ku biodrom. Przyciągnął ją mocniej do siebie, a ona wygięła się jak bezwstydna kocica. Teraz jego ręce powędrowały ku jej piersiom, napawając się ich aksamitnym dotykiem i ciężarem, a jego oddech, język, usta na jej gardle wywoływały falę przyjemności za falą. Wszędzie, gdzie dotarły jego palce, budził się ogień, aż cała płonęła.

– Olivia…

Kochali się bez słowa, niemal dziko, dając ujście tłumionej przez lata tęsknocie, gniewowi, miłości. Objęła rękami jego głowę, a on zanurzył twarz w jej szyi, wbiła palce w jego ramiona, przywierając mocno i nie spuszczając z niego wzroku, aż zamknął oczy i oddychał z trudem przez uchylone wargi.

Krzyczeli z rozkoszy.

Poruszył ramionami w głębokim westchnieniu; smakowała dotyk jego gorącej, satynowej skóry pod dłońmi. Fascynowała ją rzeźba mięśni na plecach.

Tulili się do siebie jak rozbitkowie, którzy ocaleli z katastrofy morskiej.

Chował twarz na jej szyi, a ona gładziła go delikatnie, uspokajająco po plecach, aż ich oddechy złagodniały i wyrównały się.

Powinna myśleć o wielu rzeczach.

Ale z każdym łykiem powietrza, które wciągała w płuca i które wypuszczała, mogła myśleć tylko: nareszcie, nareszcie, nareszcie.

A wszystko z powodu małej dziewczynki, która potrafiła być taka zdecydowana i nieustępliwie mądra w ubraniu, a nago składała się z delikatnych różowokremowych zaokrągleń i kochała się jak zwierzątko.

Ten kontrast go zachwycał.

Miał nadzieję, że jej nie posiniaczył.

Za to był pewien, że sam przyozdobi się siniakami tam, gdzie wbiła palce w jego ramiona i biodra. Poczuł na tę myśl przypływ niezwykle męskiej satysfakcji, tak jak na dźwięk jej krzyku i sposobu, w jaki tuliła się do niego, ogarnięta rozkoszą.

– Ty po prostu promieniejesz – powiedziała w końcu.

– A powinienem rozpaczać. Nie zdołałaś dokończyć kąpieli – stwierdził ze smutkiem. – A mydło przepadło.

– Może nawet w tej chwili żegluje do Le Havre.

– To zależy od prądów – zauważył.

Przez moment wpatrywali się w zamyśleniu w jeziorko.

A potem szatan w niego wstąpił. I pchnął ją kolanem w białe, okrągłe siedzenie.

Piszcząc i rozpaczliwie machając rękami, wpadła do jeziora i zniknęła pod powierzchnią wody.

Wystrzeliła na powierzchnię z gwałtownością gejzeru, odrzuciła włosy z czoła, jej oczy ciskały iskry, które niemal czuł na własnej skórze.

– Ty… ty… draniu! Bestia!

Chwilę później jej twarz się zmieniła.

– Ooooch, Lyon! Jak cudownie!

Roześmiał się.

Zagarniała rękoma wodę wokół siebie, rozkoszując się jej dotykiem, widział srebrzysty zarys jej nóg, a jej różowe jak muszelki sutki to pojawiały się, to znikały pod powierzchnią.Wskoczył do jeziora, znowu ją podtapiając.

Wynurzyli się, plując wodą, w tym samym czasie.

– Jestem rybakiem i chcę posiąść pannę wodną! – oznajmił grubym głosem.

– Nigdy! – zawołała z pasją; odepchnęła się palcami od dna z zaskakującą siłą i wyskoczyła, jak foka, dalej od niego.

Rzucił się w pogoń.

Pisnęła i odskoczyła znowu, wymykając mu się ze zręcznością syreny; oboje chichotali jak dzieci, które wypuszczono na wolność po zimie spędzonej w piwnicy.

Oczywiście musiał wygrać. Oboje o tym wiedzieli. Albo dlatego, że był szybszy, albo dlatego, że ona miała mu pozwolić.

Jakieś pięć minut później udało mu się zajść ją z przodu, chwycić i przyciągnąć do siebie.

Trzymał ją w kręgu ramion, które wydawały jej się obręczami z żelaza i sprawiały, że znowu mdlała z pożądania.

– Mam cię. – To było raczej stwierdzenie faktu.

– Ano tak. Potraktuj mnie łagodnie, dobry panie.

– Nigdy w życiu – szepnął.

– Może… moglibyśmy zawrzeć umowę w sprawie mojej wolności.

Przesunęła dłońmi wzdłuż jego piersi, zanurzając je w końcu pod wodą.

Znieruchomiał, jego oczy przybrały dziwnie nieobecny wyraz.

– Widzę, że znalazłaś mój harpun.

– Ano znalazłam – szepnęła.

– Co zamierzasz z nim zrobić?

– Może to.

Zacisnęła palce, sunąc dłonią w górę.

– Cudowna… propozycja. – Z trudem oddychał.

Nagle wszystko spoważniało; szum wody, jego urywany oddech przy jej wargach, to wszystko wydawało się należeć do tego miejsca.

Pocałunki, powolne i leniwe, stały się bardziej namiętne, zaborcze; odbierały im kontrolę warstwa po warstwie, wydobywając na jaw pożądanie, które pulsowało między nimi od początku i nigdy, jak się wydawało, nie mogło zostać w pełni zaspokojone.

– Och, Boże… nie przestawaj, Liv – szepnął chrapliwie przy jej ustach.

Wsunął jej dłonie pod pośladki i wszedł w nią ponownie.

– Mój Boże, Lyon…

Objęła go nogami w pasie, kołysali się w wodzie, oddając słodkiej torturze…

Wyniósł ją na brzeg, ułożył na plecach na rozłożonym kocu, a potem sam rozciągnął się płasko obok niej.

Nasyceni, spełnieni, leżeli tak przez jakiś czas.

W zamyśleniu przesuwała palcami po jego ciele. Obwiodła palcem okrągłą bliznę. Potrafiła rozpoznać ślad po kuli z muszkietu.

Ktoś do niego strzelał.

Przeżył.

Podejrzewała, że wie, dlaczego strzelano i jak ze zdumieniem stwierdziła, powód wcale jej nie obchodził.

Wkrótce się dowie, zamierzała go o to zapytać.

– Mogę ci coś wyznać? – zapytała sennym głosem.

– Oczywiście.

– Miałabym ochotę cię ugryźć.

– Ugryźć? Cóżem uczynił, żeby zasłużyć na tak srogie traktowanie?

Jego głos brzmiał tak omdlewająco, jakby wypił pół butelki laudanum.

– To tylko dlatego, że twoja skóra jest taka gładka i ma taki smakowity kolor, jak przypieczony chleb albo herbatnik. Jeden mały kęs.

Uśmiechnął się, rozmarzony.

– Masz moje pozwolenie.

– A zatem to możliwe w świetle przepisów?

– Och, nie ma jakiejś oficjalnej wykładni w postaci księgi czy czegoś podobnego, jeśli nad tym się zastanawiałaś. Ale wiele rzeczy jest możliwych w miłości fizycznej. Jeśli coś sobie wyobrażamy, to ktoś pewnie już tego próbował i czerpał z tego radość. Albo umarł, próbując.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Ty nie żartujesz.

– Jakby nie było zabawnie się z tobą przekomarzać, nie żartuję. Jestem zbyt nasycony, żeby cokolwiek w tej chwili wymyślać.

– Podoba mi się wszystko, co robiliśmy do tej pory.

– Dobry Boże, mnie też. – Przeciągnął się leniwie, jak kot; słowa zabrzmiały jak pomruk zadowolenia.

Pochyliła się i bardzo delikatnie chwyciła zębami skórę na jego piersi; objął dłonią tył jej głowy, przesuwając palcami jej włosy, prawie już suche.

– Miłe – szepnął.

– Też jesteś piękny – powiedziała cicho.

– Ćśśś – mruknął niezbyt grzecznie sennym głosem; nie poczuła się urażona.

Ziewnął potężnie, otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, zasypiając, jakby była jego ziemską kotwicą, a on chciał ją zabrać ze sobą w swoje sny.

Poszła za nim parę sekund później.

Obudziła się z drzemki, bo słońce przewędrowało kawałek nieba i teraz piekło niemiłosiernie jej nagi brzuch.

Przechyliła głowę.

I serce jej zabiło mocniej.

Bo oto był obok. Jego oczy, coraz bardziej zarośnięta twarz. Patrzył na nią z czułością.

Tak, jak tamtego dnia przed laty, w księgarni Tingle’a.

Sięgnął po jej rękę i zaczął się leniwie bawić jej palcami.

– Która godzina? – zapytała sennie.

– A co to ma za znaczenie? – odparł szczerze zdziwiony.

W jego głosie brzmiała urocza chrypka kogoś, kto właśnie obudził się ze słodkiego snu.

– Żadne. – Przeciągnęła się, prostując stopy.

Jej noga przyciskała się do jego nogi, twardej i dosyć owłosionej.

W jego oczach wyczytała rozbawienie i podziw.

Napawała się jego zachwytem; czuła się piękna.

– Nie miałem pojęcia – powiedział niespodziewanie – że twoje włosy są takie… ogromne.

– Moje… co? – Podniosła ręce do głowy.

– Zrobiły się takie puszyste i takie wielkie… Mogłabyś takie nosić podczas bitwy, napędzając stracha swoim wrogom.

Nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Cicho! – Zaczęła je gorączkowo przygładzać.

W różnych miejscach czuła się rozkosznie obolała, ale teraz doszło do tego coś nowego – w okolicach żeber.

Od nieprzytomnego śmiechu.

Nie sądziła, żeby jej się to zdarzyło od czasu…

Odkąd śmiała się ostatni raz aż do bólu w towarzystwie Lyona.

– To wspaniałe włosy. Naprawdę. Bardzo interesujące. – Chwycił je, owijając sobie leniwie wokół dłoni. – I takie miękkie. To niezwykłe, mieć takie długie włosy.

Nie dawał jej spokoju; śmiała się do rozpuku.

– Proszę, weź je z powrotem.

Odwinął włosy z dłoni i przerzucił na jej twarz.

Odsunęła je.

– Powiedział człowiek, który w tej chwili ma twarz bardziej zarośniętą niżby należało. Już nie wspominając o kucyku. Jak pirat.

Po raz drugi od rana użyła tego słowa w celach strategicznych.

Oczy mu błysnęły. Przetoczył się swobodnie na plecy i spojrzał zamyślony w niebo, składając ręce za głową.

Serce jej odrobinę zadrżało.

Lyon miał coś na sumieniu. Podejrzewała, że wie, w czym rzecz.

– Chciałabyś, żebym się ogolił? – zapytał w końcu.

– Zrobiłbyś to?

– Oczywiście. Powiedz, co jeszcze chciałabyś, żebym zrobił dla ciebie. Albo tobie.

– Zaskocz mnie.

– Czyż nie robię tego regularnie? – szepnął.

Pochylił się i pocałował ją w pierś.

– Czy to na początek wystarczy?

– Dobry Boże – jęknęła pod wpływem nagłej rozkoszy.

Zataczał po jej piersi kręgi językiem, dodając delikatny dotyk zębów do niespodzianki, dłonią pieścił drugą pierś. Westchnęła, wyginając się lubieżnie.

Sunął ustami wzdłuż jej brzucha, docierając do wilgotnego, gorącego miejsca między udami…

– Lyon… Och, Boże… Och, Boże…

Wykrzykując jego imię, pochyliła się wprzód, czując, że może pęknąć na dwoje pod wpływem nowej, gwałtownej rozkoszy.

Kochali się potem niespiesznie. Patrzyła na niego, słońce zamieniło jego włosy w świetlistą koronę; twarz pozostawała w cieniu poza lśniącym błękitem oczu. Zamknął je potem, ulegając ekstazie.

21

Tym razem oboje poczuli się onieśmieleni i zaskoczeni.

Oczywiste okazało się, że wzajemne pożądanie przerasta ich oboje. Było jak studnia bez dna, im bardziej się w nie zanurzali, tym wydawało się bardziej niezgłębione.

Wciąż nie mógł złapać oddechu, gładząc odruchowo jej włosy, podczas gdy ona leżała wtulona gdzieś między jego ramieniem a pachą.

– Lyon…

Podniósł głowę, słysząc ton jej głosu. Od razu czujny.

– Czy jesteś Le Chat?

Znieruchomiał. Niczym szpada w pochwie.

Odtoczył się dalej, opuszczając rękę, jakby w istocie, bezwiednie, sięgał po szpadę.

Opamiętał się szybko, rzucając jej zagadkowe spojrzenie, w którym jednak zdążyła dostrzec rodzaj podziwu wobec jej domyślności.

– Dlaczego pytasz?

– Najprostszą odpowiedzią byłoby: nie.

Przyglądał jej się bacznie, sprawdzając, czy to nie oskarżenie albo histeria.

Pomyślała, że zważywszy to, ile przeszła, histeria już jej nie grozi.

Położył się znowu płasko na plecach, spoglądając w górę.

Mogła teraz powiedzieć: żartowałam. Oczywiście, że nie jesteś tym strasznym piratem, którego się wszyscy boją.

Mogła uwolnić go od tego pytania, żeby nie brać na siebie ciężaru odpowiedzi.

Zbierał myśli w milczeniu; nie mogła już dłużej pozostawać w niewiedzy.

Czekała. Wysoko, nad nimi, krążyła mewa. Olivia przysunęła się bliżej do niego, dotykając go nieznacznie udem, tak żeby czuł się bezpiecznie, wyjawiając prawdę.

Wciągnął głęboko powietrze, a potem je powoli wypuścił. Wyraźnie zastanawiając się, od czego zacząć.

– Pięć lat temu… dość przypadkowo udało mi się zdobyć – to znaczy, że wyciągnąłem je z pewnego pijaka w portowym pubie – ważne informacje. Grupa inwestorów zamierzała wymienić swój ładunek na niewolników. Mieli flotę złożoną z pięciu statków.

Zesztywniała, słysząc o statkach niewolniczych.

Wyczuł to. Chwycił ją za rękę, splatając z nią palce i trzymając mocno, dodawał otuchy.

– Mieli już za sobą wiele rejsów, z powodzeniem omijając prawo, rozdając, jak się wydaje, łapówki odpowiednim władzom i wciąż się bogacąc na handlu istotami ludzkimi. Mój osobisty majątek jako kupca – w tym charakterze występowałem pod innym nazwiskiem – rósł powoli, umacniała się moja reputacja. Zaproponowano mi przez osoby trzecie udział w tym ohydnym procederze – handel żywym towarem… Jak się domyślasz, odmówiłem. Dyplomatycznie.

Ścisnęła mocniej jego rękę.

– Ale istnieli – a raczej istnieją – ludzie ze wszelkich warstw społeczeństwa, którzy brzydzą się handlem niewolnikami tak samo jak ty i ja. I żeby się zanadto nie rozwodzić, dyskretnie zebrałem załogę. Wraz z moimi ludźmi weszliśmy w nocy na każdy z tych statków po kolei, usunęliśmy ładunek, jedwabie, korzenie czy co tam jeszcze, zapakowaliśmy załogi do łodzi i puściliśmy z prądem, a potem…

– A potem wysadziliście statki w powietrze – szepnęła z podziwem.

Pozbawiając inwestorów zysku i uniemożliwiając podjęcie tego handlu w przyszłości. Używając przenośni – spalili za nimi mosty.

I przerażając nie na żarty każdego, komu przyszłoby do głowy handlować ludźmi na europejskich wodach.

Bardzo, bardzo skutecznie. Zawiadomienie władz na niewiele by się zdało. Wynik starannie przemyślanego planu.

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Tak.

Wymówił to słowo łagodnie. Ale bez cienia żalu.

– Przez wejście rozumiesz wdarcie się tam z maskami na twarzach, z bronią. Usunięcie ładunku oznacza kradzież. A zapakowaliście ich do łodzi pod groźbą szpady i pistoletu.

Nie mogła uwierzyć, że zwraca się tymi słowami do Lyona Redmonda.

– Owszem – maski, tak. W razie konieczności – szpady i broń palna. Ich użycie często okazywało się konieczne.

A potem uśmiechnął się znowu. Chociaż raczej słabo.

Denerwujący, jednakże dziwnie podniecający był to uśmiech.

Ledwie mogła oddychać z podniecenia.

– Wiem, że to było szaleństwo – powiedział zamyślony. – Ale coś szalonego było mi potrzebne. Byłem szalony. Chciałem szaleństwa. I uwolniłem je z siebie w sposób, który mogłem usprawiedliwić i przyniosło mi to, zaiste, ogromną satysfakcję.

Naraził się na niebezpieczeństwo. Nie jeden raz.

Ale to on, nie kto inny, trzy lata pod rząd zdobywał główne trofeum w zawodach strzeleckich Sussex.

To, że wciąż pozostawał przy życiu, świadczyło o jego umiejętnościach i sprycie. Cóż, planować zawsze potrafił.

Przez pierwszą część życia sztywno trzymał się zasad. Co niezwykłe, to jednak to, że wydawał się urodzony, żeby tworzyć własne prawa. Po raz

pierwszy zrobił to, kradnąc walca Cambersmithowi.

W pewien sposób to ona pchnęła go do takiego życia, jakie wiódł. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Czekała, uważając, że powinna zdecydować, jak się czuje wobec tych wynurzeń. Ale już wiedziała.

Ogarnęła ją gwałtowna, dziwna radość.

– Ale nikt się nie dowiedział, że to byłeś ty? – szepnęła.

– Jak już mówiłem, kupcy w Europie znali mnie pod innym nazwiskiem. Znają mnie jako kupca, który się ostro targuje, jest jednak uczciwy, na którym można polegać i który zdobył wielki majątek, a także jest gotów pomóc innym odnieść sukces. Znają mnie także jako świetnego kompana do rozmowy, znakomitego tancerza o nienagannych manierach, działającego jak magnes na kobiety i pożądanego uczestnika przyjęć na całym kontynencie. – Uśmiechnął się lekko, ściskając ją za rękę. – Tylko dwóch mężczyzn i jedna kobieta powzięło podejrzenia i niemal zagnali mnie w kozi róg. Dwoje z tych ludzi są małżeństwem – moja siostra Violet i hrabia Ardmay – trzeci zawdzięcza mi życie.

– Violet?

– Och, tak. Moja siostra jest kimś o wiele więcej, niż ktokolwiek podejrzewa. Z mojej załogi tylko Digby i pierwszy oficer wiedzą, że jestem Lyonem Redmondem.

Znieruchomiała, coś sobie przypominając.

– Powiedziałeś, pięć statków… ale powiadają, że Le Chat zniszczył więcej…

– Och, pirat i to nie najlepszy postanowił podszyć się pod Le Chat, opanował parę statków i wywołał spore zamieszanie. Zły człowiek. Nie miał ze mną nic wspólnego. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale moja siostra zastrzeliła go, ratując życie swego męża.

Przeturlała się, żeby spojrzeć na niego z góry.

– Violet zastrzeliła pirata? Prawdziwego pirata?

Uśmiechnął się. Podejrzewała, że zaskakiwanie jej sprawia mu przyjemność.

– Tę historię odłożymy na później. Mało kto docenia moją siostrę, jak na to zasługuje. Ale może po to jest rodzina i wszyscy musimy walczyć z ustalonymi sądami, a niektórzy bardziej, żeby doczekać się uznania. Przy odrobinie szczęścia znajdujemy kogoś, kto jest w stanie dostrzec w nas to, co nas wyróżnia.

W tym momencie oboje zamilkli.

Olivia nie musiała nic dodawać.

Tym właśnie byli dla siebie nawzajem. Jak wcześniej powiedział, był to rzadki luksus. Zawsze się zastanawiała, czy zasługuje na to, żeby być kochaną w taki sposób, jak on ją kochał. Teraz zrozumiała jednak, że po prostu jej potrzebował.

Milczeli. Delikatnie powiodła palcami po zbielałej bliźnie po kuli na jego brzuchu, potem przycisnęła do niej wargi.

Jego pierś wzniosła się i opadła w westchnieniu; wsunął palce w jej włosy, łagodnie ją gładząc.

– Nauczyłem się w istocie, że ludzie widzą to, co chcą widzieć, a okoliczności są wszystkim – powiedział. – Przedstawiłem się jako kupiec i nikomu nie przyszło do głowy tego kwestionować. Ponieważ Redmondowie nie są jeszcze władcami świata, nikt mnie nie rozpoznał. Byłem rzecz jasna bardzo ostrożny. Interesujące, że wszystko, czego się wcześniej nauczyłem, od strzelania, poprzez szermierkę, do inwestowania, okazało się niezwykle przydatne.

Uśmiechnął się łobuzersko.

Zastanowiła się.

– A zatem domy… ziemia… zapłaciłeś za nie…

– Zabraliśmy ładunek ze statków, towary, które miały być wymienione na niewolników – ciągnął spokojnie. – Rozproszyliśmy je, sprzedając, wymieniając w różnych miejscach, tak żeby nie sposób było dojść ich

pochodzenia. Wynagrodziłem załogę – mogę dodać, że dobrze, bardzo dobrze – zainwestowałem pieniądze w legalne, nie budzące żadnych podejrzeń interesy… i anonimowo przekazałem resztę na rzecz takich ludzi jak pan Wilberforce i inni, którzy poświęcili się sprawie abolicjonizmu i reformie prawa.

Zamarła z podziwu, którego pewnie nie miała prawa odczuwać. Czuła głównie zadowolenie z dwóch powodów: że to zrobił i że przeżył.

– A teraz? – zapytała cicho.

– A teraz skończyłem. Sprzedam „Olivię” pierwszemu oficerowi i moja załoga.. i ja… pójdziemy własnymi drogami. Wątpię, żebym jeszcze kiedyś ich spotkał.

Oparła się na łokciu, żeby móc spojrzeć mu w twarz. Milczeli przez jakiś czas, on z palcami wplecionymi w jej włosy.

Męczyło ją pytanie. Sądziła, że zna odpowiedź, ale musiała je wypowiedzieć głośno.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepnęła.

Milczał, ważąc słowa.

A potem kącik jego ust drgnął lekko.

– Bo ty nie mogłaś.

Powiedział to łagodnie. Ale pewnie. I ze smutkiem. Jakby wyjawiał długo skrywaną prawdę.

W ten sam sposób jak tamtej nocy, kiedy ją opuścił: a jeśli kochać ciebie jest tym, co potrafię najlepiej?

W istocie to potrafił najlepiej.

Dowiódł tego.

Gardło jej się ścisnęło.

Zobaczyła swoje odbicie w jego oczach. W taki sposób od lat ona i Lyon postrzegali świat: oczami drugiego.

Spokojnie odwzajemnił spojrzenie. Wiedziała, jak zapewne powinna się czuć.

Ale znała prawdę.

– Dziękuję ci – powiedziała powoli, żarliwie. Chrypliwym głosem. Czując za powiekami palące łzy.

Trwali w ciszy, oddając hołd miłości tak ogromnej i czystej, że wszelkie słowa byłyby świętokradztwem.

Kiedyś była ich udziałem.

Czy była teraz, tego wciąż nie wiedziała.

Straszliwie było im przykro, że muszą znowu włożyć na siebie ubrania, zrobili to jednak, żeby wrócić do domu. Olivia niosła buty, żeby nadal czuć piasek pod bosymi stopami.

A potem, dla zabawy, Lyon zaniósł ją na plecach na górę, pod bramę domu.

– Hola, Benedykcie! Szybciej, szybciej! – zawołała.

– Nie zwracam się w ten sposób do mojego konia – oznajmił oburzony, sprawiając, że parsknęła śmiechem.

Nagrodziła go, podając mu ręką cząstki pomarańczy do ust w domu, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi. Ucztowali, racząc się chlebem i serem, rybą i winem, aż poczuli się syci i senni; potem ułożyli się obok siebie na obitej kremowym brokatem kanapie; rozmowa przeskakiwała z tematu na temat, jak ptak, który przelatuje z drzewa na drzewo, ciesząc się swobodnym lotem. Opowiedziała mu o swoim kuzynie, nowym proboszczu, o zamieszaniu, jakie wywołał. O powrocie Colina spod szubienicy, a także o Genevieve i księciu. On zaś opowiedział jej o swoich podróżach, opuszczając, czego była pewna, wszelkie brutalne wydarzenia, zostawiając samo piękno.

Był jej najlepszym przyjacielem. Uświadomiła sobie na nowo, że wszystko w życiu, od tego, co najgłębsze, do tego, co pospolite, nabierało większego sensu, kiedy dotyczyło także Lyona.

Ale miała także poczucie déjà vu.

Jednak znowu omijali tematy, na które powinni porozmawiać i uciekali od trudnych pytań. Znowu ich czas był ograniczony. Znowu wisiało nad nimi małżeństwo, tym razem Olivii.

– W jaki sposób wszedłeś w posiadanie plantacji trzciny cukrowej w Luizjanie?

– Kupiłem od człowieka, który tkwił po uszy w długach karcianych. Naturalnie, kupiłem tanio.

– A widziałeś ją? Jak jest w Luizjanie?

– Upalna. Zielona. Piękna. Tajemnicza. Dzika. Bardzo różni się od Sussex. Ciekawe, że są tam aligatory, ale nie krokodyle.

– Jeździsz na nich?

– Naturalnie. Mam ich całą stajnię. Wszystkie nazwałem twoim imieniem.

Roześmiała się.

– No, chyba nie zapłaciłeś, żeby ułożono tą okropną piosenkę? W taki sam sposób jak manewrowałeś modystkami?

– Żałuję, że nie mogę sobie przypisać tej zasługi, ale to naprawdę kwestia szczęśliwego ułożenia gwiazd na niebie i tym podobnych… Czy nie mówiłem ci, że pewnego dnia przejdę do legendy?

– W istocie. Piosenka była okropna, ale Rowlandson przynajmniej zdołał odmalować prawdziwie twoje uda.

– Czy tak? Jak to?

Przesunęła ręką po jego udzie, patrząc, jak ciemnieją mu oczy, i zatrzymując się niepokojąco blisko krocza. Rozpustne zachowanie, ale nic w świecie nie wydawało się bardziej naturalne.

– Są bardzo twarde i bardzo piękne.

Pochylił się i dotknął jej warg ustami, powoli, kusząco. Jakby do nich należał czas całego świata.

– Pamiętam, kiedy mogłem cię tylko tutaj dotykać – szepnął przy ustach, a potem przesunął palcem w dół jej dekoltu, wywołując gorące iskry. – I

tutaj.

Pociągnął za dół sukni, podniosła ręce, żeby mógł ją ściągnąć. Kompletnie nagą posadził sobie na kolanach, a ona objęła go za szyję. Powieki jej ciążyły.

– I marzyłem o tym, żeby cię dotykać tak jak teraz. – Wsunął dłoń między jej uda. – I tak. – Przesunął ręką po jej brzuchu, obejmując w końcu pierś. Całowali się długo, aż zabrakło im tchu. Jego palce powędrowały ku szczytowi jej ud.

– Pospiesz się, Lyon – szepnęła błagalnie. – Och, proszę.

Jej życzenie było dla niego rozkazem. Wkrótce wygięła się w jego ramionach, wstrząsana falą rozkoszy. Przywarła do niego. Dyszeli przez chwilę, wtuleni w siebie, nie próbując mówić. Oboje byli trochę bardziej zmęczeni, niż chcieliby przyznać, ponieważ nie chcieli marnować ani jednej chwili, które dano im spędzić razem.

Podniósł ją i bez wysiłku zaniósł na swoje łóżko; położył ją ostrożnie. Rozebrał się szybko.

Potem położył się obok niej i wziął ją w ramiona. Szeptała sennie, uszczęśliwiona, słowa, które brzmiały jak jego imię.

– Nigdy nie przestanę cię pragnąć – szepnął.

Ale ona już spała. Wszystko było doskonałe, ponieważ trzymanie w ramionach śpiącej Olivii Eversea wydawało się tym właśnie, do czego został stworzony.

Obudziła się rano, patrząc w jego rozespane niebieskie oczy i czując dotyk jego dłoni na sobie; objęła go nogami i przyciągnęła do siebie.

Wzięła go łapczywie, wbijając palce w jego twarde ramiona.

Znowu zasnęła. Obudził ją parę godzin później z kubkiem czarnej, bardzo czarnej kawy.

A potem powędrowali, trzymając się za ręce, do zatoczki. Rozebrali się, porzuciwszy wszelką skromność i weszli do wody; pływali leniwie na

plecach, spotykając się czasami, żeby wymienić pocałunki. Oboje nieco obolali i zmęczeni, ale to zmęczenie wynikało z sytości i spokoju; nie potrzebowali rozmowy.

Zanim słońce wzbiło się zbyt wysoko, narzucili z powrotem ubrania i wdrapali się na plażę, ręka w rękę.

Zatrzymał się nagle i znieruchomiał. Puścił jej rękę i osłonił dłonią oczy.

Poszła za kierunkiem jego wzroku.

– To „Olivia”.

Na horyzoncie uwidaczniał się zaledwie jej blady zarys, ale maszty i żagle były wyraźne na tle nieba.

– Powinnaś spakować kufer – powiedział w końcu.

Jego głos brzmiał dziwnie. Trochę chrypliwie. I denerwująco, starannie obojętnie.

Odwróciła się do niego.

Poczuła się niepewnie, kiedy nie odwzajemnił jej wzroku.

– Lyon… co z tobą?

Milczał tak długo, że serce jej zatrzepotało z niepokoju.

Kiedy się odezwał, wcale się nie poruszył. Osłaniał oczy, wpatrując się w statek i prowadząc go wzrokiem tak pewnie, jakby sam stał u steru.

– Nie wrócę z tobą do Anglii – powiedział tym samym, spokojnym tonem.

Poczuła pustkę w głowie.

– Ale… dlaczego?

Wtedy na nią spojrzał, oczy miał pełne miłości.

– Potrzebowałem rozrachunku, Olivio. Ty także. Wiem teraz to, co potrzebuję wiedzieć, żeby dalej iść przez życie. A ty?

Chciał ją wypróbować, niech go.

Poczuła panikę. Niech diabli wezmą jego i jego próby. Nagle nabrała ochoty, żeby sypnąć w niego piaskiem.

– Wszyscy krewni, jakich posiadam, zjeżdżają do Pennyroyal Green. Mam ogromne wiano. Ślub wyznaczono za mniej niż dwa tygodnie. Śpiewają o tym piosenkę – mówiła z rozpaczą. – Jeśli do tego nie dojdzie, dla mojej rodziny to będzie katastrofa.

– Cóż, skoro masz wiano, to masz prawny obowiązek wyjść za mąż, czyż nie? Sądzę, że niezamężne kobiety mają prawo do posiadania co najwyżej dwóch strojów do konnej jazdy. I Bogu wiadomo, jaką zbrodnią jest rozczarować autora podwórzowej ballady.

– Nie lubię, kiedy jesteś taki zgryźliwy.

– A ja, z kolei, uwielbiam, kiedy używasz takich słów jak „zgryźliwy”.

Nie zamierzała się uśmiechnąć, jednak to zrobiła, ale potem uśmiech zbladł na widok nieubłaganie zbliżającego się statku i na myśl o nieubłaganie zbliżającym się ślubie.

Spojrzeli sobie w oczy; wiatr zdążył osuszyć wilgoć z ich skóry. Wyciągnął nagle rękę, wsunął niesforny kosmyk czarnych włosów za jej ucho i uśmiechnął się blado. Kosmyk nie posłuchał.

– Kochasz go, Olivio?

Ucisk w jej piersi stawał się nie do zniesienia. Wiedziała, że milczy zbyt długo. Nie robiła tego celowo. Nie prowadziła żadnej gry ani nie chciała go karać.

Tylko bardzo chciała powiedzieć prawdę.

– Może pewnego dnia. Może kiedyś.

– Innymi słowy… Nie, nie kochasz go. Ale to byłoby łatwe, prawda? Życie z Landsdowne’em? A ślub z nim uszczęśliwi wszystkich dookoła?

Wpatrywała się w jego twarz, usiłując dojść, co chce jej powiedzieć, ale zarazem wyraz jego twarzy i ton głosu były nielitościwie obojętne i niemożliwe do odcyfrowania.

Rozważała wszelkie możliwe riposty.

– Nie wiem, co może być łatwego w życiu, w którym ciebie nie będzie – odparła łamiącym się głosem.

Odetchnął głęboko. A potem przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami, niemal zbyt mocno, wsuwając twarz w zagłębienie przy jej szyi. Przylgnęła do niego, niczym nieszczęsny rozbitek na morzu trzymający się jedynej skały.

Myślała, że żebra jej popękają, tak mocno biło jej serce.

Wydawało jej się, że czuje także bicie jego serca, choć to mogłoby być jej własne.

Doprawdy, co za różnica.

Tulili się do siebie, jakby chcieli jedno drugiemu zostawić odcisk własnego ciała na zawsze.

– Zapamiętam na zawsze każdą chwilę, jaką spędziliśmy tutaj razem, Olivio – szepnął. – Zachowam te wspomnienia jak skarb do końca życia.

Zesztywniała nagle. To brzmiało jak pożegnanie.

Odsunęła się od niego, przejęta nagłym chłodem. Patrzyła otępiała z bólu.

Znowu jego twarz niczego nie zdradzała. I nie odezwał się ani słowem.

A potem szok ustąpił miejsca palącemu gniewowi.

Lyon wiedział, że jest wściekła. Jakby się tego spodziewał.

Był blady i napięty, jakby znosił fizyczny ból. Stał jednak na rozstawionych nogach, w postawie wyrażającej nieprzejednaną pewność siebie i zdecydowanie.

– Wsiadaj na statek i wracaj do domu – powiedział. – A co do tego, co powinnaś zrobić później… Powinnaś zrobić to, co uznasz za słuszne. Ponieważ, jak mi powiedziałaś niejeden raz, nie lubisz, żeby ci mówiono, co masz robić. Musisz samodzielnie podejmować decyzje.

Ogarnęła ją furia. Znowu była tą zranioną dziewczyną, która wcisnęła mu z powrotem piękne rękawiczki z koźlęcej skórki i uciekła, ponieważ jedyne, czego chciała, to być z nim na zawsze i chciała wiedzieć, co powinna zrobić i co on zrobi i chciała, żeby to było proste i chciała to wiedzieć teraz.

Nie chciała już nikogo rozczarować ani zranić, nigdy więcej.

Nienawidziła go za to, że zawsze jest o krok przed nią.

Że zmusza ją do biegu, żeby się z nim zrównać.

A co, jeśli kochać cię jest tym, co najlepiej potrafię?

Tak powiedział w tamtą noc, kiedy ją porzucił.

Ale wtedy ją kochał.

A tutaj, w prowincji Kadyksu, nie powiedział dotąd, że ją kocha.

Z pewnością musi.

Ale kiedy tak stał w milczeniu, w końcu odwróciła się od niego i poszła pakować kufer.

Nie rozmawiała z nim w ogóle, póki znowu nie znaleźli się oboje na plaży, a załoga ładowała jej kufer do szalupy.

– To nie jest gra, Lyon. Proszę… proszę, powiedz mi, co o tym myślisz.

W życiu o nic nie błagała, nie – zanim wprowadził ją w rozkosze ciała.

– Po prostu pamiętaj o swoich zasadach, Olivio.

Odwrócił się, odszedł pięćdziesiąt stóp i zatrzymał się. Jakby wypuszczał uwięzionego ptaka, zachęcając go, żeby przyłączył się do swojego stada.

Czuła ból. Objęła się ciasno ramionami, usiłując go złagodzić.

Jego obraz stał się rozmyty, niewyraźny pod wpływem gorących łez.

Ale on się nie poruszył. Stał, rozstawiwszy nogi; wiatr szarpał jego koszulą i targał mu włosy. Piękny i tak bardzo swój, że torturą było na niego patrzeć.

Ale jeśli on mógł pozwolić jej odejść, ona także mogła mu na to pozwolić.

Obróciła się tak szybko, że spódnice chlasnęły ją po nogach, jakby za karę.

Nie obejrzała się za siebie.

Lyon patrzył, niewzruszony, jak załoga pomaga Olivii wsiąść do łodzi.

Rozpoznawał sztywną linię jej pleców. Delikatną, upartą bródkę. Taka dumna ta jego Olivia. Taka wściekła. Tak mocno zraniona i zmieszana, że niemal wymiotował, bo jej ból był jego bólem i był nie do zniesienia.

Patrzył, jak łódź odpływa.

Patrzył, jak robi się coraz mniejsza i mniejsza.

Modlił się. I wstrzymywał oddech.

Ale zrobiła to. Wsiadła na ten przeklęty statek.

Ani razu się nie obejrzała.

Dobrze wiedziała, jak go ukarać.

Opadł na kolana na piasek, wypuszczając przeciągle powietrze i obejmując ramionami z tyłu głowę.

Ale to był hazard. Jeśli gra się powiedzie, obiecał Stwórcy, że do końca życia będzie się trzymał za dala od hazardu.

Ponieważ teraz wiedział to, co chciał wiedzieć: pójdzie za nią na koniec świata.

Ale nie zamierzał tego zrobić.

Wiedział też, że ona go kocha.

Ale nie zamierzał prowadzić jej za rękę, żeby doszła do tego wniosku.

Pragnął jej rozpaczliwie, na zawsze.

Ale musiała o niego walczyć.

A w końcu musiała bez wahania wybrać jego.

Dla swojego i jego dobra.

Och, niech go diabli, jeśli znowu będzie za nią gonił.

Postara się jednak, żeby mogła go schwytać.

22

Olivia wróciła z Plymouth i zastała tylu krewnych wokół domu Eversea, ile ptaków na drzewach.

– Wyglądasz promiennie, Olivio. Dyskusja na temat abolicjonizmu musi być bardziej podniecająca, niż nam się wszystkim wydaje. Albo wody w Plymouth mają lecznicze właściwości. Kochanie, może powinniśmy pojechać do Plymouth – zawołała ciocia Pauline do wuja Phillipsa, który tylko mruknął w odpowiedzi. – Spójrz, jak Olivia ślicznie wygląda!

– Będzie panną młodą, Pauline. Wszystkie panny młode są piękne. – Nie podniósł oczu znad gazety. – Nie sądzę, żeby wyjazd do Plymouth mógł pomóc tobie.

– Takie jest małżeństwo, moja droga – zwróciła się spokojnie Pauline do Olivii, wskazując na męża. Nie wydawała się skonsternowana ani też nie zauważyła albo też nie dbała o to, że Olivia jest przerażona.

– Nie wszystkie panny młode są piękne. Szkoda, że nie widziałaś tej dziewczyny od Walthamów, która brała ślub w naszym kościele. Miała małą bródkę. – Wskazała na swój podbródek.

To z kolei padło z ust innej ciotki, siostry ojca, Araminty, która podeszła, żeby pocałować Olivię; wybierała się na dwór, żeby rzucić krytycznym okiem na ogród.

– Więcej ciotek niż na pikniku – szepnął Ian u jej boku.

– Ha – odparła ponuro Olivia.

– Przynajmniej wszystkie nie nucą *Legendy Ly…*

– Żebyś mi nie śmiał tego powiedzieć! – Obróciła się do niego gwałtownie.

A potem wypadła z pokoju.

Wprawiając krewnych w zdumienie; nawet Ian zamrugał oczami.

– Panny młode – stwierdziły ciotki jednogłośnie. – Trzeba je szybko wydawać za mąż. Im dłużej między zaręczynami a ślubem, tym trudniej z nimi wytrzymać.

– My się pobraliśmy natychmiast, a to nie złagodziło twojego charakterku ani trochę – zauważył wuj.

– Och! – Ciotka pacnęła go żartobliwie wachlarzem.

I w ten sposób Olivię zagarnęło poprzednie życie. Na podobieństwo Morza Czerwonego, które zagarnęło faraona z jego armią po tym, jak Mojżesz i jego lud przeszli suchą nogą na drugi brzeg.

Niemal mogła uwierzyć, że Kadyks był tylko snem. Ale wciąż miała na sobie blade siniaki w miejscach, gdzie Lyon ją trzymał, kiedy kochali się jak para dzikusów.

Zamknęła oczy, przejęta pożądaniem na samo wspomnienie.

To nie był sen.

To oraz fakt, że wróciła z rodzajem pozłoty, ponieważ przez jeden dzień zapomniała nosić czepek. Pamiętała, co powiedział Lyon: ludzie widzą to, co chcą widzieć. I nikt w życiu na nią nie spojrzy i nie domyśli się, że kochała się jak szalona na plaży z zaginionym dziedzicem majątku.

„Powinnaś robić to, co uważasz za słuszne”.

Cóż to takiego mogło znaczyć? Jeśli w ogóle coś znaczyło.

„Nie wrócę z tobą do Anglii, Olivio”.

Jej życie było tutaj. Jej rodzina była tutaj. Wszystko, co kochała i czego pragnęła, było tutaj.

Poza nim.

„Po prostu pamiętaj o swoich zasadach”.

W nocy leżała, nie śpiąc, w swoim pokoju; tak niewiele się zmieniło od ostatniego razu, kiedy go widziała. Kiedy zasnęła, obudziła się gwałtownie po niedługim czasie, wyobrażając sobie, że słyszy grzechot kamyczków uderzających w okno.

Zeskoczyła z łóżka i wyjrzała na zewnątrz; to był tylko sen.

Ten sam, który śniła niezliczoną ilość razy, odkąd wyjechał.

Nie powiedział, że ją kocha. Ale kochał z pewnością. Miała co do tego niezachwianą pewność. Urodzili się, żeby się kochać.

Ale dlaczego, w takim razie, tak łatwo pozwolił jej odejść?

– Czy sądzisz, że ciotka Pauline i wujek Phillips są w sobie zakochani?

Chciała zadać matce zupełnie inne pytanie, ale chciała ją na nie naprowadzić, nie martwiąc zbytnio.

Matka porzuciła menu na weselne śniadanie i spojrzała na córkę z lekkim zdziwieniem.

– Nie wiem, czy są w sobie zakochani, jestem pewna, że się kochają. – Kącik jej ust drgnął w uśmiechu. – Jest oczywiście wiele rodzajów miłości.

Usiadła obok matki.

– Cytrynowe ciasteczka, Olivio? – zastanawiała się matka. – A może tarta? Na śniadanie?

– Cytrynowe ciasteczka brzmią znakomicie. – Wątpiła, żeby miała przy tej okazji zjeść cokolwiek.

– Doskonale. – Matka zanotowała coś na kartce.

– Mamo… czy byłaś zakochana w papie, kiedy za niego wychodziłaś?

– Ach. Och, ojej. Tak, byłam.

Wiedziała, że to prawda, bo twarz matki rozjaśniła się szczególnym blaskiem. Nie zadowoliła się Jacobem Eversea tylko dlatego, że Isaiah Redmond był niedostępny. Olivię to ucieszyło.

– Czy w młodości był bardzo przystojny?

– Trzeba go było widzieć, jak był chłopcem, Olivio. Pędził konno na złamanie karku, ale był tak świetnym jeźdźcem, że przyjemnie było patrzeć. Wiesz, dla młodej dziewczyny to niezwykle podniecające. Doszło do tego, że jak tylko usłyszałam tupot końskich kopyt, serce o mało nie wyskakiwało mi z piersi, bo wiedziałam, że to on. Do dzisiaj, kiedy słyszę tętent, serce bije mi mocniej. A, jak wiesz, twój papa już tak nie jeździ.

Olivia uśmiechnęła się.

– Trochę tak jak Colin jeździł przed Madeline.

Twarz matki dziwnie znieruchomiała; wstała nagle, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Może wyobrażała sobie, że młody Jacob Eversea galopuje po trawniku.

Nie odzywała się przez chwilę.

– To nie znaczy, że miłość nie jest poddawana próbom na przestrzeni lat, Olivio. Kiedy byłaś małą dziewczynką, twój ojciec wyruszył na jakiś czas na morze, tak jak robił już wcześniej. Trochę za bardzo lubił ryzyko związane z pieniędzmi, chociaż w ogóle radzi sobie z tym świetnie. Raz jednak ponieśliśmy duże straty. Udał się zatem na poszukiwanie szczęścia, żeby odbudować fortunę. To był… to był trudny czas. Ale prawdziwa miłość stawia czoło takim próbom zwycięsko i wychodzi z nich mocniejsza.

Interesujące było wysłuchać tej wersji historii rodziców. Tak samo jak opowieści ojca sprzed lat o tym, jak zalecał się do jej matki. Teraz rozumiała, że nie próbował ostrzec jej przed Lyonem. Chciał ją ostrzec przed Isaiahem.

– To było tuż przed tym, jak urodził się Colin, prawda? Kiedy papa wyruszył na morze?

– Tak – odparła matka.

– A ty i papa…

– …jesteśmy w ogóle bardzo szczęśliwi i często gratulujemy sobie udanego związku i wspaniałego potomstwa.

Olivia roześmiała się.

– I nie mogę, Olivio, mówić w imieniu wszystkich kobiet świata. Mogę mówić na podstawie doświadczenia i obserwacji. Myślę, że jest jakiś rodzaj miłości, z którą się rodzimy. I nic nie możemy na to poradzić, bo to jest jak kolor oczu albo coś podobnego. Jest taki rodzaj, który pojawia się nagle. I taki rodzaj, który odkrywamy po latach zażyłości, kiedy otacza nas rodzina. Przypuszczam, że taka właśnie miłość łączy teraz Pauline i twojego wuja. Może nie są w sobie zakochani, ale kochają się z całą pewnością. Nie wiem, czy któryś z tych rodzajów miłości jest lepszy od drugiego. Każda miłość jest błogosławieństwem. Może po to się rodzimy, żeby się nią dzielić z drugimi. I często myślę, że jeśli kiedyś się kochało… to można pokochać ponownie.

Słowa „Lyon Redmond” nigdy nie padły, ale rzecz jasna, ostatnie zdanie dotyczyło właśnie jego i obie o tym wiedziały.

– Kocham cię, mamo.

– Ja też cię kocham, moja droga. Olivio, wszystko, czego twój ojciec i ja dla ciebie chcemy, to żebyś była szczęśliwa, bezpieczna i kochana. Tylko tego zawsze chcieliśmy. Nie zapominaj o tym.

Powiedziała to żarliwym tonem. Jakby za tymi słowami stało jakieś ważne przesłanie.

Ale, w związku z stanem nerwów Olivii, wszystko zaczynało się wydawać znaczące.

Olivia, która tak nienawidziła, kiedy jej mówiono, co ma robić, nie przestawała żałować, że nikt tego nie robi.

Wymknęła się z domu i poszła samotnie na probostwo, przy kościelnym dziedzińcu. Wspomniała widok dołów sukni i czubków butów, jaki przedstawił się jej oczom, kiedy upuściła modlitewnik, w tym samym miejscu, w którym stała teraz i jak potem podniosła głowę, żeby spojrzeć w oczy Lyona. Nawet teraz serce jej mocniej zabiło.

Wspomniała też, jak poszła na spacer z Landsdowne’em, obok tego dziedzińca, żeby ją widziano. Żeby pokazać miastu, że postanowiła zdobyć się na kolejny krok i dalej żyć swoim życiem.

Pod wpływem nagłego odruchu skręciła nagle i weszła głębiej na dziedziniec, żeby pochodzić wśród nagrobków swoich przodków.

Zatrzymała się przed jednym z nowszych, należącym do lady Fennimore.

Była zrzędą i Olivia zawsze uśmiechała się, czytając napis na jej kamieniu nagrobnym:

Nie myśl sobie, że ciebie to nie spotka.

W gruncie rzeczy, to mogło się odnosić do wszystkiego w życiu. To się Olivii podobało. Bardzo niejednoznaczna wiadomość. Niosąca strach lub nadzieję, w zależności od tego, jaki akurat masz dzień i kim jesteś. Będzie musiała pomyśleć o czymś podobnym, żeby bawić przyszłe pokolenia Eversea, które zawędrują między te nagrobki.

Olivia, lady Landsdowne.

Taki napis będzie nosił jej nagrobek.

Ponieważ jutro wyjdzie za mąż.

Wciągnęła głęboko powietrze, usiłując zdecydować, jak się w związku z tym czuje.

Jeśli Lyon chciał interweniować w jej ślub, to teraz nadeszła na to pora.

Ale niech go piekło pochłonie, nigdzie w pobliżu go nie było. Jeśli za wiele o tym myślała, to nie mogła oddychać. Siła tęsknoty była nie do zniesienia, a kiedy już podjęła decyzję, nie chciała, żeby coś ją osłabiało.

Miłość mogła się zdarzyć.

Dzisiaj uznała, że lady Fennimore chciała przekazać jej nadzieję.

Nie czuła się podniesiona na duchu. Przypuszczała jednak, że determinacja, z jaką zdecydowała się na ten krok, jej nie opuści.

Popatrzyła w stronę probostwa, osłoniła oczy i znieruchomiała.

Jej kuzyn Adam, proboszcz, stał przed probostwem w samej koszuli. Wydawało się, że rąbał przed chwilą drzewo. I rozmawiał z obandażowanym żebrakiem od madame Marceau! Wprowadził żebraka szybko do środka, ale nie miała wątpliwości, że to był on: te same nędzne szmaty, bandaże. Nieszczęśnik, jak się wydawało, nie mógł się wyprostować i powłóczył stopą – pewnie dlatego tyle czasu spędzał na siedząco.

Cieszyła się, że mogła go wysłać do Adama, który wydawał się mieć niewyczerpane rezerwy czasu i dobroci, żeby obdzielić potrzebujących. A jeśli za jej pośrednictwem ten człowiek otrzymał pomoc i pociechę, cóż, to nie potrzebowała innego prezentu ślubnego.

Uznała to za znak.

Choć wolałaby dostać od żebraka błogosławieństwo, dla wszelkiej pewności.

W końcu, w domu zmęczonych oczekiwaniem Eversea, zapadła cisza.

Suknię ślubną Olivii ułożono na łóżku w cudownie opustoszałej sypialni Eversea. Krewni wchodzili tam w ciszy, po kolei, jakby leżał tam ktoś ukochany i oznajmiali, że jest cudowna.

Nazajutrz wszyscy pospieszą do kościoła – Landsdowne i jego drużyna złożona z matki, siostry i starej przyjaciółki, która zgodziła się mu towarzyszyć, spotka tam rodzinę Eversea, a ostatnia jego latorośl, która jeszcze nie stanęła przed ołtarzem (co wypomniała jej niejedna ciotka) właśnie to zrobi. Wszyscy się zgadzali, że było warto. Wyglądało na to, że sprytna Olivia wstrzymywała się przed zamążpójściem latami, czekając na wicehrabiego. Nie to samo, co książę, ale książęta nie rosną na ziemi jak grzyby, a Landsdowne był niewątpliwie dobrą partią i dzięki Bogu Olivia mogła teraz zostawić za sobą, raz na zawsze, cały ten nonsens z Lyonem Redmondem.

Po ceremonii odbędzie się wielkie przyjęcie i tańce, przygrywać miał Seamus Duggan i jego wesoła kompania muzykantów. Drzwi domu Eversea staną otworem dla całego miasteczka, żeby świętować najważniejsze wydarzenie dekady, o którym nie sądzono, że kiedykolwiek dojdzie do skutku.

– Johnie Edgarze, czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę i będziesz z nią żyć w świętym stanie małżeńskim? Czy ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że jej nie opuścisz aż do śmierci?

Na odpowiedź Landsdowne'a nie trzeba było czekać.

– Tak.

Słowa wypełniły wszystkie zakamarki kościoła niczym triumfalny dźwięk organów.

Kościół był wypełniony po brzegi; wydawało się, że przybył każdy, kto kiedykolwiek mieszkał w Pennyroyal Green, włączając w to wszystkich Redmondów, którzy nigdy nie opuszczali żadnej mszy, o ile to tylko było możliwe – a może mieli jakieś ukryte motywy, żeby uczestniczyć w tej akurat; poza tym dzień był wyjątkowo ciepły. Ale Olivia i tak drżała w swojej sukni ślubnej.

Ledwie pamiętała, jak tu trafiła.

Obudziła się o świcie i jej matka, siostra i ciotki, w pełnym czci i zrozumienia milczeniu ubrały ją w piękną, dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach, nieskazitelnie cudowną suknię.

Pamiętała, że zadawano jej pytania, na które odpowiadała monosylabami. Pamiętała, że drżała; nadal tak było. Ale, jak powiedziała mademoiselle Lilette – Digby, tego dnia wymagano od niej tylko dwóch rzeczy: żeby wyglądała pięknie i żeby powtarzała właściwe słowa za proboszczem.

Dokonała pierwszego.

– Czy ty, Olivio Katherine, bierzesz sobie tego mężczyznę za męża i będziesz z nim żyć w świętym stanie małżeńskim? Czy ślubujesz mu

miłość, posłuszeństwo, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że go nie opuścisz aż do śmierci?

Aż do śmierci.

To brzmiało jak podzwonne.

Proste pytanie. Zadawane miliony razy, odkąd je zapisano w starożytnych czasach.

Wymagało prostej, złożonej z jednego słowa, odpowiedzi.

Nagle wydało się czymś niebezpiecznym, że tylko to jedno słowo oddzielało człowieka od reszty jego życia.

Jedno słowo.

A ona straciła w tej chwili umiejętność mowy.

Obejrzała się przez ramię.

Kongregacja trwała w niemal komicznym bezruchu. Wiedzieli, że dzieje się coś dziwnego. Jej zmysły wyostrzyły się nagle zdumiewająco. Sama cisza wydawała się dźwięczeć w uszach wysoką nutą, a wszyscy ludzie, których znała od dziecka, wydawali się tak wyraziści jak drzeworyty.

Twarz matki, tak bardzo podobna do jej własnej. Z oczami lśniącymi od łez, pełna miłości, ale i żalu.

Dziwne jednak, na jej twarzy nie widać było zaskoczenia.

Ojciec, lekko pochylony w przód, jakby gotów podbiec do niej w razie potrzeby.

Zimna, napięta twarz Isaiaha Redmonda z zielonymi oczami, które połyskiwały jak szkło witraża.

Twarz tak bardzo przypominająca Lyona.

Mężczyzna, który przegrał z Jacobem Eversea. Ciekawe, czy wciąż kochał jej matkę.

I czy jej matka kochała Isaiaha.

Nagle ogarnęła ją zaskakująca czułość wobec Isaiaha, ponieważ teraz, jak jej się wydawało, Olivia zrozumiała, co może się stać z człowiekiem, któremu niedane było spędzić życia ze swoją miłością.

Jego piękna, jasnowłosa żona, Fanchette, nieruchoma. Zamarła w oczekiwaniu. Jej usta wydawały się poruszać w milczącej modlitwie. Olivia zastanawiała się, czy modli się o powrót syna.

Violet Redmond, która zabiła pirata, broniąc mężczyzny, którego kochała.

Hrabia Ardmay, dla którego zabiła i który puścił Lyona wolno z miłości do Violet.

Lord Lavay i jego żona Elise z małym synkiem, Jackiem, który nie był w stanie wysiedzieć długo spokojnie, ale który, sądząc po jego szeroko otwartych oczach, musiał zdawać sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego.

Ian, który w powszechnej opinii miał na zawsze pozostać kawalerem i który zamierzał opłynąć świat dookoła. I piękna Amerykanka Tansy, która stała się jego światem. Która przewróciła całe Sussex do góry nogami, przede wszystkim dlatego, że była samotna i potrzebowała miłości – i to właśnie Ian był tym jedynym, który potrafił spojrzeć na nią oczami miłości.

Colin, który sądził, że kocha się w Louisie Porter, ale powrócił ze swojej niesławnej ucieczki spod szubienicy, żeby poślubić Madeline, która wydawała się znać go na wylot i uczyniła z niego spokojniejszego, łagodniejszego człowieka.

Marcus i Louisa. Tak bardzo pasowali jedno do drugiego, że sama ich obecność uszczęśliwiała wszystkich dookoła.

Genevieve z księciem Falconbridge. Jak niebezpiecznie Genevieve zbliżyła się do tego, żeby poślubić Harry’ego, niewłaściwego mężczyznę. Jak bardzo Harry czuł się zraniony. Jaka dzielna okazała się Genevieve, że potrafiła coś z tym zrobić, zanim było za późno.

Jej kuzyn Adam, proboszcz, którego ludzie z miasteczka omal nie postawili pod pręgierzem za miłość. Ale stanął w tym właśnie kościele, żeby pewnego niezapomnianego ranka walczyć o nią, dawną Evie Duggan, hrabinę z mroczną przeszłością.

I ku jej zdumieniu, w ostatniej ławce, blisko drzwi, siedział żebrak. Skulony, żałosny, miał może nadzieję, że niezauważony, stanie się częścią czegoś pięknego.

Dopiero teraz, kiedy ujrzała ich wszystkich przed sobą, przestała mieć wątpliwości.

Była w kościele, kiedy Adam wygłosił kazanie wobec niechętnej kongregacji, cytując Koryntian i Pieśń Salomona. Zdobył tymi słowami swoją kobietę, swoją miłość, Evie Duggan, najmniej spodziewany wybór dla pastora. Miłość to ogień i woda. Miłość jest cierpliwa i dobra.

Miłość jest w istocie tym wszystkim.

Ale miłość to także wojownik. Wyruszając na podbój, nie dba o przypadkowe ofiary.

A kiedy wybierze ciebie, możesz się oprzeć.

Albo poddać.

Chciała, żeby to było proste. W tym drugim wypadku takie się stawało.

Pamiętaj o swoich zasadach, powiedział jej Lyon.

Miała wrażenie, że szepnął jej to teraz do ucha.

A jedną z jej zasad było: nigdy nie kłamać.

Po prostu nie mogła przeżyć reszty życia w kłamstwie.

Kuzyn Adam wpatrywał się w nią, jakby chciał dodać jej siły. Adam był taki życzliwy, taki dobry. Zrozumie.

Zaczął znowu, ostrożnie:

– Czy ty, Olivio, bierzesz sobie tego mężczyznę za męża i będziesz z nim żyć w świętym stanie małżeńskim? Czy ślubujesz mu miłość, posłuszeństwo, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że go nie opuścisz aż do śmierci?

Wystarczyło, żeby otworzyła usta i wypowiedziała to jedno słowo.

Podniosła twarz ku Landsdowne’owi.

Z napięcia kąciki jego ust zbielały, jego przystojna twarz tężała w miarę, jak przeciągało się milczenie.

Zobaczyła w jego oczach, że prawda zaczyna do niego docierać.

W końcu otworzyła usta, żeby przemówić.

Ale powiedziała tylko:

– John…

Odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. Potem wolno potrząsnął głową.

– Przykro mi – powiedziała łagodnie. Przepraszająco. Ale stanowczo. – Nie mogę.

A potem głośniej:

– To byłoby kłamstwo.

Prawda natchnęła ją odwagą.

A prawda, ostatecznie, stanowiła jedną z jej zasad.

W ciszy szelest wełny, jedwabiu i nankinu ocierających się o wypolerowane ławki, brzmiał jak poszum wiatru. Ktoś odchrząknął ostrożnie.

Smuga światła przebiła się przez chmurę, wpadając przez okno najbliżej ołtarza, lepiej wydobywając z półmroku to, o czym miasto Pennyroyal Green miało mówić przez następne stulecia.

W końcu ktoś się poruszył.

Ale to był tylko żebrak, który podniósł rękę w milczącym błogosławieństwie.

Wpatrywała się w jego rękę, jakby to była gołębica pokoju, unosząca się do nieba. Wszystko teraz wydawało się jak ze snu, wszystko wydawało się jakimś znakiem.

Powiodła wzrokiem w dół za ręką.

I westchnęła współczująco. Bo tym razem dłoń zaplątała się w bandaże. Z początku wyglądało na to, że przez przypadek.

Ale potem powoli, płynnymi, zręcznymi ruchami, niczym origami w odwrotnym kierunku, odsunął bandaże z twarzy, wyprostował się i strząsnął z siebie podarty, brudny kubrak.

I wstał.

Parę głów odwróciło się w jego stronę.

Nie zwracał na to uwagi.

Jednak przecież przywykł do tego, że na niego patrzono.

A oni oboje i tak mieli oczy tylko dla siebie.

– Oczywiście – powiedziała cicho Olivia.

Rozległ się cichy łomot, kiedy ktoś zemdlał i wypadł z ławki.

Nieszczęśnika zostawiono na podłodze nawy, ponieważ wszyscy wpatrywali się w drzwi kościoła, za którymi zniknął Lyon i nikt nie miał pewności, że rzeczywiście go widział.

Ktoś się przeżegnał i zmówił modlitwę.

– Na Boga, to nie duch, po prostu bardzo długo go nie było – mruknął ktoś z irytacją.

Proboszcz podniósł głos.

– Zechciejcie wszyscy pozostać w ławkach.

Adam posiadał stentorowy, nakazujący posłuch głos, a jako że nikt nie wiedział, co w tym momencie należy robić, wszyscy zostali na swoich miejscach.

Nie wszyscy zdali sobie jeszcze sprawę, że żebrak przemienił się właśnie w Lyona Redmonda, po czym praktycznie rozpłynął się w powietrzu.

Olivia obróciła się do Lansdowne’a. Potem w stronę drzwi. Potem do Landsdowne’a. A potem znowu do drzwi.

Jak tancerka operowa.

Całe wydarzenie, jak wspominali później zachwyceni widzowie, stanowiło niezłe widowisko.

– John… – zaczęła. Przepraszająco. Ale, oby Bóg jej wybaczył, niecierpliwie.

Potrząsnął głową gwałtownie.

– Nie zniósłbym tego, gdybyś była litościwie dobra, Olivio – powiedział z ledwie dostrzegalną, gorzką ironią. – Po prostu idź do…

Miał powiedzieć „niego”, ale ona tego nie słyszała, ponieważ już skoczyła jak sarna i pognała nawą, unosząc obiema garściami obszywaną srebrem suknię ślubną, za Lyonem Redmondem.

23

Wypadła za drzwi kościoła, które zamknęły się za nią z głuchym trzaśnięciem, które zabrzmiało jak nieodwołalny wyrok.

Na pozór znikąd pojawiło się dwóch mężczyzn, którzy zastawili drzwi tak, żeby nikt nie mógł za nią pójść.

Spojrzała na nich zaskoczona.

Załoga Lyona. Najwyraźniej otrzymali ścisłe instrukcje.

Jak zwykle, zaplanował wszystko z wyprzedzeniem.

Ale gdzież on się, do czorta, podział?

Jej głowa poruszyła się niczym kurek na dachu. Nie zauważyła go na dziedzińcu, wśród grobowców, które tak dobrze znała.

Zniknął.

Zaklęła tak, że nawet stojący przy drzwiach mężczyźni otworzyli szeroko oczy. Ale może dostali rozkaz, żeby jej nie mówić.

A potem zauważyła, że drzwi na dzwonnicę są uchylone na parę cali.

Podbiegła do nich, otworzyła je i pobiegła w górę po schodach, raz się potknąwszy, rozdzierając skraj srebrzystej sukni.

Na szczycie, dysząc jak kowalski miech, zatrzymała się.

Opierał się o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, naprzeciwko dzwonu, w kałuży słonecznego światła.

O krok przed nią, jak zwykle.

Zawsze wiedział, czego ona potrzebuje, zanim ona sobie to uświadomiła.

Przez jakiś czas jedynym słyszalnym dźwiękiem był odgłos jej oddechu, który odbijał się echem w wieży.

A potem:

– To były najgorsze chwile w moim życiu.

Jego głos brzmiał ochryple.

Nie była gotowa na to, żeby mu przebaczyć. Ani żeby mówić. Ani żeby zrobić cokolwiek poza wpatrywaniem się w niego, na wypadek gdyby znowu miał zniknąć.

Ponieważ teraz przyszła po niego.

– To były także najlepsze chwile w moim życiu – dodał.

Wciąż nie była w stanie się odezwać. Jej Lyon. Tutaj, w Pennyroyal Green, w Sussex.

Cisza.

Długa smuga światła wprawiła cząsteczki kurzu w radosny, uroczysty taniec.

– Jeśli ciekawi cię to przebranie… – wskazał podarty kubrak, rzucony niedbale na ziemię – … kiedy usłyszałem, że wychodzisz za mąż, nie byłem nawet pewien, czy w ogóle chcę cię zobaczyć. Nie byłem pewien, czy w ogóle chcę wracać do Anglii. Nie wiedziałem, czy jesteś tą samą osobą, którą kiedyś zostawiłem. Nie wiedziałem, czy jesteś szczęśliwa z Landsdowne’em, a jedyne na czym mi zawsze zależało, to twoje szczęście. Powinienem wiedzieć…

Przerwał.

– Powinienem wiedzieć, że pójdę za tobą na kraniec ziemi. Urodziłem się, kochając ciebie. I bez względu na wszystko, walczyłbym o ciebie.

Wciąż nie mogła się odezwać. Przy nim słowa zawsze okazywały się albo niepotrzebne, albo niewystarczające.

– Niemal mnie to zabiło. Ale miałem rację, odsyłając cię.

To było zarazem pytanie i stwierdzenie.

Ale jego głos, lekko zachrypnięty, zdradzał niepewność. Jej milczenie zaczynało go martwić.

A ponieważ nigdy nie kłamała i nie mogła znieść jego cierpienia, pierwszym słowem, które w końcu padło z jej ust było:

– Tak.

Słowo, którym powinna mu odpowiedzieć tyle lat wcześniej. Tak, wyjadę z tobą. Tak, będę z tobą. Tak, wierzę w ciebie. Tak, jesteś moim życiem, moją miłością, moim przeznaczeniem. Oczywiście.

Z drugiej strony to wszystko, co się stało, musiało się stać, żeby to w końcu zrozumiała.

Mówiła jednak głosem cichym i drżącym; wiedziała, że zaraz się rozpłacze.

– Kocham cię – dodała pospiesznie. Ponieważ tęskniła za tym, żeby mu to powiedzieć i nie mogła czekać ani chwili dłużej. – Zawsze cię kochałam. I zawsze będę.

Tak powinny brzmieć śluby kościelne, pomyślała Olivia. Nikt nigdy nie wymówiłby tych słów bez zastanowienia.

Jej słowa rozbrzmiewały w pomieszczeniu jak dzwon.

Wciągnął głęboko powietrze, jak człowiek, który zbyt długo przebywał pod wodą.

Podszedł do niej – swobodnie, powoli, jakby chciał powiedzieć: „Popatrz. Teraz należy do nas cały czas tego świata”. Podał jej chusteczkę. Wzięła ją i musnęła palcami róg, w którym wyszyto jego inicjały.

Wiedziała, jak będą wyszywane od tej pory jej własne chusteczki: „OKR”. Olivia Katherine Redmond.

– Wiedziałeś, co dzisiaj zrobię. – Otarła oczy chusteczką.

– Oczywiście. A jednak skróciło mi to życie o lata.

– Zatem musimy dobrze wykorzystać lata, które ci zostały.

Westchnął i wziął ją w ramiona, ciasno obejmując. Rozpłynęła się ze szczęścia, czując jego ukochane ciało. Położył policzek na jej włosach.

Przez chwilę oddychali razem, pławiąc się w luksusie swoich objęć. Pocałował jej czoło, powieki, policzki, usta.

– Moja miłości. Moje serce – szepnął.

Teraz już nie były to śmiałe słowa. Ani niewinne. Zasłużone, prawdziwe słowa – od jednego znękanego serca dla drugiego.

W kościele ludzie w końcu przeszli do porządku nad poleceniem proboszcza, żeby pozostali na swoich miejscach i zaczęli wstawać.

Isaiah Redmond.

Jacob Eversea.

Isolde Eversea.

Fanchette Redmond.

Otaczały ich szepty.

Lyon Redmond, Lyon Redmond, Lyon Redmond, Lyon Redmond, to był Lyon Redmond.

– Mój syn… – wyrzucił przez ściśnięte gardło Isaiah Redmond. – Czy to był… był… mój syn?

– Gdzie jest moja córka? – zapytał Jacob Eversea. Był gotów przejść po ławkach, żeby jak najszybciej wybiec na zewnątrz wraz z pozostałymi mężczyznami z rodziny.

– Przyjaciele! – zawołał Adam. – Proszę. Poczekajcie chwilę. – Podniósł ręce, nakazując ciszę.

Posłuchali.

Odwrócili się, żeby spojrzeć na wielebnego Sylvaine’a. Zamarli na miejscach.

Proboszcz skinął w stronę Landsdowne’a, jakby dawał komuś pozwolenie na wygłoszenie mowy pogrzebowej.

Landsdowne wciągnął powietrze.

Stał przed kongregacją, jedna z ofiar miłości, wstrząśnięty, z twarz bladą z szoku.

I pomimo nieskazitelnego życia jego przeznaczeniem było stać się jednym z bohaterów podwórzowych ballad i opowieści, a także przyczynić się do powstania nowego czasownika („Sądzę, że ona zamierza go zlandsdownować”).

Później wszyscy twierdzili, że był uosobieniem wdzięku, ale Landsdowne zawsze przyjmował koleje losu ze spokojem, a życie, ze swej strony, szczędziło mu wstrząsów, zanim na jego drodze nie stanęła Olivia Eversea i jej podobni.

Zwrócił się twarzą do zgromadzonych, którzy trwali w bezruchu, wpatrując się w niego zachłannie, mając nadzieję usłyszeć, dlaczegóż to Olivia Eversea wybiegła nagle z kościoła, jakby podpalono jej suknię.

Ale jedyne, co powiedział, z godnym podziwu spokojem, to było:

– Proszę o wybaczenie wszystkich, którzy przybyli, żeby być świadkami ślubu. Panna Olivia Eversea i ja nie wstąpimy dzisiaj ani nigdy w związek małżeński.

Kiwnął w podziękowaniu głową proboszczowi.

Potem wypuścił powietrze i wycofał się za pulpit, oddając głos człowiekowi, który udzielił mu wsparcia.

– Panie i panowie – powiedział Adam. – Przyjaciele i rodzino, możecie teraz wrócić do domu. Ślub się dzisiaj nie odbędzie.

Isaiah Redmond podniósł głos.

– Mój syn! Gdzie do diabła podział się mój syn? Czy to był…

– Isaiah.

Odwrócił się zaskoczony.

Pierwszy raz od dziesięciolecia Isolde Eversea zwróciła się do niego bezpośrednio.

I jego twarz, jak zwykle wówczas, złagodniała; nie mógł nic na to poradzić.

Ci, którzy na niego patrzyli, nie mogli tego nie zauważyć.

A Isaiah nienawidził słabości.

– Zostaw ich – powiedziała łagodnie.

Jacob ujął żonę pod rękę.

– Idziemy do domu – powiedział sztywno. – Wszyscy pójdziemy do domu.

Cóż, dla Eversea córka uciekająca sprzed ołtarza to praktycznie codzienność.

– A co, jeśli ona… – Isolde Eversea spojrzała z rozpaczą na męża.

Wiedziony instynktem, zrodzonym z wieloletniej miłości – tak dobrze przecież znał Isolde, podał żonie chusteczkę, kiedy zwilgotniały jej oczy.

– Co chciałabyś, żeby zrobili, Isolde? – odezwał się Jacob spokojnym głosem. Ale twarz miał wykutą z granitu. – Ona wróci do domu. Wiem, że wróci.

Rzuciwszy Isaiahowi Redmondowi spojrzenie, które w innym stuleciu kazałaby drugiemu mężczyźnie sięgnąć po miecz w samoobronie, Jacob Eversea wyprowadził żonę z kościoła.

Krewni ruszyli za nimi. W tych okolicznościach brak ślubu stanowił niemal taką samą rozrywkę jak sam ślub.

Niemal dla każdego poza ojcem i matką panny młodej.

Jak zwykle rozległo się szuranie i gwar, kiedy goście wyszli z ławek, ruszając do drzwi.

Z wyjątkiem Landsdowne’a, który trzymał się blisko ołtarza, mając nadzieję, że pozostanie niezauważony, póki nie zdoła uciec z kościoła w otoczeniu własnej rodziny.

I lady Emily Howell, która przedzierała się przez tłum, żeby się do niego dostać.

Kiedy kościół opustoszał i wszystkie powozy się rozjechały, a nawet nie było już ich widać z daleka – jak stwierdził wikary – wraz z żoną, Evie, obeszli nawet dziedziniec – Adam udał się na dzwonnicę i wdrapał się na

górę, specjalnie hałasując nieco, kiedy dochodził do szczytu. Żeby ich ostrzec.

Olivia i Lyon siedzieli na podłodze, on obejmował ją ręką, ona złożyła głowę na jego ramieniu; rozmawiali, śmiejąc się cicho, jakby byli małżeństwem od dziesięcioleci. Siedziała na jego zwiniętym kubraku.

– Adam! – Olivia wyprostowała się natychmiast, lekko zawstydzona.

Lyon dotknął delikatnie jej dłoni, żeby ją uspokoić.

– Poznaliśmy się przed ceremonią – wyjaśnił Lyon. – Poprosiłem, żeby zatrzymał wszystkich w środku, na wypadek, gdybyś za mną wybiegła. Poprosiłem także, żeby odesłał wszystkich do domu, gdybyś to zrobiła.

Ponieważ Lyon, ostatecznie, zwykł był wszystko planować.

Olivia westchnęła, uszczęśliwiona.

– On zna mnie lepiej niż ja samą siebie.

– Niezwykły człowiek, ten twój pan Redmond, Olivio – stwierdził Adam. Niemal ze smutkiem.

Adam zakochał się w niezwykłej kobiecie i także musiał o nią walczyć. Stosował inne metody niż Redmond, ale potrafił rozpoznać prawdziwą miłość i uważał ją za świętą.

– Niezwykły człowiek, twój kuzyn, wielebny Sylvaine. – Lyon uśmiechnął się do proboszcza.

Przeznaczone im było, o czym żaden nie wątpił, zostać przyjaciółmi.

– Czy wasz ślub odbędzie się tutaj, w Pennyroyal Green? – zapytał Adam.

Olivia i Lyon spojrzeli na siebie, po czym odwrócili się do wikarego, mówiąc jednocześnie:

– Tak.

Po ślubie – albo raczej po niedoszłym ślubie – Isaiah Redmond wycofał się za swoje wielkie, lśniące biurko w bibliotece, gdzie podjął tyle błyskotliwych decyzji oraz jedną czy dwie zaskakująco niemądre.

Przypominał sobie twarz Olivii Eversea, kiedy złamała serce jednemu mężczyźnie, a potem pobiegła nawą do wyjścia, niczym jakiś rodzaj gniewnego anioła, z twarzą rozpromienioną taką miłością, jaką zdarzyło mu się widzieć dotąd tylko raz w życiu.

Na twarzy Isolde Eversea, kiedy na niego spojrzała.

Wszyscy obecni twierdzili, że pobiegła za Lyonem.

Isaiah zamknął oczy. Utrata najstarszego syna była wielką niegojącą się raną.

Nie wiedział. Po prostu nie wiedział.

Ręce mu drżały. Było jednak za wcześnie, żeby sięgnąć po brandy i nie chciał stać się tego rodzaju człowiekiem, jednak w ciągu ostatnich paru lat dostawał cios za ciosem od życia… Isaiah obawiał się, że w końcu zaczyna się starzeć.

Ktoś odchrząknął uprzejmie w drzwiach.

Odwrócił się niechętnie, z wahaniem.

Lokaj. Z oczami nienaturalnie błyszczącymi i twarzą białą jak ściana.

– O co chodzi? – zapytał szorstko Isaiah.

– Pan Lyon Redmond chce się z tobą zobaczyć, panie.

Isaiah zamarł.

Stracił oddech.

Podniósł się do połowy.

I powoli, bardzo powoli jego najstarszy syn wkroczył do pokoju, gdzie widział go ostatnio przed pięciu laty.

Elegancki mężczyzna. Szokująco przystojny. Ale także twardy. Isaiah dostrzegł to od razu. Był tak niezwykle spokojny, a jednocześnie tak niezachwianie pewny siebie, że Isaiah nie był w stanie się odezwać z wrażenia.

Lyon tu był. Lyon.

Stał na środku pokoju przed lśniącym biurkiem.

Cisza dzwoniła.

A zegar, jak zwykle, odmierzał minuty.

– Lyon…

Głos Isaiaha zabrzmiał jak suchy zgrzyt.

– Ojcze, proszę, nie wstawaj. – Powiedział to niemal serdecznie.

Isaiah usiadł.

Nie poprosił Lyona, żeby usiadł. Było jasne, że Lyon nie ma takiego zamiaru. A Isaiah nie chciał usłyszeć odmowy.

Panowała cisza niemal uroczysta. W tym pokoju dźwięki zawsze były przytłumione – dzięki grubemu dywanowi, aksamitnym obiciom i zasłonom.

Lyon żeglował po groźnych morzach, toczył zażarte bitwy i bywał na niebezpiecznych ziemiach.

Dom go już nie onieśmielał. Ponieważ Lyon rozumiał teraz ojca lepiej niż zapewne ktokolwiek na świecie.

Isaiah odetchnął z drżeniem.

Potem drugi raz.

Zasłonił oczy ręką.

Jego ramiona wzniosły się i opadły pod wpływem głębokiego westchnienia. Przez chwilę wydawał się zupełnie nieruchomy.

Póki Lyon nie zauważył, że ramiona ojca drżą.

Isaiah Redmond… szlochał.

Lyon czekał. To nie znaczy, że nie był wzruszony. Nie całkiem.

Ale nie mógł i nie chciał być tą osobą, która pocieszy ojca.

Nie wiedział, kto naprawdę mógłby to zrobić, ponieważ zdawał sobie sprawę, że prawdziwą pociechę może dać tylko ktoś, kto naprawdę zna nasze serce. Lyon kochał matkę i gotów był ją chronić za wszelką cenę. Ale możliwe, że Isaiah był jednym z najbardziej samotnych ludzi na świecie. I to mogło być wielką tragedią jego życia.

Isaiah w końcu westchnął głęboko.

Spojrzał na Lyona zielonymi, błyszczącymi oczami, zaczerwienionymi od łez.

– Jesteś niezwykłym człowiekiem, ojcze. Zawsze potrafiłeś nagiąć niemal wszystko do swojej woli. Z wyjątkiem miłości.

– Lyon. Synu. – Jego głos wciąż brzmiał chropawo.

– Kiedyś mi powiedziałeś, że mam wybór – stwierdził Lyon zamyślonym tonem. – Może ty też kiedyś go miałeś. Rzecz w tym, że kiedy się dokona niewłaściwego wyboru, miłość może nas złamać.

Isaiah milczał. Patrząc na syna, jakby był zjawą.

– Ojcze… Wiem o inwestycji, jakiej dokonałeś pod imieniem Jacoba Eversea, jako członek grupy Dreieck. O „handlu trójkąta”.

Ojciec nie poruszał się. Lyon znał ten bezruch. Zarazem przyznanie się do winy oraz odruch dawnego Isaiaha, który natychmiast zaczyna planować, jak odwrócić sytuację na swoją korzyść.

– Nie powiem ci, w jaki sposób się tego dowiedziałem, ale postanowiłem dotrzeć do źródła dla kobiety, którą kocham. Jak wiesz, to jedna z rzeczy, które najbardziej leżą jej na sercu. Podzielam jej pasję. I nie mogę sobie wyobrazić, że pochwalasz niewolnictwo, nawet dla zysku.

Isaiah siedział bez ruchu, nie wydając żadnego dźwięku.

– Jaki zatem miałeś plan? Wydać w końcu Jacoba Eversea władzom? Albo dopilnować, żeby wszystko wyszło na jaw i zniszczyć mu reputację i oczernić w oczach żony i córki?

Męcząca cisza przeciągała się.

W końcu Isaiah przemówił.

– Nie znasz naszej historii, Lyon. – W jego tonie pobrzmiewała stalowa nutka. Ostrzeżenie. Jednak Isaiah nie miał do tego prawa i wiedział o tym.

– Przyszedłem, żeby ci powiedzieć – oznajmił powoli Lyon – że najlepiej będzie, jeśli nie będziesz już nigdy próbował czegoś takiego. Nigdy. Nie mogę już wyrazić się jaśniej.

Ojciec zacisnął wargi.

– Ożenię się z Olivią Eversea, jak tylko dostaniemy specjalne pozwolenie. Sądzę, że to nastąpi w następną niedzielę, tutaj, w Pennyroyal Green. Jesteś zaproszony. Ale ani ja, ani ona, nie potrzebujemy twoich pieniędzy czy pozwolenia.

Isaiah westchnął i ledwie skinął głową.

– Ojcze, w ciągu ostatnich paru lat czegoś się nauczyłem. Jestem tym, co w tobie najlepsze. I tym, co w tobie najgorsze. Nigdy się nie poddaję. Mam wspaniały talent do robienia pieniędzy. I na dobre, i na złe, jestem takim człowiekiem, jakim jestem dzisiaj, przede wszystkim dzięki tobie. I za to ci dziękuję.

– Lyon – powtórzył ojciec.

Lyon czekał.

Isaiah odchrząknął.

– Tak… się… cieszę, że… jesteś w domu.

Lyon wiedział, że to prawda. Wiedział, że ojciec go kocha na swój sposób. Wszystko, co zrobił swojej rodzinie, było próbą usprawiedliwienia wyboru, którego dokonał przed laty.

Ale nie mogło wyjść z tego nic dobrego.

Lyon tylko kiwnął głową.

Obaj mężczyźni popatrzyli na siebie uważnie.

Lyon zawahał się, a potem zadał pytanie, które męczyło go od dawna.

– Czy wciąż ją kochasz? – odezwał się cicho.

Miał na myśli Isolde Eversea.

Isaiah tylko na niego spojrzał. Wciąż miał zaczerwienione oczy, co sprawiało, że wydawały się jeszcze bardziej świetliście zielone.

A w końcu wydał z siebie cichy dźwięk. Prawie śmiech. Zbyt smutny, zbyt fatalistyczny, żeby uznać go za prawdziwy śmiech.

To była odpowiedź, na jaką czekał Lyon.

– Czy ona też wciąż cię kocha? – zapytał ostrożnie. Zapuszczał się w rejony, co do których sam nie wiedział, czy chce je poznawać.

– A jak myślisz? – Isaiah skrzywił się w słodko-gorzkim uśmiechu.

Lyon zastygł, przyjmując do wiadomości słowa ojca.

Ponieważ tak właśnie było. Był tego pewien.

Ale kochała także własnego męża. To było jasne dla każdego, kto widział ich razem.

Lyon westchnął, zamyślony. Sam cierpiał latami. Nie mógł sobie wyobrazić, co przeżywali Isaiah Redmond i Isolde Eversea.

A teraz zostaną członkami tej samej rodziny.

To jak rzucić zapaloną drzazgę drzewa na suchy chrust.

No, cóż.

Nikt i nic nie stanie Lyonowi i Olivii na przeszkodzie, żeby być razem.

– Lyon – odezwał się ojciec. – Mogłeś posiąść pewną mądrość, ale ja i tak jestem starszy. Myślę, że pewnego dnia, może w przyszłości, odkryjesz, że serce może kryć wiele rodzajów i odcieni miłości. Kiedy urodzą się dzieci, zaczniesz rozumieć, o czym mówię. I zdziwisz się, dowiadując, ile wystarczy, żeby przeżyć z dnia na dzień.

Lyona w tej chwili nie interesowała odległa przyszłość. Bardzo chciał wrócić do Olivii, która przebywała z kuzynem na probostwie.

Nie zapytał ojca, czy zabrałby Isolde mężowi, gdyby to było teraz możliwe.

Sądził, że zna odpowiedź i nie chciał jej usłyszeć.

Rodzeństwo Lyona wraz z małżonkami zgromadziło się w jednym z salonów, w pokoju, w którym on i bracia skakali kiedyś ze stołu na kanapę i na krzesło, udając, że dywan jest lawą i gdzie fascynowały go kiedyś stiukowe orzechy i winorośl nad kominkiem. Słyszał ich głosy o znajomej modulacji i rytmie, wszystko boleśnie znajome.

Zatrzymał się na chwilę. Odrobinę niepewny.

Wiedział, jak związki między ludźmi mogą się zmieniać i układać w taki sposób, żeby zapełnić wyrwę po kimś, kto odszedł. Ale teraz już prawie

niczego się nie bał, więc tego także się nie przestraszył.

A potem wszyscy podnieśli głowy i zobaczyli go.

Zamilkli w sposób niemal komiczny.

Patrzyli na niego, jakby zobaczyli nosorożca. Onieśmieleni, poruszeni, jakby chcieli do niego podbiec i go pogłaskać, ale nie byli pewni, czy jest dość oswojony.

– Ciągle tak samo brzydki, jak widzę – odezwał się w końcu Jonathan.

– Rozmawiasz z lustrem? – zapytał Lyon spokojnie.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Braterska więź została przywrócona, przełamano lody i Violet rzuciła się w jego ramiona.

– Cóż, moja dzielna dziewczyno – szepnął, ściskając ją mocno. – Pewnego dnia porozmawiamy.

Zauważył od razu, że jej mąż, hrabia Ardmay, znany także jako kapitan Flint, siedzi w kącie, tuląc dziecko. Violet, jako kobiecie, pozwolono na szloch, a wszyscy inni, nawet jego bracia, zauważyli nagle coś niezwykle interesującego na dywanie albo na suficie, albo też odkryli, że coś wpadło im do oka i muszą koniecznie mrugać.

Poza Lyonem.

– Nie przywłaszczaj go sobie, Violet! – zawołał z irytacją Jonathan.

– Tak, nie bądź porywaczką, Violet! – dołożył swoje Miles.

Było dużo śmiechu, uścisków i poklepywania po plecach.

Jeśli ktoś z obecnych w pokoju żywił jakiś zastarzały żal z powodu zniknięcia Lyona i pamiętał ból po jego stracie, to rozpłynęły się one natychmiast pod wpływem silniejszej niż wszystko inne miłości i wdzięczności, a także poczucia, że teraz jest już tak, jak powinno. Teraz, kiedy byli starsi i każde znalazło swoją miłość, lepiej rozumieli, dlaczego Lyon musiał postąpić tak, a nie inaczej. A związki między nimi mogły się znowu tak zmienić i dostosować, żeby znalazło się dla niego miejsce.

Każde z nich zdobyło swoją miłość z największym trudem, zmieniając się pod jej wpływem, nabierając wrażliwości i mądrości, czy tego chcieli,

czy nie.

Pięć lat i oto Jonathan stał się mężczyzną, przystojnym i dzielnym, który mógłby być bratem bliźniakiem Lyona.

Pięć lat i teraz Miles był przystojny i pełen spokojnej pewności siebie.

Obaj świetnie się prezentowali i Lyon był z nich niezwykle dumny. Wiedział, jak ciężko musieli walczyć o swoje szczęście i niezależność. Zastanawiał się, czy może taki był plan ojca od samego początku, ale chyba nikt, nawet Isaiah Redmond, nie mógł być taki mądry.

Ale wiedział także, że odwagę w dużym stopniu zawdzięczali swoim żonom.

Raczej szybko się zorientował, ku swojej ogromnej uldze, że Thomasina i Cynthia, żony Jonathana i Milesa, są żywe, czarujące, dowcipne i bardzo serdeczne. A ich uroda była ozdobą każdego towarzystwa. Tommy, z ciemnymi włosami i zielonymi oczami, była egzotyczną pięknością; Cynthia była śliczną blondynką o niebieskich oczach.

„Piękna” było słowem, które zarezerwował dla Olivii.

– Obie jesteście lepsze, niż Jonathan i Miles na to zasługują – oświadczył, kiedy przedstawiono go żonom. – To widać od razu.

– Zdobyłem Tommy płomiennym spojrzeniem – oznajmił Jonathan. – Nauczyłem się tego od ciebie.

– Tak było, owszem – przyznała Tommy. – Płomiennie.

– A zatem nalegam, abym został ojcem chrzestnym waszego dziecka.

– Mamy ich już jakąś setkę – stwierdził swobodnie Jonathan.

Wszyscy obecni słyszeli już ten dowcip, ale Lyon – po raz pierwszy i jego reakcja szczerze rozbawiła zebranych.

Choć gdyby wiedział, ile razy go jeszcze usłyszy w nadchodzących latach, pewnie przewróciłby oczami.

Szybko usłyszał coś więcej o pracy Jonathana i Tommy nad zmianą prawa dotyczącego pracy dzieci.

– Musimy później dłużej porozmawiać. Ty i Olivia będziecie miały sobie dużo do powiedzenia – zwrócił się do Tommy. – Muszę także porozmawiać o projektach, w które mógłbym zainwestować.

Jego słowa wywołały krótką chwilę milczenia i nieco wymuszone uśmiechy.

W domu Redmondów imię Olivii Eversea było synonimem Belzebuba. Od dawna obwiniano ją o zniknięcie Lyona. To nie mogło się zmienić z dnia na dzień.

– Pokochacie ją. Stanie się częścią naszej rodziny, a my częścią jej, jak tylko dostanę specjalne zezwolenie. Sądzę, że ślub będzie się mógł odbyć już w następną niedzielę. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć Olivię i Violet w tym samym pokoju.

Violet skrzywiła się.

– A zatem jesteś odważniejszym mężczyzną ode mnie – stwierdził Jonathan.

– Cóż, to oczywiste. – Lyon przesuwał się w stronę hrabiego Ardmay, kapitana Flinta, który nie włączał się do rozmowy, ponieważ maleńka Ruby nadal spała w jego ramionach.

– Czy zdobyłeś Cynthię płomiennym spojrzeniem? – Lyon zapytał Milesa. – O ile sobie dobrze przypominam, twoje techniki wymagały udoskonalenia.

– To ona mnie spopieliła wzrokiem – odparł żartobliwie Miles.

– Musimy porównać zapiski dotyczące naszych technik, Cynthio. – Lyon puścił do niej oko.

A potem oparł się o ścianę obok hrabiego, któremu kiedyś powierzono misję schwytania Le Chat i postawienia go przed obliczem sprawiedliwości; hrabia odmówił z miłości do kobiety. Szaleństwo, które sprawiło, że jeden mężczyzna został piratem, było tym samym szaleństwem, które drugiemu kazało puścić go wolno: wszystko z miłości do kobiety.

– Ardmay – powiedział tylko Lyon, w charakterze powitania.

Hrabia nie miał Lyonowi nic więcej do powiedzenia, poza:

– Witaj w domu, Redmond.

Podał dziecko Lyonowi, który wziął je ostrożnie, jakby było jajkiem.

Ruby wyraźnie urodziła się po to, żeby łamać serca. Maleńka, senna, blada istotka o szokujących, miniaturowych rzęsach. Pomyślał, że pierwsze serce, które złamie, będzie należało do niego.

Hrabia Ardmay wyrwał go z rozmarzenia.

– Chciałbyś takie?

Wydawał się rozbawiony. Widział wyraz twarzy Lyona.

– Parę tuzinów – odparł Lyon z roztargnieniem, właśnie w tej chwili sobie to uświadamiając. Przypomniał sobie, jak Olivia odwiedzała Duffych; wiedział, że oni oboje będą najlepszymi rodzicami na świecie.

– Lyon, czy zdobyłeś Olivię swoim słynnym spojrzeniem? – zapytała Tommy.

Lyon podniósł głowę, oczy miał wciąż zamglone od marzeń o dzieciach, które wyglądają zupełnie jak Olivia.

– Nie – odparł zamiast Lyona Miles. – Nie zrobił tego. Ale byłem tam tamtej nocy. Pozwólcie, że wam opowiem, co się tam stało. Kiedy spoczęły na niej jego oczy, mógłbym przysiąc, że rozległ się dźwięk gongu…

Dopiero kiedy spotkał się sam na sam z matką, a ona objęła go ramionami, Lyon Redmond w końcu zapłakał. Z powodu tego, co wiedział i z powodu tego, o czym był pewien, że wie i rozumie i ponieważ kochał swoją matkę i za nią tęsknił.

24

Następnej niedzieli...

Gdzieś w kolejnym tygodniu w Pennyroyal Green pojawiła się plotka, że księga zakładów u White'a zniknęła.

Szlachetnie urodzeni zawyli z oburzenia.

Lyon oświadczył, że nic o tym nie wie.

Bracia Olivii wzruszali niewinnie ramionami.

Olivia nie wierzyła żadnemu z nich.

Chcieli ją chronić, a jej ślub nie był zabawą.

– Czy to nie cudownie wiedzieć, że nie będzie już żadnych spekulacji na nasz temat? – powiedział po prostu Lyon, podnosząc rękę Olivii do ust, żeby ją ucałować. – Nie bierzemy udziału w jakiejś grze. Jesteśmy mężczyzną i kobietą, którzy się kochają, weźmiemy ślub i założymy rodzinę, która będzie rywalizować z rodziną Duffych co do liczby potomstwa. To będzie cała drużyna krykieta.

– Albo orkiestra – powiedziała rozmarzona.

– Albo grupa inwestycyjna.

Roześmiała się.

Cieszyli się wspólnym spacerem po Pennyroyal Green, machali wszystkim, których widzieli, zatrzymywali się, żeby pogawędzić, wprawiając niektórych w przerażenie, a potem oczarowując ich tak, że wszyscy, nawet pani Sneath, odchodzili przekonani, że Lyon i Olivia są dla siebie stworzeni, a o biednym Landsdownie już niemal zapomniano.

Odwiedzili stary wiąz i Lyon pokazał Olivii wyryte przez niego „O”. Dotknęła literki z czułością, a potem równie czule pocałowała Lyona, żeby mu zadośćuczynić za cierpienie, jakiego doświadczył tamtego dnia, kiedy czekał na nią na próżno, mając za towarzystwo tylko parę wiewiórek i własną tęsknotę.

Odnaleźli małą polankę i w przypływie nostalgii kochali się wprost na mchu, na jego rozłożonym kubraku i zrobili to szybko, bo teraz wiedzieli, co robią i byli w tym bardzo, bardzo dobrzy.

Potem dała mu prezent.

Mały złoty zegarek kieszonkowy z jego inicjałami.

Odnalezienie go i wygrawerowanie inicjałów kosztowało trochę trudu, ale pan Postlethwaite był pomysłowym i przedsiębiorczym człowiekiem, zwłaszcza jeśli w grę wchodziły spore pieniądze.

– No, dalej. Otwórz.

Zrobił to – z wielką ceremonią.

Wewnątrz znajdowała się miniaturka, którą mu podarowała przed laty, a która w jakiś sposób do niej wróciła.

– Tym razem masz zatrzymać jedno i drugie. Miniaturkę i jej prawdziwy odpowiednik.

To dało pretekst do kolejnego pocałunku. Przeciągły, czuły pocałunek, po którym przywarła z westchnieniem do jego piersi, marząc o dniu, kiedy będą leżeć w łóżku obok siebie – co noc.

– Pomyślałem, że w podróż poślubną wybierzemy się do Brystolu – powiedział.

– Do Brystolu?

A potem zrozumiała.

– Wystarałem się o zaproszenie, żeby odwiedzić panią Hannah More.

– Naprawdę? – szepnęła Olivia.

I to był pretekst do kolejnego pocałunku, który ciągnął się, póki słońce nie zaczęło zachodzić.

– Sprawdźmy, która godzina, dobrze? Nie dlatego, że musimy, tylko dlatego, że chcemy.

Lyon z zadowoleniem otworzył nowy zegarek.

A potem, w końcu, przyszła niedziela.

Rodziny weszły do kościoła z dwóch różnych stron; pewien dowcipny obserwator zauważył, że przypominało to zbieranie się dwóch wrogich armii na polu bitwy, nadciągających z dwóch osobnych obozów. Mglisty poranek dodawał wydarzeniu dramatyzmu. Jednak zarówno Redmondowie, jak i Eversea posiadali nienaganne maniery, a w historii zawierano już zawieszenie broni w trudniejszych warunkach. Można się było spodziewać, że tego dnia żaden Eversea nie rozłupie żadnemu Redmondowi czaszki w odwecie za kradzież krowy, co, jak głosiła wieść gminna, zapoczątkowało ich wzajemną wrogość w 1066 roku.

Ale nigdy nic nie wiadomo.

Prawie całe Pennyroyal Green tłoczyło się w kościele, ci, którzy się nie zmieścili, czekali na zewnątrz, zaciskając dłonie z podniecenia.

Olivia miała na sobie prostą, białą, muślinową sukienkę.

Lyon miał uroczysty i wniebowzięty wyraz twarzy.

Genevieve stała przy Olivii, Lyon stał w towarzystwie Jonathana i Milesa. Matki wszystkich tych kobiet i mężczyzn, zjednoczone w miłości do dzieci, płakały cicho; nawet zachowujący stoicki spokój ojcowie, zagłębieni we własnych, trudnych myślach, mieli, być może, nieco wilgotne oczy.

Potem przemówił wielebny Adam Sylvaine.

– Lyonie Arthurze Jamesie, czy bierzesz sobie tę kobietę za żonę i będziesz z nią żyć w świętym stanie małżeńskim? Czy ślubujesz jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że jej nie opuścisz aż do śmierci?

– Tak – zabrzmiał uroczyście głos Lyona.

– Czy ty Olivio Katherine bierzesz sobie tego mężczyznę za męża i będziesz z nim żyć w świętym stanie małżeńskim? Czy ślubujesz mu posłuszeństwo, miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz to, że go nie opuścisz aż do śmierci?

– Tak – odparła, wdzięczna za to, że od tej chwili do „na wieki wieków” z Lyonem dzieliło ją tylko to jedno słowo.

Dodali swoje głosy i przysięgi do innych słów nadziei i miłości, które rozbrzmiewały w tym miejscu od stuleci; słowa wsiąkły w kamienie i drewniane belki małego kościółka, żeby dodawać otuchy i inspirować wiernych i zakochanych w następnych wiekach.

Poranek mógł być mglisty. A w kościele mógł panować mrok.

Ale wszyscy twierdzili, że twarze państwa młodych tak promieniały, że można było przy nich czytać.

Kiedy otworzyły się drzwi kościoła i nowożeńcy ukazali się na progu, podniósł się taki krzyk radości, że podobno ptaki zerwały się z drzew aż do szkockiej granicy, ich echo rozbrzmiało w Londynie i wzburzyła się woda morska pod statkiem, który kiedyś nosił imię „Olivia”, a teraz został przemianowany na „Delphinia”, a słońce, zaskoczone, podskoczyło na niebie.

Seamus Duggan skomponował piosenkę na tę okazję. Na przekór wszystkim zatytułował ją *Legenda Lyona Redmonda*. W ogóle nie miała słów. Ale ze swojego fletu wyczarował melodię pełną tęsknoty, gniewu, miłości i szczęścia; zmienna melodia opowiadała historię Lyona i Olivii lepiej, niż oddałyby ją słowa. Powiadano, że całe stulecia później ptaki w tej części Sussex wciąż ją wyśpiewywały.

Pewnego dnia ta melodia miała uczynić Seamusa Duggana zamożnym człowiekiem, ale to już całkiem inna historia.

Pani Olivia Katherine Redmond ujęła męża pod rękę i oboje poprowadzili procesję wolnym krokiem, tak że dzieci miały dużo czasu, żeby dokazywać. A z powodu Duffych i O’Flahertych oraz siostry Evie

Duggan dzieci było mnóstwo, jak również dzięki prowadzącej się dość swobodnie suce O’Flahertych, Molly, także mnóstwo psów.

Szli ramię w ramię. Matrony i ojcowie rodów, Jacob i Isolde Eversea, Isaiah i Fanchette Redmond. Marcus Eversea z żoną Louisą. Colin Eversea i Madeline. Violet Redmond i hrabia Ardmay. Miles Redmond z Cynthią. Ian Eversea i Tansy. Phoebe Vale, niegdyś nauczycielka w Akademii panny Marietty Endicott i markiz Dryden. Jonathan Redmond i Tommy. Adam Sylvaine i Evie Duggan. Większość spotkała swoją miłość w Pennyroyal Green i wzięła udział w pochodzie, żeby oddać cześć uczuciu, które ich połączyło.

Potem szedł Ned Hawthorne pod rękę z córką Polly, która w końcu, w tajemnicy przed wszystkimi, przeniosła swoje gorące, nieodwzajemnione uczucie z Colina Eversea na Samuela Herona, młodego Cygana, który mieszkał na obrzeżach miasta i który, wraz z Leonorą i Marthą Heron, szedł w procesji, pokrzykując wesoło i podskakując, żeby złapać monety, które Lyon od czasu do czasu ciskał w powietrze. Pan Culpepper i pan Cooke, którzy nie pozwalali ostygnąć szachownicy w pubie Pod Świnią i Ostem. Pan Tingle i pan Postlethwaite. Pani Sneath i panie z Towarzystwa Opieki nad Biednymi Sussex; wśród nich Amy Pitney i Josephine Charing. Panna Marietta Endicott i gromadka dziewczynek uczęszczających do szacownej Akademii.

Oraz każdy w Pennyroyal Green, kto kiedyś podziwiał, zakochał się w kimś, a nawet z kimś całował, stracił przez nich kobietę, zakład albo przegrał bójkę, śpiewał piosenkę o nich, albo po prostu widział kogoś z rodu Eversea albo Redmondów.

Przy dźwiękach skrzypek Seamusa, wiwatów i brzęku monet, które Lyon regularnie rozrzucał, tłum płynął z kościoła przez miasto, mijając gospodę Pod Świnią i Ostem, księgarnię Tingle’a oraz sklep Postlethwaite’a, a w końcu dwa stare dęby splecione ze sobą gałęziami.

Te, o których powiadano, że symbolizują Redmondów i Eversea, o losach tak ze sobą związanych, że walcząc o dominację, podtrzymywały się nawzajem, nie mogąc bez siebie żyć.

Drzewa okryły się wiosennymi liśćmi.

– Wyznam, że niemal się spodziewałam, że te drzewa runą, kiedy weźmiemy ślub. Ta legenda tkwi w nas tak głęboko – zwróciła się Olivia do Lyona ponad dźwiękiem muzyki.

– Te drzewa przeżyją nas o stulecia – odparł pogodnie Lyon. – A poza tym, kto może wiedzieć, czy nie czekają nas jeszcze jakieś dramatyczne wydarzenia?

Uniósł brew i ucałował jej dłoń, wywołując kolejną falę entuzjastycznych okrzyków.

Wysoko, ukryte wśród liści, na grubym starym konarze, w miejscu, którego nie dało się zobaczyć, chyba że ktoś wygiąłby szyję jak akrobata, widniało wyryte w drzewie jedno słowo:

„Isolde”.

Nikt go nie zauważył.

Poza Isaiahem Redmondem, który wyciął je tam jakieś trzydzieści lat wcześniej, pewnej nocy, czekając na dziewczynę, która nigdy nie przyszła. Był tego słowa świadomy tak samo jak bicia własnego serca.

Epilog

Październik 2015
Pennyroyal Green

Dopiero, kiedy zakręciło jej się w głowie, Isabel uświadomiła sobie, że nie oddycha.

Nic w jej szalonej wyobraźni – a nie mogła się uskarżać na jej brak – nie przygotowało jej na to, jak w rzeczywistości wyglądały legendarne dęby. Były tak ogromne, że niemal tworzyły własny klimat wokół. Być może pełniły rolę ogromnej szpilki wbitej w mapę, dzięki której miękkie, zielone równiny Sussex nie podwijały się na brzegach, unosząc na wietrze.

Ta myśl wydała się niemal obrazoburczo niewłaściwa wobec ich majestatu.

Z drugiej strony jednak zawsze broniła się przed ślepym podziwem. Wydawał jej się formą poddania.

A ona nie znosiła się poddawać, kropka.

Isabel nie miała pojęcia, że to ją łączyło z jej przodkami. Ale wiedziała, że zwłaszcza jedna z jej poprzedniczek nigdy nie wyrzekła się mężczyzny, którego kochała. To z powodu jej pamiętnika stała dzisiaj w tym miejscu.

Zachodzące słońce osnuwało wszystko nostalgiczną sepią. Tłumy kupujących i turystów klikających w komórki, żeby sfotografować słynne drzewa, malownicze domy, mały, zabytkowy, przysadzisty kościółek otoczony dziedzińcem z pielęgnowanymi z miłością, pochylonymi ze

starości kamieniami nagrobnymi, pub, widok na ceglaną akademię na wzgórzu – wszystko jakby zmalało, usunęło się na bok.

Isabel, przynajmniej na chwilę, miała drzewa tylko dla siebie.

Zdołała znowu sprawić, że jej płuca poruszały się w regularnym rytmie. Wyobrażała sobie, że drzewa były równie ogromne pod spodem, jak nad ziemią i ich korzenie sięgały daleko w głąb ziemi, jak czułki łączące się z korzeniami zbóż i traw, na których pasły się owce i krowy; to była ziemia, na której żyli Eversea i Redmondowie od czasów, kiedy ponoć pierwszy Eversea ukradł Redmondowi krowę i został w odwecie zatłuczony przez tamtego pałką (a może na odwrót) w 1066 roku. Stała, znana, potrzebna i kochana.

Zupełnie odwrotnie niż Isabel.

Aż do niedawna.

Trwało chwilę, zanim to sobie przypomniała, kiedy rano otworzyła oczy.

A potem miała wrażenie, że światło słońca wlewa się w jej żyły. Nagły zawrót głowy mógł wynikać równie dobrze z paniki, jak z radości.

A na jej iPadzie był teraz obraz drzewa genealogicznego, które wydawało się rozciągać na mile w każdą stronę, wszystkie linie ze sobą połączone i wszystkie połączone z nią samą.

Każdy, kto by akurat przechodził obok, zobaczyłby drobną, szczupłą kobietę z jasnymi włosami, upiętymi (ale planującymi ucieczkę) w zgrabny kok. Jej buty, dżinsy i czarna skórzana kurtka, lekko znoszone, sprawiały wrażenie drogich. Nie były.

Kiedyś, dawno temu, ładne rowery, markowe trampki albo roześmiane rodziny grające w piłkę na trawniku przed domem wywoływały w niej taką tęsknotę, że miała ochotę wyć.

Nauczyła się nie pragnąć. Wytworzyła wokół siebie twardy, nieprzenikniony kokon, coś w rodzaju odpowiednika beczki, do której wchodzi się przed przejściem przez wodospad Niagara. Doświadczenie

przypominające przerzucanie od jednej zastępczej rodziny do drugiej od czasu, kiedy miała osiem lat.

Teraz dobiegała trzydziestki. Żyła dobrze, choć może nie wspaniale, na własnych warunkach. Ale wciąż czuła się nieswojo, posiadając zbyt wiele rzeczy. Wszystko, co nabyła, od komórki, przez poduszki na kanapie, skórzaną kurtkę z second-handu, po kolekcję muzyki, zostało bardzo starannie wybrane; dbała o te rzeczy niemal z czułością.

Pewnego dnia, być może, uzna coś za oczywiste.

Tyle że trochę za długo żyła wewnątrz tej przeklętej beczki.

Parsknęła gniewnie, zła sama na siebie, kiedy zauważyła, że ręce jej drżą, bo naprawdę nie miała cierpliwości do żadnych mazgajów. Wsunęła rękę do kieszeni kurtki i w roztargnieniu przesunęła palcami po drobniutkich kryształkach, które pracowicie przykleiła pewnej nocy do pokrowca na telefon. Taka dłubanina działała na nią uspokajająco. Układały się w jej imię.

Potem wyciągnęła telefon i impulsywnie wybrała numer.

Była dziewiąta rano w Kalifornii.

– Piję kawę i czytam o tej dziewczynie, Stephanie Plum, o której mi opowiadałaś, Isabel, moja kochana. – Laura nie robiła żadnych wstępów. – Z pewnością dokonała szeregu złych wyborów, nieprawdaż?

Isabel roześmiała się.

– Można tak to opisać. Hej, Lauro, w końcu tu jestem.

Nazywała ją Laurą, bo słowo „babcia” wciąż trudno jej było wymówić.

Matka Isabel, być może najgorliwsza czarna owca, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi, zniknęła wraz z nieodpowiedzialnym, nieznanym ojcem Isabel gdzieś w Kalifornii i zanim umarła, przecięła wszelkie więzy rodzinne. Matka Isabel, podobnie jak Isabel, nigdy nie robiła niczego połowicznie.

Jak również Laura. Zapłaciła komuś, żeby skompletował jej drzewo genealogiczne i dzięki temu dowiedziała się o istnieniu Isabel, po czym

tropiła ją wytrwale aż do San Francisco. (W końcu płynęła w nich krew odkrywców i badaczy nieznanych ziem). W ten sposób Isabel nagle znalazła się w otoczeniu ciotek, wujków i kuzynów, których polubiła (w końcu) i którzy także ją polubili (w końcu); wszyscy byli wściekli, kiedy Laura dała Isabel bezcenne rodzinne pamiątki w postaci dziennika i złotego zegarka.

– Ona potrzebuje ich najbardziej – oznajmiła spokojnie, w swoim wieku nieporuszona już atakami irytacji. Isabel zaś powiedziała:

– Twoja prapraprapraciotka, Olivia Redmond chciałaby, żebyś ty je wzięła. Zrozumiesz dlaczego, kiedy przeczytasz dziennik.

Isabel mogła przeżyć rozzłoszczonych krewnych. Przeżyła znacznie gorsze rzeczy.

I nigdy niczego tak bardzo nie chciała, jak właśnie tego dziennika i tego zegarka.

Ponieważ, kiedy otworzyła zegarek, znalazła w środku miniaturkę dziewczyny, która była praktycznie jej bliźniaczką, jeśli nie liczyć ciemnych włosów.

A dziennik, kiedy go czytała, działał na nią z siłą spadającej na głowę starodawnej halabardy.

Dwa miesiące, parę internetowych rezerwacji i oszołomionego chłopaka później znalazła się w Anglii. Sama.

– Tak się cieszę, że dotarłaś bezpiecznie, Isabel! – Głos Laury wydawał się nagle odpływać. Jakby była nie tylko w innej strefie czasowej, ale w innym wymiarze. – Jak tam jest? Gdzie teraz jesteś?

– Już jestem w Pennyroyal Green. Przy drzewach, tych, które Olivia opisuje w dzienniku. Są wielkie jak apartamentowiec. Mogą nawet przewyższać ego Marka. Albo jego kapitał wysokiego ryzyka. – Mark był chłopakiem Isabel, który znikał i pojawiał się w jej życiu. Laura go poznała. Uwaga Isabel ją rozbawiła.

– Ojej! Prawie nic nie słyszałam, Isabel. Strasznie trzeszczy. Możesz mówić głośniej?

– Jestem w Pennyroyal Green. przy drzewach.

– Sła…chać…

– Pennyroy…

Połączenie zostało przerwane.

– Amerykanie – fuknęła gniewnie przechodząca obok kobieta. – Bez przerwy wrzeszczą.

Z irytacją przerzuciła gładkie blond włosy przez ramię; były tak niebezpiecznie lśniące, że mogłyby oślepić pilotów bombowców. Isabel zeszła na bok, żeby przypadkiem nie dostać batem jako leniwa wieśniaczka.

Stłumiła chęć wykrzyczenia przeprosin za kobietą.

A może powinna rozpuścić włosy i machnąć nimi gwałtownie w odwecie: *en guarde!* Z pewnością paru jej przodków brało udział w pojedynkach?

Ale miała kręcone włosy. Pewnie by tylko podskoczyły i uderzyły ją w twarz. Z jej doświadczenia wynikało, że poddawanie się impulsom tak się właśnie, w przenośni, kończy. Dlatego słowa takie, jak „żywiołowa” (epizod z fioletowymi włosami) oraz „niepokojąca” (tatuaż, który sama sobie zaaplikowała) znalazły się w teczce jej sprawy. Żadne z tych określeń nie było do końca sprawiedliwe czy odpowiednie, chociaż „żywiołowa” brzmiało całkiem nieźle, ponieważ sprawiało, że czuła się jak stepująca gwiazda musicalu na Broadwayu: „żywiołowa Isabel Redmond!”

W gruncie rzeczy tego typu incydenty były jak spaliny z wewnętrznego silnika. Nieuchronny produkt uboczny brutalnego tłumienia wszystkiego, co myślała i czuła. Wcale niemałe dokonanie jak na córkę swojej matki.

Do momentu, kiedy skończyła dziewięć lat, wiedziała już, że będzie na łasce subiektywizmu innych ludzi i przymiotników, jakie jej przypiszą i że po prostu musi to przeczekać.

Wzory biżuterii jej autorstwa skorzystały na latach jej autocenzury: potrafiła przekształcić dzikość w cudownie proste kształty, uwodzicielskie krzywizny, niezwykłe materiały, śmiałe efekty. (Mark, przypadkiem, używał większości tych określeń w stosunku do niej). Sporo ekskluzywnych butików w Bay Area zaczęło sprzedawać biżuterię według jej projektów. Zarabiała teraz dość pieniędzy, żeby móc żyć, nie spędzając swoich dni w pracy.

Blondynka rzuciła przez ramię ostatnie, mordercze spojrzenie na Isabel. Jej szczupła i giętka jak witka wierzby postać sunęła ulicą; włosy kobiety kołysały się niczym wskazówka metronomu w kontrapunkcie do ruchu małej torby na zakupy, wiszącej na jej ręce.

Torby, której nie można było pomylić z inną.

Isabel znieruchomiała.

Tylko fanatycy projektowania graficznego (a Isabel do nich należała) wiedzieli, że wąski ciemnozielony pasek obrębiony cieniutką srebrną nitką reprezentował widok morza, kiedy patrzy się na nie poprzez równiny Sussex. Ale wszyscy wiedzieli, co oznaczają srebrne literki – P-O-S-T-L-E-T-H-W-A-I-T-E – na zielonym pasku: zrobiono mnie z pieniędzy.

Sieć sklepów Postlethwaite’a obracała tym, co proste, wyśmienite, zaskakujące, niezwykłe (również te przymiotniki Mark odnosił do niej) i nadawała artystom i projektantom status gwiazdorski.

Olivia zakupiła ten właśnie złoty zegarek, który teraz leżał w kieszeni Isabel, w pierwszym sklepie Postlethwaite’a tutaj, w Pennyroyal Green.

I choć Isabel była absolutnie pewna, że nie stać jej na to żeby kupić u nich cokolwiek, zamierzała ich przekonać, żeby sprzedawali jej biżuterię.

Albo nie nazywała się Isabel Redmond.

Chciała być dzielna. W taki sposób, jak Olivia była dzielna.

Isabel przeczytała dziennik Olivii podczas jednego posiedzenia – maratonu, obudziła się następnego ranka półprzytomna, z piaskiem pod powiekami, zamierzając jak najpoważniej wysłać Olivii esemesa z

pytaniem, czy jest wolna w porze lunchu. Tak żywy, znajomy, serdeczny był jej głos.

Uparta, zabawna, pewna swoich racji, wściekle inteligentna, pełna pasji.

Bardzo podobna do Isabel.

Ale w Isabel niepokój budziło to, co je różniło.

Mogła je łączyć chęć i zdolność do tego, żeby porzucić wszystko.

Ale odwaga Olivii, żeby porzucić i zostawić za sobą wszystko, co znała, miała korzenie w miłości. Do rodziny. Do Lyona.

Jej miłość do Lyona sprawiała niemal, że kartki pamiętnika stanęły w ogniu.

Isabel natomiast przemieszczała się z łatwością, ponieważ brakowało jej kotwicy i wolała porzucić wszystko, zanim sama zostanie porzucona.

Nie była pewna, czy miało to coś wspólnego z odwagą.

Z jakiegoś powodu była przekonana, że pamiętnik kryje jakąś tajemnicę, którą koniecznie musi poznać.

Albo może dostarczył jej tylko kolejnego pretekstu, żeby wszystko rzucić.

Zdała sobie nagle sprawę, w sposób absurdalnie wyraźny, z mocnego bicia własnego serca, zachowującego się jak komiwojażer, który wie, po prostu wie, że ktoś jest w domu.

– Olivio – szepnęła. – Jestem tutaj. Szłaś dokładnie w tym miejscu w dniu swojego ślubu. Pamiętasz?

Czuła się trochę głupio. Ale tylko trochę.

Nie musiała się już cenzurować.

Przełożyła komórkę do lewej ręki i rozejrzała się ostrożnie. Przez chwilę była zupełnie sama. Więc uległa impulsowi.

Ostrożnie, delikatnie, położyła rękę na drzewie. Jakby chcąc usłyszeć bicie jego serca.

Wydmuchnęła powietrze i zamknęła oczy. Nie mogła zdecydować, czy czuje się, jak u siebie, czy jest raczej oszołomiona. Może jedno i drugie.

Stała tak może ze trzydzieści sekund, póki na drodze nie odezwał się warkot motocykla.

Pisnęła i odskoczyła do tyłu.

A komórka wyskoczyła jej z ręki jak kostka oślizgłego mydła.

Odwróciła się, żeby patrzeć, jak żegluje w powietrzu w denerwująco zwolnionym tempie, na tyle wolno, żeby we właściwym momencie upaść, dostając się pod koła motocykla i ulec rozbiciu w drobny mak.

Skuliła się, jakby to ona miała się roztrzaskać, zakryła oczy dłońmi i czekała.

Mordercze zgrzytnięcie nie nastąpiło.

Ale poprzez bicie swego serca usłyszała, jak jej się wydawało, odgłos wyłączania silnika w motocyklu.

– Możesz otworzyć.

Oderwała dłonie od twarzy. Onieśmielona.

Między nią a zachodzącym słońcem stał mężczyzna; blask zachodu użyczał mu czegoś w rodzaju czerwonej aureoli.

Dobry Boże, ale był wysoki. Nagle w pełni zrozumiała sens słowa „smukły”.

Wyciągał do niej rękę z jej telefonem.

– Zobaczyłem, że coś spada na drogę. To twój? Udało mi się go nie rozjechać.

Głos był rozbawiony. Życzliwy. Cudownie jedwabisty, leciutko zachrypnięty baryton. Kiedyś chodziła z chłopakiem, który miał stałą chrypę od papierosów i entuzjastycznych wrzasków na koncertach rokowych. To było całkiem coś innego. Mogła sobie wyobrazić, jak ten głos szepcze do niej w ciemności z poduszki obok.

Choć oczywiście ta cudna chrypka mogła wziąć się stąd, że połknął jednego owada za dużo, jadąc na swoim motocyklu.

Motocykl stał oparty na nóżce, za jego plecami. Piękna maszyna, jak rzeźba, a jednocześnie mająca w sobie jakąś dzikość. Stary triumph.

Wydawał się wyrafinowany i bardzo angielski, w dziwnym kontraście do przygniecionych hełmem ciemnych loków, lekko fioletowych kręgów zmęczenia pod oczami, cienia zarostu, zniszczonej skórzanej kurtki, która wisiała wdzięcznie na jego ramionach, ciągnących się na kilometry. Miał wyrazistą, o kanciastych rysach twarz bohatera Tolkiena, który wyruszył na wyprawę po skarb. Nie – ładną. Męską. Przyciągającą uwagę tak, że nie mogła oderwać od niej oczu. Zwłaszcza oczu, głęboko osadzonych i bardzo ciemnych, które w tej chwili w ogóle nie mrugały.

Tylko skinęła głową w milczeniu. Jak „niemądra gęś” – określenie, którego używała w dzienniku Olivia.

– Czy byłaś świadoma samobójczych skłonności swojego telefonu? – zapytał poważnie. Cicho. Kiedy już się wydawało, że nigdy się nie odezwie.

Odzyskała głos.

– To był wypadek. Tak przynajmniej zeznam na policji.

Roześmiał się. Na szczęście.

Bo to był okropnie czarny humor.

Zerknął na telefon i zdobiące go małe kryształki.

– Isabel… Redmond?

Uniósł wolno głowę, wyraźnie zaciekawiony.

Cała jego twarz wyrażała pytanie.

W ten sposób dowiedziała się, jak to smakuje, kiedy jest się kimś znanym.

Malcolm zwolnił, kiedy zauważył, że coś leci w jego stronę na drodze, ale średnio go to zainteresowało. Nie po raz pierwszy czymś w niego rzucano. W czasach uniwersyteckich zwykle odpalał motocykl przed świtem, żeby zdążyć na wykłady. Aż do dnia, kiedy jego sąsiadka, starsza pani o nazwisku Gilly, wypadła z drzwi swojego mieszkania w szlafroku i

rzuciła w niego czymś, co okazało się bulwą jednego z jej ukochanych hiacyntów. Widocznie to był akurat jedyny pocisk, który miała pod ręką.

– Mam dość tego cholernego hałasu, ty przeklęty durniu!

Bulwa odskoczyła od jego hełmu.

A nie miał pojęcia, że zachowywał się tak okropnie. Ale wtedy u mężczyzny w jego wieku wydawało się niemal rzeczą zupełnie naturalną, żeby zajmować się wyłącznie sobą i nie zauważać, co się dzieje obok. Dlatego teraz spędzał dużo czasu, nastawiając kości i szyjąc rany mężczyzn w tym wieku. Wybrawszy niełatwą drogę uczenia się, jak nie być okropnym i kształtować swój charakter.

Tak więc kobieta, która pieściła drzewo i czymś w niego rzuciła, była zaledwie piknięciem na radarze jego życia, biorąc pod uwagę wojnę, akademię medyczną, narodziny, śmierci, triumfy, upadki, kobiety (które liczyły się jako triumfy i upadki), niepokój egzystencjalny oraz wnuczkę księcia, która czekała na niego z kolacją i w sposób elegancko ironiczny obdarłaby go ze skóry, jeśli się znowu spóźni.

Była tego warta, Jemina.

Na ogół.

Udało mu się nie najechać na to coś, co leciało w jego stronę i miało znaleźć się na jego drodze.

Spojrzał przez ramię i zobaczył drobną, jasnowłosą kobietę przy drzewie.

Kuliła się.

Zakryła oczy dłońmi, jakby jej serce właśnie pękło.

Och, Boże.

Tak więc, musiał wrócić.

– Problem z tobą, Coburn, polega na tym – stwierdził kiedyś jego przyjaciel Geoff Hawthorne – że ty zawsze szukasz guza, zamiast uciekać w drugą stronę.

Gdyby Malcolm posiadał herb, to widniałoby na tym to zdanie. Po łacinie.

Teraz jednak zaczynał czuć się głupio, wyciągając telefon w stronę dziwnej, milczącej kobiety.

Wreszcie podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

Stracił na chwilę oddech, jakby dosłownie ukłuto go szpilką.

Zmarszczył brwi w sposób niezbyt rycerski, więc zaraz postarał się przybrać jak najbardziej neutralny wyraz twarzy.

Po prostu się nie spodziewał, że tego wieczoru brutalnie wytrąci go z równowagi para niebieskich oczu.

Nie pamiętał, żeby kiedyś widział oczy dokładnie tego koloru. Tak boleśnie śliczne, że budzące niepokój. Miał dziwne wrażenie, że powinien coś z tym zrobić.

Znowu oddychał normalnie. Nie był w żaden sposób ckliwy. Poradzi sobie.

Przy jasnych włosach miała czarne rzęsy i zaskakująco bezpośrednie spojrzenie. Można by powiedzieć, że wyzywające. Miała też nieco krępe, drobne ciało o interesujących okrągłościach. Trzymała się może trochę za prosto. Jakby spędziła życie, przygotowując się na uderzenie huraganu. Sprawiała w istocie wrażenie chodzącej prowokacji.

Ale reszta – loki wymykające się z koka, bladoróżowy łuk dolnej wargi, twarz w kształcie serca – były jak z prerafaelickiego obrazu. Miękka. Nawet marzycielska. Kolczyki w doskonałym kształcie kropli rosy błyszczały w jej uszach, odbijając obraz jego osoby w miniaturze.

W końcu jej ręka poruszyła się jak jakieś zwierzątko wywabione z nory i wzięła od niego telefon.

– Wybacz, jeśli jestem zbyt wścibski, ale czy jesteś z tych Redmondów? Redmondów z Pennyroyal Green? A teraz z tylu innych miejsc? – zapytał.

Jej twarz rozjaśniła się z wolna. Patrzył i znowu brakowało mu tchu.

A potem, jak za naciśnięciem wyłącznika, światło zgasło.

Interesujące.

– Och, znasz Redmondów? – Mówiła z amerykańskim akcentem, ze sztuczną swobodą. Podejrzewał, że jego odpowiedź może mieć dla niej duże znaczenie.

Uśmiechnął się lekko.

– Wszyscy ich znają. Są legendą. Poznałaś drzewa. – Wskazał ręką. – I poczułaś je.

Zaczerwieniła się.

Natychmiast pożałował, że to powiedział. Przypuszczał, że należy do takich, którzy nienawidzą się rumienić publicznie.

– Ma się ochotę ich dotknąć – dodał ostrożnie. – W ten sposób najbardziej zbliżamy się do podróży w czasie, czyż nie? Jesteś Amerykanką, tak? To twoja pierwsza wizyta w Pennyroyal Green? Przepraszam. To niegrzeczne z mojej strony. Jestem naprawdę lepiej wychowany. Nazywam się Malcolm Coburn.

Nic nie powiedziała. Ale jej twarz dziwnie przybladła.

– Malcolm Coburn… – powtórzyła w końcu zamyślona. – Myślę, że jesteś na moim drzewie!

Na jej drzewie? Och, niech to. Nie ze swojej winy te stare dęby przyciągały wszelkiego rodzaju zwariowanych ekologów, sekciarzy, zwolenników New Age i wyznawców teorii spiskowych. Miejscowa policja aresztowała kiedyś grupę tańczących nago pod drzewami o północy druidów.

Ale potem parsknęła śmiechem. To był fantastyczny, szczery, melodyjny dźwięk, bez cienia szaleństwa.

– Przepraszam. Szkoda, że nie widziałeś swojej twarzy! Chodziło mi o… – Sięgnęła do torebki, zręcznie wyciągając iPada, wykonała szybko kilka operacji, po czym odwróciła go i puknęła w ekran. – Moje drzewo genealogiczne. – Powiększyła obraz palcami, a potem wyświetliła fragment.

Wtedy zauważył słowa wytatuowane na spodzie jej palca wskazującego. Widział już takie tatuaże, u więźniów i członków gangów i głupich, nastoletnich chłopaków; stąd wiedział, że zrobiła to sobie przy pomocy igły z nitką. Literki były maleńkie, wyraźne, proporcjonalne. To musiało wymagać determinacji, precyzji i niemal nadludzkiej cierpliwości i tolerancji na ból.

Napis głosił: „Musiałeś spojrzeć”.

Poczuł interesujące, wcale nie nieprzyjemne ukłucie na karku.

A zatem Isabel Redmond była odrobinę niebezpieczna.

Martwiło go, że mu się to podoba.

– A tutaj są Coburnowie – mówiła, przesuwając obraz palcem po ekranie iPada. – Chyba widziałam gdzieś tutaj Michaela Coburna.

Pochylił się i gwizdnął cicho.

– Spójrz, co tu jest. To faktycznie moja gałąź, a ja jestem tutaj. Nie jesteśmy bezpośrednio spokrewnieni, jak widzisz, ale raczej bardzo pośrednio. Wywodzę się od Johna Fountaina. Pozwolisz? – Potrząsnęła głową, a on przeciągnął lekko palcem po ekranie, zatrzymując go na Johnie Fountainie, synu Elizy Fountain, adoptowanym synu Philippa Lavaya. – Ale wtedy mówiono na niego Jack. Jedna z córek Johna Fountaina i Ruby Alexandry poślubiła Fitzwilliama, a jej córka poślubiła Coburna. Jakieś dwieście lat temu.

Znowu na nią spojrzał.

– Czuję, że powinienem cię ostrzec, że mam lekkiego bzika na punkcie historii. Wiem na temat Pennyroyal Green i tutejszych rodzin więcej, niż chciałabyś usłyszeć. A Redmondowie i Eversea to jest Pennyroyal Green.

– Otóż chcę usłyszeć wszystko. Wiem bardzo niewiele. Mam tylko to drzewo, dziennik Olivii Eversea – zaczęła go pisać wkrótce po ślubie – i mam to.

Wsunęła iPada pod ramię i wyciągnęła coś z kieszeni.

Złoty zegarek.

Nie zastanawiał się, że mu ufa, komuś obcemu – pokazując złoty zegarek i iPada. Nie wydawała się wcale naiwna. Miał wrażenie, że potrafi sobie radzić. Może znała krav magę albo inną egzotyczną i brutalną sztukę walki.

Popatrzyli w milczeniu na miniaturkę.

– Jest taka ładna – powiedział w końcu. – Wyglądasz zupełnie jak ona.

Zamarł.

Podniósł głowę, zaciskając usta.

Nie chciał, żeby to tak zabrzmiało. Nie flirtował. Flirtowanie było swego rodzaju strategią, a to wydawało mu się nieuczciwe i kto miał na to czas? On z pewnością nie miał. Kiedy chciał czegoś od kobiety, nie miał problemu z tym, żeby jej to wprost powiedzieć. Zwykle dostawał, czego chciał.

– Nie masz w sobie żadnego romantyzmu – westchnęła kiedyś Jemina, układając pewnego wieczoru swoje długie, jasne włosy na jego piersi.

Seks, miłość, romans – to wszystko były rzeczy same w sobie i tylko czasami się zazębiały. Nie powiedział tego głośno. Częściowo dlatego, że mógł sobie wyobrazić kłótnię, która by po tym nastąpiła. Nie był nawet pewien, jak mógłby jej to wyjaśnić.

Isabel Redmond, sądząc po łobuzerskim ogniku w jej oczach, bawiła się świetnie jego zmieszaniem.

– Też myślę, że wyglądam jak ona – stwierdziła rzeczowo.

Zamknęła zegarek nad śliczną twarzą ciotki Olivii, a potem odwróciła go i przesunęła palcem po inicjale. Z roztargnieniem.

Zapadła cisza.

– Pewnie to wiesz – odezwał się – ale jest dla mnie jasne, że LAJR oznacza Lyon Arthur James Redmond. Zdawałaś sobie sprawę, że w tych stronach jest legendą?

– Wiem o inicjałach. O legendzie nie słyszałam. Nie żartujesz ze mnie?

Przez jej twarz przemknęła tęsknota, paląca, gwałtowna.

Intrygujące. Nie chciała, żeby wiedział, ile to dla niej znaczy.

– Ależ nie, naprawdę – odparł łagodnie. – Wszyscy w Pennyroyal Green będą mówić o Lyonie i Olivii, jakby to wszystko zdarzyło się wczoraj. Ale Anglicy w ogóle mają takie podejście do historii. Istnieje też piękny utwór muzyczny zatytułowany: *Legenda Lyona Redmonda*. Muzyka ludowa. Za parę tygodni odbędzie się festiwal, jeden zespół prezentuje zachwycającą wersję tego utworu. Może będziesz miała okazję go usłyszeć.

Jej wahanie powiedziało mu, że wie, że stara się wybadać, jak długo zamierza zostać.

– Uwielbiam muzykę na żywo. I wynajęłam mieszkanie na następne trzy miesiące. W czarującym starym budynku za Akademią Panny Marietty Endicott… – Wskazała w tamtym kierunku.

A więc zostawała na jakiś czas. To, że zdecydowała się mu o tym powiedzieć, wzbudziło w nim uczucie intensywnej i zupełnie irracjonalnej ulgi i triumfu.

A co do zostawania – poprzedniego dnia siedział w klinice do późna w nocy i powinien się pewnie ogolić przed dzisiejszym spotkaniem z Jeminą.

– To byłoby takie odświeżające, zobaczyć twoją brodę od czasu do czasu, Malcolm – powiedziała mu ostatnio.

Powinien już odejść.

Isabel wsunęła zegarek do kieszeni i znowu wzięła iPada do ręki.

– Mieszkanie, które wynajęłaś, jest w dawnym Domu dla Niezamężnych Matek Seamusa Duggana – oznajmił Malcolm. – A Duggan, nawiasem mówiąc, to autor *Legendy o Lyonie Redmondzie*. Dugganowie nadal mieszkają w tych stronach.

Przyjrzała mu się uważnie, z lekkim niepokojem, a trochę z nadzieją, jakby chciała się upewnić, czy nie stroi sobie z niej żartów.

– Naprawdę – usłyszał własny, stanowczy głos. Jakby coś obiecywał.

Jej twarz spochmurniała, zaczęła bezwiednie pocierać swoje ramię, złapała się na tym i zaśmiała.

– To tylko… Dostałam gęsiej skórki, kiedy to powiedziałeś. To wszystko wydaje się takie…

– Zsynchronizowane?

– Chciałam powiedzieć: na miejscu. Inaczej mówiąc, pewnie: zsynchronizowane.

Oba określenia wprawiały go w zmieszanie. Ponieważ wszystko – od lecącej w powietrzu komórki aż do tej chwili – wydawało się „na miejscu” i zsynchronizowane.

– Skoro tu jesteś, możesz zobaczyć, gdzie Lyon i Olivia mieszkali po ślubie.

– Takie mam plany. Zamierzam odwiedzić każde miejsce, które wymienia w pamiętniku. Pisze, że mieszkała między Anglią a Kadyksem. Ich pierwsze dziecko urodziło się w Anglii. Mieli w sumie pięcioro, trzech chłopców i… ale pewnie wiesz to wszystko?

– Nie znam tego z perspektywy Olivii. To fascynujące. Co jeszcze wiesz?

Rozpromieniła się, zachwycona, że ma coś, czym może się podzielić.

– Hm, Olivia chciała zobaczyć świat, a Lyon chciał jej go pokazać. Pojechali do Luizjany – Lyon miał tam dobrze rozwijającą się plantację – a potem przenieśli się do Nowego Jorku, kiedy jej brat Ian z żoną Titanią tam osiedli. Mieszkali w Nowym Jorku podczas wojny domowej. Pisze o odwiedzinach braci i sióstr. Widziałam w Londynie pomnik mojego prapraprawuja Jonathana. – Zaśmiała się zmieszana.

– Jonathan Redmond to jeden z moich bohaterów. Jego żona także była kimś niezwykłym. Zmienili na lepsze życie biednych dzieci i pomogli zreformować system pracy w manufakturach. Uczyliśmy się o nim w szkole.

– Jego też dotknęłam – wyznała. – Poklepałam mosiężne udo.

W głowie Malcolma pojawił się nagle mocno niestosowny obraz dziewczyny trzymającej dłoń na jego własnym udzie.

I w związku z tym na chwilę zaniemówił.

– Odkryłam, że w mojej rodzinie było tylu dzielnych ludzi. – Powiedziała to nieśmiało, niemal ostrożnie, znowu badając jego twarz, jakby w obawie, że go obrazi, gdyby okazało się, że w jego rodzinie akurat roiło się od tchórzy. Rozbawiło go to i w jakiś sposób także wzruszyło. – Olivia i Lyon włączyli się w ruch abolicjonistów w Ameryce.

– Byli wyjątkowi, Olivia i Lyon Redmond. Ale na twoim drzewie genealogicznym pewnie nie ma ani jednej zwyczajnej osoby. Na przykład… – Jego palec wylądował na bracie Lyona, Milesie Redmondzie. – Czy słyszałaś o Redmond Worlwide?

– Podróże z GPS?

– Dokładnie. Byli także pionierami lotnictwa we wczesnych latach awiacji. Przerwij mi, jeśli już to wiesz.

– Trochę wiem, ale chętnie posłucham wszystkiego, co masz ochotę mi powiedzieć.

– Miles Redmond – młodszy brat Lyona – był znanym odkrywcą i przyrodnikiem. Jego serię o Morzach Południowych wciąż się czyta. Mój własny egzemplarz jest niemal całkiem wytarty. Czytałem to na okrągło, jak byłem młodszy. Nadal mam to na półce.

– Takie książki są bezcenne – oświadczyła z mocą.

– A jakie książki ty lubisz czytać? – zapytał obojętnym tonem. Nagle bardzo zapragnął się tego dowiedzieć.

– Lubię czytać książki Milesa Redmonda.

Dała mu jasno do zrozumienia, że jest gotowa opowiedzieć o sobie – ale wybiórczo i na własnych warunkach, dziękuję bardzo.

Odczuł przedziwną mieszankę rozbawienia i irytacji.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo potrafił być uparty.

– Z pewnością znajdziesz zestaw w księgarni Tingle’a – odparł gładko. – Która jest… – obrócił się na pięcie i wskazał ulicę – …właśnie tam. Trafisz tam bez GPS. Miles dotarł do Lacao jeszcze raz. Ale pozostał w Anglii, kiedy jego żona, Cynthia, zaszła w ciążę z pierwszym dzieckiem. Jak

widzisz, mieli czterech synów i jedną córkę. – Lekko dotknął każdego imienia po kolei. – Wydaje się, że jego przeznaczeniem było pomagać reszcie świata poznać świat. Jeden z synów cieszył się raczej złą sławą. – Dotknął imienia. – Augustin Redmond.

– Odrobina złej sławy wzmacnia rodzinę, z tego co słyszałam.

– Jeśli opierasz siłę na draniach, to pewnie z przyjemnością się dowiesz, że twoja rodzina jest faktycznie silna.

Na szczęście parsknęła śmiechem.

– Redmond Worldwide zajmuje się też sprzętem wysokogórskim i w ogóle prawie wszystkim, co się wiąże z podróżami. Siedzibę mają w Londynie, biura na całym świecie.

– Parę lat temu sponsorowali wspinaczkę na Mount Everest, prawda? I brali udział w Pucharze Ameryki w zeszłym roku?

Ach, a więc przynajmniej czytała gazety. Może pisma biznesowe.

– Tak, a ostatnio weszli w spółkę z Cole-Eversea przy produkcji strojów do sportów wyczynowych. W drugiej połowie życia Colin Eversea, brat Olivii i pan Gideon Cole ufundowali tekstylia Cole-Eversea po tym, jak udało im się wyhodować owce o niezwykle miękkiej, trwałej sierści. Ten interes został w rodzinie – twojej rodzinie – od tamtego czasu. Colin Eversea i jego żona, Madeline, mieli dość późno czwórkę dzieci, dwóch chłopców, dwie dziewczynki, wszyscy niezłe ananasy poza jednym, z tego co wiem. Jeden z ich potomków stoi na czele firmy.

– Znalazłam mój sweter Cole-Eversea w szmateksie. – Pociągnęła lekko za rozpięty, kaszmirowy sweter, który nosiła pod kurtką. – Inaczej nie byłoby mnie na niego stać.

Znieruchomiał.

Zauważył coś na jej piersi, kiedy szarpnęła za sweter.

Podniósł gwałtownie głowę, patrząc na nią niemal z gniewem.

– Czy… masz koszulkę McLusky pod swetrem? – Ledwie zdołał wyrzucić z siebie te słowa.

– A… co… Tak – powiedziała ostrożnie. Zaskoczona.

– Zespół. McLusky – powiedział szorstko.

– Jest jakiś inny McLusky?

– Chol… to jest, uwielbiam McLusky. – To było niemal oskarżenie.

McLusky trudno było kochać. Hałaśliwi, okropni, ekspresywni, mądrzy, mroczni. Nie znał nikogo, kto by ich pamiętał.

A już zwłaszcza kobieta. Nastąpiła chwila napiętej ciszy.

Zmrużyła oczy. Przyglądając mu się, jakby mówiła: udowodnij.

– „Boję się, boję się, boję się latać i latanie boi się mnie” – powtórzył cicho, jak żołnierz, który przekazuje hasło straży.

Chwilę milczeli.

– Cóż – powiedziała w końcu, nadając temu słowu dziesiątki znaczeń.

Wyobrażał sobie, jak później opisuje ją swojemu przyjacielowi Geoffowi Hawthorne’owi: nosiła kaszmirowy sweter na koszulce McLusky.

Jakaś iskra przeskoczyła między nimi.

– Czym się zajmujesz? – zapytała nagle.

– Jestem lekarzem.

Zamrugała.

– Z mojego doświadczenia wynika, że lekarze zwykle zaczynają od „jestem lekarzem”.

Zaśmiał się.

– Prowadzę praktykę, klinikę w Budynku Sneath w dole wzgórza – mogłaś go mijać w drodze pod górę. Mam partnera, Flynna O’Flaherty. Mam dużo miejscowych pacjentów. Czasami nawet odbywamy wizyty domowe.

Tylko tyle powiedział. Teraz on, z kolei, ważył słowa.

Skinęła, przyjmując to do wiadomości. Nie robiła tego, co robiło zbyt wiele kobiet, kiedy odkrywały, że jest lekarzem: nie przymilała się. Nie wiedział, dlaczego kobiety tak się zachowują; poza pieniędzmi, lekarze są

na ogół okropnymi partnerami – z wielu powodów. Choćby długich i nieprzewidywalnych godzin pracy.

Zdecydowanie nie był takim rodzajem lekarza, jakim chciałaby go widzieć Jemina.

A był niewzruszony, jak te drzewa przed nim, jeśli chodziło o powody, dla których robił to, co robił.

Spojrzał znowu na jej iPada.

– Ach… co do złej sławy… ucieszysz się, jak usłyszysz o Ruby Aleksandrze, córce Violet Redmond i hrabiego Ardmay. Są jej dwa sławne portrety – albo raczej jeden sławny, a drugi niesławny – jeden w rezydencji księcia Falconbridge, drugi nadal w Alder House. Możesz go obejrzeć. Była niezwykłą pięknością i żyła w atmosferze skandalu. Poślubiła w końcu swojego najlepszego przyjaciela. Chłopca, z którym dorastała, Johna Fountaina. Mojego przodka. Adoptował go Philipp Lavay, ale urodził się jako nieślubne dziecko. Nie najlepsza partia dla córki hrabiego, zwłaszcza wówczas. Wypłynął na morze, żeby zdobyć majątek. Udało mu się. W całej Anglii znajdziesz parę budynków nazwanych jego imieniem. To było coś w rodzaju *Wichrowych wzgórz* tamtych czasów, tylko ze znacznie lepszym zakończeniem.

– Każde dobre opowiadanie powinno zawierać trochę dramatyzmu.

Hmmm. Nie był pewien, czy się zgadza. Nie był także pewien, czy dramatyzmu da się uniknąć. Los jest jak pułapka na tygrysy. Czasami po prostu wpadasz do dołu.

– Mówiąc o księciu Falconbridge… – Przesunęła palec do Aleksandra Montcrieffe, związanego z Genevieve Eversea. – Co o nim wiesz?

Wiedział, że prawnuczka księcia czeka na niego z kolacją i będzie rozczarowana, jeśli się nie ogoli.

Ale nie powiedział tego głośno. To przemilczenie wyglądało na kłamstwo. Nie spodobało mu się to i nie rozumiał, dlaczego to zrobił. Później się nad tym zastanowi.

– Cóż, rzeczywiście jesteś pośrednio spowinowacona z obecnym księciem. Zobaczmy… Ach, lord Anthony Argosy poślubił średnią córkę księcia i księżnej Falconbridge, Grace. Dzieliła ich dwudziestoletnia różnica wieku – jego pierwsze małżeństwo okazało się klapą – i rodzice nie byli zachwyceni tym związkiem. Żyli jednak niezwykle szczęśliwie i mieli, jak widzisz, mnóstwo dzieci.

Wskazał na obfitość dziewcząt i chłopców, których imiona rozchodziły się wachlarzem od małej gałązki Argosy'ego i Grace.

– Och, dobrze – szepnęła – to zawsze ulga, kiedy ludzie żyją dalej szczęśliwie.

Dziwne uczucie – coś, jakby gniew – pojawiło się na obrzeżach jego świadomości. Kto cię unieszczęśliwił, panno Redmond? Nagle zapragnął zemsty.

– Mógłbym zamknąć oczy i położyć palec gdziekolwiek, a mielibyśmy fascynującą historię. Odkrywcy, aktorzy, politycy, finansiści, żołnierze, chirurdzy, gwiazdy rocka, ochroniarze… czy wiedziałaś, że najstarszy syn Colina Eversea założył prywatną firmę detektywistyczną? Teraz jest ogromna. Szkoli i zatrudnia ochroniarzy i tym podobnych… więc jeśli kiedyś będziesz składać gdzieś wizytę jako dygnitarz albo za jakiegoś wyjdziesz, będziesz mogła się do nich odezwać.

Słowa „za jakiegoś wyjdziesz" wtrącił do tego zdania ze względów strategicznych.

Wiedziała, sądząc po jej przelotnym, krzywym uśmieszku, że chce od niej wyciągnąć więcej informacji.

Nie dała się złapać.

No i dobrze.

– A tu jest interesujący Eversea… widzisz, Clive Dunkirk? Perkusista w zespole Heliotrope w latach siedemdziesiątych?

– Kiedyś kupiłam w second-handzie wszystkie płyty Heliotrope – stwierdziła od niechcenia.

Spojrzała przenikliwie, zauważywszy, że nagle zamilkł.

– Heliotrope też kochasz, prawda? – zapytała. Niemal z rezygnacją.

– Jestem ich fanem – odparł niezobowiązująco.

Namiętnie uwielbiał Heliotrope. Ich grzmiącą, złożoną, przerażającą, epicką muzykę. I głośną. To wszystko było w nim, kiedy był młodszy; przypuszczał, że nadal, w tej czy innej postaci, w nim tkwi.

Uniosła brwi, jakby znała prawdę.

– Lubisz ekspresywną, intuicyjną muzykę – rzucił chwilę później. Jakby stawiał diagnozę.

– Lubię intuicyjne wszystko – odparła natychmiast.

To brzmiało jak wyzwanie.

Może nawet zaproszenie.

Spojrzeli sobie w oczy, oceniająco; spuścił wzrok, niepewny, co ma robić.

Rzadko bywał skonsternowany.

– Ach… a tutaj jest niesławna Eversea. Evangeline Moon.

– Evangeline Moon pochodziła z Eversea? Aktorka z lat trzydziestych?

Bawiło go ogromnie obserwowanie, jak jej twarz się rozpromienia, kiedy opowiada jej te historie. Malcolm przesunął palcem wzdłuż drzewa, zatrzymując go przy Adamie Sylvainnie, a potem przesuwał go w dół, w miarę opowiadania.

– Urodziła się jako Eve Anna Talbot. Eve stało się imieniem rodzinnym, poczynając od Evie Duggan, która poślubiła proboszcza Pennyroyal Green, Adama Sylvaine’a. Obecny proboszcz, nawiasem mówiąc, to też Sylvaine. Ale Adam był współczesnym twojej ciotki Olivii, jej kuzynem. W każdym razie wielebny Sylvaine i Evie mieli czwórkę dzieci. Wcześniej krążyły plotki, że Evie Duggan zabiła swojego pierwszego męża, hrabiego. Wydaje się, że to nonsens. Paręset lat później, Evangeline Moon urodziła się w biedzie, w San Francisco. Odziedziczyła zarazem urodę Evie Duggan, jak i skłonności do skandalu wpisane w DNA.

– Wiem, że pochodziła z San Francisco. Ale Gabriel Graham był jej prawdziwą miłością – stwierdziła stanowczo Isabel. – Kochałam się w nim, kiedy byłam młodsza. Nie mogłam się oderwać od jego filmów. Nie mogłam uwierzyć, że w ogóle istniał ktoś tak charyzmatyczny.

Malcolma ogarnęła nagle taka irracjonalna zazdrość o dawno zmarłego, znakomitego Gabriela Grahama, że jego palec drgnął gwałtownie, unosząc się jak igła odtwarzacza i lądując w innym miejscu.

– Z kolei Genevieve Eversea, siostra Olivii, poślubiła księcia Falconbridge. W Anglii wciąż zamieszkuje wielu ich bezpośrednich potomków, właściwie w całej Europie. Możesz ich nawet spotkać w tym mieście. Chyba że zamrugasz, bo przyszły książę pojawia się zwykle jako błysk w swoim maserati.

– Znasz go dobrze?

Zacisnął usta.

– Uważa, że jestem plebejuszem. Jego bracia i siostra są łatwiejsi do zniesienia.

Mógł sobie wyobrazić reakcję Jeminy na to, jak ją nazywa „łatwiejszą do zniesienia”.

Isabel przyglądała mu się z lekką zmarszczką między brwiami.

Niebezpiecznie zbliżał się zachód słońca. Należało odejść dziesięć minut temu.

Ptak zaśpiewał pięknie i Isabel odchyliła głowę, ciekawa, czy wypatrzy śpiewaka na drzewie.

– Czy widzisz jakieś nacięcia na drzewie? Wygląda jak „I” i może „S”.

Zachodzące słońce oświetliło inaczej drzewo, wydobywając z mroku różne zakamarki. I oto ukazały się litery.

Także odchylił głowę

– Myślę, że masz rację. „I-S”. Nigdy dotąd tego nie zauważyłem. Jakby ktoś próbował wyciąć napis: Isabel.

Wciągnęła głośno powietrze.

I wypuściła je z drżeniem.

I nagle, gwałtownie, wsunęła iPada do torebki i złożyła ręce na piersi.

– Przepraszam – powiedział natychmiast. – Trochę za wiele tej historii?

– Nie… Ja przepraszam… Jestem szczęśliwa. – Spojrzała na niego szybko i uśmiechnęła się, ale usta jej lekko drżały. – To była moja szczęśliwa mina, naprawdę. Tylko że… To jest… Nie znałam naprawdę swoich rodziców, więc…

To zdanie rozpłynęło się w nicość, kiedy udawała, że szuka czegoś w torebce.

– Ach – powiedział szybko, neutralnym tonem. Ale w tej jednej sylabie kryło się morze zrozumienia.

Isabel znowu na niego spojrzała. Miał oczy lekarza. I taki sposób patrzenia, który mówił, że może mu bezpiecznie zdradzić swoje tajemnice, bo on i tak je zna.

Była pewna, że mnóstwo kobiet i pacjentów zdradzało mu swoje sekrety bez wahania.

Z nią nie pójdzie tak łatwo.

Jednak była ciekawa jego wysiłków.

Milczenie trochę się przeciągało. Spowodowała niezręczną sytuację i żałowała tego.

Nie musiał przecież nic o niej wiedzieć, żeby mogła cieszyć się jego towarzystwem, ale rozmowa tak ją poniosła, że się zaplątała we własnych myślach.

– Powód, dla którego prowadzę praktykę lekarską w Pennyroyal Green… – odezwał się ostrożnie – … gdzie się urodziłem… Czasami myślę, że to ma coś wspólnego z Jackiem Fountainem, który nie znał własnego ojca. Może potrzebę należenia, poczucia, że jest się z czymś związanym, mam w DNA.

Wiedziała, dlaczego to powiedział: żeby mogła sobie uświadomić, że jej własna, nieopowiedziana historia, jakkolwiek była mroczna i trudna, jest po

prostu częścią liczącego setki lat ludzkiego doświadczenia.

Nie miała specjalnie do czynienia z przenikliwymi mężczyznami.

Nie była pewna, na ile jej się to podobało.

– Ciekawa jestem, czy może się zdarzyć, że za sto lat ktoś stanie pod tymi drzewami i opowie komuś innemu historię Isabel Redmond.

Parsknął śmiechem.

– Biorąc pod uwagę twoje pochodzenie, to się wydaje niemal nieuniknione. A sto lat w Anglii to jak wczoraj. Na przykład, Isaiah Redmond, ojciec Lyona, zmarł później w niewyjaśnionych okolicznościach. Jest taka grupa ludzi tutaj, w Anglii, która utrzymuje po dziś dzień, że zabił go Jacob Eversea, ojciec Olivii.

– Nie! – Poczuła perwersyjne podniecenie.

– Nigdy, oczywiście, niczego nie udowodniono. Wydaje się, że niczego w ogóle nie udowodniono, jeśli chodzi o Eversea. Tradycyjnie uchodzi im wszystko, tak przynajmniej głosi legenda.

Uśmiechnęła się powoli. Podobało jej się, że w jej żyłach płynie krew awanturników. I że jej historia zawiera tajemnice.

– Do dzisiaj utrzymuje się pewne napięcie między Eversea a Redmondami – dodał swobodnym tonem. – Pomyślałem, że powinienem cię ostrzec. Na wypadek, gdybyś się z tym napięciem zetknęła podczas swojej wizyty.

Uśmiechnęła się leciutko. Wiedziała dokładnie, dlaczego to powiedział.

Pozwolili, żeby słowo „napięcie” wisiało jeszcze przez chwilę w powietrzu.

– Dziękuję – powiedziała w końcu.

Kiedy się uśmiechnął, w kąciku jego ust pojawił się na chwilę dołeczek. Ten dołeczek był doskonalszy niż cokolwiek, co Postlethwaite miał na składzie.

– Mój stary, szkolny kumpel, Geoff Hawthorne, jest właścicielem gospody Pod Świnią i Ostem przy drodze, trochę dalej – powiedział. – Mają

tam wspaniały, stary sztych Rowlandsona, przedstawiający Lyona, jak gotuje się w kotle, pilnowany przez dwóch kanibali. Gdybyś była głodna.

Roześmiała się, o potem on się także roześmiał, uświadomiwszy sobie, jak to zabrzmiało.

– Świetny pomysł – powiedziała.

– Nie martw się. Jestem absolutnie pewny, że w twojej rodzinie nie ma żadnych kanibali. Chociaż Milesa Redmonda o mało jeden nie pożarł.

Podniósł stojak motocykla czubkiem znoszonego buta. Prowadził maszynę delikatnie, jak ukochane zwierzątko. To jej się spodobało.

Szła obok niego w milczeniu.

– A mówiąc o awanturnikach – odezwał się nagle – wiedziałaś, że twój prapraprawuj Colin Eversea uciekł spod szubienicy?

– Nie!

– O, tak. Nawet jest o nim piosenka – powiedział Malcolm. – Nie uwierzysz, ile ma dzisiaj zwrotek.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności dla mojej mądrej, wnikliwej, jakże pomocnej i życzliwej wydawczyni, May Chen, która tak świetnie mnie rozumie; pracującemu z poświęceniem i talentem zespołowi Avon, który dąży z zapałem do doskonałości, wprowadzając interesujące innowacje, szczególnie Tomowi Egnerowi za przepiękne okładki, Jessie Edwards za poczucie humoru i niezwykłą kreatywność, Shawnowi Nichollsowi, wyjątkowo cierpliwemu w kwestiach technicznych oraz mojemu niezłomnemu agentowi, Steve'owi Axelrodowi.

A także podziękowania z głębi serca dla każdego, komu zdarzyło się tweetować, komentować na blogu czy napisać do mnie list czy też w inny sposób dzielić się entuzjazmem dla serii książek o Pennyroyal Green. Znaczycie dla mnie ogromnie dużo, kocham i cenię was wszystkich!